

ROBERT CRAIS

ANIOŁ ZNISZCZNIĄ

Z angielskiego przełożył
Łukasz Nicpan

Tytuł oryginału
DEMOLITION ANGEL

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Projekt okładki
Anna Klos

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Miroslaw Grabowski

Korekta
beck Ring, Tadeusz Mahrburg

Copyright © 2000 by Robert Crais
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Łukasz Nicpan, 2002

Świat Książki
Warszawa, 2003

Skład i łamanie
„Kolonel”

Druk i oprawa
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Warszawa

ISBN 83-7311-645-1
Nr 3772

Jeffreyowi i Celi

Podziękowania

Autor pragnie podziękować za okazaną pomoc następującym osobom: emerytowanemu detektywowi wydziału policji Los Angeles, Johnowi Petievichowi; detektywowi Paulowi Bishopowi z wydziału policji LA; emerytowanemu detektywowi Bobowi Nelsonowi z wydziału terrorkryminalnego policji LA; porucznikowi Mike'owi DeCoudres, dowódcy sekcji pirotechnicznej policji LA; sierżantowi Joemu Pau z tejże sekcji; porucznikowi Anthony'emu Albie z wydziału spraw publicznych policji LA; agentowi specjalnemu Charlesowi Hustmyerowi z ATF; ekspertowi od materiałów wybuchowych Stephenowi B. Scheidowi z ATF; Marcowi Scottowi Taylorowi z firmy Technical Associates, Inc.; okuliście Stevenowi B. Richlinowi; doktorowi nauk medycznych Jane Bryson; doktorowi nauk medycznych Angelii Donahue z pionu psychologicznego policji LA. Ponadto Patricii Crais, Celi Gleason, Clayowi Fourierowi, Leslie Day, Tami Hoag, Geraldowi Petievich, Shawnowi Coyne'owi, Steve'owi Rubinowi, Ginie Centrello, Aaronowi Priestowi, Normanowi Kurlandowi, Emile Gładstone, Tricii Davey, Jonathanowi Kingowi i Laurence'owi Markowi.

Eksperci od materiałów wybuchowych i pirotechnicy, z którymi rozmawiałem, słusznie się obawiali, że niniejsza książka może nabrać walorów instruktażowych i zdradzić pełną gamę możliwości, jakimi dysponują pirotechnicy wykonujący swój zawód. Żeby tego uniknąć, zmieniłem niektóre fakty i procedury, inne zaś wymyśliłem. Profesjonaliści z branży powinni mieć na uwadze, że za niedokładności technicznej i proceduralnej natury, jakie się w tej powieści pojawiają, wyłączną odpowiedzialność ponosi autor.

PROLOG

Zniszczenie: kiedy ciało ludzkie
zostaje rozerwane na części;
jak przez falę uderzeniową
po wybuchu bomby.

Gradwohl Medycyna sądowa

Wezwanie kod numer trzy
Sekcja pirotechniczna
Silver Lake, Kalifornia

Charlie Riggio kuczał na wprost kontenera na śmieci i przyglądał się kartonowemu pudłu firmy Jolly Green Giant z nalepką ZIELONA FASOLKA, z którego wystawało coś przypominającego zmiętą torbę z szarego papieru. Wraz z dwoma mundurowymi policjantami, którzy mu towarzyszyli, podszedł tylko do rogu pasażu handlowego przy Sunset Boulevard; widok na pudło miał stąd wystarczający dobry.

- Od dawna tu leży? - spytał.

Jeden z policjantów z wozu patrolowego, Filipińczyk o nazwisku Ruiz, zerknął na zegarek.

- Dostaliśmy zgłoszenie jakieś dwie godziny temu i odtąd tu sterczymy.

- Znaleźliście kogoś, kto widział, skąd to się tu wzięło?

- Wyobraź sobie, kolego, że nie. Zero świadków.

Drugi policjant, czarny mężczyzna o nazwisku Mason, przytaknął głową.

- Ruiz to sobie obejrzał. Polazł tam i zapuścił żurawia do torby, jebnięty Filipino.

- Powiedz mi, co zobaczyłeś.

- Już mówiłem waszemu sierżantowi.

- Mnie powiedz. To ja mam podejść do tego cholerstwa.

Ruiz powiedział, że widział zamknięte zaślepkami końce dwóch galwanizowanych rur połączonych srebrną taśmą hydrauliczną. Reszta była owinięta w gazetę, więc dojrzał tylko końce.

Riggio zamyślił się. Znajdowali się na terenie małego centrum handlowego przy Sunset Boulevard w Silver Lake, dzielnicy, która w ostatnich miesiącach doświadczała wzmożonej aktywności ulicznych gangów. Chuligani kradli rury ocynkowane z placów budów bądź wykopywali plastikowe z ogródków różnych frajerów, a potem napełniali je prochem strzelniczym albo główkami zapalek. Riggio nie miał pojęcia, czy pudło po zielonym groszku mieści prawdziwą bombę, ale musiał postępować tak, jak gdyby ją mieściło. Podejrzane pakunki ze zgłoszeń w niemal stu przypadkach na sto okazywały się pojemnikami po lakierze do włosów, uczniowskimi tornistrami lub - jak w ostatnim wezwaniu - zawiniętą w pampersy dwufuntową porcją marihuany. Tylko jeden procent zgłoszeń dotyczył obiektów, które pirotechnicy nazywają samodzielnymi urządzeniami wybuchowymi. Czyli bomb domowej roboty.

- Słyszałeś jakieś tykanie lub coś w tym rodzaju?
- Nie.
- Wyczułeś swąd spalenizny?
- Owszem.
- Zaglądałeś do torby?
- Jasne, że nie.
- Ruszałeś pudło?

Uśmiech Ruiza sugerował, że Riggio musi mieć chyba nie-równo pod sufitem.

- Kolego, jak tylko zobaczyłem te rurki, z miejsca dałem dyla. Poruszałem wyłącznie girami.

Mason się zaśmiał.

Riggio podszedł do samochodu. Sekcja pirotechniczna używała granatowych chevroletów suburban, wyposażonych w koguty i zawalonych sprzętem, jakiego potrzebowali do pracy technicy bombowi, z wyjątkiem robotów. Roboty należało specjalnie zamawiać, a on nie miał zamiaru tego robić. Cholerny traktorek wykopyrtnąłby się zresztą na dziurach i wybojach wokół pudła.

Buck Daggett, dowódca Riggia, nakazywał właśnie jakie-

muś mundurowemu sierżantowi ewakuację obszaru w promieniu stu jardów od podejrzanego pakunku. Wezwano straż pożarną, pogotowie było już w drodze. Sunset Boulevard zamknięto, a ruch skierowano objazdami. I to wszystko z powodu czegoś, co okaże się zapewne amatorską przeróbką syfonu kanalizacyjnego.

- Buck, mogę już rzucić okiem na to świństwo.
- Wkładasz kombinezon.
- Jest za gorąco. Na pierwsze podejście włożę kamizelkę, kombinezon dopiero wtedy, jeśli będę musiał użyć wyrzutnika.

W czasie pierwszego podejścia Riggio miał jedynie przeświecić torbę przenośnym rentgenem i dopiero gdyby się okazało, że zawiera prawdziwą bombę, zdecydowałiby z Daggettem, czy ją rozbroić, czy zdetonować na miejscu.

- Wkładasz kombinezon, Charles. Mam złe przeczucia.
- Ty zawsze masz złe przeczucia.
- Od tego jestem sierżantem. Wkładasz kombinezon.

Strój antywybuchowy ważył prawie czterdzieści kilogramów. Zrobiony z kevlaru i ciężkiego wzmocnienia firmy Nomex, zakrywał wszystkie części ciała Riggia z wyjątkiem dłoni, które pozostały nagie. Pirotechnik musi mieć czułe palce.

Wbiwszy się w kombinezon, Riggio dźwignął przenośny rentgen typu RTR3 i ruszył w kierunku podejrzanej paczki. W kombinezonie czuł się jak pod wilgotną zimową kołdrą. Już po trzech minutach pot zalewał mu oczy. Na domiar złego pirotechnik włożył za sobą linę bezpieczeństwa i kabel, który zapewniał mu połączenie z Daggettem. Osobny przewód łączył aparat RTR3 z komputerem w luku bagażowym suburbana. Riggio miał wrażenie, że ciągnie za sobą pług.

W słuchawce usłyszał głos Bucka:

- I jak się czujesz?
- Jak w rzymskiej łaźni.

Riggio serdecznie nie cierpiał tego podchodzenia do nierozpoznanego obiektu. Myślał o nim zawsze jak o żywym stworzeniu, inteligentnym i czujnym, na przykład jak o śpiącym

pitbullu. Jeśli podejdzie ostrożnie, nie wykonując żadnego fałszywego ruchu, nie nastąpi nic złego. Lecz jeśli psa przestraszy, bydlę rozerwie go na strzępy.

Osiemdziesiąt dwa powolne kroki doniosły go do pudła.

Nie odznaczało się niczym szczególnym, jeśli nie liczyć mokrej plamy na jednym z rogów, jakby obsikał je pies. Torba z szarego papieru, pomięta i pomarszczona, była otwarta. Riggio zajrzał do środka, niczego nie dotykając. Schylenie się w tym stroju nie było łatwe, a gdy wreszcie udało mu się to zrobić, pot kapał kroplami na wykonaną z lexanu osłonę twarzy.

Ujrzał dwie rury, dokładnie takie, jakie opisał Ruiz. Zaślepki miały na oko dwa i pół cala średnicy i były połączone taśmą; niczego więcej nie dało się dojrzeć. Rury były luźno zawinięte w gazetę, wystawały tylko ich końce. Daggett zapytał w słuchawce:

- I jak to wygląda?
- Jak dwururka. Poczekaj, zrobię fotkę.

Riggio ustawił rentgen na ziemi u podstawy pudła, nastawił ujęcie z boku i włączył aparat. Ukazał się cienisty, półprzejrzysty obraz, podobny do tych, jakie personel ochrony lotniska ogląda na urządzeniu do prześwietlania bagażu. Pojawił się jednocześnie na dwóch ekranach: na rentgenie RTR3 i na komputerze w luku bagażowym suburbana.

Charlie Riggio skrzywił w uśmiechu twarz.

- A skurwiel! Buck, mamy bombkę.
- Widzę.

Dwie rury przypominały dwa podłużne cienie, między którymi widniało coś, co mogło być zwojem drutu albo lontem. Wyglądało na to, że nie zastosowano zegara ani innego zapalnika czasowego, co utwierdziło Riggia w przekonaniu, że bomba powstała w garażu jakiegoś pomyslowego miejscowego chuligana. Prosta, prymitywna konstrukcja, niezbyt trudna do unieszkodliwienia.

- Kaszka z mleczkim, Buck. Zastosuję lont podstawowy typu „podpal i wiej”.

- Bądź ostrożny. Mógł zamontować jakiś zapalnik wstrząsowy.

- Nie zamierzam tego dotykać, Buck. Więcej zaufania, stary.

- Tylko nie kozakuj. Zrób fotki, a potem się zobaczy, co i jak.

Procedura przewidywała wykonanie rentgenem serii zdjęć cyfrowych urządzenia wybuchowego pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kiedy będą już je mieli prześwietlone, Riggio wróci do suburbana, gdzie postanowią z Daggettem, jak najlepiej unieszkodliwić konstrukcję.

Szurając butami, obchodził pudło i prześwietlał je z różnych stron. Nie odczuwał lęku, bo już wiedział, z czym ma do czynienia, i był pewien, że sobie poradzi. W ciągu sześciu lat pracy w sekcji pirotechnicznej podchodził do blisko pięćdziesięciu podejrzanych pakunków; jedynie dziewięć okazało się naprawdę urządzeniami wybuchowymi. Wszystkie zdetonował w sposób kontrolowany.

- Czego nic nie gadasz, Charlie? Wszystko gra?

- Muszę po prostu omijać wyboje, sierzancie. Już kończę. Wiesz, doznałem przed chwilą olśnienia.

- Daj sobie spokój, bo jeszcze ci zaszkodzi.

- Tylko posłuchaj. Widziałeś cwaniaków, którzy zbijają szmal, reklamując te kretyńskie diety cud? Moglibyśmy sprzedawać te pieprzone kombinezony grubasom, kapujesz? Wkładasz i tracisz na wadze.

- Skoncentruj się lepiej na tej pieprzonej bombie, Riggio. Jak z ciepłotą ciała?

- Gites.

Prawdę powiedziawszy, od gorąca aż kręciło mu się w głowie, ale chciał mieć pewność, że zrobił dobre, wyraźne zdjęcia. Obchodził pudło niezgrabnie jak kosmonauta w skafandrze kosmicznym, wykonując zdjęcia od przodu, z boków i pod różnymi kątami, a potem ustawił aparat do ujęcia z góry. I wtedy dostrzegł cię, którego wcześniej nie zauważył.

- Buck, widzisz to? Chyba coś mam.

- Co takiego?

- Tu, w widoku z góry. Pstryknij to.

Z jednej z rur wychodził ledwo widoczny, cieńszy od włosa cień i wnikał we wciśnięty między rury zwój. Ten nie był z niczym połączony, co w pierwszej chwili zdziwiło Riggia, ale potem przyszła mu do głowy zaskakująca myśl: a jeśli ten zwój miał służyć jedynie ukryciu cienkiego drucika?

Ledwo to sobie uświadomił, zdrętwiał ze strachu i poczuł skurcz w żołądku. Chciał coś krzyknąć do Bucka Daggetta, ale głos uwiązł mu w gardle.

O Boże - jęknął w duchu.

Bomba eksplodowała z prędkością dwudziestu ośmiu tysięcy stóp na sekundę, dwadzieścia dwa razy większą od prędkości, z jaką dziewięciomilimetrowa kula opuszcza lufę pistoletu. Z błyskiem oślepiająco białego światła rozeszła się fala uderzeniowa o temperaturze wystarczającej do stopienia żelaza. Ciśnienie powietrza, zamiast zwykłego nacisku piętnastu funtów na cal kwadratowy, wzrosło do dwóch tysięcy dwustu, rozrywając żelazne rury na metalowe strzępy, które przebiły strój antywybuchowy niczym płócienną koszulkę. Wybuch uderzył w Riggia z siłą trzystu tysięcy funtów, zmiażdżył mu klatkę piersiową, wątrobę, śledzionę, płuca i urwał nieosłonięte dłonie. Ciało zostało uniesione czternaście stóp nad ziemię i odrzucone na odległość trzydziestu ośmiu.

Nawet znajdując się tak blisko epicentrum wybuchu, Riggio mógł ocaleć, gdyby to była - jak początkowo sądził - bomba zmajstrowana w garażu przez jakiegoś chuligana z materiałów, które mu wpadły w rękę.

Było niestety inaczej.

Były asfaltu i stali padały wokół niczym krwawy deszcz jeszcze długo po śmierci pirotechnika.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

- Opowiedz mi o kciuku. Pamiętam, opowiadałaś mi przez telefon, ale chciałabym to teraz usłyszeć.

Starkey zaciągnęła się głęboko papierosem, po czym strzepnęła popiół na podłogę, nie zwracając sobie głowy popielniczką. Robiła tak za każdym razem, kiedy chwyciła ją złość, że tu przyszła, czyli podczas każdej wizyty.

- Proszę, żebyś używała popielniczki, Carol.
- Chybiłam.
- Nieprawda.

Carol Starkey, detektyw drugiej grupy, dopaliła papierosa i zgniotła peta w popielniczce. Kiedy zaczynała terapię u Dany Williams, ta nie pozwalała jej palić w trakcie sesji. To było trzy lata i czterech terapeutów temu. Podczas gdy Starkey zmagiła się ze swoim drugim i trzecim terapeutą, Dana sama wróciła do palenia i obecnie nie przeszkadzał jej papieros pacjentki. Czasem kurzyły obie jednocześnie i pokój wyglądał jak Imperial Valley* zasnuta warstwą mgiełki.

Starkey wzruszyła ramionami.

- Chyba masz rację. Jestem po prostu wkurwiona, to wszystko. Po trzech latach wróciłam do punktu wyjścia.

* Położona w depresji dolina w południowej Kalifornii (wszystkie przypisy tłumacza).

- Czyli do mnie.
- Właśnie. Żeby przez trzy lata nie uporać się z takim gównem!
- Więc powiedz, co się stało, Carol. Opowiedz mi o kciuku tej dziewczynki.

Starkey zapaliła następnego papierosa i rozsiadła się wygodniej, żeby wrócić pamięcią do kciuka tamtej małej. Paliła już tylko trzy paczki dziennie. Ten postęp powinien ją cieszyć, lecz jakoś nie cieszył.

- To było czwartego lipca. Jakiś kretyn z Venice postanowił wyprodukować własne fajerwerki i obdarować nimi sąsiadów. W konsekwencji pewna dziewczynka straciła kciuk i palec wskazujący prawej ręki, a my dostaliśmy wezwanie telefoniczne z oddziału wypadków nagłych.

- My?
- Ja i mój ówczesny partner, Beth Marzik.
- Kobieta?
- Mhm. Jest nas w CCS* dwie.
- Rozumiem.
- Zanim dotarliśmy do Venice, rodzina tej małej zdążyła już wrócić do domu, więc pojechaliśmy prosto do nich. Ojciec płacze, opowiada, jak znaleźli palec, że nie znaleźli kciuka, a potem pokazuje te zasrane ognie domowej roboty, kurewsko wielkie. Mała miała szczęście, że nie straciła całej dłoni.

- Sam je wyprodukował?

- Nie, jakiś typ z sąsiedztwa, ale facet nie chciał nam powiedzieć kto. Twierdził, że tamten nie zamierzał nikogo skrzywdzić. Tłumacząc pacanowi: pana córka została o k a l e c z o n a , to samo grozi i n n y m dzieciom, ale fiut się zaparł. Zwracam się do matki, lecz facet burknął coś do niej po hiszpańsku i ona również nabrała wody w usta.

- Dlaczego nie chcieli ci tego powiedzieć?
- Bo ludzie to mendi.

* Criminal Conspiracy Section - wydział terrorkryminalnego.

Świat według Carol Starkey, detektywa drugiej grupy w wydziale terroru kryminalnego policji Los Angeles. Dana zanotowała coś w oprawnym w skórę notesiku. Starkey nie cierpiała tych notatek. Traktowała je podświadomie jak gromadzone przeciw niej dowody rzeczowe.

Zaciągnęła się papierosem, wzruszyła ramionami i podjęła:

- Te pigułki mają sześć cali długości, rozumiesz? Nazywamy je meksykańskim dynamitem. Palba była taka jak na strzelnicy w szkole policyjnej, więc zaczęliśmy z Marzik chodzić od drzwi do drzwi. Sąsiedzi okazali się jednak takimi sami zasańcami jak pan tatuś - każdy z gębą na kłódkę, aż krew mnie zaczęła zalewać. Gdy wracałyśmy z Marzik do wozu, znalazłam na ziemi kciuk. Spojrzałam po prostu pod nogi i ujrzałam ten śliczny mały paluszek, więc go podniosłam i odniosłam rodzinie.

- Powiedziałas mi przez telefon, że miałas ochotę wepchnąć go ojcu dziewczynki do gardła.

- Faktycznie, złapałam kutasa za kołnierz i wsadziłam mu ten kciuk do gęby.

Dana poprawiła się na krześle. Język ciała terapeutki mówił, że opisana scena przejęła ją odrazą. Starkey nie mogła jej brać tego za złe.

- Nietrudno zrozumieć, dlaczego ci ludzie złożyli skargę.

Starkey dopaliła papierosa i zgmiotła niedopałek.

- Oni nie złożyli skargi.

- Więc dlaczego...

- Marzik ją złożyła. Ze strachu, jak przypuszczam. Pogadała z porucznikiem Kelso i ten zagroził, że pošle mnie do banku do wyceny.

Policja Los Angeles ulokowała swój pion psychologiczny w budynku Banku Dalekiego Wschodu na Broadwayu w Chinatown. Większość policjantów żyła w ciągłym lęku przed posłaniem do banku, zakładając nie bez słuszności, że ów nakaz oznacza podanie w wątpliwość stanu ich nerwów i kładzie kres nadziejom na awans. Istniało na to specjalne określenie: „debet na koncie kariery”.

- Gdybym trafiła do banku, nie pozwoliliby mi już nigdy wrócić do sekcji pirotechnicznej.

- A ty wciąż o to zabiegasz?

- Od wyjścia ze szpitala o niczym innym nie marzę.

Starkey wstała i zapaliła kolejnego papierosa. Była poirytowana. Dana przyglądała się jej bacznie, czego również serdecznie nie znosiła. Czuła się obserwowana, jakby terapeutka tylko czekała, aż zrobi lub powie coś, co ją zdemaskuje. To była skuteczna technika przesłuchania, którą Starkey sama stosowała. Gdy się długo i uparcie milczy, ludzie czują się zobowiązani do zagadania ciszy.

- Ta praca to wszystko, co mam, do cholery!

Natychmiast pożałowała tonu skargi, jaki się odezwał w jej głosie. Zmieszanie jeszcze wzrosło, kiedy Dana zrobiła kolejny zapisek w notesie.

- Więc powiedziałaś porucznikowi Kelso, że poszukasz pomocy na własną rękę?

- A guzik! Włazłam mu w dupę, byle tylko nie dostać po łapach. Dobrze wiem, że mam problem, Dano, ale poszukam sobie takiej pomocy, która nie spieprzy mi kariery.

- Z powodu tego kciuka?

Starkey popatrzyła na Dane Williams takim samym pustym wzrokiem, do jakiego by się uciekła w wydziale wewnętrznym.

- Z powodu tego, że się rozpadam.

Dana westchnęła, a jej spojrzenie stało się cieplejsze, co dodatkowo rozwścieczyło Starkey, bo nie cierpiała obnażać się w sposób, który czynił ją bezbronną i słabą. Carol Starkey nie umiała grać „słabej kobietki”, nigdy jej to nie wychodziło.

- Carol, jeśli wróciłaś na terapię, bo chcesz, bym cię złożyła na powrót do kupy jak zepsutą zabawkę, uprzedzam, że tego nie potrafię. Terapią to nie to samo co składanie kości. Wy"-' maga czasu.

- Chodzę na terapię już trzy lata. Powinam już stanąć na nogi.

- Zapomnij o słówku „powinam”. Pomyśl o tym, co cię spotkało. Pomyśl o wszystkim, przez co przeszłaś.

- Mam już dość tego wiecznego myślenia. Myślałam o tym przez ostatnie trzy zaszrane lata.

Poczuła ukłucie z tyłu gałek ocznych. Od samego tego m y ś l e n i a .

- Jak ci się wydaje, dlaczego tak często zmieniasz terapeutów, Carol?

Starkey pokręciła głową, a potem się wyłgała.

- Nie mam pojęcia.

- Nadal pijesz?

- Od ponad roku nie.

- Jak sypiasz?

- Po parę godzin. Gdy się obudzę, nie mogę już zasnąć.

- Z powodu tego snu?

Carol zrobiło się zimno.

- Nie.

- Miewasz napady niepokoju?

Starkey zastanawiała się, co odpowiedzieć, kiedy zawirował przyczepiony do jej paska pager. Poznała numer komórki Kelsa, z rozszerzeniem 911, co było kodem, jakiego używali detektywi CCS, gdy im zależało na szybkiej odpowiedzi.

- Cholera, muszę zadzwonić.

- Chcesz, żebym wyszła?

- Nie. Za chwilę wracam.

Wzięła torebkę i udała się do poczekalni. Siedząca na kanapie kobieta w średnim wieku podniosła na nią oczy, lecz natychmiast je odwróciła.

- Przepraszam.

Kobieta skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

Starkey przetrząsnęła torebkę, znalazła komórkę i nacisnęła klawisz szybkiego połączenia, żeby odpowiedzieć na pager od Kelsa. Kiedy odebrał, zorientowała się, że złapała go w samochodzie.

- Tu Carol, poruczniku. Co się stało?

- Gdzie jesteś?

Starkey zerknęła na siedzącą w poczekalni pacjentkę.

- Szukałam właśnie butów.
- Nie pytam cię, co robisz. Pytam, gdzie jesteś, Starkey.
Poczuła przypływ gniewu, kiedy to powiedział, a potem wstyd, że w ogóle ją obchodzi, co on sobie pomyśli.
- W zachodnim LA.
- To dobrze. Sekcja pirotechniczna dostała wezwanie i właśnie tam jadę. Straciliśmy Charliego Riggio, Carol. Zginął przy rozbijaniu bomby.
Palce Starkey zlodowaciały. Poczuła swędzenie na czubku głowy. Organizm bronił się, tamując obieg krwi, by zminimalizować krwawienie. Nazywało się to zastęgnięciem. Reakcja z czasów zwierzęcej przeszłości naszego gatunku, kiedy niebezpieczeństwo oznaczało szpony i kły, gotowe rozerwać ofiarę na strzępy. W świecie Starkey niebezpieczeństwo miało często to właśnie znaczenie.
- Starkey?
Odwróciła się i ściszyła głos, żeby pacjentka Dany nie mogła jej usłyszeć.
- Przepraszam, poruczniku. To było urządzenie wybuchowe?
- Na razie nie znam szczegółów. Ale owszem, doszło do eksplozji.
Poczuła skurcz w żołądku i oblała się potem. Niekontrolowane eksplozje należały do rzadkości. Jeszcze rzadziej ginął na służbie policjant z sekcji pirotechników. Ostatni taki wypadek zdarzył się przed trzema laty.
- Tak czy siak, właśnie tam jadę. Psiakrew, jeśli chcesz, przydzielę komu innemu tę robotę.
- Przypada moja kolej, poruczniku. Biorę tę sprawę.
- W porządku. Chciałem ci tylko zostawić otwartą furtkę.
Podał jej adres i przerwał połączenie. Siedząca na kanapce kobieta patrzyła na nią tak, jakby była w stanie odczuwać jej ból. Starkey ujrzała własne odbicie w wiszącym w poczekalni lustrze. Pod warstewką opalenizny była biała jak ściana. Oddech miała płytki, przyspieszony.
- Wrzuciła telefon do torebki i wróciła do gabinetu powiedzieć Danie, że będzie musiała przerwać sesję.

- Dostaliśmy wezwanie, muszę pędzić. Aha, słuchaj, nie chcę, żebyś zgłaszała tę wizytę w kasie chorych, dobrze? Zapłacę z własnej kieszeni, jak ostatnim razem.

- Nikt nie ma tam dostępu do twoich danych, Carol. W każdym razie, jeśli nie wyrazisz na to zgody. Naprawdę nie musisz pozbywać się gotówki.

- Wolę zapłacić.

Podczas gdy wypisywała czek, Dana powiedziała:

- Nie skończyłaś tamtej historii. Złapaliście faceta, który wyprodukował te fajerwerki?

- Matka tej małej zaprowadziła nas do garażu dwie przecznice dalej, gdzie zastaliśmy gościa z zapasem ośmiuset funtów prochu. Debil zgromadził osiemset funtów prochu bezdymnego wśród beczek benzyny, bo wiesz, czym się zajmował? Był ogrodnikiem. Gdyby ten pieprzony garaż eksplodował, wyleciałby w powietrze cały kwartał domów.

- Mój Boże!

Starkey wręczyła terapeutce czek, pożegnała się i zwróciła ku drzwiom, zatrzymała się jednak z ręką na klamce, coś sobie przypomniawszy.

- Wiesz, zaciekała mnie w tym facecie pewna rzecz. Może ty mi zdołasz wyjaśnić tę zagadkę.

- Mianowicie?

- Gość wyznał, że zajmuje się produkcją ogni sztucznych od małego. Czy wiesz, po czym poznaliśmy, że mówi prawdę? Miał tylko trzy palce u lewej i dwa u prawej dłoni. Po kolei mu je urywało.

Dana zbladła.

- Aresztowałam już dziesiątki podobnych świrusów. Nazywamy ich chronikami. Dlaczego oni to robią, Dana? Co powiesz o ludziach z taką skłonnością do bomb?

Teraz Dana wyjęła i zapaliła papierosa. Wydmuchała kłęb dymu i długo przyglądała się pacjentce, zanim odpowiedziała.

- Myślę, że chcą siebie zniszczyć.

Starkey przytaknęła.

- Zadzwoń, żeby umówić się na inny termin. Dzięki.

Ze zwieszoną głową minęła kobietę w poczekalni i zeszła do samochodu. Wsunęła się za kierownicę, lecz nie włączyła silnika. Zamiast tego otworzyła teczkę i wyjęła srebrną pierśiówkę z dżinem. Pociągnęła długi łyk, po czym pchnęła drzwi i zwymiotowała na parking.

Kiedy przestały nią szarpać torsje, odłożyła pierśiówkę i połknęła tabletkę tagametę.

A potem zebrała się w sobie i pojechała przez miasto, prosto ku miejscu podobnemu do tego, w którym ją samą spotkała kiedyś śmierć.

Śmigłowce krążyły nad Sunset Boulevard jak sępy nad zabitym na szosie zwierzęciem, orbitując nad miejscem wybuchu w warstwicach kolistych, które przywodziły na myśl tort. Starkey dojrzała je w chwili, gdy wjechała w korek, pół mili przed blokadą na jezdni. Włączyła syrenę, żeby się wcisnąć na stację sieci Aamco, zostawiła tam samochód i pokonała osiem przecznic na piechotę.

Na miejscu było już kilka radiowozów, dwa samochody sekcji pirotechnicznej i rosnąca z każdą chwilą gromada reporterów. Kelso stał przy pierwszym wozie pirotechników z dowódcą grupy minersko-pirotechnicznej, Dickiem Leytonem, i trzema pirotechnikami z dziennej zmiany. Był niskim mężczyzną z sumiastym wąsem, w sportowej marynarce w czarną kratę. Dostrzegł Starkey i zaczął do niej machać, ale udała, że go nie widzi.

Ciało Riggia leżało jak szmaciana kukła na parkingu w połowie drogi między pierwszym wozem patrolowym a budynkiem centrum handlowego. Koroner stał oparty o furgonetkę i obserwował Johna Chena, eksperta kryminalistyki z LAPD *, który badał zwłoki. Starkey nie znała tego koronera, bo jeszcze

* Los Angeles Police Department - wydział policji LA.

nigdy nie pracowała przy sprawie, w której była ofiara śmiertelna, znała jednak Chena.

Pokazawszy odznakę, precisięła się przez kordon mundurowych u wjazdu na parking. Jeden z policjantów, młody chłopak, którego pierwszy raz widziała, rzucił:

- Koleżanko, z tego biedaka wyprysnęło gówno. Na twoim miejscu bym się tam nie pchał.

- Nie pchałbyś się?

- Nie, gdyby to ode mnie zależało.

Regulamin LAPD zabraniał palenia na miejscu przestępstwa, mimo to zapaliła, idąc przez parking w stronę ciała Charliego Riggio. Znała go jeszcze z czasów, gdy sama pracowała jako pirotechnik, więc obawiała się, że to nie będzie łatwe. Istotnie, nie było.

Hełm i kamizelkę odłamkoodporną Riggia zdjęli sanitariusze z pogotowia, którzy próbowali go reanimować. Jeden odłamek przebił kamizelkę, pozostawiając na klatce piersiowej i brzuchu krwawe pręgi, które w jaskrawym popołudniowym słońcu Siniwały niebiesko. W twarzy zabitego, tuż poniżej lewego oka, widniała pojedyncza dziura. Starkey spojrzała na hełm i stwierdziła, że osłona z lexanu była strzaskana. A zapewniali, że texan zatrzyma nawet kulę wystrzeloną ze sztucera. Starkey przyjrzała się następnie ciału; ręce były pozbawione dłoni.

Połknęła kolejną tabletkę tagametę i odwróciła oczy od tego widoku.

- Cześć, John. Jak idzie?

- Cześć. Bierzesz tę sprawę?

- Mhm. Kelso powiedział, że był z nim Buck Daggett. Jakos go nie widzę.

- Zabrali go do szpitala. Nie odniósł żadnych obrażeń, ale jest w szoku. Leyton kazał go zbadać.

- W porządku. Powiedział coś, co mogłoby mi się przydać?

Chen spojrzał na ciało, a potem wskazał kontener na śmieci.

- Urządzenie było podłożone pod tamtym kontenerem. Buck twierdzi, że Riggio prześwietlał je rentgenem, kiedy nastąpił wybuch.

Starkey podążyła spojrzeniem za ruchem jego głowy w kierunku wyrzuconego siłą wybuchu aż na ulicę dużego fragmentu przenośnego rentgena. Oceniała, że odłamek przeleciał w powietrzu ponad czterdzieści jardów. Zwłoki Riggia leżały w odległości niemal trzydziestu jardów od kontenera.

- Ktoś go odciągnął? Daggett czy sanitariusze?

Technikom bombowym wbijano w trakcie szkolenia do głów, że po każdej eksplozji powinni oczekiwać następnego wybuchu. Starkey uznała, że Daggett mógł właśnie dlatego odciągnąć Riggia od kontenera.

- Musiałabyś jego samego o to zapytać. Choć wydaje mi się, że leży tu, gdzie upadł.

- Cholera! Ze trzydzieści jardów od epicentrum.

- Buck powiedział, że to było zajebiste pierdolniecie.

Jeszcze raz oceniła wzrokiem odległość, po czym poruszyła nogą strój antywybuchowy, żeby zbadać ukierunkowanie strumienia wybuchu. Kamizelka wyglądała tak, jakby oddano do niej z bliska kilkanaście strzałów z karabinu. Starkey widziała podobne uszkodzenia po wybuchach bomb o znacznym działaniu odłamkowym, ta jednak przebiła dwanaście warstw pokrycia kombinezonu i odrzuciła dorosłego mężczyznę na odległość trzydziestu jardów. Uwolniona energia musiała być ogromna.

Chen wyjął z zestawu podręcznego plastikową torebkę i rozciągnął ją w taki sposób, by Starkey mogła dojrzeć kawałek poczerniającego metalu wielkości mniej więcej znaczka pocztowego.

- Spójrz, to ciekawe. To fragment rury, który utkwił w jego kombinezonie.

Przyjrzała się z bliska odłamkowi. W metalu wygrawerowano esowatą linię.

- Co to takiego? Duże „S”?

Chen wzruszył ramionami.

- Albo jakiś symbol. Pamiętasz bombę, którą w zeszłym roku znaleźli w San Diego, tę z rysunkami fiutów?

Puściła jego uwagę mimo uszu. Chen lubił poświęcić.

Gdyby pozwoliła mu się rozgadać na temat bomb obrysowanych fiutami, mogłaby zapomnieć o śledztwie.

- John, wyświadczy mi przysługę i przeanalizuj niektóre z tych próbek jeszcze dzisiaj, dobrze?

Nachmurzył się.

- Późno tu skończę, Carol. Muszę jeszcze zbadać kontener, a potem to wszystko, co wasi ludzie znajdują w okolicy. Samo sporządzenie protokołu zajmie mi dwie, trzy godziny.

Odlamków urządzenia wybuchowego miano szukać wszędzie w promieniu stu jardów, na dachach okolicznych domów, na frontonach bloków po drugiej stronie ulicy, na zaparkowanych w pobliżu samochodach, na kontenerze i na wznoszącej się za nim ścianie. Technicy bombowi będą szukali wszystkiego, co pomoże im zrekonstruować bombę lub dostarczy jakichkolwiek informacji na temat jej konstrukcji.

- Nie marudź, John. To nieładnie.

- Po prostu cię informuję.

- Ile potrwa przeprowadzenie wszystkiego przez chromatograf?

Nachmurzona mina mówiła: jestem wykorzystywany.

- Jakies sześć godzin.

Resztki materiału wybuchowego będą obecne na wszystkich fragmentach bomby, jakie zdołają znaleźć, podobnie jak w kraterze powybuchowym i na kombinezonie Riggia. John zidentyfikuje tę substancję, gdy ją przepuści przez chromatograf gazowy, co mu zabierze około sześciu godzin. Starkey wiedziała z góry, jak długo ten proces potrwa; zapytała wyłącznie po to, by wzbudzić w Chenie poczucie winy, że aż tyle.

- Nie mógłbyś przygotować kilku próbek wcześniej, byle zacząć chromatografię, a resztę dorzucić później? Kiedy się dowiem, jaki to materiał wybuchowy, szczególnie tak potężny, będę miała znacznie zawężone pole poszukiwań. Mógłbyś mi bardzo ułatwić zadanie, John.

Chen lubił działać metodycznie i zgodnie z regulaminem, lecz nie mógł odmówić słuszności jej prośbie. Spojrzał na zegarek.

- Niech najpierw sprawdzę, o której tu skończymy, dobra? Postaram się, choć niczego nie obiecuję.

- Obietnice już dawno mnie nie biorą.

Samochód Bucka Daggetta stał w odległości czterdziestu ośmiu kroków od ciała Riggia. Starkey zmierzyła ten dystans, podchodząc.

Kelso i Leyton zobaczyli, że się zbliża, i wyszli jej na przeciw, odłączając się od pozostałych. Kelso miał minę posępną; Leyton napiętą i zawodowo skupioną. Wiadomość o wypadku zastała go w domu; przyznał na miejsce w dżinsach i koszulce polo.

Uśmiechnął się ciepło, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Odniosła wrażenie, że dostrzega w jego oczach smutek. To Leyton, od dwunastu lat dowódca grupy minersko-pirotechnicznej, wybrał do zespołu Carol Starkey, podobnie jak Charliego Riggio i wszystkich pirotechników poniżej stopnia sierżanta. Posłał ją do centrum szkoleniowego techników bombowych FBI w Alabamie, a potem przez trzy lata był jej dowódcą. Kiedy leżała w szpitalu, odwiedzał ją codziennie po pracy, przez całe pięćdziesiąt cztery dni, a kiedy walczyła o pozostanie w sekcji, udzielał jej poparcia. Nikogo w policji nie szanowała tak jak jego i nikogo nie darzyła większą sympatią.

- Chciałabym obejść rejon, jak tylko to będzie możliwe, Dick. Czy możemy liczyć na wszystkich twoich ludzi, jakich zdołasz zebrać?

- Wszyscy, którzy nie pełnili dziś służby, są już w drodze. Będziesz miała nas do dyspozycji.

Starkey zwróciła się do Kelsa.

- Poruczniku, chciałabym pogadać z chłopakami z okręgu Rampart. Może oddaliby nam do pomocy paru mundurowych.

Kelso zmarszczył brwi.

- Już to załatwiłem z ich dowódcą. Nie powinnaś tu palić, Starkey.

- Przepraszam. W takim razie pogadam z nim, żeby uzgodnić szczegóły.

Nawet nie udawała, że zamierza zgasić papierosa, a Kelso przymknął oko na tę jawną niesubordynację.

- Zanim to zrobisz, dowiedz się, że pracujesz nad tą sprawą z Marzik i Santosem.

Poczwała gwałtowną potrzebę łyknięcia kolejnej tabletki ta-gametu.

- Koniecznie z Marzik?

- Tak, Starkey, koniecznie. Oboje już tu są. I jeszcze coś. Porucznik Leyton sądzi, że możemy znaleźć rozwiązanie tej sprawy jeszcze przed rozpoczęciem śledztwa. Ktoś telefonował pod numer alarmowy dziewięćset jedenaście.

Spojrzała na Leytona.

- Mamy świadka?

- Wezwanie odebrała załoga wozu patrolowego, ale wiem od Bucka, że dostali sygnał od służb ratowniczych. Jeśli tak było, mamy taśmę z nagraniem rozmowy i szansę identyfikacji aparatu.

Prawdziwy cud.

- Dobra. Zajmę się tym. Dzięki.

Kelso zerknął w stronę przedstawicieli mediów i zmarszczył czoło, ujrawszy, że zmierza ku niemu rzecznik prasowy policji Los Angeles.

- Wygląda na to, że przyjdzie złożyć oświadczenie, Dick.

- Za momencik.

Kelso wyszedł naprzeciw rzecznikowi prasowemu, a Leyton został ze Starkey. Począł, aż tamten się oddali, po czym spojrzał na nią z troską.

- Jak się czujesz, Carol?

- Świetnie, poruczniku. Nie przestaję się awanturować. Nadal chcę wrócić do sekcji.

Leyton zdobył się na potaknięcie. Przerabiali to trzy lata temu i wiedzieli oboje doskonale, że pion personalny policji LA nigdy się nie zgodzi na jej powrót.

- Zawsze byłaś twarda. Do tego sprzyjało ci szczęście.

- To fakt. Co dzień rano dosłownie nim sram.

- Nie powinnaś tak przeklinać, Carol. To nieładnie.

- Przepraszam, szefie. Poprawię się, jak tylko rzucę palenie.

Uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej uśmiechem. Oboje wiedzieli, że w obu wypadkach nie dotrzyma słowa.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy oddalił się w kierunku zaimprovizowanego centrum prasowego. Dostrzegła Marzik i Santosa. Rozmawiali z jakimś mundurowym policjantem w gromadce gapiów przed blokiem po przeciwnej stronie ulicy. Marzik spoglądała w jej stronę. Starkey zignorowała ją, podeszła do suburbaną sekcji pirotechnicznej i dokładnie obejrzała wóz. Stał jakieś sześćdziesiąt pięć jardów od epicentrum wybuchu. Przewód kamery i kabel bezpieczeństwa, które Riggio za sobą włókł, wciąż łączyły samochód z kombinezonem pirotechnika, tyle że teraz splątane siłą eksplozji.

Wyglądało na to, że wóz nie ucierpiał, jednak przy dokładniejszych oględzinach spostrzegła, że przedni prawy reflektor jest pęknięty. Kucnęła, by lepiej się przyjrzeć. W szkle tkwił kawałek czarnego metalu w kształcie litery „E”. Nie dotykała go, a po chwili rozpoznała fragment metalowej sprzączki jednego z pasków kombinezonu. Westchnęła, wyprostowała się i spojrzała w stronę ciała zabitego.

Pomocnicy koronera wkładali je właśnie do worka. John Chen zaznaczył kredą położenie zwłok na asfalcie i teraz stał nieco z boku, przyglądając się rysunkowi z obojętną miną.

Starkey wytarła dłoń o biodra i zmusiła się do kilku głębokich oddechów. Z powodu blizn poczuła kłujący ból w klatce piersiowej. Marzik machała do niej ręką z przeciwnej strony ulicy. Santos również spoglądał w jej stronę, dziwiąc się zapewne, dlaczego do nich nie podchodzi.

Odmachnęła im, informując w ten sposób, że wkrótce do nich dołączy.

Centrum handlowe składało się z kilku stojących w rzędzie pawilonów. Znajdowały się tam sklepiki z tanią odzieżą, antykwariat, gabinet dentysty, który w języku hiszpańskim oferował „zniżki dla rodzin”, oraz kubańska restauracja. Wszystkie

te lokale zostały ewakuowane, zanim Riggio podszedł do podejrzanego pakunku.

Starkey zebrała się w sobie i ruszyła w stronę restauracji. Szła na nogach jak z waty. Czuła się tak, jakby stąpała po linie, z której można było zejść tylko przez te drzwi. O Marzik całkiem zapomniała. Zapomniała o Charliem Riggio. Nie czuła nic prócz bicia własnego serca. Wiedziała, że jeśli teraz straci kontrolę nad sobą i swoim sercem, niechybnie spadnie i umrze.

Kiedy weszła do restauracji, zaczęła wprost dygotać z nieopanowanego gniewu. Musiała się chwycić kontuaru, by ustać na nogach. Gdyby zobaczyli ją w tej chwili Leyton albo Kelso, karierę miałyby nieodwołalnie z głowy. Zostałyby z pewnością posłana do banku i zmuszona do przejścia na rentę. Jej życie ograniczyłoby się do strachu i pustki.

Drżącymi rękami wyszarpnęła z torebki piersiówkę. Dżin płomieniem przepalił jej gardło. W następnej chwili przeklinała własną słabość i skręcała się w duchu ze wstydu. Oddychała głęboko. Wołała nie siadać, bo wiedziała, że nie byłaby w stanie potem wstać. Pociągnęła drugi solidny łyk i telepanie ustało.

Odpędziła do siebie wspomnienia i lęk, powtarzając w myśli, że robi tylko to, co do niej należy, że wszystko będzie dobrze. Była dla siebie zbyt surowa. Pokona własną słabość. Odniesie nad sobą zwycięstwo.

Wzięła się w garść.

Schowała piersiówkę, psiknęła do ust odświeżaczem i wróciła na parking.

Zawsze była twarda.

Odnalazła policjantów z obu wozów patrolowych, a ci podali jej dokładną godzinę odebrania meldunku. Z telefonu komórkowego zadzwoniła do kierowniczkę dziennej zmiany służb ratowniczych, przedstawiła się, podała przybliżony czas zgłoszenia i poprosiła o taśmę z nagraniem rozmowy oraz

o identyfikację aparatu, z którego dzwoniono. Mało kto wie, że wszystkie połączenia z 911 są automatycznie rejestrowane wraz z numerem i lokalizacją telefonu. Jest to konieczne, ponieważ trudno oczekiwać od ludzi znajdujących się w krytycznych sytuacjach, szczególnie gdy coś zagraża ich życiu, by precyzyjnie podawali miejsce pobytu. System bierze to pod uwagę i wyręcza ich w tym względzie.

Starkey zostawiła numer telefonu i poprosiła kierowniczkę, by dostarczyła potrzebną informację, jak tylko ją zdobędzie.

Skończywszy rozmowę, ruszyła w stronę bloków po drugiej stronie ulicy, gdzie Marzik i Santos przesłuchiwali kilkoro mieszkańców, na powrót wpuszczonych za kordon. Dostrzegli ją i wyszli jej naprzeciw.

Jorge Santos był niskim mężczyzną o wiecznie zafrasowanej minie; wyglądał tak, jakby daremnie usiłował coś sobie przypomnieć. Jego imię wymawiało się „whore-hey”, co zyskało mu wątpliwy przydomek Hooker*. Beth Marzik była rozwódką z dwójką dzieci, które podrzucała matce, ilekroć miała służbę. Żeby dorobić do pensji, sprzedawała produkty firmy Amway, a robiła to tak natarczywie, że połowa detektywów ze Spring Street uciekała na sam jej widok.

- Mamy fart - przywitała kolegów Starkey. - Leyton mówi, że zgłoszenie przyszło spod dziewięćset jedenaście.

Marzik uśmiechnęła się kwaśno.

- Czyżby dobry obywatel zostawił nazwisko?

- Właśnie tam dzwoniłam. Przesłuchają taśmy i dadzą nam znać najszybciej, jak się da.

Marzik trąciła Santosa łokciem.

- Stawiam dolara, że gość nie podał nazwiska. Jak przegram, zrobisz mi laskę.

Hooker pociemniał na twarzy. Był człowiekiem religijnym,

* Nieprzetłumaczalna gra słów: *whore* znaczy „kurwa”, czyli w slangu *hooker*.

zonatym, z czwórką dzieci i nie cierpiał, kiedy używała tak wulgarnego języka.

- Mundurowi pomogą nam przeszukać teren - powiedziała Starkey. - Dick mówi, że detektywi z okręgu Rampart zaofrowali pomoc w przesłuchaniach świadków.

Marzik zmarszczyła czoło, jakby ten pomysł nie przypadł jej do smaku.

- Dziś wieczór gówno z tego będzie. Słyszałam, że wielu ewakuowanych przeniosło się po tym pierdolnięciu do krewnych lub przyjaciół.

- Możesz zdobyć listy mieszkańców od administratorów domów, prawda?

- Owszem, lecz co z tego?

Niechętne nastawienie Marzik cholernie Starkey wkurzało.

- Poproś ich też o aplikacje do wynajmu mieszkań. Powinni mieć w aktach. W prawie wszystkich aplikacjach, jakie zdarzyło mi się wypełniać, proszono o podanie nazwiska krewnego lub kogoś, kto mógłby za mnie poświadczyć. Lokatorzy najpewniej się zamelinują u tych osób.

- Kurwa, to robota na wieczność, a ja mam dzisiaj randkę!

Twarz Santosa jeszcze bardziej się wydłużyła.

- Ja się tym zajmę, Carol.

Starkey spojrzała w stronę kontenera, gdzie Chen właśnie podnosił coś z ziemi. Wskazała przez ramię bloki za ich plecami.

- Słuchaj, Beth, nie każę ci sprawdzać wszystkich lokatorów w tym zaszranym galeriowcu. Dowiedz się po prostu, czy czegoś nie widzieli. Zapytaj, czy ktoś czasem nie dzwonił pod dziewięćset jedenaście. Jeśli niczego się nie dowiesz, poproś, żeby się postarali coś sobie przypomnieć, i powiedz, że skontaktujemy się z nimi w ciągu kilku najbliższych dni.

Marzik zrobiła nadąsaną minę, ale Starkey zupełnie się tym nie przejęła.

Przeszła przez ulicę i zbliżyła się do kontenera, zostawiając mieszkańców bloków na głowie Santosa i Marzik. Chen przeprowadzał oględziny terenu za kontenerem w poszukiwaniu

odłamków bomby. Na parkingu dwaj technicy z sekcji pirotechnicznej szykowali wykrywacze metali, którymi zamierzali przeszukać trawniki przed pobliskimi blokami. Zjawilo się dwóch kolejnych techników, którzy mieli tego dnia wolne. Wkrótce staną wszyscy z założonymi rękoma, czekając na jej rozkazy.

Minęła ich i podeszła do krateru powybuchowego. Liczył mniej więcej trzy stopy średnicy i stopę głębokości. Czarny asfalt pobielał od żaru wybuchu. Chętnie dotknęłaby jego powierzchni ręką, powstrzymała jednak ten impuls, ponieważ osad powybuchowy mógł być toksyczny.

Przyjrzała się narysowanej kredą sylwetce Riggia, po czym odmierzyła krokami dystans od leja powybuchowego. Blisko czterdzieści kroków. Siła potrzebna do odrzucenia na taką odległość dorosłego mężczyzny musiała być ogromna.

Odruchowo weszła w obręb kredowego zarysu i spojrziała w stronę krateru.

Wyobraziła sobie błysk eksplozji, docierający do niej w zwolnionym tempie z dystansu trzech lat. Ujrzała moment własnej śmierci, jak gdyby go sfilmowano, a potem jej odtworzono. Dana nazwała to wspomnieniem zapożyczonym. Carol miałaby zasymilować fakty, jakie poznała z relacji innych, i przyjąć je za własne wspomnienie. Terapeutka uważała, że podświadomość pacjentki uciekła się do takiego wybiegu, by sobie poradzić z doznany urazem, nadać straszemu przeżyciu jakąś twarz, żeby w ogóle móc z nim obcować.

Starkey zaciągnęła się głęboko papierosem, po czym gniewnie dmuchnęła dymem. Jeśli w ten sposób jej umysł próbował oswoić się z urazem, to kutas kompletnie spierdzielił robotę.

Przeszła na drugą stronę ulicy i odszukała Marzik.

- Słuchaj, Beth, mam chyba lepszy pomysł. Postaraj się dotrzeć do właścicieli tych sklepików i wywiadz się, czy któremuś nie grożono, czy nie był komuś winien jakiejś grubszej forsy, takie rzeczy.

Marzik skinęła głową i przyjrzała jej się uważnie.

- Co to za zapach, Carol?
 - O co ci chodzi?
- Marzik przysunęła się bliżej i pociągnęła nosem.
- Odświeżacz do ust „Binaca”?

Starkey spiorunowała ją wzrokiem, po czym wróciła na parking i do zmierzchu pomagała technikom szukać odłamków bomby.

W tym śnie umiera.

Otwiera oczy i widzi ubitą ziemią osiedla przyczep kempingowych.

Lekarze pogotowia, z czerwonymi od krwi rakami w latek-sowych rękawiczkach, usiłują przywrócić ją do życia. Szum w uszach przypomina warkot kuchennego miksera na wolnych obrotach. Cienkie gałęzie zimowych drzew kauczukowych chwieją się nad nią warstwą delikatnych koronek, rozkołysane falą uderzeniową wybuchu. Jeden z lekarzy ugniata jej klatkę piersiową usiłując pobudzić serce. Drugi wbija w nią długą igłą. Przyciskają do jej ciała zimne elektrody.

Z oddali jakby tysiąca mil czyjś głos krzyczy: „Włączaj!” Ciało Starkey wygina się w łuk od uderzenia prądu.

Znajduje w sobie dość sił, by szepnąć jego imię.

- Sugar?

Nie ma pewności, czy wypowiedziała je głośno, czy tak jej się tylko zdawało.

Przekręca na bok głowę i teraz go widzi. David „Sugar” Boudreaux, potomek francuskich osadników z Nowej Szkocji; już od lat nie mieszka w Luizjanie, lecz nadal mówi z miękkim francuskim akcentem, który ona uważa za bardzo sexy. Jej bezpośredni dowódca. Prywatnie kochanek. Mężczyzna, któremu oddała serce.

- Sugar?

Dalekie głosy krzyczą:

- Brak tętna!

- Włączaj!

Potworny wstrząs elektryczny.

Usiłuje dosięgnąć jego ciała ręką, lecz leży zbyt daleko. To niesprawiedliwe. Dwa serca, które były razem, nie powinny być tak od siebie oddalone. Ta odległość napętnia ją smutkiem.

- Shug?

Dwa serca, które już nie biją.

Lekarze odstępują od ciała Sugara. Zaprzestali reanimacji.

Ciałem Starkey znowu targa wstrząs elektryczny. Niepotrzebnie, już nie zależy jej na życiu.

Zamyka oczy i czuje, że przez gałęzie kauczukowców przepływa do nieba. Doświadcza głębokiej ulgi.

Obudziła się z tego snu kilka minut po trzeciej, pewna, że już tej nocy nie zaśnie. Zapaliła papierosa i leżała w ciemności. Na parkingu pracowała niemal do północy, a do domu wróciła tuż przed pierwszą. Wzięła prysznic, zjadła jajecznicę, a potem wypila szklankę džinu „Bombay Sapphire”, żeby się przymulić. Mimo tego środka nasennego obudziła się dwie godziny później.

Po dwudziestu minutach dmuchania dymem w sufit wstała i zapaliła wszystkie światła.

Bombę, która zabiła Starkey, podłożył handlarz amfy, chcąc się w ten sposób zemścić na pewnym policyjnym informatorze. Została podrzucona w paczce za gęstymi krzakami z boku szerokiej przyczepy, w której ów człowiek mieszkał z rodziną. Właśnie te krzaki uniemożliwiły Sugarowi i Starkey prześwietlenie paczki za pomocą robota. To była brudna bomba, zrobiona z puszki po farbie wypełnionej prochem bezdymnym i papiakami. Ten, kto ją podłożył, musiał być ostatnim skurwysynem: chciał mieć pewność, że ofiarą wybuchu padnie trójka dzieci informatora.

Starkey i Sugar musieli podejść do bomby razem; ona odgarniała gęste krzaki, by on mógł się zbliżyć z rentgenem. Dwaj mundurowi policjanci, którzy zgłosili podejrzany pakunek, powiedzieli, że w paczce coś tyka. To było tak banalne,

ze Starkey i Sugar aż wybuchnęli śmiechem, choć teraz już się nie śmiali, ponieważ tykanie ustało. Rentgen ujawnił, że zapalnik czasowy się popsuł. Konstruktor bomby użył jako zegara ręcznie nakręcanego budzika; z jakiegoś niewyjaśnionego powodu duża wskazówka znieruchomiała na minutę przed punktem zamknięcia obwodu.

Sugar pozwolił sobie na żart.

- Założę się, że facet zapomniał cykota nakręcić.

Śmiała się jeszcze, gdy ziemia się zatrzęsła. Nastąpiło to, czego technicy bombowi z południowej Kalifornii bali się najbardziej. Poinformowano później, że trzęsienie ziemi miało siłę 3,2 stopnia w skali Richtera. Mieszkańcy Los Angeles prawie go nie zauważyli, ale wskazówka minutowa drgnęła, obwód został zamknięty i bomba eksplodowała.

Doświadczeni pirotechnicy przestrzegali Starkey, że strój antywybuchowy nie ocali jej przed odłamkami. Mieli rację. Ocalił ją Sugar. Gdy nastąpił wybuch, pochylił się przed nią i większość papiaków utkwiała w jego ciele. Fala uderzeniowa wyrwała mu jednak rentgen z rąk i to ten aparat ją uderzył. Dwa ciężkie, postrzępione odłamki przebiły kombinezon, przeorały prawy bok i wyłobiły głęboką bruzdę przez prawą pierś. W ułamek sekundy po rentgenie wpadł na nią Sugar. Siła uderzenia była piorunująca, jakby dostała kopniaka od samego Boga. Potężny wstrząs sprawił, że stanęło jej serce.

Przez dwie minuty i czterdzieści sekund Carol Starkey przebywała na tamtym świecie. Dwa zespoły medyczne skoczyły na ratunek, choć w powietrzu fruwały jeszcze szczątki przyczepy i strzępy krzewów azalii. Lekarze, którzy dobiegli do Starkey, stwierdzili, że nie ma już tętna, rozpięli jej kombinezon i wstrzyknęli adrenalinę bezpośrednio do serca.

Pracowali niemal trzy minuty nad krwawą miazgą, która była wcześniej klatką piersiową kobiety, i w końcu - po heroicznym wysiłkach - przywrócili Carol do życia.

Jej serce podjęło pracę. Serce Dave'a „Sugara” Boudreaux już nie.

Siedziała przy stoliku we wnęce kuchennej, paliła papierosa za papierosem i myślała o swoim śnie i o zmarłym kochanku. Od dnia jego śmierci minęły dopiero trzy lata, a pamięć o nim zaczynała już blaknąć. Coraz trudniej było przywoływać w wyobraźni jego twarz, jeszcze trudniej miękki akcent potomka francuskich osadników z Nowej Szkocji. Coraz częściej dla odświeżenia wspomnień musiała sięgać do wspólnych fotografii, za co czuła do siebie wstręt. Jak gdyby go zdradzała, tracąc z pamięci. Jakby jej namiętność i miłość były kłamstwem, jakim uraczono kobietę, która już nie żyła.

Życie Starkey uległo całkowitej zmianie.

Zaczęła pić niemal nazajutrz po wyjściu ze szpitala. Jeden z terapeutów - chyba numer dwa, jeśli dobrze pamiętała - stwierdził, że jej głównym problemem jest poczucie winy osoby ocalałej. Doświadczała poczucia winy, bo jej serce podjęło pracę, a serce Sugara nie, bo żyła, gdy on zginął, bo gdzieś głęboko w duszy, w najtajniejszych zakamarkach jaźni, była rada, że przeżyła, choćby za cenę jego życia. Wyszła z gabinetu tego terapeuty i więcej do niego nie wróciła. Poszła do baru dla gliniarzy o nazwie „Shortstop” i piła dopóty, dopóki nie wynieśli jej nieprzytomnej dwaj znajomi detektywi z okręgu Wilshire.

Zaczęła unikać ludzi. Stała się oschła. Broniła się sarkazmem, dystansem; bez reszty oddała się pracy. W końcu praca całkiem wypełniła jej życie. Kolejny terapeuta - numer trzy, jeśli dobrze pamiętała - stwierdził, że jedną zbroję zamieniła na inną, i zapytał, czy zdoła ją kiedyś zdjąć.

Więcej się u niego nie pojawiła, nie usłyszał więc odpowiedzi.

Zmęczona tymi rozmyślaniami, dopaliła papierosa i przeszła do łazienki przy sypialni, by wziąć prysznic. Zdjęła koszulę i przyjrzała się beznamiętnie swemu ciału.

Prawa część brzucha, od piersi do biodra, była podziobana niczym twarz po ospie - pamiątka po szesnastu odłamkach metalu, które w niej utkwily. Wokół talii na linii dolnych

żeber opasywały ją bruzdy po dwóch długich ranach. Niegdyś opalona na czekoladowo, teraz chodziła biała niczym kreda, bo od dnia wypadku nie włożyła kostiumu kąpielowego.

Najgorzej ucierpiała prawa pierś. Dwucalowy fragment rentgena wbił się w nią tuż poniżej sutka i wyżłobił w ciełe bruzdę, przebijając się wzdłuż żeber, nim wyszedł plecami. Przeorał klatkę piersiową Carol jak rzeka żłobiąca dolinę w zboczu góry; również na kształt doliny rana się goiła. Lekarze zastanawiali się, czy nie amputować piersi, w końcu jednak postanowili ją ocalić. Udało się im, lecz nawet po rekonstrukcji przypominała zdeformowany owoc awokado. Lekarze oświadczyli, że kolejne zabiegi chirurgiczne mogą z czasem poprawić wygląd jej biustu, ale po czwartej operacji Starkey uznała, że co za dużo, to niezdrowo.

Nie spała z mężczyzną, odkąd tamtego dnia rano Sugar opuścił jej łóżko.

Wzięła prysznic, ubrała się, zadzwoniła do biura i odsłuchiwała dwie nagrane wiadomości.

- Cześć Starkey, tu John Chen. Mam niezłą próbkę z krateru. Przepuszczę ją przez chrom, ale nie wiem, czy wyjdę stąd przed trzecią. Wynik powinniśmy mieć koło dziewiątej. Zakręć do mnie. Jesteś moją dłużniczką.

Druga wiadomość pochodziła od kierowniczkę z biura służb ratowniczych. Kobieta zawiadamiała, że skopiowała taśmę ze zgłoszeniem o podejrzanym pakunku.

- Zostawię ją na wartowni, będzie pani mogła odebrać w dogodnej dla siebie chwili. Telefonowano z ulicznego automatu na Sunset Boulevard o pierwszej czternaście wczoraj po południu. Znamy dokładny adres.

Starkey zapisała tę informację w kołonoatniku, wróciła do kuchni i zrobiła sobie kawę rozpuszczalną. Połknęła dwie tabletki tagametę i przed wyjściem z domu zapaliła kolejnego papierosa.

Dochodziła dopiero piąta, miasto tonęło w ciszy nocnego upału. Młody gazeciarz rozrzucał na podjazdach domów egzemplarze „Los Angeles Times”, meandrując po jezdni

zdezelowanym czerwonym hatchbackiem. Przejechała ciężarówka z mleczarni.

Starkey postanowiła pojechać do Silver Lake i jeszcze raz obejść miejsce wczorajszego wybuchu. Lepsze to od wsłuchiwania się w głucho bicie własnego serca.

Zaparkowała przed kubańską restauracją, obok radiowozu z okręgu Rampart pilnującego terenu. Parking przy centrum handlowym był niemal pusty, jeśli nie liczyć trzech prywatnych samochodów, które zapamiętała z poprzedniego wieczoru. Pokazała swoją odznakę, zanim wysiadła z wozu.

- Cześć, chłopaki. Wszystko w porządku?

Dwuosobowa załoga radiowozu okazała się mieszana. Za kółkiem siedział chudy jak patyk policjant, a obok niego korpulentna policjantka z blond włosami, krótko, po męsku ostrzyżonymi. Popijali kawę, od paru już godzin prawdopodobnie zimną.

Policjantka przytaknęła.

- W porządku, pani detektyw. Szuka pani czegoś?

- Prowadzę tę sprawę. Chcę się tu trochę pokręcić.

Policjantka uniosła brwi.

- Słyszeliśmy, że rozwałkowało tu jednego pirotechnika. To prawda?

- Tak.

- Frajer.

Chudy policjant wychylił się zza partnerki.

- Skoro trochę tu pani pobędzie, nie miałaby pani nic przeciwko temu, żebyśmy się na chwilę ulotnili? Parę przecznic stąd jest całodobowy „Burger”. Moglibyśmy i pani coś przywieźć.

Blondynka mrugnęła do Starkey.

- Kolega ma słaby pęcherz.

Carol wzruszyła ramionami, rada w duchu, że zostanie sama.

- Jedźcie, ale nie musicie mi niczego przywozić. Wcześniej niż za dwadzieścia minut tu nie skończę.

Kiedy radiowóz odjechał, Starkey przesunęła kaburę z pistoletem na prawe biodro i przeszła na drugą stronę Sunset Boulevard, aby poszukać numeru podanego przez służby ratownicze. Wzięła ze sobą latarkę, ale jej nie zapalała. Wokół było dostatecznie jasno od licznych lamp przeciwwłamaniowych.

Automat telefoniczny wisiał na bocznej ścianie gwatemalskiego sklepika dokładnie naprzeciwko centrum handlowego, lecz gdy sprawdziła adres, okazało się, że to chyba nie ten. Z miejsca, gdzie stała, widziała kontener na śmieci po drugiej stronie Sunset. Sprawdziła, w którą stronę rosną numery, i ruszyła na poszukiwanie automatu telefonicznego. Mieścił się w jednej z tych szklanych budek, które kompania Pac Bell wycofywała już z użytku, jedną przecznicę na wschód, obok pralni, naprzeciwko kwaciarni po drugiej stronie ulicy.

Zapisała w notesie nazwy pralni i kwaciarni, po czym wróciła do pierwszego automatu i sprawdziła, czy działa. Działał. Zaciekawilo ją, dlaczego ten, kto dzwonił pod 911, nie skorzystał z tego aparatu. Z miejsca, gdzie stała, było wyraźnie widać kontener, z automatu obok pralni niewidoczny. Pomyślała, że dzwoniący mógł się obawiać, iż zobaczy go zamachowiec, postanowiła jednak nie łamać sobie tym głowy, póki nie przesłucha taśmy.

Przechodząc na drugą stronę Sunset, dostrzegła na jezdni kawałek wygiętego metalu. Miał mniej więcej cal długości i był skręcony jak makaron w kształcie muszki. Z jednej strony oproszony jakimś szarym pyłem. Poprzedniego wieczoru podniosła z ziemi dziewięć podobnych kawałków.

Zaniosła odłamek do samochodu, włożyła do plastikowej torebki, jakich zapas zawsze woziła w bagażniku, po czym podeszła do kontenera. Domyślała się, że bomba nie miała uszkodzić budynku, zastanawiała się jednak, dlaczego została umieszczona właśnie obok kontenera. Wiedziała z doświadczenia, że podobne pytania często pozostają bez odpowiedzi. Pracując w sekcji pirotechnicznej, dwukrotnie miała do czynienia z urządzeniami wybuchowymi pozostawionymi na

skraju autostrady, z dala od estakad, zjazdów czy innych uczęszczanych miejsc. Jak gdyby skurwiele, którzy te ładunki skonstruowali, nie wiedzieli, co z nimi zrobić, więc porzucili je po prostu przy drodze.

Przez następne dziesięć minut krążyła wokół miejsca wybuchu. Znalazła jeszcze jeden mały odłamek metalu. Wkładała go właśnie do plastikowej torebki, gdy na parking wjechał radiowóz. Wsiadła z niego policjantka z dwoma kubkami w rękach.

- Wiem, że o nic pani nie prosiła, ale przywieźliśmy kawę na wypadek, gdyby zmieniła pani zdanie.

- To miło z waszej strony. Dziękuję.

Policjantka miała ochotę pogawędzić, ale Starkey zamknęła bagażnik i oznajmiła, że musi już jechać na komendę. Korzystając z tego, że blondynka wróciła do radiowozu, obeszła swój samochód i wylała zawartość kubka na ziemię. Siadała już za kierownicą, gdy przyszło jej do głowy, by rzucić jeszcze okiem na wozy prywatne.

Dwa zostały podziurawione odłamkami bomby; ten zaparkowany najbliżej miejsca wybuchu stracił tylną szybę i w ogóle doznał poważnych uszkodzeń. Należał do właściciela księgarń. Kiedy policja wpuściła go za ogrodzony taśmami teren, rzucił tylko okiem na swój pokiereszowany wóz, kopnął go i odszedł bez słowa.

Stojąca najdalej od epicentrum wybuchu impala z 1968 roku miała lakier w oplakany stan i popękany winylowy dach. Boczne szyby były opuszczone, a brakującą tylną zastępowała przydymiona plastikowa tafla skruszała od słońca. Starkey zajrzała najpierw pod nią; niczego nie znalazłszy, obeszła samochód od przodu i dostrzegła na przedniej szybie gwiaździste pęknięcie. Zapaliła latarkę, skierowała światło do środka wozu i zobaczyła na desce rozdzielczej okrągły metalowy przedmiot. Wyglądał jak mały dysk z krótkim ogonkiem cienkiego drucika. Starkey spojrzała w stronę kontenera i stwierdziła, że ten odłamek mógł wpaść przez otwarte okno i strzaskać przednią szybę od wewnątrz. Podniosła dziwny przedmiot

i przyjrzała mu się z bliska. Nie kojarzył jej się z niczym
znanym, wsunęła jednak znalezisko do kieszeni.
Nie rzuciwszy nawet okiem w stronę mundurowych, wsiadła
do samochodu i pojechała do śródmieścia, by po drodze na
komendę odebrać taśmę magnetofonową z centrali telefonów
alarmowych. Na wschodzie podnosiła się właśnie wielka
ognista kula słońca.

Mister Red

John Michael Fowles odchylił się na oparcie ławki. Rozkoszował się słonecznym ciepłem i zastanawiał, czy trafił wreszcie na listę dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców. Trudna sprawa, skoro nie wiedzą nawet, z kim mają do czynienia, choć przecież zostawiał im znaki. Przyszło mu na myśl, żeby wstąpić później do zakładu kserograficznego Kinko's lub jakiejś biblioteki i sprawdzić na komputerze uaktualnioną stronę FBI.

Rozanielony słońcem, uśmiechnął się błogo. Podstawił twarz pod ciepłe promienie i niemal czuł, jak pod ich działaniem brązowieje mu skóra. Podziwiał kosmiczną potęgę tych wybuchających gazów. Lubił myśleć o słońcu właśnie w taki sposób, jak o potężnej eksplozji, tak kolosalnej i jasnej, że widać ją z odległości dziewięćdziesięciu trzech milionów mil, o źródle energii praktycznie niewyczerpanym, skoro wypali się dopiero za miliardy lat, tak zajebiście ogromnym, że od samego jego żaru powstało życie na tej odległej planecie, a gdy w końcu owo źródło zgaśnie w ostatniej ognistej erupcji, wraz z nim zamrze i życie.

Byłoby naprawdę super - pomyślał - gdyby można zbudować tak potężną bombę, a potem obserwować jej wybuch; śledzić tych kilka pierwszych nanosekund narodzin tak niesamowitej eksplozji. Marzenie ściętej głowy.

Poczuł, jak mu staje. Żadna kobieta nie wzbudziła u niego nigdy podobnej reakcji. Czyjś głos zapytał:

- Pan Red?

Otworzył oczy; okulary przeciwsłoneczne nie wystarczały, musiał dodatkowo osłonić je dłonią. Błysnął dużymi białymi zębami.

- We własnej osobie. Pan Karpov?

Odezwwał się jak prowincjusz z Florydy mówiący z przesadną elegancją, choć nie pochodził z Florydy, nie był prowincjuszem i nie wysławiał się na co dzień z elegancją. Rozkoszował się w duchu tym małym językowym kamuflażem.

- Tak.

Karpov był rozrytualnym facetem po pięćdziesiątce z porytą zmarszczkami twarzy i siwiejącą napoleońską grzywką. Rosyjski emigrant, prowadzący kilka podejrzanych interesików w okolicy. Był najwidoczniej zdenerwowany, czego John się spodziewał i co sprawiało mu przyjemność. Victor Karpov był kryminalistą.

John usunął się na bok i poklepał ławkę.

- Proszę, niech pan siada. Pogadamy.

Karpov usiadł ciężko. W rękach ścisnął reklamówkę w taki sposób, w jaki staruszki ścisnąją torebki: przed sobą, dla bezpieczeństwa.

- Dziękuję, że pan się zgodził - wydyszał Karpov. - Mam takie straszne kłopoty. Takich strasznych wrogów.

John położył rękę na reklamówce, próbując ją zabrać.

- Wiem wszystko na temat pańskich kłopotów, panie Karpov. Nie mówmy o nich.

- No tak, słusznie. Dziękuję, że pan się zgodził. Dziękuję.

- Nie musi mi pan dziękować, panie Karpov, nie ma potrzeby.

John nie gawędziłby teraz z Victorem Karpovem, a tym bardziej nie zgodziłby się zrobić tego, co mu obiecał, gdyby dokładnie typka nie prześwietlił. W swojej pracy polegał wyłącznie na referencjach, a rozmawiał już z ludźmi, którzy takowych panu Karpovowi udzielili. Prawdę mówiąc, sami zarekomendowali Johna byłemu sowietowi, za którego charakter poręczyli. John przywiązywał wielką wagę do charakterów. Był fanatykiem tajemniczości i przezorności. To dlatego tamci

faceci nie znali jego prawdziwego nazwiska, nic o nim w gruncie rzeczy nie wiedzieli, prócz tego, czym się zajmuje. To oni opowiedzieli mu z detalami o kłopotach Karpova, więc z góry wiedział, czego ów będzie odeń oczekiwał, i jeszcze przed pierwszym spotkaniem zdecydował, że przyjmie to zlecenie. Właśnie dzięki takiej przezorności nie trafił dotąd na tę listę FBI i za kratki.

- Puści pan wreszcie tę torbę, panie Karpov?

Victor Karpov puścił reklamówkę, jak gdyby go uządliła.

John roześmiał się i położył sobie torbę na kolanach.

- Nie musi się pan denerwować, panie Karpov. Ma pan we mnie szczerego przyjaciela, proszę mi wierzyć. Trudno o uczucia bardziej przyjazne od tych, jakie żywię w tej chwili do pana. Jest pan tego świadom?

Karpov gapił się na niego baraním wzrokiem.

- Uważam pana za tak dobrego przyjaciela, że nawet nie zajrzę teraz do tej torby, odłożę to na później. Oto, co znaczy zaufanie między przyjaciółmi. Rękę, kurwa, dałbym sobie uciąć, że w tej torbie znajduje się dokładnie umówiona suma. Gotów byłbym poręczyć za to pańskim życiem. Czy nie na tym polega prawdziwa przyjaźń?

Karpov wybałuszał oczy i głośno przelatykał ślinę.

- Cała suma, co do centa. Jak pan sobie życzył, w dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Proszę przeliczyć. Bardzo pana proszę.

John pokręcił głową i rzucił reklamówkę na ławkę, z dala od Karpova.

- Mowy nie ma. Zaufajmy naszej przyjaźni.

Karpov wychylił się i sięgnął po reklamówkę.

- Proszę pana.

John odepchnął go ze śmiechem.

- Niech się pan nie boi, panie Karpov. Ja się z panem jedynie droczę.

Jedynie droczę. Jakby był nie tylko prowincjuszem z Florydy, ale i kretynem.

- Chciałbym panu coś pokazać. Proszę spojrzeć.

Wyjął z kieszeni i podsunął Karpovowi niedużą tulejkę.

Była to tania latarka, taka z przesuwany­m włącz­ni­kiem na denku przeciw­le­głym do reflektorka. W każdym razie kiedyś była to latarka.

- Proszę, niech pan weźmie. To ustrojstwo nie gryzie.

Karpov wziął do ręki latarkę.

- Co to takiego?

John wskazał ruchem głowy budynek szkoły po przeciwnej stronie ulicy. Była pora lunchu. Dzieciarnia biegała, wykorzystując na zabawę ostatnie minuty przed końcem przerwy.

- Niech pan się przyjrzy tym szczyłom. Obserwuję ich od ładnych paru minut. Ładne dziewczyneczki, miłe chłopaczyny. Widzi pan, jak to biegają, tryskają energią, wolni jak ptaki? Świat stoi przed nimi otworem. Kiedy jest się w tym wieku, wszystko wydaje się możliwe, prawda? Niech pan spojrzy na tego gnojka w niebieskiej koszuli. Bardziej na prawo, panie Karpov, właśnie tam. Uroczy chłopaczek, blondasek, lecz nie piegusek. Założę się, że jak dorośnie, przeleci wszystkie najładniejsze lale, a na dodatek, kurwa, zostanie prezydentem. Takie numery byłyby nie do pomyślenia w pańskim ojczystym kraju, prawda, panie Karpov? Ale tutaj jest Ameryka, psia jej mać, tu może pan robić, co się panu żywnie podoba, póki nie zaczyna panu mówić, czego nie wolno.

Karpov wytrzeszczał na niego oczy, zapomniawszy o trzy­mane­j w rękę tulejce.

- W obecnej chwili wszystkie plany tego malca są możliwe i pozostaną takimi, dopóki lalunia z zespołu czirliderek nie nazwie go pryszczatym smarkiem, a jej przygłupi chłopak, cofnięty obrońca w drużynie futbolowej, nie dopierdoli mu za to, że śmie rozmawiać z jego cizią. W tej chwili ten chłopczyna jest szczęśliwy, panie Karpov, niech pan tylko na niego spojrzy, ale jego szczęście się skończy, kiedy pokapuje, że te wszystkie piękne nadzieje i marzenia nigdy się nie ziszczą.

Spojrzenie Johna przeniosło się z namysłem na latarkę.

- Mógłby pan oszczędzić rozczarowań biednemu dziecku, panie Karpov. Niedaleko stąd spoczywa pewne małe urządzone. Sam je zbudowałem i podłożyłem. Pan je kontroluje.

Karpov spojrział na tulejkę i pobladł śmiertelnie, jakby zobaczył w ręku grzechotnika.

- Naciskając mały guziczek, może pan zaoszczędzić temu dziecku wielu cierpień. Nie twierdzę, że ta zabawka znajduje się gdzieś na terenie szkoły, choć tego nie wykluczam. Nie wykluczam, że to zasrane boisko zmieni się za chwilę w piękną kulę ognia. Nie wykluczam, że w tę radosną gromadkę jebnie za chwilę tak potężna fala uderzeniowa, że na ziemi zostaną tylko ich buciki, a ubranka i skóra sfajczą się na popiół na ich młodzieńczych szkieletach. Taka moc, panie Karpov, siedzi w tym srebrnym guziczku. Może pan zapobiec przyszłym mękom tego chłopca. Posiada pan tę władzę. Może pan zmienić świat w piekło, jeśli pan zechce, wystarczy przesunąć guziczek. Stworzyłem tę czarodziejską różdżkę i oddałem panu. Trzyma ją pan w ręku.

Karpov zerwał się z ławki i rzucił Johnowi latarkę.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Niech pan to zabiera. Niech pan to zabiera!

John podniósł niespiesznie tulejkę. Musnął palcem srebrny guziczek.

- Kiedy zrobię to, o co mnie pan prosi, panie Karpov, kilka osób zginie. Więc skąd, kurwa, te nagłe skrupuły?

- Ma pan tu pieniądze. Co do centa. Całą sumę.

Victor Karpov oddalił się bez pożegnania. Niemal przebiegł przez ulicę. Szedł tak prędko, że jego kroki przypominały podskoki, jakby się bał, że świat zmieni się za chwilę w ognistą kulę.

John wrzucił latarkę do reklamówki z pieniędzmi.

Ludzie nie potrafili docenić daru, jaki im składał w ręce.

Oparł się wygodnie i rozłożył ramiona na oparciu ławki, aby się rozkoszować ciepłem słonecznych promieni i gwarem dziecięcych zabaw. To był piękny dzień, a byłby jeszcze piękniejszy, gdyby weszło to drugie słońce.

Po chwili wstał i poszedł sprawdzić, czy nie znalazł się na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych terrorystów. W zeszłym tygodniu go na niej nie było.

W tym tygodniu miał nadzieję na nią trafić.

2

Wydział kryminalny, miejsce pracy Carol Starkey, mieści się na czwartym piętrze siedmiopiętrowego biurowca na Spring Street, zaledwie kilka przecznic od Parker Center, centrali policji Los Angeles. Sekcja uciekinierów i inspektorat wewnętrzny są również ulokowane w tym budynku, na piętrach trzecim i piątym. Biurowiec na Spring Street słynie wśród municypalnych gmachów z najbardziej zatłoczonego parkingu; samochody na wszystkich jego piętrach stoją tak ciasno słożone, że otwarcie drzwi graniczy z niemożliwością. Pracujący tu policjanci nazywają ten budynek „Kod Trzy”, bo gdyby musieli zareagować na prawdziwe wezwanie do wypadku, znaleźliby się na miejscu zdarzenia szybciej, gdyby po prostu wybiegli na ulicę i złapali taksówkę.

Po kwadransie zawitych manewrów udało się Starkey zaparkować na drugim piętrze parkingu, skąd weszła schodami na czwarte. Już w progu sali ogólnej poczuła na sobie drwiący wzrok Marzik, postanowiła więc sprawdzić, co koleżanka będzie miała do powiedzenia na temat odświeżacza do ust. Podeszła i stanęła tuż przed nią.

- Słucham?

Marzik wytrzymała jej spojrzenie, nie odwracając oczu.

- Zdobyłam te aplikacje do wynajmu mieszkań, tak jak chciałaś. Myślę jednak, że większość tych osób jeszcze dziś wróci do domu, więc będziemy mogli od razu je przesłuchać.

Dopiero jeśli się ktoś nie pokaże, odszukamy go dzięki tym papierom.

- Coś jeszcze?
- Mianowicie?
- Nie masz mi już nic więcej do powiedzenia?
- Chyba nie.

Starkey poprzestała na tym. Gdyby Marzik zarzuciła jej nadużywanie alkoholu, nie miałyby innego wyjścia, jak bronić się kłamstwem.

- To świetnie. Mam nagranie tego zgłoszenia. Jest Hooker?
- Owszem, mignął mi gdzieś.
- Posłuchamy taśmy, a potem pojedę do Glendale. Chen powinien już mieć wynik chromatografii. Chcę też sprawdzić, jak idzie rekonstrukcja.

- Dopiero zaczęli, pewnie głównie mają.
- Powinni już określić niektóre składniki, Beth. Znając choćby kilku producentów i wynik chromatografii, możemy ruszać z miejsca.

- Przecież mamy chodzić od drzwi do drzwi i wypytywać ludzi - przypomniała Marzik.

Starkey z trudem pohamowała gniew. Zaszary początek dnia.

- Zaczniecie przesłuchania po moim wyjeździe. Znajdź Jorge i przyjdźcie do mnie.

- Zdaje się, że poszedł do kibla.
- Więc tam zapukaj, psiakrew!

Starkey pożyczyła magnetofon od sierżanta Leona Tooleya i zaniósła na swoje biurko. Każdy z detektywów CCS miał biurko za przepierzeniem na sali ogólnej. Stwarzało to jedynie iluzję prywatności, bo ścianki przepierzeń były za niskie, by można mówić o rzeczywistym odosobnieniu. Starano się rozmawiać szeptem, chyba że komuś zależało, by jego głos dotarł do porucznika Kelso, który większość czasu spędzał za zamkniętymi drzwiami gabinetu. Krążyła plotka, że całe dnie serfuje po Internecie, grając między innymi na giełdzie.

Po kilku minutach zjawili się u Starkey Marzik i Santos, oboje z kubkami kawy w rękach.

- Byłaś u Kelsa? - spytał Santos.
 - Nie, a powinnam?
 - Chciał się z tobą zobaczyć.
- Starkey zerknęła na Marzik, ale ta zrobiła obojętną minę.
- Jorge, jak to miło, że ktoś mnie informuje! Dobra, później do niego zajrzę, teraz przesłuchajmy tę taśmę.
- Usiedli i Starkey włączyła magnetofon. Najpierw usłyszeli głos operatorki służb ratowniczych, zapewne czarnej, a potem męski, mówiący z silnym hiszpańskim akcentem:

Operatorka: Numer dziewięćset jedenaście.
W czym mogę pomóc?

Telefonujący: Allo?

Operatorka: Tak, słucham? W czym mogę panu pomóc?

Telefonujący: He... *Se habla español?*

Operatorka: Przełączę pana do kogoś, kto mówi po hiszpańsku.

Telefonujący: He. . . Nie, nie trzeba. Pani, lepiej tu kogoś przyślijcie, żeby coś obejrzał.

Santos wychylił się do przodu i nacisnął klawisz stopu.

- Co to za dźwięk w tle?
- Ciężarówka albo autobus - wyraziła przypuszczenie Starkey. - Facet dzwoni z automatu przy Sunset, przecnicę na wschód od tego pasażu.

Marzik spłotła ręce na piersiach.

- A nie ma automatu przed tą kubańską restauracją?
- Owszem, jest. I drugi po przeciwnej stronie ulicy, obok tego gwatemalskiego sklepiku. Gość fatygował się jednak całą przecnicę dalej.

Santos popatrzył na Starkey.

- Skąd wiesz?
- Dzwonili ze służb ratowniczych i podali adres. Dziś rano jeszcze raz obeszlą teren.

Marzik opuściła wzrok i wymownie westchnęła. Miało to znaczyć: tylko świrusy bez życia prywatnego mogą rznąć takich gorliwców.

Starkey ponownie uruchomiła magnetofon.

Operatorka: Co takiego, proszę pana?
Telefonujący: Hę... Zajrzałem tu do jednego pudła. Tam chyba jest bomba.
Operatorka: Bomba?
Telefonujący: Takie rurki , pani wie? Uciekłem, miałem strach.
Operatorka: Może mi pan podać swoje nazwisko?
Telefonujący: Obok takiego dużego śmietnika, pani wie?
Operatorka: Muszę zapisać pana nazwisko, proszę pana.
Telefonujący: Lepiej przyjechajcie i sami zobaczcie.

Dało się słyszeć kliknięcie. Rozmówca odwiesił słuchawkę.

Koniec nagrania. Starkey wyłączyła magnetofon.

Marzik zmarszczyła czoło.

- Dlaczego nie chciał podać nazwiska?

Santos wzruszył ramionami.

- Wiesz, jacy są ludzie. Możliwe, że facet bawi u nas nielegalnie. Albo to jakiś nygus, który po całych dniach szlifuje

w okolicy bruki.

Starkey rozejrzała się za czymś, na czym dałoby się pisać. Nie znalazła niczego lepszego od egzemplarza „The Blue Line”, związkowej gazety policyjnej okręgu Los Angeles. Nabazgrała pobieżny szkic okolic centrum handlowego i zaznaczyła na nim lokalizację automatów telefonicznych.

- Twierdzi, że zajrzał do torby. Dobra, to znaczy, że był gdzieś tu, na tym terenie. Mówi, że się wystraszył tych rurek,

więc dlaczego nie zatelefonował z automatu przed kubańską

restauracją lub z tego po drugiej stronie ulicy? Po cholere dymał całą przecznicę na wschód?

Marzik ponownie spłotła ramiona. Splatała je zawsze, gdy coś jej się nie podobało. Starkey czytała w koleżance jak w otwartej książce.

- Może nie był pewny, czy naprawdę zobaczył bombę. Może nie miał specjalnej ochoty gdziekolwiek w tej sprawie dzwonić. Ludziom z trudem na ogół przychodzi podjęcie jakiegoś działania. Ile ja się, kurwa, czasem nanamawiam, nim zdecyduję, że trzeba się wysrać.

Santos skrzywił się z niesmakiem, zgorzony językiem Marzik, po czym stuknął palcem w krzyżyk oznaczający telefon przed pralnią.

- Gdybym ja znalazł coś, co wyglądałoby mi na bombę, wiałbym z takiego miejsca jak najdalej. Wołałbym nie sprawdzać: wybuchnie czy nie?

Starkey zastanowiła się nad jego słowami i kiwnęła głową. To miało sens. Wrzuciła egzemplarz „The Blue Line” do kosza.

- W każdym razie wiemy, o której telefonował. Może ktoś go widział i czegoś się dowiemy.

Santos przytaknął.

- Chcesz się tym zająć, gdy będziemy obchodzić te bloki?

- Niech ktoś z was się tym zajmie, dobrze, Hook? Ja muszę lecieć do Glendale i pogadać z Chenem.

Podawała im adresy i skierowała się do gabinetu Kelsa. Weszła bez pukania.

- Hooker powiedział, że chciałeś mnie widzieć.

Kelso oderwał się od komputera i okręcił na fotelu. Już ponad rok temu zrezygnował z przypominania Starkey, żeby nie wpadała do niego bez pukania.

- Zamknij drzwi i siadaj.

Zamknęła drzwi, przeszła przez pokój i stanęła przed biurkiem. Ani za grosz nie ufała tej suce Marzik i nie miała zamiaru siadać.

Kelso wiercił się na fotelu. Nie wiedział, jak zacząć.

- Chciałem się tylko upewnić, czy dajesz sobie radę.
- Z czym, Barry?
- Wczoraj wieczorem sprawiałaś wrażenie, no wiesz, trochę napiętej. Chciałem się upewnić, no wiesz, czy podołałaś tej sprawie.

- Odbierasz mi ją?

Zaczął się wiercić niespokojnie, co dowodziło wyraźnie, że taki miał właśnie zamiar.

- Ale gdzież tam! Tyle że ten przypadek jest niebezpiecznie podobny do twojego, a ostatnio, no wiesz, zdarzały ci się wpadki.

Zawiesił głos, jakby nie wiedział, co mówić dalej.

Poczuła, że zaczyna dygotać, zdołała się jednak opanować. Była wściekła na Marzik i przestraszyła się, że Kelso może przemyśleć na nowo pomysł posłania jej do banku.

- Marzik doniosła ci, że piję?

Rozłożył ręce w geście protestu.

- Nie mieszajmy do tego Marzik.

- Widziałeś mnie na miejscu zbrodni, Barry. Wydałam ci się pijana, działałam nieprofesjonalnie?

- Nie o to chodzi. Zostałaś poniekąd zraniona w czułe miejsce, Carol. Oboje o tym wiemy, rozmawialiśmy już na ten temat. Stałaś wczoraj wobec sytuacji bardzo podobnej do tej, jakiej omal nie przyplącałaś życiem. Miałaś prawo się zdenerwować.

- Chcesz mi zabrać sprawę.

- W czasie naszej wczorajszej rozmowy odniosłem wrażenie, że czuję zapach dżinu. Czy słusznie?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie, panie poruczniku. Wyczuł pan tylko odświeżacz do ust. Jadłam na lunch kubańskie żarcie i zionęłam czosnkiem. Toście oboje z Marzik wyczuli.

Ponownie rozłożył ręce.

- Nie mieszajmy do tego Marzik. Marzik nie wspomniała o tym ani słówkiem.

Wiedziała, że kłamie. Gdyby wczoraj wyczuł w jej oddechu dżin, rugnąłby ją od razu. Ta dziwka musiała mu donieść.

Starła się stać prosto. Wiedziała, że obserwował reakcje jej ciała równie uważnie, jak ona jego. Wypatrywał najlżejszych oznak zmieszania i zaniepokojenia.

W końcu opadł na oparcie fotela z ulgą, że powiedział, co należało, i zachował się jak odpowiedzialny szef.

- Dobra, Carol, sprawa jest twoja. Chciałem tylko, byś wiedziała, że możesz na mnie liczyć.

- Jadę za chwilę do Glendale. Im szybciej dowiemy się czegoś pewnego o tej bombie, tym szybciej skurwiela przy-
mniemy.

Usiadł wygodniej, dając jej znak, że może już odejść.

- Dobra. Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać. To jest śledztwo priorytetowe, Carol. Zginął człowiek. Gorzej: policjant, więc to sprawa poniekąd osobista.

- Dla mnie i chłopców z sekcji nawet bardzo osobista, może mi pan wierzyć, panie poruczniku.

- Tak też myślałem. Staraj się po prostu zachować spokój, Carol, a rozwiążemy tę sprawę.

Wróciła do sali ogólnej i poszukała wzrokiem Marzik, lecz oboje z Santosem już wyszli. Zebrała swoje rzeczy, po czym z trudem wyswobodziła wóz z zatłoczonego parkingu, zamieniając się na miejsca z pewnym grubym detektywem o nazwisku Marley, który pracował w wydziale wewnętrznym. Blisko kwadrans manewrowała w obrębie budynku, a gdy wreszcie znalazła się na ulicy, dłuższą chwilę stała przy krawężniku, bo z wściekłości na Marzik trzęsły jej się ręce.

Piersiówkę z dżinem schowała pod siedzeniem, lecz po nią nie sięgnęła. Miała taką ochotę, ale ją zwalczyła.

Zapaliła kolejnego papierosa i pojechała przed siebie, kopcąc niczym komin.

Dochodziło ledwie wpół do dziewiątej, gdy wjeżdżała na parking komendy policji w Glendale. Chen powiedział, że wynik chromatografii powinien mieć o dziewiątej, podejrzewała jednak, że uwzględnił rezerwę na pomyłki i papierkową robotę.

Przez pięć minut siedziała w samochodzie, zaciągając się papierosem, zanim zadzwoniła z komórki do laboratorium kryminalistycznego.

- Cześć, John, tu Starkey. Jestem na parkingu. Masz wyniki?

- Jesteś tu na dole?

- Mhm. Chcę się jeszcze zobaczyć z Leytonem.

Zamiast ją obsztorcować, że przyjechała za wcześnie, lub zacząć się usprawiedliwiać, powiedział:

- Za chwilkę do ciebie zjeżdżam. Spodoba ci się to, co zobaczysz.

Sekcja pirotechniczna wydziału policji Los Angeles ma siedzibę w nowoczesnym niskim budynku, przyległym do gmachu komendy okręgu Glendale z jednej i do laboratorium kryminalistycznego z drugiej strony.

Przesłonięty rzędem drzew kauczukowych budynek z czerwonej cegły można by wziąć za przychodnię stomatologiczną, gdyby nie to, że otacza go wysoki na dziesięć stóp płot zwieńczony zwojami drutu kolczastego. Na parkingu stały granatowe kombi suburban.

Starkey weszła do dyżurki i spytała o porucznika Leytona. Wczoraj wraz z innymi został na miejscu wybuchu i przeczesywał teren jak szeregowy policjant. Dzisiaj miał podkrążone oczy i wyglądał starzej niż zwykle, nawet starzej niż po śmierci „Sugara” Boudreaux.

Podawała mu plastikową torebkę.

- Pochodziłam dziś rano po terenie i znalazłam to. Zlecił już pan komuś rekonstrukcję?

Leyton podniósł torebkę do oczu. Wszystkie trzy odnalezione fragmenty trzeba będzie wciągnąć do protokołu oględzin, a potem przebadać, by stwierdzić, czy rzeczywiście stanowią część urządzenia wybuchowego.

- Tak, Russowi Daigle. Przyszedł dziś wcześniej, żeby posortować wczorajsze znaleziska.

- Chen zaraz tu zjeździe z wynikami chromatografii. Mam nadzieję, że uda mi się ustalić producentów składników. Wtedy ruszę z miejsca.

- Oczywiście. Zobaczmy więc, co odkrył.

Ruszyła za Leytonem długim korytarzem, przez salę odpraw i gabinety specjalistów pirotechników. Sala ogólna nie wyglądała jak inne tego rodzaju pomieszczenia na komendach policji okręgu Los Angeles, przypominała raczej szkolną pracownię chemiczną, zastawioną małymi biurkami i stołami warsztatowymi z czarnej formiki.

Każdy fragment powierzchni był zarzucony częściami rozbrojonych urządzeń wybuchowych lub atrapami bomb, od bomb rurowych i dynamitowych po bomby w puszkach i wielkie pociski wojskowe. Pod sufitem wisiał pocisk powietrze-powietrze. Wszędzie leżały pisma specjalistyczne i wszelkiego rodzaju leksykony. Do ścian były przyklepione plakaty FBI z wizerunkami poszukiwanych przestępców.

Russ Daigle siedział na taborecie przy jednym ze stołów warsztatowych i sortował metalowe odłamki. Niski, atletycznie zbudowany mężczyzna, o gęstych siwych wąsach i tępo zakończonych palcach ukrytych w tej chwili pod lateksowymi rękawiczkami, był jednym z trzech ekspertów od materiałów wybuchowych i człowiekiem o najdłuższym stażu pracy w sekcji.

Na odgłos kroków Leytona i Starkey podniósł oczy i wskazał im głową zakurzony, oklejony karteczkami samoprzylepnymi komputer na końcu stołu.

- Mamy już zdjęcia. Chcesz zobaczyć?

- Naturalnie.

Podeszła do monitora.

- Widok od tyłu i z boku. Mamy też inne, lecz te są najlepsze. Klasyczna kurewska bomba rurowa. Założę się, że drań skonstruował ją w garażu.

Na ekranie widniały wykonane przez Riggia fotografie cyfrowe. Dwie rury wyglądały jak starannie okręcone taśmą czarne nieprzeniknione cienie, między którymi rysował się kształt podobny do kłębka drutu. Wszystkie cztery końce rur zostały zaślepione. Starkey przyglądała się zdjęciom, porównując to, co przedstawiała, z rozłożonymi na woskowym papierze kawałkami pogiętego czarnego metalu. Jedna

z zaslepek pozostała nietknięta, reszta była poważnie uszkodzona. Daigle posegregował je wedle kształtów i rozmiarów, tak jak dziecko układa elementy puzzli. Zdołał już oddzielić zasadnicze fragmenty wszystkich czterech zaslepek i osiągnął znaczny postęp w rekonstrukcji rur, było jednak widać gołym okiem, że brakuje mu jeszcze co najmniej połowy materiału.

- Wygląda mi to na typową galwanizowaną rurę średnicy dwóch cali, zgadza się, sierżancie?

Podniósł kawałek żelaznej zaślepki, na którym wyryto literę „V”.

- Mhm. Widzisz to „V”? Zakłady wyrobu rur Vanguarda. Wszędzie je można dostać.

Starkey zrobiła zapisek w notesie. Sporządzi później listę elementów składowych bomby wraz z ich cechami charakterystycznymi i prześle do bazy danych materiałów i ładunków wybuchowych FBI i do krajowej centrali informacyjnej ATF* w Waszyngtonie, aby obie placówki ustaliły cechy urządzenia według katalogu zdarzeń.

Daigle wsunął palec pod krawędź zaślepki i podważył coś kruchej i białej.

- Widzisz? Taśma hydrauliczna. Mamy do czynienia z pendantem. Precyzyjna robótka. Nawet spoiny zaizolował. Co ci to mówi?

Starkey domyśliła się, że stary wyjadacz już wyciągnął odpowiednie wnioski i teraz ją egzaminuje. Robił tak setki razy, kiedy jeszcze pracowała w sekcji.

- Uszczelniać taśmą można kolanka, gdy się naprawia zlew, ale z pewnością nie uszczelni się w ten sposób bomby.

Daigle uśmiechnęła się szeroko, rad z jej odpowiedzi.

- Naturalnie. Nie ma powodu okręcać jej taśmą, więc może postąpił tak z nawyku? Może jest hydraulikiem albo budowlanym?

* Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms - federalne biuro do spraw alkoholu, tytoniu i broni palnej; wydział FBI zajmujący się przestępczością kryminalną.

Kolejna notatka dla służb federalnych.

- Obie rury są identycznego rozmiaru, o ile można wnosić na podstawie zdjęć. Albo sam je przyciął, albo kazał przyciąć na jednakową długość. Widzisz ten cień? To zarys oplotu taśmy. Widzisz, jak równo ją okręcił? Mamy do czynienia z wyjątkowym pedantem, bardzo uzdolnionym manualnie.

Zaczęła już szkicować w myślach wizerunek konstruktora bomby. Mógł być zręcznym handlowcem, mechanikiem albo hobbystą, dumnym ze swoich precyzyjnie wykonanych dzieł jak stolarz lub majsterkowicz.

- Chen pokazał ci już tę piątkę?

- Jaką piątkę?

Daigle umieścił kawałek rury pod szkłem powiększającym. Zobaczyła odłamek z literą „S”, który Chen wydobył z kombinazonu Riggia.

- Wygląda jak duże „S”.

- Nie mamy pewności, czy to „S”, piątka czy jakiś symbol - wtrącił Leyton.

Daigle wlepił oko w lupę.

- Tak czy inaczej, wyciął to za pomocą wysokoobrotowego narzędzia grawerskiego.

Wszedł Chen. On także nie wyglądał na człowieka wyspanego, zdradzał jednak wyraźne ożywienie, wręczając Starkey wynik chromatografii.

- Właśnie dokonuję wtórnego sprawdzenia, żeby potwierdzić ten wynik, ale już teraz mogę ci powiedzieć, że materiałem wybuchowym był modex hybrid. Nie kupisz tego towaru w sklepie z artykułami żelaznymi.

Wszyscy na niego spojrzeli.

- Wojsko używa modeksu w głowicach bojowych i pociskach powietrze-powietrze. Mówimy o prędkości detonacji rzędu dwudziestu ośmiu tysięcy stóp na sekundę.

- O ile pamiętam - wtrącił Daigle - trotyl detonuje z prędkością dwudziestu tysięcy stóp, czy tak?

- Dwudziestu, dwudziestu jeden - sprzecywała Starkey.

Leyton przytaknął.

- Skoro to wojskowy materiał wybuchowy, myślę, że możemy sobie pogratulować, Carol. To nam kapitalnie zawęża pole poszukiwań. Sprawdzimy, u kogo powstało manko, a potem ustalimy osoby, które miały dostęp do składów.

Chen odchrząknął.

- Niestety, to nie takie proste. Badanie chromatograficzne wykazało liczne zanieczyszczenia w obrazie chemicznym. Zadzwoiłem do producenta z Pensylwanii. Modex jest produkowany w trzech klasach: wojskowej, na zamówienia rządowe, na rynek, lecz tylko na eksport (EPA * nie pozwoliłaby nikomu używać go w kraju), wreszcie chałupniczej.

Daigle skrzywił się.

- Jak to „chałupniczej”?

- Przedstawiciel firmy był zdania, że tę próbkę mógł wyśmażyć jakiś chemik amator. Wcale nie tak trudno to zrobić, jeśli ma się składniki i odpowiednie urządzenia. Facet twierdzi, że byłoby to niewiele trudniejsze od wyprodukowania działki krystalicznie czystej amfy.

Starkey przyjrzała się dokładniej wydrukowi z chromatografu, lecz nie znalazła tego, czego szukała.

- Słuchaj, jeśli ten pasztet można upiec w domu, potrzebne mi będą składniki i przepis.

- Facet obiecał mi wszystko przygotować i przysłać faksem. Poprosiłem go też o wykaz pozostałych wytwórców. Jak tylko to dostanę, przekażę tobie.

Starkey złożyła wydruk i wsunęła go do notesu. Z punktu widzenia śledztwa rzadki materiał wybuchowy stanowił ułatwienie, nie podobały jej się jednak pewne implikacje wynikające z jego użycia.

- Jeśli to wojskowy materiał wybuchowy lub jeśli wymaga jakiejś wysoce specjalistycznej obróbki laboratoryjnej, zmienia to moje zdanie o konstruktorze tej bomby. Nie mówimy o gnoj-

* Environmental Protection Agency - agencja ochrony środowiska.

ku, który chciał po prostu sprawdzić swoje umiejętności. Mówimy o sprawie naprawdę poważnej.

Leyton zmarszczył czoło i oparł się o stół.

- Niekoniecznie. Byłaby to prawda, gdyby się okazało, że modex został skradziony. Pierwszy lepszy świrus nie umiałby po prostu z niego skorzystać. Lecz jeśli sam go wyprodukował, mógł recepturę ściągnąć z Internetu. Może uznał użycie potężniejszego materiału wybuchowego za część wyzwania.

Daigle splótł ręce na piersi w geście dezaprobaty.

- Starkey ma rację, mówiąc, że to poważna sprawa. Odpowiedzcie mi więc na następujące pytanie: skoro facet zbudował tak zajebistą zabawkę, dlaczego podrzucił ją po prostu pod kontenerem na śmieci? Za tym się coś kryje.

- Rozmawialiśmy już z właścicielami sklepów. Żaden nie przyznał, by mu grożono. Wybuch nawet nie uszkodził budynku.

Twarz Daigle'a jeszcze bardziej spochmurniała.

- Któryś z tych drani łże. Nikt nie konstruuje takiej potężnej bomby dla zabawy. Mówię wam, któryś z tych sklepikarzy kogoś oszwaibił i to urzędzonko miało być formą reprimendy.

Starkey wzruszyła ramionami. Wpatrywała się w zdjęcia i pomyślała, że Daigle może mieć rację.

- Jakos nie widzę tu zapalnika, sierzancie. Żadnych baterii, żadnego źródła zasilania. Więc co spowodowało wybuch?

Daigle zsunął się z taboretu, rozprostował kości i stuknął palcem w obraz na ekranie.

- Mam swoją teorię. W jednej rurze gość umieścił materiał wybuchowy, a zapalnik w drugiej. Spójrzcie.

Wziął do ręki dwa większe fragmenty rury.

- Widzicie ten biały osad na wgłębieniu po wewnętrznej stronie?

- Mhm. Musiał powstać w następstwie wybuchu.

- Istotnie. A teraz przyjrzyjcie się temu kawałkowi. Czyściuteńki. Wnioskuje stąd, że w tej rurze mógł umieścić zapalnik wraz z baterią lub innym źródłem zasilania.

- Sądzi pan, że był sprzężony z zapalnikiem czasowym?

Daigle z powątpiewaniem wzruszył ramionami.

- Który zadziałał właśnie w chwili, gdy Riggio nad nim stał? Nie dałbym za to złamanego centa. Dotąd niczego nie znaleźliśmy, ale podejrzewam, że Riggio uruchomił jakiś zwierzacz przechyłowy.

- Buck twierdzi, że Charlie nawet nie dotknął tej paczki.

- Cóż, tak mu się zdawało, ale Charlie musiał coś zrobić. Bomby nie wybuchają ot tak, bez powodu.

Nagle zapadło milczenie, a Daigle się zarumienił. Starkey zdała sobie sprawę, że to z jej powodu, i również się zarumieniła.

- Boże, przepraszam, Carol. Nie chciałem, by tak to zabrzmiało.

- Nie musi mnie pan przepraszać, sierżancie. Wtedy był powód. Tak zwane trzęsienie ziemi.

Przypomniała sobie o pogiętym dysku, który znalazła w samochodzie na parkingu, wyjęła go z plastikowej torebki i pokazała pozostałym.

- Znalazłam to dziś rano na miejscu zdarzenia. Nie mam pewności, czy to fragment bomby, ale to niewykluczone. To może być część zapalnika.

Daigle położył dysk pod szkłem powiększającym, żeby się lepiej przyjrzeć; zagryzł dolną wargę i zmrużył oczy.

- Wygląda mi to na jakiś układ elektroniczny. Zdaje się, że widzę płytkę drukowaną.

Chen precyzyjnie się do stołu. Wciągnął parę rękawiczek Daigle'a, wyszukał wąski śrubokręt i za jego pomocą otworzył dysk niczym skorupę małża.

- Cholerny skurwiel! - mruknął. - Wiem, co jest.

Wewnątrz było wydrukowane tylko jedno słowo, tak dobrze wszystkim znane, że w tym kontekście sprawiało wręcz absurdalne wrażenie: MATTEL.

Chen odłożył dysk i odsunął się od stołu. Pozostali skupili się bliżej, żeby lepiej widzieć, ale Starkey nie spuszczała wzroku z Chena. Wyglądał na wstrząśniętego.

- Co to takiego, John?

- Odbiornik radiowy, taki, jakie instalują w zdalnie sterowanych samochodzikach dla dzieci.

Wszyscy wlepili w niego oczy, bo to, co powiedział, całkowicie zmieniało ich wyobrażenie na temat bomby i jej nieznanego konstruktora.

- Charlie Riggio nie spowodował eksplozji, nie nastąpiła też przypadkiem. To urządzenie było sterowane radiem.

Starkey zdała sobie sprawę z wagi tego stwierdzenia jednocześnie z pozostałymi, ale pierwsza wypowiedziała płynący z niego wniosek.

- Sukinsyn był w pobliżu. Poczekał, aż Charlie podejdzie do bomby, i wtedy ją zdetonował.

John Chen westchnął ciężko.

- Tak. Chciał mieć trupa.

3

Kelso spróbował kawy, której sobie przed chwilą nalał, i skrzywił się, jakby się napił płynu do udrażniania rur.

- Naprawdę myślisz, że skurwiel zdetonował tę bombę z bliskiej odległości?

Starkey pokazała mu faks od przedstawiciela firmy produkującej urządzenia sterowane radiem. Pismo zawierało dane techniczne odbiornika i wymagania sprzętowe.

- Te górienka są zasilane tak niskim napięciem, że działają jedynie w promieniu sześćdziesięciu jardów. Facet, z którym rozmawiałam, określił maksymalną odległość między nadajnikiem a odbiornikiem na góra sto jardów. To mniej więcej zasięg ludzkiego wzroku, Barry. To znaczy, że skurwiel musiał czatować w pobliżu.

- Dobra. Jaki masz pomysł?

- Wszystkie lokalne stacje telewizyjne filmowały miejsce zdarzenia z helikopterów. Mieli też kamery na ziemi. Być może na którejś z taśm widać tego drania.

Kelso kiwnął z zadowoleniem głową.

- Dobra, podoba mi się ten pomysł. Dobrze kombinujesz, Starkey. Pogadam z rzecznikiem prasowym. Nie widzę powodu, dla którego mieliby nam stwarzać jakieś problemy.

- Jeszcze jedno. Muszę rozdzielić Hookera i Marzik. Marzik przesłuchuje mieszkańców tych bloków, a Hooker policjantów i strażaków, którzy byli na miejscu zdarzenia. Pomogło-

by nam, gdybyśmy dostali kilku ludzi do przesłuchań w terenie.

Zrobił kwaśną minę.

- Dobra, zobaczę, co się da zrobić.

Na odchodnym odwrócił się i spytał:

- Więc jakoś sobie radzisz, tak? Podołasz?

Poczuła, że się czerwieni.

- Prośba o pomoc nie jest oznaką słabości, Barry. Robimy postępy.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Wiem. Nie zamierzam tego negocjować.

Jego słowa zaskoczyły, ale i ucieszyły Starkey.

- Rozmawiałaś już z Daggettem?

- Nie.

- Powinnaś. Poproś, by sobie przypomniał, kogo widział wtedy na parkingu. Będzie też musiał obejrzeć te taśmy ze stacji telewizyjnych.

Kiedy za Kelsem zamknęły się drzwi gabinetu, Starkey, ze ściśniętym żołądkiem, wróciła do swojej przegródki. Wiedziała, jak zareaguje Daggett. Będzie wstrząśnięty i wściekły, że każą mu znowu przeżywać tamto potworne zdarzenie, analizować każdą podjętą decyzję i każdy krok. Wiedziała, jak będzie się czuł, bo sama się kiedyś tak czuła. Nie chciałaby tego drugi raz przeżywać.

Przez następne dwadzieścia minut siedziała w swojej kanciapce jak sparalizowana. Myślami krążyła wokół schowanej w torebce piersiówki i gapiała się tępo w kołonoatnik z adresem Bucka Daggetta. W końcu miała tego dość i zeszła do samochodu.

Daggett mieszkał w San Gabriel Valley w ciasnym domku zbudowanym w śródziemnomorskim stylu, otynkowanym na beżowo i krytym dachówką, podobnym do setki identycznych budyneczków taniego osiedla na wschód od Monterey Park. Starkey już raz tam była, na przyjęciu ogródkowym wydanym przez Daggettów dla sekcji pirotechnicznej jakieś trzy miesiące przed śmiercią Sugara. Domek był lichutki. Pensja eksperta od

materiałów wybuchowych wystarczyłoby na wygodniejszą siedzibę, ale Buck był już trzykrotnie rozwiedziony. Alimenty na żony i dzieci musiały pochłaniać krocie.

Pięć minut po opuszczeniu autostrady Starkey zaparkowała samochód na podjeździe Daggettów i podeszła do drzwi. Do kołatki była przywiązana czarna wstążka.

Na pukanie odpowiedziała czwarta, obecna żona Daggetta. Była od niego o dwadzieścia lat młodsza i bardzo atrakcyjna, choć w tej chwili wyglądała na nieobecną i roztargnioną. Starkey pokazała jej odznakę.

- Nazywam się Carol Starkey, pani Daggett. Pracowałam kiedyś z Buckiem. Chyba się już spotkałyśmy, prawda? Przepraszam, zapomniałam, jak pani na imię.

- Natalie.

- Prawda, Natalie. Czy mogę się widzieć z Buckiem?

- Widzi pani, musiałam dziś zostać w domu. Buck jest okropnie przygnębiony.

- Wyobrazam sobie, Natalie. To straszne, co go spotkało. Ale jest w domu?

Natalie poprowadziła Starkey do ogródka, gdzie Buck zmieniał właśnie olej w kosiarce do trawy. Ledwo Carol wyszła na taras za domem, gospodyni odwróciła się na pięcie i zniknęła w salonie.

- Cześć, Buck.

Podniósł wzrok, wyraźnie zaskoczony, a potem się wyprostował. Na sam jego widok poczuła ból w piersi.

Wskazał głową kosiarkę i wzruszył ramionami. Wyglądał na zawstydzonego.

- Próbuję się czymś zająć. Przytuliłbym cię, ale ociekam potem.

- To dobrze, że próbujesz się czymś zająć, Buck. To najlepszy sposób.

- Napijesz się czegoś? Może wody sodowej? Natalie cię niczym nie poczęstowała?

Podszedł do niej, wycierając ręce w zatłuszczonej pomarańczową szmatę i raczej je brudząc, niż czyszcząc. Na ciasnym

podwórku panowała okropna duchota. Na czoło Bucka spływał pot.

- Nie mam zbyt wiele czasu. Każda chwila jest teraz droga.

Pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym rozłożył dwa krzesła ogrodowe, które stały oparte o ścianę.

- Słyszałem, że dostałaś tę sprawę. Dobrze sobie radzisz w kryminalnym?

- Wolałabym wrócić do sekcji.

Odwrócił wzrok i znowu kiwnął głową. Starkey uświadomiła sobie nagle, że gdyby nadal pracowała jako pirotechnik, mogłaby się znaleźć w Silver Lake zamiast Riggia. Buck chyba również o tym pomyślał.

- Muszę ci zadać kilka pytań, stary.

- Domyślam się. Oczywiście. Nie wiem, czy ci już mówiłem, ale chłopcy w sekcji są naprawdę dumni, że zostałaś detektywem. To prawdziwa policyjna robota.

- Dziękuję, Buck. Doceniam to.

- Masz już trzecią rangę?

- Dopiero drugą. Jeszcze za wcześnie na awans.

Wzruszył ramionami.

- Dochrapiesz się. Masz drugą rangę, a już prowadzisz śledztwo.

Może go trapi - zrodziło się w niej podejrzenie - że nie dorosła do tak poważnej sprawy? Lubiała Bucka i nie chciałaby, żeby w nią wątpił. Wystarczał jej w zupełności brak zaufania ze strony Kelsa.

- Ktoś do ciebie dzwonił? Słyszałaś już?

- Nie. Co miałbym słyszeć?

Wpatrywał się w nią z takim napięciem, że musiała zmobilizować całą siłę ducha, by nie odwrócić wzroku. Spodziewał się, że nowina nie będzie pomyślna. Dostrzegła budzący się w jego oczach strach.

- Co, Carol? Mów!

- Skurwiel użył zapalnika sterowanego radiem.

Przyglądał jej się chwilę z kamienną twarzą, po czym pokręcił energicznie głową.

- To niemożliwe - wychrypiał z rozpaczą w głosie. - Charlie zrobił rentgenem kilka niezłych zdjęć. Nie dostrzegliśmy żadnego urządzenia radiowego. Żadnego zapalnika. Gdyby tak było, natychmiast kazałbym mu wracać.

- Nie mogliście go dostrzec, Buck. Źródło zasilania i zapalnik były ukryte w jednej rurze, a materiał wybuchowy w drugiej. Jakiś modex hybrid.

Zamrugał powiekami, żeby powstrzymać łzy, co nie do końca mu się udało. Starkey poczuła, że i jej wilgotnieją oczy. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Już dobrze - mruknął.

Cofnęła rękę. Dobrana z nas parka - pomyślała.

Buck przełknął ślinę i ciężko westchnął.

- Modex. To materiał wojskowy, prawda? Obiła mi się o uszy ta nazwa.

- Używają go w głowicach bojowych. Detonuje z prędkością prawie dziesięć tysięcy stóp większą niż trotyl. Podejrzewamy, że ładunek przygotowano domowym sposobem.

- O Chryste! Jesteście pewni, że został odpalony za pomocą radia?

- Znaleźliśmy odbiornik. Ten, kto go odpalił, musiał się znajdować gdzieś w pobliżu. Mógł to zrobić w dowolnym momencie, ale zczekał, aż Charlie pojedzie do bomby. Jesteśmy zdania, że go obserwował.

Daggett potarł czoło i pokręcił głową, jakby to wszystko było ponad jego siły.

Powiedziała mu o taśmach wideo.

- Słuchaj, Buck, czekam na taśmy nakręcone przez stacje telewizyjne. Jak już zbiorę wszystkie, zadzwonię do ciebie, żebyś wpadł i rzucił na nie okiem. Może rozpoznasz kogoś w tłumie.

- Wątpię, Carol. Byłem cały skoncentrowany na tej bombie. Myślałem tylko o temperaturze ciała Riggia i o tym, żeby udały nam się zdjęcia. Sądziliśmy, że mamy do czynienia ze zwykłym chuliganem, wiesz? Jakimś *pachuco* popisującym się przed kolesiami. Kurwa, to była tylko para pieprzonych rur!

- Dopiero za kilka dni zbiorę wszystkie taśmy. Tymczasem spróbuj coś sobie przypomnieć. Może zauważyłeś jakiś szczegół, który wydał ci się dziwny.

- Jasne. Zresztą nie mam nic lepszego do roboty. Dick kazał mi wziąć trzy dni wolnego.

- To ci wyjdzie na dobre, Buck. Słuchaj, mógłbyś jednak wypielić ten ogródek. Wygląda mało fajnie.

Zdobył się na wątyły uśmiech, po czym oboje zamilkli.

Po jakimś czasie powiedział:

- Wiesz, co oni zrobią?

- Co?

- Wyślą mnie do banku. Cholera, nie mam ochoty gadać z tymi kutasami.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nazywają to doradztwem pourazowym. Namnożyli od groma tych nowych przepisów. Byłeś w strzelaninie, dymasz do banku. Brałeś udział w wypadku samochodowym, dymasz do banku. Boję się, że będę musiał opowiadać jakiemuś specowi od czubków, co się czuje, patrząc, jak twój partner wylatuje w powietrze.

Starkey zastanawiała się właśnie, co ma odpowiedzieć, kiedy poczuła wibrację pagera. Dzwoniła Marzik; po numerze jej telefonu następował kod 911.

Chciała jak najszybciej odpowiedzieć na wezwanie, nie zamierzała jednak tak nagle opuszczać Daggetta.

- Nie martw się na zapas. Jeszcze cię tam nie posłali.

- Po prostu nie chcę z tymi ludźmi gadać. Co można powiedzieć po czymś takim? Co ty im powiedziałaś?

- Nic, Buck. Nie ma nic do powiedzenia. Tyle im powiedz. Że nie ma nic do powiedzenia. Posłuchaj, muszę zadzwonić. Marzik chce, bym się z nią skontaktowała.

- Jasne. Rozumiem.

Odprowadził ją przez środek domu do drzwi wejściowych. Jego żona się nie pokazała.

- Natalie też chodzi jak struta. Przepraszam, że niczym cię nie poczęstowała.

- Nie szkodzi, Buck. Zresztą i tak nie miałam na nic ochoty.
- Byliśmy bardzo zżyci, wszyscy troje. Ona bardzo Charliego lubiła.

- Zadzwoń do ciebie w sprawie tych taśm. Spróbuj coś sobie przypomnieć.

Wychodziła już za próg, gdy dotknął jej ramienia.

- Pani detektyw?

Obejrzała się i uśmiechnęła, słysząc ten tytuł.

- Dziękuję, że nie zapytałaś. Wiesz, co mam na myśli? Wszyscy cię pytają, jak się czujesz, a na to też nie ma żadnej odpowiedzi.

- Wiem, Buck. Mnie to pytanie doprowadzało do furii.

- Właśnie. No cóż, przypuszczam, że oboje należymy do dosyć ekskluzywnego klubu.

Skinęła mu głową i Buck zamknął za nią drzwi.

Pager zawibrował ponownie, gdy szła do samochodu. Tym razem dzwonił Hooker. Najpierw odpowiedziała jednak na telefon Marzik, z powodu kodu 911. Zadzwoiła z komórki, siedząc w wozie na podjeździe Daggettów.

Marzik odebrała po pierwszym sygnale, jakby czatowała przy telefonie.

- Beth Marzik.

- Tu Starkey. Co się stało?

W głosie Marzik dało się słyszeć podniecenie.

- Coś mamy, Starkey. Jestem przy kwaciarni, tej naprzeciwko automatu telefonicznego, pamiętasz? Służby ratownicze odebrały zgłoszenie z tego aparatu o pierwszej czternaście, zgadza się? Posłuchaj, dzieciak właściciela kwaciarni był wtedy na zewnątrz, miał gdzieś dostarczyć kwiaty, i widział gościa, który telefonował.

Starkey szybciej zabiło serce.

- Powiedz mi jeszcze, że widział samochód, Beth. Powiedz, że zapamiętał numer.

- Słuchaj, jest nawet lepiej. Chłopak twierdzi, że telefonował biały Amerykanin.

- Facet mówił z akcentem latynoskim.

- Posłuchaj, dzieciak jest tego pewny. Siedział w furgonetce i słuchał zespołu Gipsy Kings, gdy pracownicy ładowali kwiaty. Tkwił tam od pierwszej z minutami do pierwszej dwadzieścia. Wiemy to na pewno, bo w kwiaciarni zapisali, o której odjechał. Twierdzi, że facet był biały.

Starkey starała się opanować podniecenie, choć było to trudne.

- Po co biały miałby udawać Latynosa? - zapytała Marzik. - Odpowiedź nasuwa się sama: bo sam, kurwa, podłożył tę bombę. Latynosa udawał dla zmyłki. Możemy mieć świadka, który skurwysyna widział.

Starkey również dostrzegła tę szansę, choć wiedziała skądinąd, że w śledztwie następują nieraz zwroty, które na pierwszy rzut oka wydają się ostatecznie rozwiązywać zagadkę, tymczasem tylko dodatkowo ją zaciemniają.

- Weźmy na razie na wstrzymanie, Beth. Zgadzam się, to fantastyczny fart i może ustawić nam śledztwo, ale nie wpadajmy w euforię. Może twojemu świadkowi tylko się zdawało, że facet był biały, bez domieszki krwi latynoskiej. Może rzeczywiście był biały, a może tylko takie zrobił na chłopcu wrażenie. Musimy to sprawdzić.

- Oczywiście, masz świętą rację, chociaż chłopak wydaje się rzetelny. Powinnaś przyjechać i sama z nim pogadać.

- Jest tam teraz z tobą?

- Na razie tak. Ma jeszcze parę dostaw, a robi się późno.

- Dobra, zatrzymaj go, już jadę.

- Siłą go nie zatrzymam. Jeśli otrzymają nowe zamówienie, będzie musiał ruszać.

- Więc go poproś, Beth. Powiedz ładnie „proszę”.

- Co mam zrobić? Obciągnąć mu?

- Spróbuj.

Starkey przerwała połączenie, po czym wystukała numer Santosa. Odezwał się głosem tak ściszym, że ledwo go słyszała.

- Czemu tak szemrzesz?

- To ty, Carol?

- Ledwo cię słyszę. Mów głośniej.
- Jestem w firmie. Dziś rano przyleciał do nas z Waszyngtonu agent FBI.

Poczuła skurcz w żołądku i sięgnęła do torebki po tagamet.

- Jesteś pewien, że z Waszyngtonu? Nie z biura terenowego?

Zaledwie wczoraj przesłała systemem wewnętrznego obiegu informacji policyjnej wstępne informacje o składnikach bomby. Jeśli facet przybył z Waszyngtonu, musiał wskoczyć do pierwszego odlatującego samolotu.

- Jest z Waszyngtonu, Carol. Zamknęli się z Kelsem w gabinecie. Kelso chce cię widzieć. Pytał o nasze raporty. Obawiam się, że starają się przejąć sprawę. Słuchaj, muszę kończyć. Próbowałem grać na zwłokę, ale Kelso żąda, że bym mu dostarczył wszystkie materiały.

- Chwileczkę, Jorge, czy facet wyraźnie powiedział, że przejmuje sprawę?

- Muszę kończyć, Carol. Kelso wytknął właśnie głowę i gapi się na mnie.

- Zamarudź jeszcze trochę, Jorge. Już jadę. Marzik znalazła dla nas coś naprawdę ekstra.

- Sądząc po minie tamtego faceta, znalazła to coś dla niego.

Starkey połknęła tabletkę tagametę i pognęła na Spring Street z włączonym kogutem.

Była na miejscu w niecałe pół godziny. Santos dostrzegł ją, stojąc przy automacie z kawą, wskazał głową drzwi gabinetu porucznika. Były zamknięte.

- Dałeś mu raporty?

Aż się skulił pod jej groźnym spojrzeniem.

- A co miałem zrobić, odmówić szefowi?

Zacisnęła zęby i podeszła do drzwi. Zapukała głośno trzy razy, po czym weszła, nie czekając na zaproszenie.

Kelso zboliałym gestem wskazał ją siedzącemu przed biurkiem mężczyźnie.

- Detektyw Starkey. Wchodzi, kiedy chce. Starkey, przedstawiam ci Jacka Pella, agenta specjalnego z...

- Z ATF, wiem. Przejmuje naszą sprawę?

Pell pochylał się do przodu, z łokciami na kolanach, jakby szykował się do skoku. Wyglądał na trzydzieści parę lat, choć nie zdziwiłoby jej, gdyby się okazał grubo starszy. Miał bladą cerę i intensywnie szare oczy. Próbowano z nich coś wyczytać, ale na próżno. Wyglądały jak opancerzone.

Pell zwrócił się do Kelsa, jak gdyby jej tam nie było.

- Chciałbym jeszcze chwilę porozmawiać z panem w cztery oczy, poruczniku. Proszę ją poprosić, by zaczekała na zewnątrz.

Ją. Jak gdyby była powietrzem.

- Wyjdź, Starkey. Zawołamy cię.

- To jest moja sprawa, poruczniku. Nasza sprawa. Zginął jeden z naszych ludzi.

- Proszę poczekać na zewnątrz, pani detektyw. Poprosimy panią, gdy będzie nam pani potrzebna.

Starkey wyszła. Czekala, paląc papierosa. Santos chciał do niej podejść, ale dojrawszy jej gradową minę, zrejterował. Przeklinała w duchu Kelsa za to, że oddał ich śledztwo, gdy zawibrował pager.

- Cholera, Marzik.

Oddzwoniła z telefonu na swoim biurku.

- Carol, czekam tu i czekam. Chłopak musi jechać z towarem. Gdzie ty się, kurwa, podziewasz?

Starkey ściszyła głos, żeby jej nie usłyszeli inni detektywi.

- Wróciłam do firmy. ATF przejmuje śledztwo.

- Jaja sobie robisz? Co się stało?

- Wiem tylko, że u Kelsa jest teraz ich agent. Słuchaj, pogadam z tym smykiem, jak tylko tu skończę. Powiedz mu, żeby jechał z tymi zasranymi dostawami.

- Jest już prawie piąta, Carol. Dzieciak załatwi, co do niego należy, i wraca do domciu. Możemy go złapać jutro.

Starkey zerknęła na zegarek i zamyśliła się. Wolałaby porozmawiać z chłopakiem jak najszybciej, bo wiedziała, że zwłoka jest głównym wrogiem świadków; ludzie zapominali

szczegółów, popadali w zdenerwowanie, tracili ochotę do współpracy z policją. W końcu doszła do wniosku, że za wiele żąda, za bardzo naciska. Nie poprawi swoich notowań u tego gnojka, jeśli każe mu na siebie czekać jeszcze kilka godzin.

- Dobra, Beth. Umów nas na jutro. Pracuje od rana?

Marzik poprosiła, żeby chwilę poczekała. Chłopak musiał się znajdować niedaleko.

- Zaczyna o ósmej. To sklep jego ojca.

- Dobra, spotkamy się z nim rano.

- My czy ATF?

- To właśnie chcę ustalić.

Kelso wystawił z gabinetu głowę i poszukał Starkey wzrokiem. Odłożyła słuchawkę, żałując, że nie zdążyła połknąć kolejnych tabletek tagamet. Czasem przychodziło jej do głowy, że powinna nabyć akcje tej firmy farmaceutycznej.

Kiedy mijała Kelsa, szepnęła jej do ucha:

- Wyluzuj się, Carol, facet przyjechał nam pomóc.

- Niech mnie pocałuje.

Kelso zamknął za nimi drzwi. Pell nadal siedział na krześle wychylony do przodu, więc Starkey mogła go poczęstować najbardziej morderczym z jej spojrzeń. W życiu nie widziała zimniej szych szarych oczu i musiała się przemóc, by nie odwrócić wzroku.

Kelso wrócił za biurko.

- Agent Pell przyleciał dziś rano z Waszyngtonu. Informacje, które wprowadziłaś do systemu, bardzo niektórych zainteresowały.

Pell przytaknął.

- Nie zamierzam odbierać pani śledztwa, pani detektyw. Nie jestem u siebie, myślę jednak, że mogę wam pomóc. Przyleciałem tu, bo dostrzegliśmy pewne podobieństwa między tą bombą a niektórymi innymi, z jakimi się wcześniej zetknęliśmy.

- Na przykład jakie?

- Na przykład materiał wybuchowy modex: szybki, elegancki, elitarny. Facet lubi też używać szczególnego typu pobu-

dzacza radiowego, który ukrywa w jednej z rur, żeby nie można go było wykryć promieniami X.

- O kim mowa?

- Jeśli to on, posługuje się ksywą Mister Red. Nie znamy prawdziwego nazwiska.

Starkey zerknęła na Kelsa, lecz z jego miny niewiele się dało wyczytać. Pomyślała, że pewnie z ulgą przekazałby sprawę federalnym, by mieć ten pasztet z głowy.

- Mister Red? Co za Mister Red? Czy facet jest seryjnym zamachowcem? Terrorystą? Kimś takim?

- Nie, pani detektyw, ten sukinsyn nie jest terrorystą. O ile nam wiadomo, nie interesuje go polityka, kwestia aborcji i temu podobne. W ciągu ostatnich dwóch lat mieliśmy do czynienia z siedmioma zamachami bombowymi z użyciem modeksu i odpalanego radiowo detonatora podobnego do tego, jakiego tu użyto. Zważywszy na cechy szczególne atakowanych obiektów i osób, sądzimy, że cztery z tych ataków zostały dokonane dla zwykłego zysku. Drań wysadza kogoś lub coś, bo mu zapłacono. Taki ma sposób zarabkowania, Starkey. Jest płatnym mordercą, którego narzędziem są bomby. Ale ma też hobby.

- Umieram z ciekawości.

- Przymknij się, do jasnej cholery, i słuchaj - warknął gniewnie Kelso, przygotowując Starkey o szczere zdumienie.

Odwróciła się na powrót w stronę Pella; szare oczy były martwe jak tafelki lodu. Tylko dlaczego wydają się takie zmęczone? - pomyślała.

- Facet poluje na pirotechników, Starkey. Zwabia ich, potem zabija. Zamordował jak dotąd trzech, licząc waszego człowieka, wszystkich za pomocą identycznych urządzeń.

Wpatrywała się w siwe oczy. Nawet nie mrugnęły.

- To jakaś bzdura.

- Psychologowie twierdzą, że to walka o dominację. Ja myślę, że dla niego to forma współzawodnictwa. Konstruuje bomby, pirotechnicy tacy jak pani je rozbijają, więc stara się ich pokonać.

Zmartwiała. Pell najwyraźniej to dostrzegł.

- Wiem, co pani przeżyła. Przed przylotem tutaj zapoznałem się z pani aktami.

Poczuła gniew. Zaciekawilo ją, co wiedział o jej okaleczeniach, i nagle się zawstydzila. Postarała się nadać głosowi lodowate brzmienie.

- Moje życie prywatne nie powinno pana obchodzić. Ważne jest tylko jedno: to ja prowadzę śledztwo.

Wzruszył ramionami.

- Skierowała pani pytanie do systemu informacji wewnętrznej. Chciałem się dowiedzieć, kim pani jest.

Starkey przypomniała sobie jak przez mgłę, że czytała kiedyś okólnik ATF o niezidentyfikowanym zbrodniarzu ukrywającym się pod pseudonimem „Mister Red”. Takie okólniki pojawiały się na komendzie niemal codziennie, nie wzbudzając żywszego zainteresowania, ponieważ podejrzani działali na ogół w odległych rejonach kraju.

- Utkwiłoby mi w pamięci, panie Pell, gdybym dowiedziała się o świrusie mordującym techników bombowych, zapewniam pana.

Kelso poruszył się niespokojnie.

- O jego działalności celowo nie trąbiono publicznie.

- Nie chcieliśmy produkować naśladowców, Starkey. Utajniiliśmy wszystkie szczegóły jego metody działania i konstrukcji bomb, z wyjątkiem elementów składowych, które podaliśmy do wiadomości w obiegu wewnętrznym.

- Twierdzi więc pan, że chodzi o tego samego łobuza, wyłącznie na podstawie spisu elementów składowych?

- Na razie niczego nie twierdzą, choć modex i typ pobudzaacza radiowego dają do myślenia. Charakterystyczne są również inne cechy konstrukcji. No i ta litera, którą znaleźliście.

Starkey nie zrozumiała.

- Litera? O czym pan mówi?

Odpowiedział jej Kelso:

- O tej wygrawerowanej na odłamku cyfrze. O tej piątce. Agent Pell uważa, że chodzi o duże „S”.

- Dlaczego pan sądzi, że chodzi o literę?

Pell zwlekał z odpowiedzią, skazując Starkey na domysły.

- Znajdowaliśmy już podobne ryty na wyrobach Mister Reda. Będę chciał przeczytać wasze materiały i porównać waszą rekonstrukcję z naszymi. Dopiero wtedy będę mógł ocenić, czy i ten zamach to dzieło Mister Reda.

Starkey zaczęła się już żegnać ze swoim śledztwem.

- Przepraszam, że sprawiam kłopot, ale jeśli chce się pan zapoznać z naszymi materiałami, ja chcę zobaczyć pańskie. Chciałabym je porównać.

Kelso rozłożył bezradnie ręce.

- Starkey, nie podskakuj.

Miała ochotę go kopnąć. To było typowe dla Kelsa zwijanie chorągiewki.

Pell podniósł z biurka niewielki plik papierów.

- Nic trudnego, pani detektyw. Porucznik Kelso był tak uprzejmy, że podzielił się ze mną waszymi wynikami śledztwa. Ze swej strony z przyjemnością udostępnię pani kopie moich materiałów. Mam je w hotelu, przy okazji je pani podrzucę.

Zwinął dokumenty w rulon, wsunął go do tuby i wstał.

- Zdążyłem je już przejrzeć. Zapowiada się obiecująco, ale chciałbym je uważniej przestudiować.

Podnosząc tubę, zwrócił się do Kelsa:

- Czy mógłby mi pan wskazać miejsce, gdzie mógłbym sobie spokojnie poczytać, poruczniku? Chciałbym jeszcze dziś zapoznać się z materiałami, byśmy mogli z detektyw Starkey zabrać się do pracy.

Starkey zamrugała powiekami i również odwróciła się w stronę Kelsa.

- Co to ma znaczyć? Czy ja siedziałam dotąd z założonymi rękami?

Porucznik obszedł biurko i otworzył drzwi.

- Uspokój się, Carol. Gramy przecież w tej samej drużynie.

Kiedy Pell z tubą w ręku przechodził obok nich, zatrzymał się przed Starkey, niemal twarzą w twarz. Założyłyby się o wszystko, że zrobił to umyślnie.

- Ja nie gryzę, pani detektyw. Nie musi się mnie pani bać.
- Ja się niczego nie boję.
- Zazdroszczę pani.

Kelso polecił Santosowi, by zajął się gościem, po czym wrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Wyglądał na przygnębitego, ale Starkey miała to w nosie. Ręce tak jej drżały, że musiała je schować do kieszeni, by tego nie zauważył.

- Wykazałaś doprawdy wyjątkową niechęć do współpracy.
- Moim zadaniem nie jest wykazywanie się chęcią współpracy, ale znalezienie skurwysyna, który zabił Riggia, tymczasem teraz muszę się martwić tym, co raczy sobie o mnie pomyśleć ATF i czy przypadkiem nie odbierze mi sprawy.

- Przypominam, pani detektyw, że nasza praca ma charakter zespołowy. Nie będzie dziury w niebie, jeśli facet się trochę rozejrzy. Nie uda mu się połączyć naszej bomby z ich ptaszkiem, wróci do Waszyngtonu i po kłopotcie. Jeśli natomiast okazałoby się, że nasz i ich bombiarz to jeden i ten sam człowiek, będziemy mogli mówić o szczęściu, mając Pella do pomocy. Rozmawiałem już na ten temat z zastępcą Morganem. Chce, żebyśmy poszli na pełną współpracę.

Typowe dla ciebie, cwaniaczku - pomyślała - zadzwoń w górę, ratuj skórę.

- Marzik znalazła świadka, który najprawdopodobniej widział gościa dzwoniącego pod dziewięćset jedenaście. Twierdzi, że był biały.

Kelso zmarszczył czoło i zaczął bawić się ołówkiem.

- Myślałem, że dzwonił Latynos.
- Ja również.

Poprzestała na tym. Uznała, że nawet Kelso ma dość pomysłu, by dostrzec płynące z tego odkrycia implikacje.

- Hmm, uważam, że powinnaś się temu przyjrzeć. Zadzwoń do mnie, jak tylko coś ustalisz.

- Miałam zamiar od razu się temu przyjrzeć, poruczniku, niestety, musiałam wszystko rzucić, by zawrzeć znajomość z panem Pellem. Teraz to musi poczekać do jutra. Świadek miał inne plany na dzisiejszy wieczór.

Kelso wyglądał na zawiedzionego.

- No cóż, siła wyższa. Zajmij się tym jutro i informuj mnie. Doprowadzisz tę sprawę do końca, Starkey, jestem tego pewien. Zresztą podobnie jak zastępca szefa.

Nic nie odpowiedziała. Miała już odejść, gdy Kelso poruszył się nerwowo i zapytał:

- No i jak, Carol? Dajesz sobie radę?

Wstał zza biurka i podszedł do niej blisko, jakby chciał powąchać jej oddech.

- Daję.

- To świetnie. Jedź teraz do domu i dobrze się wyśpij. Trzeba wypoczywać, by mieć jasny umysł.

Opuściła gabinet Kelsa z nadzieją, że nie spotka po drodze Pella. Było już po szóstej, gdy włączyła się w śródmiejski ruch, nie pojechała jednak w stronę domu. Skierowała się na zachód, do baru Barrigana w okręgu Wilshire.

Nie minęło jeszcze dwanaście godzin od chwili, gdy wysuszyła swoją piersiówkę i obiecała sobie solennie, że kończy z pićciem. Do diabła z obietnicami! Połknęła dwie tabletki łagametu i przeklęła w duchu swoje zasrane szczęście, które sprowadziło jej na głowę agenta ATF.

Agent specjalny Jack Pell

Pell siedział w białym pokoiku niewiele większym od trumny i czytał materiały śledztwa. Dostarczono mu wstępne ustalenia sekcji pirotechnicznej, laboratorium kryminalistycznego i wyniki sekcji zwłok pirotechnika.

Musiał przyznać, że pracownicy laboratorium wydziału policji Los Angeles i sekcji pirotechnicznej wykonali naprawdę pierwszorzędną robotę, choć doznał rozczarowania, że znaleziono tylko jedną literę - „S”. Spodziewał się, że będzie ich więcej, miał jednak pełne zaufanie do pracy eksperta kryminalistyki; Chen z pewnością niczego by nie przegapił. Wyniki pracy anatomopatologa Pell przyjął z mniejszym uznaniem.

W protokole z autopsji nie odnotowano jednego ważnego kroku.

Wyszedł z plikiem raportów na korytarz, gdzie czekał Santos.

- Nie wie pan, czy lekarz patolog zrobił rentgen całego ciała Riggia?

- Nie mam pojęcia. Jeśli nie ma tego w protokole, pewnie nie.

- Nie ma, a powinno być.

Pell przekartkował protokół z sekcji zwłok i znalazł nazwisko lekarza, który go podpisał. Lee Richards.

- Czy Starkey jeszcze tu jest?

- Już wyjechała.

- Porozmawiam w takim razie z porucznikiem Kelso.

Dwadzieścia minut później, gdy Kelso wykonał dwa telefony, by zlokalizować Richardsa, Santos podwiózł Pella do budynku medycyny sądowej, który mieścił się na tyłach wydziału lekarskiego Uniwersytetu Południowej Kalifornii.

Kiedy Santos zamierzał wysiąść z samochodu, Pell powstrzymał go:

- Niech pan sobie zapali i poczeka tu na mnie.

- Nie palę.

- Nie wejdzie pan tam ze mną.

Pell zauważył, że Santos poczuł się dotknięty, ale guzik go to obchodziło.

- Myśli pan, że mam ochotę patrzeć, jak patolog patroszy mojego kolegę? Wezmę sobie kawę i poczekam w holu.

Przeciwko temu Pell nie mógł oponować, więc ruszyli razem ku drzwiom, chrzęszcząc butami na żwirze.

Santos wylegitymował się przed strażnikiem i poszedł po kawę. Po paru minutach zjawił się Richards i poprowadził Pella do zimnej, wyłożonej kafelkami pracowni rentgenowskiej, dokąd po chwili dwa technicy wtoczyli wózek z ciałem

Riggia spoczywającym w zapiętym na suwak nieprzejrystym plastikowym worku. Pell i Richards przyglądali się w milczeniu, jak wyjmują je z worka i układają na stole. Wielkie

nacięciu w kształcie litery „Y” na klatce piersiowej i brzuchu, które patolog zrobił podczas sekcji, było już zaszyte, podobnie jak większe rany od odłamków.

Richards przyjrzał się zwłokom, wyraźnie kontent ze swojego dzieła.

- Rany wlotowe, jak pan widzi, są dobrze widoczne. Prześwietliliśmy wszystkie te miejsca i usunęliśmy odłamki.

- W tym sęk - powiedział Pell. - Jeśli będzie pan patrzył tylko tam, gdzie widać rany wlotowe, może pan wiele przeoczyć. Znam przypadek, gdy odłamek odbił się od miednicy i po kości udowej dotarł aż do stawu kolanowego.

Z twarzy Richardsa dało się wyczytać powątpiewanie.

- Przypuszczam, że to możliwe.

- Ja wiem, że możliwe. Gdzie są jego dłonie?

Patolog zmarszczył brwi.

- Słucham?

- Nie znaleziono dłoni?

- Ależ tak! Pamiętam, że je badałem.

Richards popatrzył na kościste kikuty nadgarstków, po czym spojrzał gniewnie na współpracowników.

- Gdzie się podziały jego łapska?

Technicy pogrzebali w worku i wydobyli dłonie. Były nadpalone żarem wybuchu i zniekształcone przez falę uderzeniową. Wyglądało na to, że Richards odetchnął z ulgą.

- Widzi pan? Są. U nas nic nie ginie.

Zajaśniał dumą, że może się wyliczyć ze wszystkich części ciała nieboszczyka.

- Najpierw obejrzymy sobie zwłoki pod fluoroskopem. Jeśli coś znajdziemy, zaznaczymy to, dobrze? Będzie szybciej, niż gdybyśmy guzdrali się z rentgenem.

- Słusznie.

- Nie lubię aparatów rentgenowskich. Nawet przy całym tym ekranowaniu boję się raka.

- Słusznie.

Pell dostał parę złotych gogli. Przyglądał się obojętnie, jak wtaczają wózek z ciałem Riggia za fluoroskop, który

przypominał nieczynny telewizor z płaskim ekranem, ale gdy Richards włączył aparaturę, ekran stał się nagle przezroczysty. Zwłoki Riggia straciły konsystencję ciała stałego, nabierając przezroczystości żelatyny z tkwiącymi w niej nieprzeniknionymi zielonkawymi cieniami szkieletu kostnego. Richards wyregulował ostrość.

- Przyjemne, prawda? Od tego nie zetną się panu kiszki jak od promieni rentgena. Żadnych nowotworów.

Idąc za jego wskazówkami, technicy powoli przesuwali zwłoki za ekranem. Ujawniły się trzy wyraźnie zaznaczone cienie poniżej kolan, dwa w lewej, jeden w prawej nodze, wszystkie mniejsze od śrucin z wiatrówki.

- Tu się schowały, łajdaki.

Pell spodziewał się nawet liczniejszych odkryć, ale strój antywybuchowy dobrze zdał egzamin i jedynie odłamki o większej masie zdołały się przebić przez kevlar.

Richards zerknął na niego z ukosa.

- Chce je pan mieć?

- Co do sztuki, doktorze.

Richards zaznaczył mazakiem punkty na ciele.

Obejrawszy na ekranie fluoroskopu całe ciało, znaleźli jeszcze osiemnaście metalowych odłamków, z których tylko dwa miały znacznie większe rozmiary: jeden, na cal długi kawałek skrzyżowanego metalu, utkwiał w stawie biodrowym Riggia, drugi, półcalowy prostokątny odłamek, Richards przegapił, gdy usuwał garść odłamków z tkanki miękkiej prawego barku trupa.

Gdy patolog wydobył z ciała bryłki metalu, wyższy z techników obmył zakrzepłą krew i położył je na szklanej tacy. Pell obejrzał wszystkie dokładnie, lecz nie znalazł żadnych grawerunków ani znaków.

W końcu Richards wyłączył ekran i podniósł na czoło gogle.

- Skończono.

Pell nie odezwał się, dopóki nie opłukano ostatniego odłamka, ze wszystkich największego. Tak bardzo pragnął odkryć na nim jakiś znak, że aż rozłomotało mu się serce, jednak mimo dokładnych oględzin niczego nie znalazł.

- Myśli pan, że któryś z tych odłamków na coś wam się przyda?

Pell nie odpowiedział.

- Proszę pana?

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, doktorze.

Richards ściągnął rękawiczki i zerknął na zegarek z Myszka Miki na tarczy.

- Rano prześlemy te fragmenty do laboratorium. Musimy je zapieczętować, stanowią materiał dowodowy.

- Wiem. Wszystko w porządku, dziękuję.

Nic nie było w porządku, czuł zawód i wściekłość. Bał się, że może za chwilę wybuchnąć.

Pomyślał, że się spóźnił, że Mister Red już stąd wyjechał, a może w ogóle nie zawitał do LA, gdy wyższy z techników przypomniał o dłoniach.

- Panie doktorze, prześwietlamy dłonie, czy mam wszystko spakować i fajrant?

Patolog mruknął, że nie miałby nic przeciwko fajrantowi, wziął jednak dłonie Riggia i umieścił je pod fluoroskopem. Między kośćmi śródrecza lewej ukazały się dwa jasnozielone cienie.

- Cholera. Wygląda na to, że coś jednak prześlepił się.

Richards wyłuskał oba odłamki pincetą i oddał technikowi, które je opłukał i ułożył obok pozostałych.

Pell obejrzał te fragmenty równie uważnie jak poprzednie. Obracał je w palcach bez większej nadziei, gdy nagle gwałtowniej zabiło mu serce.

Na powierzchni większego z odłamków widniało sześć małych wygrawerowanych liter. Zmartwiał ze zgrozy. Nie tego się spodziewał. Zupełnie nie tego. Serce waliło mu jak młotem.

Usłyszał za sobą głos Richardsa:

- Odkrył pan coś ciekawego?

- Nic szczególnego, doktorze.

Zamknął w dłoni odłamek z wygrawerowanymi literami, a drugi położył na tacy wśród pozostałych fragmentów. Nikt nie zauważył, że odłożył tylko jeden odłamek.

Richards musiał coś wyczytać w jego oczach.

- Dobrze się pan czuje, agencie Pell? Może szklankę wody?
Pell wziął się w garść i przybrał obojętną minę.

- Nic mi nie jest, doktorze. Dziękuję, że zechciał poświęcić mi pan czas.

Gdy wyszedł na korytarz, strażnik przyjrzał mu się małymi okrągłymi oczkami.

- Szuka pan Santosa?

- Owszem.

- Wziął kawę i poszedł do auta.

Pell ruszył w stronę drzwi, gdy nagle wybuchły mu przed oczami czerwone gwiazdki i chwyciły go straszne mdłości. Świat wokół gwiazdzistych rozbłysków pociemniał i zaroił się jakby żywymi robakami, które wiły się i skręcały.

- Kurwa, tylko nie teraz - wycedził szeptem.

- Słucham? - zaciekawił się strażnik.

Pell przypomniał sobie o męskiej toalecie w bocznym korytarzu. Zamrugał powiekami, by odgonić ciemniejące gwiazdki, i dopadł drzwi. Po plecach i piersiach spływał mu zimny pot.

Ledwo dobiegł do umywalki, ścisnął mu się żołądek i zwymiotował. Miał wrażenie, że w toalecie jest zimno niczym w chłodni.

Nawet kiedy zamknął oczy, nie przestał widzieć wijących się kształtów. Wirowały w powietrzu na tle czarnej pustki, obracając się wolno jak napelnione helem baloniki. Odkręcił kran z zimną wodą i znów zwymiotował. Obmył twarz, by zmyć kwaśny odór, a potem żołądek skurczył mu się po raz trzeci i mdłości wreszcie minęły.

Usłyszał w holu głosy; wydało mu się, że rozpoznaje głos Santosa.

Zerwał ręcznik z wieszaka, namoczył w zimnej wodzie i zataczając się, wpadł do kabiny. Kiedy się wyprostował, poczuł zawrót głowy.

Usiadł na sedesie i przycisnął ręcznik do twarzy.

Robił tak nie po raz pierwszy, uświadomił sobie jednak ze zgrozą, że odstępstwa między atakami stają się coraz krótsze. Wiedział, co to znaczy, i przeraził się jak jeszcze nigdy dotąd.

Usiadł na podłodze i oddychał przez wilgotny ręcznik, czekając, aż znikną wirujące zmory. Potem wyjął metalowy odłamek, który wykradł z laboratorium, i mrużąc oczy, odczytał grawerowane litery.

Nie zdradził Kelsowi i Starkey wszystkiego, co wiedział o Mister Redzie. Zataił przed nimi, że ten zamachowiec nie morduje przypadkowych pirotechników, lecz starannie wybiera ofiary, zazwyczaj spośród doświadczonych techników mających na koncie sprawy, które trafiły na pierwsze strony gazet. Nie atakował kogo popadło. Zabijał tylko najlepszych z najlepszych.

Kiedy Pell usłyszał o literze „S”, pomyślał, że mogła stanowić część imienia Charles.

Był w błędzie.

Ponownie odczytał napis na odłamku.

TARKEY

Czerwona furia

GANGSTER GINIE W ZAMACHU BOMBOWYM OFIARY WŚRÓD NIEWINNYCH OSÓB

Lauren Bath
Specjalnie dla „Miami Herald”

Diego „Sonny” Vega, uznawany za głównego płatnego mordercę kubańskiej mafii, zginął w czwartek o świcie, gdy seria wybuchów zniszczyła należący do niego magazyn. Do eksplozji doszło tuż po trzeciej rano. Nie wiadomo, czy pan Vega został zgładzony celowo, czy znalazł się na miejscu przez przypadek.

Magazyn przemysłowy był w istocie fabryką taniej odzieży, produkującą podróbki kilku znanych marek. Zginęło pięciu spośród zatrudnionych na czarno robotników, a dziewięciu odniosło rany.

Rzecznik policji Evelyn Melancon powiedziała nam: „Nie ulega wątpliwości, że to był nielegalny zakład produkcyjny. Nie wiemy na razie, czy celem ataku był sam pan Vega, czy jego przedsiębiorstwo. Dotąd nie znamy osoby zamachowca”.

Strażacy i pirotechnicy z wydziału kryminalnego przeszukują rumowisko w poszukiwaniu...

John Michael Fowles doznał rozczarowania, że artykuł zamieszczono dopiero na trzeciej stronie, lecz postanowił nie okazywać tego po sobie. Rozzłościło go też, że nie podano żadnej wzmianki o Mister Redzie ani o świetnej robocie, jaką wykonał. Złożył gazetę i oddał ją Angelowi Rossi, facetowi, który go skontaktował z Victorem Karpovem.

Rossi sprawiał wrażenie zaskoczonego, że John zwraca mu gazetę.

- Znajdzie pan więcej na następnej stronie.

- To tylko zwykły artykuł, panie Rossi. Wolałbym poczytać nadruki na papierkach, które pan ma w tej torbie, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Oczywiście.

Rossi wręczył mu nerwowo torbę z pieniędzmi, które Karpov był winien. Sam Karpov nie przyszedł na spotkanie. Wymówił się chorobą jak uczeń, któremu nie chce się iść do szkoły, ale John znał prawdziwy powód: Victor Karpov umierał ze strachu.

Podobnie jak poprzednim razem, John nie zadał sobie trudu, by przeliczyć forszę, nie otworzył nawet torby. Włożył ją do plecaka, który postawił na podłodze. Umawiając się z Rossim na spotkanie w dziale periodyków biblioteki publicznej w West Palm Beach, musiał mu wyjaśnić, co to są „periodyki”.

Opierając się łokciami o stół, posłał rozmówcy uśmiech wiejskiego przygłupa.

- Niech się pan nie denerwuje, panie Rossi. Jesteśmy czyści. Nie zalegamy z oddaniem wypożyczonej książki, prawda?

Rossi zerknął spłoszony przez ramię, jakby stała już za nim policja biblioteczna; najwyraźniej nieswojo się czuł w tym przybytku. John zastanawiał się, czy grubas kiedykolwiek był w bibliotece, nie licząc przypadków, gdy w szkole średniej zamknięto go tam po lekcjach.

- To głupie, Red, żeby się umawiać w bibliotece. Jaki świrus omawia takie sprawy w bibliotece?

- Chyba tylko taki jak ja. Widzisz, Angelo, po prostu lubię porządek, jaki panuje w bibliotekach. To ostatnie miejsca, gdzie ludzie przestrzegają jeszcze jakichś manier, nie uważasz?

- Możliwe. Po chuja się tak ufarbowales?

- Żeby mnie lepiej zapamiętano.

Oczy Rossiego zwięzły się podejrzliwie. John wyobraził sobie zardzewiałe koła zębate zgrzytające pod czaszką grubasa i omal nie parsknął śmiechem, choć skądinąd wcale nie uważał Rossiego za tępaka.

- Spokojna główka, partnerze. Mister Red ma swoje powody.

- Kapuję. Mister Red, dlatego taki kolor.

- Bingo.

John miał tego dnia włosy krótko przystrzyżone i ufarbowane na kolor jadowicie czerwony, który fryzjer zareklamował jako „ognisty szal namiętności”. Szklą kontaktowe zabarwiały mu oczy na zielono. Baczki miał długie, spiczaste. Pod dolne dziąsła wetknął waleczki z gazy, żeby nadać szczęce kwadratowy kształt. Ponadto włożył buty na koturnach, które przydawały mu trzy cale wzrostu.

Gdyby Rossi znał prawdziwy powód, dla którego jego rozmówca tak się przeinaczył, umarłby na zawał.

- Słuchaj, Red, moi kumple z Jersey mieliby dla ciebie nową robótkę.

- Tu czy u nich?

- Jeden kubański skurwiol obrabia nam w pobliżu Key West łodzie z marychą.

John pokręcił przecząco głową, zanim tamten skończył.

- Nic z tego, panie Rossi. Chętnie bym wam wyświadczył tę małą przysługę, ale tylko patrzeć, jak grunt zacznie mi się tutaj palić pod nogami.

- Tylko posłuchaj, Red, dobra? Ta robota to pryszcz. Chcemy tylko uziemić jednego bambusa i kropka.

- Więc go kropnij. Przecież to dla ciebie nie pierwszyzna.

Rossi sprawiał wrażenie wzburzonego, co Johna zastanowiło. Nie spodziewał się, że tamten zaproponuje mu nową fuchę, i zaczęło go wnerwiać, że traci tylko niepotrzebnie czas. Wolałby, żeby grubas już się zmył, bo chciał się wziąć do roboty. Tej, która naprawdę przywiodła go do biblioteki.

- Kurwa, nie chodzi tylko o to, żeby podejść do czarnucha i go kropnąć. Do tego mógłbym nająć kogoś z tych gówniarzy. Chcemy dostać jego, rodzinę i całe to jebane gniazdo, kapujesz. Przekazać sygnał. Robota jak szyta na ciebie.

- Nie mogę panu pomóc, panie Rossi. Gdyby zaproponował mi pan robotę w jakimś innym stanie, moglibyśmy pogadać. Tutaj to wykluczone. Mam do załatwienia pewną prywatną sprawę.

Rossi rozejrzał się nerwowo i przysunął bliżej krzesło. Ponieważ nie reagował na wyraźne sugestie, by się zabierał, John domyślił się, że z góry zawiadomił facetów z Jersey, iż Mister Red się zgadza.

- Kurwa, gliny nic na ciebie nie mają, nie skojarzą cię z tym fiutem Vega. Widziałeś gazetę. Nic, kurwa, nie wiedzą.

- Nie ufaj zaudito słowu drukowanemu, Angelo. A teraz wybacz, mam tu pewną sprawę do załatwienia, więc gdybyś był tak dobry...

Prawdę mówiąc, John wiedział znacznie więcej niż Rossi i gazety na temat ustaleń śledztwa w sprawie wybuchu w magazynie. Około jedenastej wieczorem poprzedniego dnia laboratorium szeryfa hrabstwa Broward otrzymało odeń mały biczek. Wprowadzili wstępne wyniki badań laboratoryjnych i dane o znalezionych materiałach do bazy danych systemu komputerowego FBI, komputer porównał je z cechami charakterystycznymi innych urządzeń wybuchowych, jakich użyto na terenie kraju, po czym w biurze szeryfa, w terenowym oddziale ATF, w centrali FBI i centrali ATF w Waszyngtonie ogłoszono alarm. John nie miał w tej mierze niezbitą pewności, przypuszczał jednak, że kiedy siedział tu z Rossim w chłodnym, klimatyzowanym wnętrzu biblioteki, agenci z terenowego oddziału ATF wszczynali gorączkowe działania, idąc tropem uzyskanej informacji. I o to mu właśnie chodziło.

- Proszę cię, Red. Zarobiłbyś kupę szmalu, możesz mi wierzyć. Powiedzmy, dwa razy tyle, ile wzięłeś od Karpova, co ty na to?

- Przykro mi, proszę pana. Nic z tego.

- Stawiasz nas pod ścianą.

- Bynajmniej. Wydaje mi się, że to ty stoisz pod ścianą, zgadłem? Wstawiłeś kit tym makaroniarzom z północy i teraz boisz się o własną skórę.

Rossi ponownie powiódł wokół wzrokiem.

- Dobra, niech będzie, że wyświadczasz mi przysługę, co? Mogę ci zaraz powiedzieć wszystko, co potrzebujesz wiedzieć o tym czarnuchu. Kurwa, chcesz, to sam cię do niego zawiozę.

- Obejdzie się. Dziś nie mam bambusów w karcie. A teraz się łaskawie odpalantuj, dobra?

Nozdrza Rossiego rozděły się, a jego ręka wsunęła pod marynarkę. Trzydzieści parę stopni gorąca i sto procent wilgotności powietrza, a ten głupi makaroniarz miał na sobie sportową marynarkę, jakby się za dużo naoglądał *Chłopców z ferajny*.

John wznosił oczy do nieba.

- Błagam, panie Rossi, nie bądźmy niepraktyczni. Takie rzeczy w bibliotece? W dziale periodyków? Pan pewnie zresztą sądzi w swej tępotcie, że „periodyk” to przypadłość pięknych dam.

Szczęka Rossiego pracowała tak intensywnie, jak gdyby żuł gumę.

John uśmiechnął się jeszcze szerzej, potem pozwolił, by jego uśmiech zgasł, i nachylił się do rozmówcy. Wiedział, że grubas się go boi. Wiedział, że za chwilę jeszcze bardziej się przestraszy.

- Coś ci poradzę, Angelo: udaj, że coś ci spadło, i schyl się, by to podnieść. Jak już się schylisz, przyjrzyj się od spodu blatowi tego stołu.

Rossi zamrugał powiekami.

- Coś tam przyczepił?

- Sam się przekonaj, bracie. Nie pójdziesz za to do kicia.

John wziął gazetę ze stołu i upuścił ją na podłogę.

- Schył się i zobacz, co? Wystarczy rzucić okiem.

Rossi nie schylił się jednak po gazetę. Powoli, nie odrywając wzroku od Johna, zsunął się z krzesła i kucnął. Gdy się na powrót podniósł, twarz miał kredowobiałą.

- Ty pieprzony pojebańcu.

- Trafna uwaga, Angelo. A teraz idź i sam sobie sprzątnij tego czarnego kutasa. Współpracę podejmiemy przy innej okazji.

Rossi rozłożył ręce w geście rezygnacji, cofnął się i wpadł tyłem na dwie nastolatki, które usiłowały skorzystać z komputera.

Po jego wyjściu John przyjrzał się siedzącym przy sąsiednich stolikach. Były to w większości osoby w podeszłym wieku, zajęte lekturą gazet i czasopism. Grupka przedszkolaków na swego rodzaju wycieczce poznawczej w terenie. Cichutki mężczyzna czytający powieść Deana Koontza. Wszyscy oni spokojnie sobie żyją, nieświadomi niebezpieczeństwa.

John obrócił się do ekranu komputera i wpisał w oknie przeglądarki adres strony FBI: www.fbi.gov.

Gdy wyświetliła się strona główna, kliknął ikonę „Dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców” i patrzył, jak strona się ładuje.

Ukazało się dziesięć małych obrazków, każdy z linkiem do własnej strony. John obejrzał je sobie jeszcze przed przyjściem Rossiego, w nadziei, że znajdzie wśród nich swoją fotografię. Wtedy jej nie było, teraz również nie.

Doskonały przykład na opieszałość organów ścigania - pomyślał z irytacją.

Rozczarowany, wrócił na stronę główną i kliknął ikonę „Niezidentyfikowani podejrzani”. Ukazało się dziewięć obrazków, w tym trzy portrety wykonane przez rysowników policyjnych. Jeden z rysunków przedstawiał elegancko ubranego młodego mężczyznę z łysinką, kępką kasztanowatych włosów, piwnymi oczami i w okularach w fikuśnej oprawce. John

głodził się wtedy przez dwa tygodnie, nim pokazał się publicznie i pozwolił, by świadkowie go zapamiętali. Na rysunku wyglądał na wychudzonego, wręcz wynędzniałego. Do tego miał na sobie białą koszulę i ciemny krawat. Krótko mówiąc, zupełnie nie przypominał swego prawdziwego wizerunku, podobnie zresztą jak dzisiaj.

Kliknął na rysunek i przeniósł się na stronę zawierającą krótki (choć niedokładny) opis jego wyglądu zewnętrznego wraz z katalogiem zbrodni, o których popełnienie był podejrzany. Oskarżenia obejmowały seryjne ataki bombowe i morderstwa. Ucieszył się, że federalni uważają go za „wyjątkowo groźnego przestępcę”, który „używa w celach przestępczych urządzeń wybuchowych o skomplikowanej konstrukcji”. To co prawda nie to samo, co miejsce na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych, ale zawsze coś.

John uważał, że nie umieszczenie go na tej liście było ze strony FBI chamstwem i nietaktem. Plus świadectwem karygodnie niemrawych działań. Znajdowali się na niej arabscy terroryści, popaprańcy ze skrajnej prawicy i narkomani, którzy przypadkiem zabili policjanta. John posłał na tamten świat więcej śmiertelników niż wszyscy ci palanci razem wzięci. Uważał siebie za najgroźniejszego zamachowca, jaki chodzi wolno po tym świecie, i oczekiwał, że będzie traktowany stosownie do swojej klasy.

Doszedł do wniosku, że musi po prostu podbić stawkę.

Zamierzał przekazać przesłanie. Pod blatem stołu przyczepił urządzonego, które skonstruował specjalnie na tę okazję. Było proste, eleganckie i podobnie jak wszystkie jego konstrukcje - opatrzone sygnaturą twórcy. Miejscowe władze zorientują się za parę godzin, że miały zaszczyt gościć na swym terenie Mister Reda.

- Przepraszam, już pan skończył?

Stała za nim starsza, pękata damulka z kołonoratnikiem w ręku.

- Chciałaby pani skorzystać z komputera?

- Tak. Oczywiście, jeśli pan już skończył.

John uśmiechnął się przyjaźnie, podniósł z ziemi plecak i podsunął starszej pani krzesło. Zanim wstał, sięgnął pod blat i włączył mechanizm zegarowy.

- Owszem, łaskawa pani, właśnie skończyłem. Proszę, zechce pani usiąść. To krzesło jest tak wygodne, że pupa się pani zaśmieje.

Starsza pani zachichotała.

John pożegnał ją i wyszedł na zalaną słońcem ulicę.

4

Starkey obudziła się nazajutrz kompletnie rozbita. Leżała skręcona na kanapie, z zeszywniałą szyją i taką suchością w ustach, jakby miała w nich owczą wełnę. Była czwarta nad ranem. Spała dwie godziny.

Nie spodobał jej się sen. Pojawiła się w nim nowa figura - Pell. Gonił ją. Uciekała co sił w nogach, mimo to poruszała się jak mucha w smole, podczas gdy on biegł rączo. Wcale jej się to nie podobało. Pell miał w tym śnie palce kościste i ostre niczym szpony. To również jej się nie podobało. Od czasu wypadku śniła zawsze o tym samym, z odmiany jednak wcale się nie ucieszyła. Wystarczyło, że drań wmieszał się do śledztwa; wołałaby, żeby zostawił w spokoju jej koszmary senne.

Zapaliła papierosa i powlokła się do kuchni, gdzie znalazła resztkę nieskwaśniałego soku pomarańczowego. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy była ostatnio na zakupach, i nie mogła. Jedynymi towarami, jakie kupowała w ilościach wystarczających, były dżin i papierosy.

Wlała w siebie sok, popiła szklanką wody i zaczęła przygotowania do rozpoczęcia dnia. Na śniadanie połknęła dwie aspiryny i tabletkę tagametę.

Marzik nagrała wiadomość na pocztę głosowej; miały się spotkać ze świadkiem, chłopakiem o nazwisku Lester Ybarra, pod kwaciarnią o dziewiątej, bo o tej godzinie otwierali. Przed wpół do szóstej Starkey była już na Spring Street i wspi-

nała się po schodach do swojej przegródki. Komenda policji tonęła w ciszy. Żaden oddział, ani kryminalny, ani zbiegów, ani wewnętrzny, nie pracował na nocną zmianę. Dowódcy byli uchwytli na pagerach i w razie potrzeby mogli kontaktować się telefonicznie z podległymi sobie funkcjonariuszami. Wydział zbiegów (wymagał tego charakter jego zadań polegający na tropieniu uciekinierów) często zaczynał pracę już o trzeciej nad ranem, aby przyskrzynić zbiegłych ptaszków w łózkach. Tego jednak dnia na schodach było całkiem pusto i kroki dudniły echem w cichej świątyni klatki schodowej.

Starkey to odpowiadało.

Powiedziała kiedyś Danie, że lubi wstawać wcześniej od innych, bo daje jej to poczucie przewagi. Skłamała. Lubiła samotność. Nikt jej nie truł głowy. Nikt nie oglądał się za nią i nie myślał: to ta, którą rozerwała bomba i którą później zeszyto niczym potwora Frankensteina; ta, która straciła partnera, a sama ocalała. Dana ją przejrzała; zapytała, czy nigdy nie czuła na sobie ciężaru takich spojrzeń i nie miała wrażenia, że słyszy takie myśli. Starkey, ma się rozumieć, zaprzeczyła, ale gdy się nad tym później zastanowiła, przyznała terapeutce rację. Samotność działała jak czar, który ją czynił wolną.

Otworzyła drzwi wydziału terroru kryminalnego, włączyła automat do kawy i podeszła do swojego biurka. Podobnie jak wszyscy detektywi CCS miała na biurku wykazy producentów materiałów wybuchowych, ale - w odróżnieniu od kolegów - także podręczniki i skrypty z centrum szkolenia techników bombowych FBI w Redstone oraz katalogi, jakie zgromadziła podczas pracy w sekcji pirotechnicznej.

Przyniosła na biurko kubek z kawą, zapaliła nowego papierosa i zagłębiła się w lekturze.

Modex hybrid był trójskładnikowym materiałem wybuchowym używanym jako zapalnik w detonatorach pocisków klasy powietrze-powietrze. Gorący, szybki i niebezpieczny. „Trójskładnikowy” znaczyło, że był mieszaniną trzech podstawowych materiałów wybuchowych, połączonych razem, by stworzyć związek silniejszy i trwalszy od każdej z części

składowych. Starkey wyjęła notes i zapisała składniki: RDX, TNT, kwas pikrynowy, sproszkowane aluminium, воск i chlorek wapniowy.

RDX, trotyl i kwas pikrynowy były substancjami silnie wybuchowymi. Sproszkowanego aluminium używano dla wzmocnienia siły wybuchu. Воск i chlorek wapniowy pełniły funkcję stabilizatorów.

Chen znalazł w modeksie zanieczyszczenia i po konsultacji z producentem doszedł do wniosku, że materiał użyty w bombie, która zabiła Riggia, nie pochodził z produkcji rządowej. Zrobiono go sposobem chałupniczym, zatem można było wytropić źródło pochodzenia.

Starkey zakonotowała sobie w pamięci tę okoliczność, po czym poszukała w podręcznikach informacji na temat składników podstawowych.

Trotyl i kwas pikrynowy były powszechnie dostępne na rynku. Konstruktor bomby mógł je kupić niemal wszędzie. Z RDX rzecz przedstawiała się inaczej. Podobnie jak modex, produkowano go dla wojska wyłącznie na zamówienia rządowe, ale - w odróżnieniu od modeksu - był zbyt skomplikowany, by można go wytworzyć w warunkach domowych. Na przykład w mikrofalówce. Takiej właśnie informacji szukała, otwierając podręczniki. Amator mógł wyprodukować modex, mając pod ręką składniki, lecz nie był w stanie wyprodukować wszystkich potrzebnych składników. Musiał w jakiś sposób zdobyć RDX, to zaś znaczyło, że można będzie ustalić pochodzenie komponentu.

Starkey postanowiła od tego zacząć.

Podeszła ze swymi notatkami do komputera połączonego z siecią wewnętrznego obiegu informacji w systemach policyjnych, nałapała sobie świeżą filiżankę kawy, wypełniła odpowiedni blankiet na ekranie i poprosiła o materiały na temat RDX. Zanim wystukała wszystko na klawiaturze, pojedynczo zaczęli się schodzić inni detektywi. Skończyła się cisza. Czar prysnął.

Starkey pozbierała swoje rzeczy i wyszła.

Kiedy podjeżdżała pod kwiaciarnię, Marzik pakowała właśnie do bagażnika produkty Amwaya. Wszędzie ze sobą wozila ten cholerny chłam i wciskała go ludziom w najmniej odpowiednich chwilach, nawet w trakcie przesłuchiwania świadków czy - bo i to się dwa razy zdarzyło - podejrzanych.

Starkey poczuła skurcz w żołądku. Postanowiła nie opieprzać Marzik za to, że doniosła na nią porucznikowi Kelso, mimo to aż się w niej zagotowało.

Spotkały się na chodniku. Marzik przywitała ją pytaniem:

- Czy ten fiut z ATF odbierze nam sprawę?

- Twierdzi, że nie, ale diabli wiedzą. Beth, mam nadzieję, że nie handlowałaś tutaj tym głównym Amwaya?

Marzik z wściekłością zatrzasnęła bagażnik.

- Bo co? Nie mieli nic przeciwko temu. Zrobiłam dobry interes.

- Wyświadczyć mi przysługę i nie wywlekaj tego z bagażnika, dopóki pracujemy nad tą sprawą.

- Pocałuj mnie gdzieś! Ja mam dzieci do wykarmienia.

Starkey już miała ostre słowa na końcu języka, gdy z kwiaciarni wyszedł chudy, niski latynoski nastolatek i wlepił oczy w Marzik.

- Pani detektyw, ojciec każe mi jechać z poranną dostawą.

Marzik przedstawiła mu Starkey jako kierownika grupy dochodzeniowej.

Starkey podała chłopcu rękę. Dłoń Lestera Ybarry była w dotyku wilgotna, co zawdzięczała zapewne powietrzu kwiaciarni. Chłopak pachniał nawozami i oseskiem.

- Siemasz, Lester. Dziękuję, że zgodziłeś się nam pomóc.

Lester zerknął na Marzik i uśmiechnął się skromnie.

- Drobiazg.

Marzik zagaiła:

- Lester widział kogoś, kto korzystał z telefonu po drugiej stronie ulicy między pierwszą a pierwszą piętnaście w dniu wybuchu, zgadza się, Lester?

Chłopak kiwnął głową, a Marzik mu zawtórowała.

- Możesz opisać pani detektyw tego osobnika?

Lester zerknął na Starkey, po czym skierował powłóczyście spojrzenie na Marzik. Tak często obmacywał ją wzrokiem, aż Starkey przyszło do głowy, że pewnie się w niej zakochał, to zaś nasunęło jej podejrzenie, że przynajmniej część swojej relacji zmyślił, by zrobić na wybrance wrażenie.

- Zanim zaczniesz go opisywać - zaproponowała - może pomógłbyś mi wyobrazić sobie całą scenę, dobrze?

- Żaden problem.

- Więc gdzie stała twoja furgonetka? Mniej więcej tu, gdzie teraz mój samochód?

- Mhm.

Starkey zaparkowała dokładnie na wprost wejścia do kwiatarni, przy czerwonej linii na krawężniku oznaczającej zakaz parkowania, jakieś pięć metrów od rogu.

- Zawsze załadowujesz furgonetkę tu na ulicy, wynosicie kwiaty przez te drzwi?

- Mamy trzy furgonetki. Tamte dwie blokowały dojazd od zaplecza, więc musiałem stanąć tutaj. Miałem wyjechać przed wpół do pierwszej, ale w ostatniej chwili dostaliśmy duże zamówienie. Pogrzeb, rozumie pani. Dwanaście wiązanek. Na pogrzebach zgarniamy największą kasę. Ojciec kazał mi czekać, więc podjechałem furgonetką od frontu.

- Czekałeś w szoferce czy pomagałeś ładować kwiaty?

- Kiedy zobaczyłem tego gościa, siedziałem jak raz za kółkiem. Nie miałem nic do roboty, pani rozumie. Moje siostry musiały dopiero ułożyć wiązanek. Więc siedziałem za kółkiem, żeby odjechać, jak się pokażą gliny.

- Parkował przy czerwonej linii - przypomniała Marzik.

Starkey potaknęła. Stojąc tam i słuchając chłopca, spostrzegła, że bardzo niewiele samochodów skręcało z Sunset Boulevard w tę małą boczną uliczkę, Lester miał więc dobry widok na automat telefoniczny wiszący na ścianie pralni po przeciwnej stronie. Z pralni wyszło właśnie starsze małżeństwo z różowym pudłem. Starkey postanowiła podzielić się później z Marzik swoimi spostrzeżeniami.

- Czy mógłbyś mi go teraz opisać, Lester? Wiem, że opi-

sałeś go już detektyw Marzik, ale chciałabym usłyszeć to od ciebie.

Spojrzenia kobiet spotkały się. Dochodzili do punktu kluczowego. Telefonował biały czy Latynos?

Lester zaczął opisywać białego mężczyznę średniego wzrostu i średniej budowy ciała, w spłowiałej niebieskiej czapeczce baseballowej, okularach przeciwsłonecznych (chyba Wayfarers), ciemnoniebieskich spodniach i nieco jaśniejszej roboczej koszuli. Chłopak odniósł wrażenie, że facet miał na sobie jakiś rodzaj kombinezonu, jak pracownik stacji benzynowej albo kierowca autobusu. Starkey notowała. Stwierdzenie, że telefonujący był biały, puściła pozornie mimo uszu. Lester nie słyszał głosu tego gościa. Powiedziałyby, że był po czterdzieście, choć przyznał, że nie ma daru trafnego określenia wieku. Starkey poczuła w pewnej chwili wibrację pagera na biodrze. Sprawdziła numer. Hooker.

Kiedy Lester zamknął, zamknęła notes, zakładając stronę palcem.

- Jak myślisz, rozpoznałbyś tego mężczyznę, gdybyś go znowu zobaczył?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Chyba nie. Może. Nie przyglądałem mu się specjalnie, rozumie pani. Tyle co rzuciłem okiem.

- Nie zauważyłeś, z której strony zbliżył się do telefonu?

- Nie.

- A w którą odszedł?

- Nie zwracałem na to uwagi, rozumie pani. Facet jak facet.

- Wsiadł do samochodu?

Lester wzruszył ramionami.

Starkey odłożyła notes.

- Doskonale, Lester. Widzisz, pozostał tylko jeden problem. Mamy podstawy sądzić, że mężczyzna, który telefonował, był Latynosem. Jesteś pewien, że widziałeś białego?

- Prawie pewien. Miał jasne włosy, pani rozumie? Nie siwe, ale jasne.

Starkey i Marzik ponownie wymienily spojrzenia, nie tak

już entuzjastyczne jak poprzedniego dnia. „Prawie pewien” zabrzmiało zbyt słabo.

- Jasnobrazowe?

- Mhm. Jasnobrazowe. Trochę jak piasek.

Marzik zmarszczyła czoło.

- Mogłeś to stwierdzić mimo czapki?

Lester dotknął uszu.

- Po tej części, którą widziałem tu poniżej, rozumie pani?

Starkey uznała to wyjaśnienie za wiarygodne. Otworzyła notes i zrobiła kolejną notatkę. Gdy pisała, przysła jej do głowy nowa myśl.

- Dobra. Ostatnie pytanie. Nie zauważyłeś u niego żadnych znaków szczególnych? Na przykład blizny, tatuażu na ramieniu?

- Miał długie rękawy.

- Nosił koszulę z długim rękawem?

- Aha. Dlatego nie mogłem widzieć jego ramion. Pamiętam, że była stara i zatłuszczona, jakby pracował przy samochodzie albo coś.

Starkey zerknęła na Marzik i napotkała jej zgaszone spojrzenie. Beth była najwyraźniej zawiedziona brakiem pewności Lestera. Kiedy Starkey na powrót zwróciła wzrok na chłopaka, ten wślepiał się właśnie w jej koleżankę.

- Ostatnie pytanie. Jak długo czekałeś przed sklepem? Kwadrans?

- Wciąż pani to powtarza: ostatnie pytanie. Stary da mi wycisk. Muszę rozwieźć te zamówienia.

- Tym razem naprawdę, Lester. Naprawdę ostatnie pytanie. Czy ktoś jeszcze dzwonił z tego automatu, kiedy tu czekałeś?

Wiedziała, że z tego telefonu nie przeprowadzano w tym czasie innych rozmów, chciała się jednak upewnić, czy chłopak nie skłamał, by zrobić wrażenie na Marzik lub przydać sobie znaczenia.

- Nikogo więcej nie widziałem. Chyba nie.

Starkey schowała notes.

- Dobra, Lester, dzięki. Czy mógłbyś pojechać z detektyw

Marzik i popracować z naszym rysownikiem? Zobaczylibyśmy, czy nie udałoby się sporządzić portretu pamięciowego.

- Mnie pasuje, ale mój stary się wścieknie.

- Jedź teraz ze swoimi dostawami, a my postaramy się załatwić to z twoim ojcem. Może zabierzemy cię do nas później przed południem. Detektyw Marzik zaprosi cię na lunch.

Lester pokiwał głową, posłuszny jak owczarek collie.

- W porządku.

Gdy zniknął w drzwiach kwaciarni, Marzik syknęła gniewnie:

- Cholera, musiałas mu to obiecywać? Nie chcę zmarnować dnia w towarzystwie tego gnojka.

- Ktoś musi się nim zająć, a między wami nawiązała się już nie porozumienia.

- Nic z tego nie będzie. Słyszałaś to „prawie”? Kurwa, facet włożył czapkę, okulary przeciwsłoneczne i koszulę z długim rękawem przy temperaturze powyżej trzydziestu stopni. Jeśli to nasz ptaszek, przebrał się dla niepoznaki. Jeśli nie nasz, to po prostu jakiś głupi chuj.

Starkey poczuła gwałtowną potrzebę połknięcia kolejnej tabletki tagamet.

- Dlaczego ty jesteś zawsze tak negatywnie nastawiona?

- Nie jestem nastawiona negatywnie. Po prostu stwierdzam fakty.

- Dobra, więc rozważ i taki: jeśli to jest nasz ptaszek, jeśli nosił to samo ubranie, gdy detonował bombę, jeśli będzie na taśmach stacji telewizyjnych, dzięki tej pieprzonej czapce, okularom i koszuli z długim rękawem łatwiej go będzie wypatrzeć.

- Możliwe. Pójdę pogadać ze starym tego gnojka. Swoją drogą, to kawał chama.

Marzik zamilkła i weszła do sklepu. Starkey wystukała z paczki papierosa, zapaliła i zawróciła do samochodu. Z wściekłości aż się trzęsła. Najpierw Pell, a teraz jeszcze ta kretynka! Spróbowała się opanować, miała pracę do wykonania, a wiedziała, że gniew jej nie służy. Usiłowała sobie przypomnieć

wpajane przez Dane sposoby wygaszania złych uczuć, lecz nie była w stanie. Trzy lata terapii i nawet nie potrafi sobie przypomnieć tych cholernych zakłęb!

Zaczęła się przyglądać klientom pralni; liczyła, ilu z nich przechodziło obok telefonu. Kiedy Marzik wyszła z kwaciarni, zaczerpnęła głęboko powietrza, chcąc się uspokoić.

- Beth, ty rozmawiałaś z pracownikami pralni, prawda?

Marzik, naburmuszona, patrzyła w inną stronę.

- Już ci mówiłam.

- Pytałaś, czy o określonej porze nie widzieli mężczyzny odpowiadającemu rysopisowi Lestera? Uważam, że któryś z klientów mógł widzieć tego drania.

Marzik wyjęła z torebki notes, otworzyła go na liście nazwisk i z nadąsaną miną podsunęła Starkey.

- Zapytałam ich o każdego klienta, jakiego zapamiętali między dwunastą a drugą. Nie jestem idiotką, Carol.

Starkey obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem, cisnęła papierosa na ziemię i rozgniotła butem.

- Dobra, nie chciałam poruszać tego tematu, ale myślę, że powinnyśmy sobie wyjaśnić pewne sprawy.

- Na przykład jakie? To, że trujesz mi dupę z powodu Amwaya, czy to, że ten smark nie okazał się taki wiarygodny, jak myślałam?

- Powiedziałaś Kelsowi, że piję na służbie.

Marzik oblała się rumieńcem, czym potwierdziła podejrzenia Starkey.

- Ale skąd! On ci tak powiedział?

- Słuchaj, Beth, nasza współpraca i bez tego jest trudna, więc jeśli masz zamiar raczyć mnie kłamstwami, wyświadczyć mi przysługę i wysłuchaj w milczeniu, co ci mam do powiedzenia.

- Nie lubię, gdy się mnie stawia pod pręgierzem.

- Jeśli nie chcesz ze mną pracować, chodźmy do Kelsa i oświadczyć, że nie możemy się zgrać. Powiem mu, że to wzajemna niechęć, więc żadna z nas nie zarobi krechy.

Marzik splotła ramiona, potem je rozplotła i wypaliła Starkey prosto w oczy:

- Jeśli chcesz sobie coś wyjaśniać, proszę, wyjaśnijmy. Wszyscy w wydziale wiedzą, że masz problem z alkoholem. To czuć, do cholery! Jeśli nie cuchniesz dzinem, zioniesz odświeżaczami do ust.

Starkey poczuła, że się czerwieni, i tylko siłą woli pokonała pokusę rejterady.

- Wszyscy ci współczują z powodu tego, co się stało. Wsadzili cię do kryminalnego i dbają, żebyś sobie radziła, ale wiesz, co ci powiem? Osobiście mnie to głównie obchodzi, mało mnie to wzrusza. O mnie nikt nie dba, nikt mnie nie dopieszcza, choć mam dwoje dzieci na utrzymaniu.

- Mnie też nikt nie dopieszcza.

Starkey poczuła, że znalazła się nagle na cenzurowanym i zaczyna się bronić.

- Srata-tata! Wszyscy wiedzą, że Dick Leyton użył swoich wpływów w centrali, by Kelso cię przyjął, i nadal rozpina nad tobą parasol ochronny. Ale ja mam dom na głowie i zależy mi na tej robocie. A ta robota nie polega na opiekowaniu się tobą. Nie zamierzam ryzykować kariery, żeby ciebie kryć.

- Nie proszę, żebyś mnie kryła.

- I dobrze, bo ani myślę. Nie zamierzam też prosić o wyłączenie mnie z tej sprawy, bo ta sprawa pachnie awansem. Jeśli się okaże, że facet naprawdę jest biały, chcę, żeby zasługa tego odkrycia mnie przypadła. Za długo już jestem detektywem drugiej grupy, do jasnej cholery! Mam ochotę przeskoczyć do trzeciej. Potrzebuję forsy. Jeśli sobie nie radzisz, sama poprosz o wyłączenie, bo mnie jest potrzebna forsa.

Starkey poczuła wibrację pagera. Również tym razem zgłaszał się Hooker. Poszła do samochodu, żeby oddzwonić z komórki, zadowolona z pretekstu, lecz jednocześnie wściekła na siebie, że wspomniała o alkoholu. Była pewna, że Marzik wyprze się donosu, a skoro tak, nie ma mowy o zwycięstwie. Teraz będzie w niej miała otwartego wroga.

- Hook, to ja.

- Wyciągnęłyście coś z tego chłopaka z kwiaciarni?

- Marzik go do nas przywiezie, żeby popracował z rysownikiem. Możesz to zorganizować?

- Jasne. Słuchaj, mamy te taśmy, o które prosiłaś. Na razie od trzech stacji. Chcesz, żebym zorganizował jakiś pokój na projekcję?

- Mówisz o taśmach nakręconych z helikopterów?

- Mhm. Jest ich cała kupa. Więc mam zorganizować jakieś pomieszczenie?

Starkey wyobraziła sobie obrazy, które się na tych taśmach utrwaliły. Zobaczy wybuch bomby. Zobaczy, jak umierał Charlie Riggio.

- Bądź tak dobry, Jorge. Chciałabym, żeby ten mały również je obejrzał, ale dopiero po seansie z rysownikiem. Inaczej mógłby opisać nam kogoś, kogo na nich zobaczył, tylko dlatego, że jakaś osoba wydała mu się podejrzana.

- Zajmę się tym.

- I jeszcze jedno. Wiesz może, co robił wczoraj wieczorem Pell?

- Nie spodobało mu się coś w raporcie anatomopatologa. Kelso kazał mi go do niego zawieźć.

Starkey poczuła skurcz w żołądku.

- Co mu się nie spodobało?

- Patolog nie prześwietlił całego ciała i Pell mu to nakazał.

- Cholera! I Kelso pozwala mu się tak panoszyć na naszym terenie?

- Nie mogę teraz rozmawiać, Carol.

- Znalazł coś?

- Znaleźli jakieś nowe odłamki, ale mówi, że niewiele wnoszą.

Poczuła ulgę. Może Pell straci zainteresowanie sprawą i wróci do Waszyngtonu.

- Dobra, zorganizuj rysownika i przygotuj pokój, żebyśmy mogli obejrzeć te taśmy. Niedługo będę.

Rozłączyła się i wróciła do Marzik. Postanowiła załagodzić ich spór.

- Wiesz, Beth, dostaliśmy te nagrania wideo. Jorge załatwi

dla ciebie rysownika. Może byś potem przyprowadziła Lestera, by obejrzał taśmy? Może wypatrzy tego gościa w ba-seballówce.

- Możliwe.

- Słuchaj, nie chciałam ci wchodzić na odcisk w sprawie klientów pralni. To był dobry pomysł, żeby zapisać ich nazwiska.

- Dziękuję za uznanie.

Jeśli chce dalej rozmawiać w tym stylu - zachnęła się w duchu Starkey - proszę bardzo.

Wsiadła do wozu, a Marzik została na rozpalonym od słońca chodniku, czekając na Lestera Ybarrę.

Starkey miała zamiar wrócić prosto na Spring Street, ale gdy przejeżdżała obok miejsca, gdzie zginął Riggio, zwolniła i wjechała na parking.

Kiedy usłyszała, że taśmy już są, zaczęła o nich myśleć. Od producenta urządzeń sterowanych radiem dowiedziała się, że maksymalny zasięg nadajnika wynosi sto jardów. Zgodnie z regulacjami postępowania sekcji pirotechnicznej teren zagrożony został zamknięty w promieniu stu jardów, co znaczyło, że zamachowiec musiał się znajdować na samej granicy ogrodzonej strefy. Starkey przyszło na myśl, że taśmy stacji telewizyjnych być może pokażą tłum gapiów, a wśród nich tego, kto zdetonował bombę.

Parking był zupełnie pusty, ogrodzony żółtą taśmą przez policję, ale okoliczne sklepy, z wyjątkiem księgarni, były znów czynne. Dwóch młodych Latynosów malowało uszkodzoną ścianę, kontener na śmieci został wymieniony, a po kraterze powybuchowym pozostała tylko czarna łata na szarym asfalcie. Życie toczyło się dalej.

Starkey zaparkowała na jezdni i ruszyła w kierunku tej łaty. Pobiegła spojrzeniem na drugą stronę Sunset Boulevard, starając się odmierzyć na oko odległość stu jardów, a potem w tym samym celu spojrzała na południe, w głąb bocznej

uliczki biegnącej wzdłuż bloków mieszkalnych. Słońce paliło jej szare spodnium, nagrzewając tkaninę. Zdjęła żakiet i przewiesiła go sobie przez ramię. Malarze wytrzeszczyli oczy na widok odsłoniętego pistoletu, więc przykryła broń żakietem.

Przebiegła Sunset przejściem dla pieszych, po czym obok gwatemalskiego sklepiku ruszyła na północ, licząc kroki, póki nie naliczyła stu trzydziestu. Oceniała, że to będzie mniej więcej sto jardów. Stała w odległości sześciu parkometrów od Sunset Boulevard, mniej więcej o długość samochodu od słupa telefonicznego. Opisała go w notesie, uznawszy, że łatwo go będzie zlokalizować na taśmach wideo, następnie wróciła do łąty na asfalcie i odmierzyła taką samą liczbę kroków na południe. Znalazła się pod wysoką, wrzecionowatą palmą. W terenie, w którym rośli tylko drzewa palmowych, trudno będzie zlokalizować to konkretne. Budynek mieszkalny po przeciwnej stronie ulicy był kryty niebieską dachówką, co sobie zanotowała. Jeszcze dwa razy wracała do epicentrum wybuchu, by odmierzyć krokami tę samą odległość na wschód i na zachód i wyznaczyć charakterystyczne punkty orientacyjne. Kiedy skończyła, zapaliła papierosa i usiadła w samochodzie.

Myślała o tym, że gdzieś w obrębie tego kręgu czaił się morderca.

Może ten facet w baseballówce, którego opisał Lester Ybarra, może Mister Red, o którym mówił Pell, a może ktoś całkiem inny.

Kiedy wróciła na komendę, Hooker porządkował właśnie taśmy w kartonowym pudle.

- Dzwonił ten gość z ATF - oznajmił na wstępie.
- Pell?
- Mhm. Położyłem ci kartkę na biurku.
- Do diabła z nim! Czy Marzik umówiła się już z rysownikiem?
- Nie mają na razie wolnego komputera. Zapytała mnie,

czy nie mogliby najpierw tu przyjechać i obejrzeć taśmy, skoro i tak muszą czekać.

- Nie, i wyjaśniłam jej dlaczego. Chcę, żeby chłopak opisał nam tego, kogo widział, zanim mu pokażemy jakieś twarze. Marzik sama powinna to wiedzieć.

- Uprowadzałem ją, że tak powiesz. Nie była zadowolona.

- Ona jest ze wszystkiego niezadowolona.

Kiedy wkładała torebkę do szafki, spostrzegła stosik różowych karteczek z wiadomościami. Na jej telefony odpowiedzieli Chester Riggs, który pracował w wydziale przestępczości zorganizowanej, i Warren Perez, detektyw trzeciej grupy z okręgu Rampart. Riggs i Perez przesłuchali sklepikarzy z pasażu handlowego, szukając ewentualnych motywów podłożenia bomby. Nie spodziewali się, że odkryją jakiś trop, podobnie zresztą jak Starkey. Na wiadomość od Pella nawet nie spojrziała.

Wróciła do Santosa i przejrzała kasety wideo. Były w dwóch rozmiarach, duże, trzyćwierćcalowe taśmy matki, i półcalowe taśmy VHS, które można odtwarzać na domowych magneto-widach.

Santos dostrzegł zmarszczkę na jej czole.

- A to dopiero z trzech stacji, Carol. Czekamy na następne. Chryste, obejrzenie całego tego materiału zajmie furę godzin. Czasy emisji są podane na kasetach wraz z informacją, czy na taśmie jest zbliżenie, czy szeroki plan.

Starkey obejrzała taśmy, chcąc się zorientować, o czym Santos mówi. Najkrótsza zawierała nagranie trwające siedemdziesiąt cztery minuty. Najdłuższa - sto dwadzieścia sześć minut. Każdą kasetę opatrzone adnotacją ZBLIŻENIE bądź PLAN OGÓLNY.

- Co to znaczy: zbliżenie, plan ogólny?

- Na niektórych helikopterach są zamontowane dwie kamery na obrotowym wysięgniku u spodu nosa, jak podwójne działko. Obie filmują to samo, tyle że jedna jest ustawiona na zbliżenie, druga na plan ogólny. Obrazy z obu kamer są nazywane jednocześnie w helikopterze i w studiu.

- Sądziłam, że transmitują na żywo.
- Bo tak jest, ale jednocześnie wszystko rejestrują. Do-
staliśmy i zbliżenia, i plany ogólne, co znaczy, że mamy dwa
razy tyle do oglądania.

Starkey myślała tymczasem, że zbliżenia nie pokażą tego,
na czym jej najbardziej zależało. Wybrała kasety VHS z pla-
nem ogólnym i przeniosła na swoje biurko. Zastanowiła się,
czy zadzwonić do Bucka Daggetta, ale doszła do wniosku, że
najpierw powinna obejrzeć je sama.

Santos odezwał się za jej plecami:

- Umówiłem nas w projektorni na górze. Możemy tam
pójść, jak tylko tu skończę.

Na Spring Street znajdowało się tylko jedno pomieszczenie
z telewizorem i magnetowidem. Wydział kryminalny i wydział
zbiegów rzadko go potrzebowały i rzadko z niego korzystały;
na ogół był używany przez oficerów śledczych z pionu we-
wnętrznego, którzy oglądali zarejestrowane ukrytą kamerą
karalne występy gliniarzy i z tego też powodu magnetofon
bywał często uszkodzany przez sabotażystów. W głowice pa-
kowano gumę do żucia, tytoń bądź inne substancje, choć
projektornię zamykano na klucz. Któregoś razu znaleziono
wtłoczony w odtwarzacz kuper szczura. Gliniarze okazywali
się pomysłowymi wandalami.

- Jesteś pewien, że magnetowid działa?

- Tak. Sprawdziłem niecałą godzinę temu.

Starkey przyjrzała się taśmom. Trzy różne ujęcia śmierci
Charliego Riggia. Ilekroć zgłaszano podłożenie bomby, dzien-
nikarze dowiadywali się o tym pierwsi i błyskawicznie zjawiali
się na miejscu. Tego dnia, gdy zginął Sugar, w osiedlu przy-
czep kempingowych aż się roiło od reporterów i kamer. Przy-
pomniała sobie nagle, jak sobie żartowali, że dadzą supershow
w dzienniku o szóstej. Dopiero teraz sobie o tym przypomniała.

Wyjęła papierosa z torebki i zapaliła.

- Carol! Chcesz, żeby Kelso cię opieprzył?- zasyczał
Hooker.

Popatrzyła na niego tępym wzrokiem.

- Papieros.

Zdeptała papierosa nogą i zaczęła rozwiewać dłonią dym. Czowała, że się czerwieni.

- Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że go zapalam.

Hooker przyglądał się jej z troską.

Nie chciała, by pomyślał, że jest pijana, więc podeszła do jego biurka i przykucnęła tuż obok, aby mógł poczuć jej oddech wolny od zapachu dżinu.

- Niepokoi mnie po prostu ten typ z ATF. Powiedział coś wczoraj po wyjściu od patologa?

- Nic. Zapytałem go, czy znalazł to, czego szukał, ale dowiedziałem się tylko, że wyjęli kilka kolejnych odłamków.

- Nic więcej nie powiedział?

- Nic. Cały dzisiejszy dzień spędził w Glendale, przyglądał się rekonstrukcji.

Wróciła do swojego biurka, konotując sobie w pamięci, żeby zadzwonić do anatomopatologa i wywiedzieć się, co też naprawdę znaleźli, a potem zatelefonować do Johna Chena. Każdy ze znalezionych dowodów zostanie wysłany do Chena w celu zbadania i zaprotokołowania, choć może potrwać kilka dni, zanim przebiją się przez wszystkie biurokratyczne procedury.

Hooker skończył spisywanie taśm i wsunął pudło pod biurko. Oficjalna dokumentacja wydziału policji Los Angeles. Pomachał jedną z trzyciwierćcalówek.

- Skończyłem. Lepiej bierzmy się do oglądania, skoro nie chcesz czekać na Marzik.

Starkey poczuła, że wilgotnieją jej dłonie. Z taką siłą odchyliła się na oparcie obrotowego fotela, że aż zaskrzyphiało.

- Wiesz, lepiej odpowiem najpierw na te telefony. Zacznij beze mnie, dobra?

Poświęcił masę czasu na skompletowanie tych taśm, toteż nie krył rozczarowania.

- Myślałem, że zależy ci na ich obejrzeniu. Pokój telewizyjny dostaliśmy tylko na parę godzin.

- Obejrzę je potem w domu, Jorge. Muszę załatwić te telefony.

W tym momencie zadzwonił aparat na jej biurku. Złapała słuchawkę jak koło ratunkowe.

- Wydział kryminalny. Starkey.
- Nie odpowiada pani na telefony?

Pell.

- Byłam zajęta. Znaleźliśmy świadka. Mógł widzieć faceta, który dzwonił pod dziewięćset jedenaście.

- Spotkajmy się gdzieś. Powinniśmy omówić zasady współpracy.

- Nie będzie żadnej współpracy, Pell. Jeśli nasz facet nie jest waszym Mister Redem, nie interesuje mnie żadna współpraca. Chcę jednak zobaczyć pańskie materiały dotyczące tych pierwszych siedmiu zamachów bombowych.

- Mam je ze sobą. Mam też coś jeszcze, Starkey. Spotkajmy się i pogadajmy. To ważne.

Chciała go spławić, zdawała sobie jednak sprawę, że prędzej czy później będzie musiała odbyć tę rozmowę, i postanowiła jak najszybciej mieć ją z głowy. Objasniła, jak trafić do baru Barrigana, i odłożyła słuchawkę.

Santos obserwował ją spod oka. Teraz podszedł z naręczem kaset.

- Federalni przejmują sprawę?
- Cholera wie. Wyraźnie tego nie powiedział.
- Przypuszczam, że to tylko kwestia czasu.

Spojrzała na niego groźnie. Wzruszył ramionami.

- Idę na górę. Może jednak pójdziesz ze mną?
- Muszę się spotkać z Pellem.

Odprowadziła Hookera wzrokiem, zawstydzona, że nie znalazła w sobie dość siły, by razem z nim obejrzeć te nagrania. Była przecież na miejscu eksplozji, widziała zwłoki Riggia, poczuła temperaturę i siłę wybuchu w gorącym powietrzu. Jej lęk przed obejrzeniem tych taśm mógł się wydawać nieracjonalny; dla niej taki nie był. Nie zobaczyłaby na taśmie jedynie Riggia - zobaczyłaby samą siebie i Sugara. Setki razy

wyobrażała sobie scenę własnej śmierci, lecz nigdy nie widziała taśmy z nagraniem tamtego zdarzenia; nie pomyślała nawet - aż do tej chwili - że zostało zarejestrowane. Żartowali sobie z Sugarem pod elektronicznymi patrzalkami ekip telewizyjnych, kręcących reportaże do dzienników o osiemnastej. Wspomnienia tamtych wydarzeń zniknęły w chwili wybuchu, odżyły dopiero teraz.

Rzuciła okiem na kasety, zastanawiając się, czy taśma z nagraniem jej śmierci wciąż istnieje.

Po chwili nakazała sobie przerwanie tych daremnych rozmyślań, zebrała swoje rzeczy i wyszła na spotkanie z agentem specjalnym Pellem.

„Barrigan's" to niewielki irlandzki bar na terenie okręgu Wilshire, służący tamtejszym detektywom od roku 1954, gdy tajniacy z wydziału zabójstw zabawiali towarzystwo opowieściami o pałowaniu, jakie sprawili gangsterom z Nowego Jorku, kiedy ci wysiedli z samolotu na lotnisku w Los Angeles. Ściany były pokryte czterolistnymi koniczynami, a na każdej uwieczniono nazwisko policjanta, który zabił na służbie przestępcę, oraz datę tego wydarzenia. Jeszcze kilka lat temu niezycliwym okiem patrzono na obecność w barze detektywów płci żeńskiej, bo wedle powszechnego mniemania obecność policjantek odstraszała różne sfiksowane sekretarki i pielęgniarki, które ochoczo garnęły się do baru, gotowe świadczyć erotyczne usługi każdemu samcowi z odznaką. Choć było w tym mniemaniu ziarno prawdy, detektywi w spódnicach skwitowali je krótko: „Bzdura". Bariera płci została ostatecznie przełamana tej nocy, gdy Samantha Dolan, detektyw z wydziału zabójstw i rozbojów, strzelała się niemal lufą w lufę z dwoma podejrzanymi o gwałt łobuzami i obu ukatrupiła. Zgodnie z panującym zwyczajem zaraz tej samej nocy wydano w barze okolicznościowe przyjęcie. Dolan zaprosiła wszystkie znajome policjantki, panie uznały, że lokal im się podoba, i postanowiły regularnie go odwiedzać.

Poinformowały właściciela, że spodziewają się uprzejmej obsługi, w przeciwnym bowiem razie poproszą siostry z wydziału zdrowia o zamknięcie speluny za nieprzestrzeganie przepisów sanitarnych. Ta groźba przesądziła sprawę. Starkey nigdy nie poznała detektyw Dolan, choć oczywiście znała jej historię. Samantha Dolan zginęła w jakiś czas potem w drzwiach, w których zainstalowano automatyczny dwururowy samopał.

Kiedy Starkey weszła tego popołudnia do baru Barrigana, było już w nim tłoczno od stróżów prawa. Znalazła wolne miejsce między dwoma detektywami drugiej grupy z wydziału przestępstw seksualnych, zapaliła papierosa i zamówiła podwójny dzin.

Ledwo umoczyła usta, pojawił się obok niej Pell i położył na barze grubą szarą kopertę.

- Zawsze pani tak pije na służbie?
- Nie pański interes, panie agencie specjalny, ale informuję pana, że już nie jestem na służbie. Przyszłam tu z uprzejmości.

Siedzący obok detektyw obrócił głowę i zmierzył Pella nieprzychylnym wzrokiem, po czym ostentacyjnie zadzwonił kostkami lodu w szklance z resztką podwójnej whisky, prowokując federalnego do skomentowania również jego przypadku.

Starkey zaproponowała Pellowi, że mu postawi drinka, podziękował jednak. Wsunął się na ławeczkę obok niej, tak blisko, aż się wzdrygnęła. W „Barrigan's” nie ma stołków; wzdłuż baru bieżą wąskie ławeczki, przytwierdzone do mosiężnej, umocowanej u dołu poręczy, każda na dwie osoby. Starkey nie cierpiała tych siedzisk, bo nie można ich było poruszyć, istniały jednak od roku 1954 i stały się już częścią szacownej tradycji lokalu.

- Nie tak blisko, Pell.
- Odsunął się trochę.
- Wystarczy? Jeśli pani chce, mogę usiąść przy sąsiednim stoliku.
- Niech pan siedzi, byle nie tak blisko. Nie lubię nadmiernej bliskości.

Natychmiast pożałowała swoich słów, poczuła bowiem, że zanadto się odsłania.

Pell klepnął dłonią kopertę.

- Tu ma pani wszystkie materiały. Mam też coś jeszcze.

Rozwinął i położył na ladzie jakąś kartkę. Starkey spostrzegła, że to artykuł z gazety, ściągnięty z Internetu i wydrukowany.

- To się zdarzyło przed kilkoma dniami. Proszę przeczytać.

EWAKUACJA BIBLIOTEKI NA SKUTEK FAŁSZYWEGO ALARMU BOMBOWEGO

Lauren Beth
„Miami Herald”

Okręgowa Biblioteka Główna hrabstwa Dade została w dniu wczorajszym ewakuowana po tym, jak pracownicy odkryli w jednej z sal przedmiot wyglądający na bombę.

Gdy ciszę jednej z czytelni rozdarło wycie syreny, bibliotekarze znaleźli pod jednym ze stolików urządzenie, które uznali za bombę rurową.

Policja ewakuowała bibliotekę, a drużyna ratownicza hrabstwa znalazła urządzenie, które składało się z brzęczyka, lecz nie zawierało materiału wybuchowego. Policja uważa, że incydent należy uznać za głupi żart.

Starkey podniosła głowę.

- Co to mnie może obchodzić?

- Mamy już to urządzenie z Miami. Jest nieuszkodzone i identyczne jak bomba, która zabiła Riggia.

Poczuła niepokój. Jeśli bomby były naprawdę identyczne, Pell zyskiwał wyśmienity pretekst do przejścia śledztwa. Mogła

sobie wyobrazić, co nastąpiłoby dalej: ATF zorganizowałoby specgrupę, a potem zawłaszczyłoby sprawę FBI. Szeryfowie też podstawiliby nogę, by zgarnąć część zasługi, i zanimby się Starkey obejrzała, przypadłaby jej grupie funkcja pomocnicza, na przykład nocny transport dowodów rzeczowych do laboratorium ATF w San Francisco.

Odsunęła od siebie wydruk z artykułem.

- Świetnie. Jeśli to żart i jeśli wasz ptaszek, Mister Red, bawi w Miami, dlaczego nie siedzi pan w samolocie lecącym na wschód?

- Bo on jest tutaj.

- A mnie się wydaje, że w Miami.

Pell zerknął w stronę detektywa na sąsiedniej ławeczce.

- Moglibyśmy się przesiąść do stolika?

Zaprowadziła go do stolika w rogu i sama usiadła na krzeselku w głębi, aby mieć przed oczami salę. Przypuszczała, że Pell poczuje się niewyraźnie, siedząc plecami do gości.

- Dobra, tu nikt pana nie usłyszy. Możemy pobawić się w szpiegów.

Zacisnął zęby, co zaobserwowała z przyjemnością. Zapaliła kolejnego papierosa i wydmuchała kłęb dymu nad jego ramieniem.

- Policja z Miami nie ujawniła prasie całej prawdy. To nie był żart, Starkey, to było przesłanie. List, w pełnym tego słowa znaczeniu. Nigdy dotąd tak nie postępował, pierwszy raz się do czegoś takiego posunął. To znaczy, że otwiera się przed nami szansa.

- Co wam zakomunikował?

- Zapytał: „Czy śmierć tylu ludzi awansuje mnie wreszcie na listę dziesięciu?”

Nie pojęła, o czym mówi.

- Jak mam to rozumieć?

- Facet chce trafić na listę FBI dziesięciu najbardziej poszukiwanych.

- Pan raczy żartować.

- Należy to potraktować symbolicznie, Starkey. Mamy do

czynienia z jakimś zakompleksionym gnojem, któremu się marzy zostanie ważniakiem. Nie umieszczamy go na tej liście tylko dlatego, że nie mamy pojęcia, kim jest, a nie wciągamy na nią nikogo, o kim nic nie wiemy. Ponieważ go nie umieszczamy, facet się frustruje. Zaczyna szarżować, ryzykuje, czego wcześniej nie robił. Czyli mu odbija.

Starkey miała wrażenie, że jej szczęka zmienia się w zaciśnięte imadło. Rozumiała, dlaczego Pell tak podkreśla ten wątek. Ilekroć przestępca zmieniał wzór postępowania, zwykle rokowało to śledztwu pomyślnie. Każda zmiana pozwalała go ujrzeć pod nowym kątem. Kiedy miałeś dostatecznie dużo kątów widzenia, ukazywał ci się w końcu pełny obraz.

- Na jakiej podstawie pan twierdzi, że facet jest tutaj? Czy zapowiedział w swoim przesłaniu, że wybiera się do Los Angeles?

Pell nie odpowiedział. Patrzył na nią tak uważnie, jakby czegoś szukał w jej oczach. Pod jego spojrzeniem poczuła się naga.

- Tak?

- Nie powiedziałem pani i porucznikowi Kelso wszystkiego. Kiedy Mister Red wyrusza na łowy, nie atakuje na chybił trafił. Starannie wybiera swoje ofiary, zwykle doświadczonych pirotechników albo takich, którzy się czymś wstawili i trafili na łamy gazet. Poluje, jednym słowem, na grubego zwierza. Taką ma ambicję: wykazać, że jest lepszy od najlepszych ludzi, jakimi dysponuje sekcja pirotechniczna.

- I to wam zakomunikował w swoim bileciku?

- Wiemy o tym, ponieważ ma zwyczaj grawerować nazwisko przyszłej ofiary na obudowie bomby. Nazwiska dwóch pierwszych pirotechników, jakich zamordował, znaleźliśmy na odłamkach podczas rekonstrukcji. Alan Brennert z Baltimore i Michael Cassutt z Filadelfii, obaj doświadczeni pirotechnicy z piękną kartą zawodową.

Starkey milczała. Na mokrym blacie stolika narysowała palcem dużą piątkę, a potem przerobiła ją na duże „S”. Domyślała się, że pochodziło z imienia „Charles”. Co prawda Charlie

Riggio nie był jakimś wybitnym asem sekcji pirotechnicznej policji Los Angeles, ale nie zamierzała tego głośno mówić.

- Dlaczego informuje mnie pan o tym w barze, a nie w biurze Kelsa?

Teraz odwrócił oczy Pell. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Nie chcemy zanadto poszerzać kręgu wtajemniczonych.

- Hmm, czuję się zaszczycona, panie Pell. Uważa pan, że powinnam do tego kręgu należeć?

- Tak uważam.

- Ciekawam, co jeszcze zechciał pan zataić.

Zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

- Jako kierownik grupy dochodzeniowej mogłaby pani składać oświadczenia dla prasy, które pomogłyby przyspieszyć proces jego psychicznej destabilizacji. Ten drań nie buduje byle jakich bombek. Jego urządzenia są takie same jak on, to konstrukcje bardzo przemyślane. Bardzo precyzyjne, niezwykle wypracowane. Wiemy, że stanowią dlań powód do dumy. Mógł sobie ubrdać, że ma tu, w Los Angeles, do rozegrania pojedynków „jeden na jeden”, dzięki czemu może nam się wystawić pod lupę.

- Ja kontra Mister Red.

- Coś w tym rodzaju... I co pani na to?

Nie musiała się długo zastanawiać.

- Wchodzę.

Odetchnął z ulgą i rozluźnił się, aż mu obwisły ramiona, jakby się wcześniej obawiał, że Carol nie pójdzie na współpracę. Uśmiechnęła się w duchu; jak słabo ją znał!

- Cieszę się, Starkey, naprawdę się cieszę. Uważamy, że facet buduje bomby dopiero na miejscu. Przyjeżdża na dany teren, kupuje potrzebne komponenty i dopiero wtedy konstruuje bombę, dzięki czemu nie musi niczego przewozić, ryzykując wpadkę na lotnisku. Dołączyłem do raportów spis składników modeksu. Chciałbym, żeby sporządziła pani listę osób, które mają w tej okolicy dostęp do RDX.

Sama już na to wpadła i zirytowała ją ta prośba brzmiąca jak polecenie.

- Niech pan posłucha, Pell. Jeśli chce pan prowadzić jakieś poszukiwania, niech je pan sam prowadzi. Nie pan tu wydaje rozkazy.

- To ważne, Starkey.

- Więc niech pan to zrobi!

Zmierzył ją gniewnym spojrzeniem, lecz szybko się opanował. Rozłożył ręce i uspokoił się.

- Myślę, że mogłaby pani spojrzeć na sprawę w ten sposób, pani detektyw: jeśli sam to zrobię, będzie wyglądało na to, że przejmuję śledztwo; jeśli pani, okaże się jedynie pani doradca. Co pani wybiera?

Nie udało jej się ukryć zadowolenia, gdy oznajmiła:

- Podjęłam już stosowne kroki, Pell. Nie dalej jak dzisiaj.

Pokiwał głową z nieprzenikniętą miną. Poczula złość, bo nie przyznał, że go ubiegła.

- Dysponujemy zdjęciem tego typu? W bibliotece była chyba kamera przemysłowa?

- W oddziale śródmiejskim nie mają kamer bezpieczeństwa, ale dostanę jutro portret pamięciowy. Świadkowie opisali białego mężczyznę pod trzydziestkę z płomiennie rudymi włosami. Mamy ponadto dwa portrety pamięciowe z wcześniejszych incydentów. Mogę pani od razu powiedzieć, że nie ma między nimi żadnego podobieństwa. Facet zmienia skórę, ilekroć pozwala się widzieć.

Wzruszyła ramionami. Lester opisał im starszego mężczyznę, w każdym razie kogoś nie pierwszej już młodości, postanowiła jednak nie wspominać o Lesterze, dopóki nie ukończą portretu pamięciowego.

- Tak czy owak, chcę dostać kopie wszystkich trzech portretów, jak tylko dotrą do pana rąk. I chcę czegoś jeszcze. Chcę zobaczyć bombę.

- Otrzyma pani raport, jak tylko go dostanę.

- Nie zrozumiał mnie pan. Chcę zobaczyć bombę. Chcę ją wziąć do ręki. Jestem pirotechnikiem, Pell. Chcę ją sama rozłożyć na części, a nie przyjmować do wiadomości cudzy raport. Chcę ją porównać z bombą z Silver Lake i wyciągnąć

z tego porównania wnioski. Wiem, że to możliwe, wymieniałam już materiał porównawczy z policją z innych miast.

Przyjrzał się jej uważnie, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał, po czym kiwnął głową.

- W porządku, Starkey, myślę, że to niezły pomysł. Uważam jednak, że powinna pani sama o to zadbać.

Zmarszczyła brwi. Czyżby próbował się migać?

- Pańscy ludzie trzymają na niej rękę. Panu będzie łatwiej to zorganizować.

- Im więcej na siebie wezmę, tym większe będą naciski z Waszyngtonu, żebym przejął sprawę, zanim wkroczy FBI.

- A na diabła tu FBI? Nie mamy do czynienia z terrorystą. To sprawa lokalna.

- Terrorystą jest ten, kogo FBI za terrorystę uzna. Pani martwi się, żebym ja nie wszedł w pani śledztwo, ja - żeby nie wszedło w nie FBI. Każdy ma własne zmartwienia.

- Do cholery, Pell!

Ponownie rozłożył ręce, więc w końcu się poddała.

- Dobra, sama się tym zajmę.

Wstał i wręczył jej wizytówkę.

- Zatrzymałem się w tym motelu. Na odwrocie ma pani numer mojego pagera.

Schowała wizytówkę, nawet nie rzuciwszy na nią okiem.

- Zadzwonię, jak coś wyskoczy.

Wpatrywał się w nią uporczywie.

- Słucham?

- Mister Red jest niebezpieczny, Starkey. Kiedy na placu boju pojawia się ktoś taki, lepiej nie zaglądać za często do kieliszka, żeby nie stracić refleksu.

Zadzwoniła kostkami lodu w szklance i pociągnęła długi łyk.

- Już raz umierałam, Pell. Są gorsze rzeczy, niech mi pan wierzy.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę; już myślała, że chce coś powiedzieć, gdy odwrócił się i wyszedł. Odprowadzała go wzrokiem, póki nie zniknął w prostokącie jaskrawego blasku w drzwiach. Cholera, facet nic nie kumał.

Wróciła na ławeczkę przy barze i zamówiła jeszcze jednego drinka. Była pewna, że Pell wiedział więcej, niż mówił.

Nachylił się do niej detektyw z wydziału przestępstw seksualnych.

- Federalny?
- Aha.
- Wszyscy federalni to złamasy.
- Zobaczymy.

Przez całe popołudnie myślała o taśmach leżących w samochodzie. Te taśmy i uwiecznione na nich sceny były rzeczywiste. W końcu to ich waga wyciągnęła ją z knajpy. Zbliżała się ósma, kiedy wreszcie wyszła i pojechała do domu.

Głowa jej pękała od wypitego dżinu. Była głodna, w domu nie miała nic do jedzenia, ale nie chciało jej się wychodzić po zakupy. Położyła kasety obok magnetowidu w salonie. Postanowiła, że najpierw weźmie prysznic, a potem przeczyta raporty.

Stała pod strumieniem chłozującym jej głowę i kark tak długo, aż popłynęła zimna woda. Potem włożyła czarny podkoszulek i spodenki. Stojąc przy zlewozmywaku, zjadła znalezione w szafce pudełko rodzynek, nałała sobie szklanekę mleka, zapaliła papierosa i usiadła przy stole w kuchni.

Szara koperta zawierała siedem opisów materiałów wybuchowych, które powstały w Krajowym Laboratorium ATF w Rockville w stanie Maryland. Każdy z raportów podawał szczegóły konstrukcyjne urządzeń wybuchowych, przypisywanych niezidentyfikowanemu podejrzanemu znanemu pod kryptonimem „Mister Red”. Wszystkie były jednak mocno okrojone; brakowało stron, ponadto z każdego usunięto kilka akapitów.

Rozzłościły ją braki, zainteresowały jednak fragmenty, które pozostawiono. Zaczęła czytać z rosnącą uwagą, robiąc co chwilę notatki.

Każde z urządzeń wybuchowych zostało zbudowane z bliź-

niaczych pojemników rurowych, zamkniętych nasadkami i uszczelnionych taśmą hydrauliczną; jedna z rur mieściła odbiornik radiowy (wszystkie zidentyfikowano jako odbiorniki ze sterowanych radiem samochodzików) i baterię dziewięciowoltową, druga materiał wybuchowy modex hybrid. W żadnym z raportów nie wspomniano o wygrawerowanych na obudowie bomby nazwiskach, o czym wiedziała od Pella. Pomyślała, że tego właśnie dotyczył usunięty tekst.

Przeczytawszy raporty, weszła do salonu i z daleka trwożnym spojrzeniem omiotła kasety. Zdawała sobie sprawę, że się ich boi, choć mogły mieć przełomowe znaczenie dla śledztwa. Wszystko się w niej skręcało na myśl o tym, że musi je obejrzeć.

- Co za głupota! - zachnęła się.

Poszła do kuchni, zrobiła sobie mocnego drinka z dżinu, a potem włożyła pierwszą kasetę do magnetowidu. Mogła obejrzeć te taśmy w towarzystwie Bucka Daggetta, Lestera Ybarry lub Marzik i Hookera, wiedziała jednak, że musi obejrzeć je sama. Przynajmniej za pierwszym razem. Musiała obejrzeć je sama, ponieważ ona zobaczy na nich rzeczy, jakich nikt inny nie dostrzeże.

Pierwsze kadry przedstawiały parking w planie ogólnym. Pośrodku stał suburban sekcji pirotechnicznej, cały zaś parking oraz sąsiednie ulice były odgródzone kordonem policji. Obraz nie poruszał się, z czego Starkey wywnioskowała, że helikopter wisiał nieruchomo. Riggio, już w stroju antywypuchowym, rozmawiał z Daggettem. Na ten widok lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Patrzyła, jak Daggett poklepuje kolegę po hełmie, patrzyła, jak Riggio odwraca się i kroczy niezdarnie w stronę podejrzanego pakunku - patrzyła na Riggia, a widziała Sugara.

- *Jak sobie radzisz, żabciu? Masz dobrą wentylację?*

- *Prawdziwą burzę a ty?*

- *Jestem zapięty na ostatni guzik i gotów do dzieła. Musimy się popisać przed tymi kamerami.*

Sprawdzili sobie nawzajem kombinezony i kable. Sugar był

w świetnej formie. Poklepała go po helmie; odwzajemnił się podobnym gestem. Ten obyczaj zawsze przyprawiał ją o uśmiech.

Ramię przy ramieniu ruszyli w stronę przyczepy.

Zatrzymała taśmę.

Odetchnęła głębiej i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że dotąd wstrzymywała dech. Uznała, że w jej drinku jest za mało cytryny, wyszła ze szklanką do kuchni i dokroiła plasterki, przez cały czas świadoma, że gra po prostu na zwłokę.

Wróciła do salonu i uruchomiła magnetowid.

Środek ekranu wypełniali Riggio i samochód sekcji. Bomba kryła się w kartonowym pudle u podstawy kontenera. Kamerzysta koncentrował się na samym parkingu, więc nie mogła dostrzec żadnego z punktów orientacyjnych, jakie wybrała rano. Jedynymi osobami widocznymi w kadrze byli Riggio, Daggett i jakiś mundurowy policjant wyglądający zza rogu budynku u dołu ekranu.

Gdy Riggio ruszył w stronę bomby, ujęcie uległo zmianie, oko kamery przesunęło się nad pasaż handlowy, ukazując grupkę gapiów stojącą między dwoma blokami mieszkalnymi. Starkey wyteżyła uwagę, postaci były jednak zbyt małe i spowite cieniem, by dało się wypatrzeć wśród tej gromady mężczyznę w koszuli z długim rękawem i w czapeczce baseballowej.

Przeklinała w duchu miniaturowy obrazek, kiedy plan nagle się zawężił i kamera skoncentrowała się na Riggio, gubiąc z pola widzenia gapiów. Siedzący w helikopterze kamerzysta musiał wydłużyć ogniskową, wycinając z kadru wszystko oprócz jednej strony centrum handlowego, bomby oraz Riggia.

Riggio z rentgenem zbliżył się do bomby.

Starkey wiedziała, co nastąpi, i usiłowała się na to przygotować.

Pociągnęła długi łyk dzinu. Serce waliło jej jak młotem.

Odwróciła wzrok od ekranu i zgniotła w popielniczkę papierosa.

Kiedy znowu spojrziała na ekran, Riggio obchodził właśnie kartonowe pudło.

Byli przy krzewie azalii, odgarniali na bok ciężkie gałęzie, żeby Sugar mógł ustawić aparat. Wyglądał jak uzbrojony w laserową strzelbę kosmiczny najeźdźca z serialu Star Trek. Musiała zrobić obrót całym ciałem, żeby na niego spojrzeć.

Oślepił ją biały błysk i całą pochłonął...

Wytężyła wzrok, starając się przeniknąć cienie na krawędzi kadru, zapuszczała spojrzenie między samochody, zaglądała na dachy, do puszek na śmieci. Zastanawiała się, czy zamachowiec nie ukrył się pod ziemią, czy nie wygląda ze studzienki ściekowej lub z okienka piwnicy pod jakimś budynkiem. Riggio obszedł bombę, badając ją rentgenem. Starkey spróbowała wniknąć do głowy zabójcy i jego oczami spojrzeć na pirotechnika. Wyobraziła sobie, że trzyma w ręku nadajnik radiowy. Na co czekał? Zaniepokojoła, zaczęła się zastanawiać, czy mordercy nie zadrżała ręka z obawy, że ma uśmiercić bliźniego; z obawy, a może z podniecenia. Ujrzała w wyobraźni nadajnik w postaci pilota telewizyjnego, który morderca chował w kieszeni. Ujrzała jego oczy, napięte, bez drgnienia powieki wpatrzone w ofiarę. Riggio obszedł bombę, zawahał się i kucnął nad pudłem. W tym momencie zabójca nacisnął przycisk i...

...błysk odrzucił Charliega Riggia jak postać z kreskówki.

Starkey zatrzymała taśmę i zamknęła oczy. Pięść miała mocno zaciśniętą, jakby trzymała w niej nadajnik, jakby to ona posłała Charliego Riggia na tamten świat.

Poczuła własny oddech. Poczuła, jak jej klatka piersiowa się rozszerza, a ciało napętnia powietrzem. Chwyliła oburącz szklankę i wypuła duszkiem. Przetarła oczy.

Po chwili nacisnęła przycisk „play” i zmusiła się do obejrzenia nagrania do końca.

Fala uderzeniowa przetoczyła się nad asfaltem z grzywaczem kurzu i śmieci. Kontener odtoczył się do tyłu i grzmotnął w ścianę. Z krateru powybuchowego unosił się dym i płynął leniwym wirem, a tymczasem Buck Daggett rzucił się w stronę partnera i zerwał mu z głowy hełm. Karetka pogotowia z pis-

kiem opon wjechała na parking, zatrzymując się tuż obok nich. Wskoczyli z niej dwaj sanitariusze i pochylili się nad rannym. Buck stał jak oniemały; tylko się przyglądał.

Starkey była teraz w stanie dostrzec punkty orientacyjne, które sobie rano wyznaczyła, kilka zaś razy dojrzała grupki gapiów kryjących się za samochodami lub budynkami na obwodzie okręgu wyznaczonego promieniem stu jardów. Za każdym razem naciskała przycisk stopklatki i wypatrywała mężczyzn w koszulach z długimi rękawami i w baseballówkach, obraz był jednak zbyt niewyraźny, by dało się rozróżnić tak drobne szczegóły.

Obejrzała dwie pozostałe taśmy, przez cały czas sącząc drinki. Wpatrywała się w zamazane obrazy, jakby chciała je rozjaśnić wzrokiem, świadoma, że każda ze skrytych w cieniu twarzy może być twarzą mężczyzny lub kobiety, którzy zbudowali i zdetonowali tę bombę.

Późną nocą przewinęła taśmy do początku, wyłączyła telewizor i zasnęła kamiennym snem na kanapie.

Wybuch białego światła odrzuca ją od przyczepy.

Lekarze pogotowia wbijają długą igłą.

Usiłuje dosięgnąć raki Sugara, kiedy ściągają mu hełm.

Jego głowa obraca się w jej stronę.

To Pell.

5

Nazajutrz Marzik przemykała przez pomieszczenia wydziału kryminalnego jak zawstydzona uczennica, która przyniosła rozwiązania testu, i rozdawała kopie podobizny podejrzanego, stworzonej na podstawie opisu Lestera Ybarry. Kelso, który otrzymał ją ostatni, skrzywił się, jakby jego rodzona córka oblała egzamin.

- To psu na budę. Twój świadek na nic się nam nie zda.

Marzik, już dostatecznie zawiedziona, poczuła się dotknięta jego uwagą.

- Czy to moja wina? Nie sądzę, żeby ten gnojek naprawdę coś widział. Na pewno nie twarz.

Starkey siedziała przy swoim biurku, kiedy Kelso podszedł do niej z rysunkiem. Starła się odwracać wzrok, mając nadzieję, że ani on, ani Marzik nie zauważą jej zaczerwienionych oczu. Była pewna, że dżin przeciska się przez każdy por jej skóry, i starała się nie zionąć im w twarz, gdy wyrażała swój pogląd na temat przydatności tego portretu pamięciowego.

- Istny duch.

Marzik przytaknęła z ponurą miną.

- Duszek Kacper, wypisz, wymaluj.

Portret przedstawiał białego mężczyznę około czterdziestki, z kwadratową twarzą przesłoniętą ciemnymi okularami i w czapeczce baseballowej. Nos miał nieokreślony zarówno co do kształtu, jak i rozmiaru, podobnie usta, uszy i szczękę. Z por-

tretami pamięciowymi często tak bywa. Jeśli świadek nie zapamiętał żadnych cech szczególnych, na ogół powstawał portret każdego i nikogo. Detektywi nazywali takie portrety duchami, bo tyle miały wspólnego z realną rzeczywistością.

Kelso ze skrzywioną miną jeszcze przez chwilę wpatrywał się w rysunek, po czym pokręcił głową i przeciągle westchnął. Dupek - pomyślała z irytacją Starkey.

- To niczyja wina, Barry. Nadal przesłuchujemy świadków, którzy byli wtedy w pralni. Portret nabierze ciała.

Marzik kiwnęła skwapliwie głową, podbudowana wsparciem koleżanki, lecz Kelso nie wyglądał na przekonanego.

- Miałem wczoraj wieczorem telefon od zastępcy komendanta Morgana, Carol. Pytał, jak sobie radzisz w charakterze prowadzącej śledztwo. Będzie chciał wkrótce zobaczyć twój raport.

Starkey miała wrażenie, że z bólu głowa jej pęknie.

- Mogę się u niego stawić, kiedy tylko zechce. Nic nie stoi na przeszkodzie.

- On nie jest spragniony twojego widoku, Carol. Zapyta o fakty, będzie chciał usłyszeć, że robimy postępy.

Poczuła, że traci cierpliwość.

- Co chcesz, żeby zrobiła, Barry, mam wyciągnąć tego skurwiela z rękawa?

Szczęka porucznika zaczęła intensywnie pracować, jakby żuł gumę z dodatkiem marmuru.

- To by nie było źle. Morgan dał do zrozumienia, że moglibyśmy zapobiec przejściu śledztwa przez ATF, gdybyśmy się czymś konkretnym wykazali. Pomyśl o tym.

Odwrócił się na pięcie i zniknął w gabinecie.

Głowę Starkey dosłownie rozsadzał ból. Zeszłej nocy wydłuliła tyle dżinu, że aż sama się przestraszyła. Prawie cały ranek nękała ją obawa, że w końcu naprawdę straciła kontrolę nad piciem. Na domiar złego obudziła się zakłopotana i zła, bo znowu śnił jej się Pell. Próbowwała pomniejszyć znaczenie tego faktu, przypisując go stresowi. Połknęła dwie aspiryny i dwie tabletki tagametu i pojechała do pracy, mając nadzieję

znaleźć jakieś materiały na temat RDX. Nie dotarły żadne. A teraz jeszcze to!

- Kelso to kawał chuja - zawyrokowała Marzik. - Myślisz, że tak nas traktuje, bo jesteśmy kobietami?

- Nie mam pojęcia, Beth. Słuchaj, nie przejmuj się tym portretem. Pell ma nam dostarczyć trzy inne. Pokażemy je Lesterowi. Może coś zaskoczy.

Marzik nie kwapiła się do odejścia. Starkey czuła, że powinna połknąć następną pastylkę miętową na odświeżenie oddechu, nie mogła jednak tego zrobić, dopóki tamta nad nią stała.

- Choć Lester nie zapamiętał twarzy, upiera się przy baseballówce i koszuli z długim rękawem.

- To już coś.

- Umówiłam się z nim. Ma wpaść dziś po południu i obejrzeć taśmy. Jest na nich coś ciekawego?

Starkey odchyliła się na oparcie krzesła, żeby znaleźć się jak najdalej od nosa Marzik.

- Nie w planach ogólnych. Obraz jest tak rozmyty, że trudno coś dostrzec. Myślę, że powinniśmy je poddać obróbce, może to by poprawiło jakość obrazu.

- Mogę się tym zająć, jeśli chcesz.

- Poprosiłam o to Hookera. Robił już takie rzeczy, kiedy pracował w rozbojach na Hollenbeck. Słuchaj, muszę teraz sprawdzić pocztę. Pogadamy później, dobra?

Marzik skinęła głową, ale się nie poruszyła. Wyglądało na to, że ma jeszcze coś do powiedzenia.

- O co chodzi, Beth?

- Słuchaj, chciałabym cię przeprosić za wczorajsze. Zachowałam się jak ostatnia świnka.

- Nie ma o czym mówić. Ale dziękuję.

- Czułam się podle. Chcę cię przeprosić.

- W porządku. Dziękuję. A tym portretem się nie przejmuj.

- Spróbuję. Kelso to zwykły kutas.

Marzik zabrała portret pamięciowy i poszła do swego biurka. Starkey odprowadziła ją wzrokiem. Koleżanka nie przestawała jej zaskakiwać.

Kiedy Marzik nie patrzyła w jej stronę, włożyła do ust kolejną tabletkę miętową i poszła po kawę. W drodze powrotnej jeszcze raz sprawdziła dane w komputerze wewnętrznego obiegu informacji w systemach policyjnych. Tym razem nie nadaremnie.

Spodziewała się garści informacji na temat RDX, lecz nie tego, co faktycznie znalazła.

Urząd szeryfa stanu Kalifornia zawiadomiał, że niejaki Dallas Tennant, trzydziestodwuletni biały mężczyzna, odsiaduje właśnie wyrok w stanowym zakładzie karnym w Atascadero, przeznaczonym dla więźniów z zaburzeniami psychicznymi. Przed dwoma laty w trzech różnych miejscach spowodował wybuch z użyciem RDX. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdy przeczytała, że chodziło o trzy różne przypadki. RDX był trudno dostępnym materiałem wybuchowym. Skoro ów Tennant skonstruował trzy różne urządzenia z użyciem tego środka, znaczyło to, że miał niemal nieograniczony do niego dostęp. Starkey wydrukowała raport z komputera, notując sobie, że przygotował go pracownik wydziału dochodzeniowo-śledczego urzędu szeryfa, niejaki Warren Mueller z Central Valley w Bakersfield. Wróciwszy do swego biurka, zajrzała do stanowego spisu telefonów policji, wykręciła numer Central Valley i poprosiła o połączenie z wydziałem dochodzeniowo-śledczym.

- Wydział dochodzeniowy. Hennessey.
- Chciałabym mówić z Warrenem Muellerem.
- Chwileczkę.

Kiedy Mueller podniósł słuchawkę, przedstawiła się jako oficer policji z Los Angeles. Mueller miał przyjemny, niski głos z lekko nosowym akcentem, typowym dla mieszkańców Central Valley. Pomyślała, że wychował się prawdopodobnie w bliskim sąsiedztwie jednej z tamtejszych rzeźni.

- Dzwonię w sprawie niejakiego Dallasa Tennanta.
- A jest taki. Kibluje w Atascadero.
- Wiem. Dzwonię, bo dostałam cynk, że zdetonował trzy ładunki z użyciem RDX. Gość musi na nim siedzieć.
- Owszem, trzy, o jakich wiemy, ale mogło być tego więcej.

Kupował kradzione samochody od różnych małaolatów, po stowie sztuka, bez targów, jechał na pustynię i je wysadzał, uprzednio zlawszy obficie benzyną, da pani wiarę? Przypuszczam, że rajcuje go widok kompletnej zagłady. Wysadził też kilka drzew, ale do tego celu używał trotylu.

- Mnie interesuje RDX. Nie wie pan, gdzie go zdobywał?

- Twierdził, że kupił skrzynkę kradzionych min przeciwpiechotnych od jakiegoś typka przypadkiem spotkanego w barze. Bujanie gości. Przypuszczam, że kupił materiał od jednego z tych pieprzonych handlarzy amfą z gangów motocyklowych, ale ponieważ nigdy się do tego nie przyznał, nie zaręczę pani.

Starkey wiedziała, że znakomita większość zamachów bombowych była następstwem wojen narkotykowych między rywalizującymi handlarzami amfetaminą, wśród których było wielu białych motocyklistów. Laboratoria produkujące amfetaminę były chemicznymi bombami z opóźnionym zapłonem. Gdy jakiś handlarz amfą chciał wyeliminować konkurenta, zwykle po prostu wysadzał mu fabrykę. Starkey brała udział w nalotach na blisko sto takich laboratoriów, gdy jeszcze pracowała w sekcji pirotechnicznej. Służyli niemal za serwis gwarancyjny.

- Więc sądzi pan, że jest na waszym terenie ktoś, u kogo nadal można kupić RDX?

- Hmm, niewykluczone, choć pewności mieć nie można. Wtedy nie mieliśmy podejrzanego i dalej nie mamy. Dorwaliśmy tylko Dallasa, bo wysadzał te pieprzone wozy. Facet jest typowym szajbusiem bez życia osobistego, maniakiem materiałów wybuchowych. A jednak nie pękł, trzeba mu to oddać. Nie wyspiewał, gdzie zdobył towar.

- Czy w chwili aresztowania był w posiadaniu większej ilości RDX?

- Nigdy nie znaleźliśmy żadnej z jego konstrukcji. Twierdził, że wszystkie zbudował w domu, ale nie zdobyliśmy na to dowodów. Miał tu nędzne mieszkanie koło rzeźni, ale nie wykryliśmy tam nawet zimnych ogni. Nie udało nam się też znaleźć ani śladu tych min, które podobno kupił.

Zastanowiła się nad tym. Dla takich maniaków jak Dallas Tennant konstruowanie bomb było celem życia, główną namiętnością, musieli więc mieć jakieś lokum, gdzie mogliby te bomby budować, podobnie jak hobbyści mają swoje warsztaciki. To mogła być szafa w ścianie, pokoik lub kącik w garażu, jakieś miejsce, gdzie mogliby przechowywać materiały i oddawać się swemu rzemiosłu. Takie dziuple nazywali warsztatami.

- Myślę, że musiał mieć warsztat.
- Widzi pani, wedle mego prywatnego zdania był kumplem facia, od którego kupował RDX, i koleś wziął dupę w troki, gdy Dallas trafił do pudła, ale, jak mówię, to tylko moje prywatne przypuszczenie.

Starkey zanotowała to sobie, choć hipoteza Muellera jej nie przekonała. Jak sam przed chwilą powiedział, świrusy na punkcie bomb byli na ogół samotnymi introwertykami, osobnikami z niską samooceną, żyjącymi z poczuciem niedostosowania. Krańcowo nieśmiali, prawie nigdy nie utrzymywali kontaktów z kobietami. Dzielenie się materiałami wybuchowymi nie pasowało do nich. Starkey podejrzewała, że skoro Tennant nie zdradził swego warsztatu, to dlatego, że nie chciał go stracić. Jak wszyscy chronicy śnił o eksplozjach i prawdopodobnie całymi dniami fantazjował na temat bomb, jakie skonstruuje po wyjściu na wolność.

Zamknęła notes.

- To chyba wystarczy, sierżancie. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

- Drobiazg. Czy mogę panią o coś zapytać, Starkey?

- Naturalnie, należy się panu rewanż.

Gdy się zawahał, zorientowała się od razu, jakie padnie pytanie, i poczuła skurecz w żołądku.

- Jest pani z LA i tak dalej. Czy pani to czasem nie ta Starkey?

- Owszem, ta Starkey. Niech pan posłucha. Mam tylko krótką notkę z urzędu szeryfa. Czy mógłby mi pan przefaksować materiały ze śledztwa Tennanta, żebym miała pełniejszy obraz?

- Chodzi o ten incydent w Silver Lake?
- Tak.
- Jasne. To tylko kilka stron. Zaraz je pani prześlę.
- Dzięki.

Podowała mu numer faksu i odłożyła słuchawkę, zanim zdążył coś dorzucić. Wciąż się z tym spotykała, najczęściej ze strony pirotechników i ekspertów od materiałów wybuchowych, ludzi, którzy żyli blisko krawędzi, ale nigdy nie spojrzeli w otchłan i nie przeżyli tej grozy, jaka stała się jej udziałem.

Napełniła świeżą kawą kubek i wyszła na klatkę schodową. Wypaliła papierosa w towarzystwie trzech detektywów z sekcji zbiegów. Atletycznie zbudowani młodzieńcy, z krótko przystrzyżonymi włosami i bujnymi wąsami, zachowali jeszcze entuzjastyczny stosunek do pracy i nie zdążyli popaść w zniechęcenie ogarniające większość gliniarzy, gdy do nich dociera, że ta praca grzęźnie w biurokratycznym bezsensie, który niczemu nie służy i nikomu nie wychodzi na dobre. Ci chłopcy zwijali się już o drugiej po południu i pędzili na Chavez Ravine, żeby ćwiczyć w Akademii Policyjnej. Łatwo to mogła poznać po ich opiętych dżinsach i muskularnych ramionach. Uśmiechnęli się do niej, skinęła im głową, a potem, pochłonięci rozmową, przestali na nią zwracać uwagę. Tego ranka aresztowali w Eagle Rock członka gangu, *veterano* o reputacji wyjątkowego twardziela, poszukiwanego za rozbój z bronią w rękę i rozmyślne okaleczenia. To ostatnie oskarżenie znaczyło, że podczas napadu rozkwaśił komuś kinol lub naderwał ucho. Trzej policjanci znaleźli go schowanego pod kocem w garażu. Twardy *veterano* złał się ze strachu w gacie, więc nie pozwolili mu wsiąść do radiowozu, dopóki nie znaleźli plastikowej torby na śmieci, którą podłożyli delikwentowi pod tyłek. Starkey posłuchała, jak trzej młodzieńcy przeżywają na nowo swą przygodę, po czym zduśiła papierosa w popielniczce i wróciła do faksu. Policyjna historyjka, jakich tysiące. Kończyły się zawsze szczęśliwie, chyba że gliniarz dostał kulkę albo został aresztowany za czyn niedozwolony.

Kiedy podeszła do faksu, na podajniku czekały już materiały od Muellera.

Przeczytała je przy swoim biurku. Historia zatrzymań Tennanta za podpalenia i powodowanie wybuchów zaczęła się, gdy miał osiemnaście lat. Był dwukrotnie kierowany przez sąd na obserwację psychiatryczną. Starkey przypuszczała, że pierwszych aresztowań dokonano prawdopodobnie wcześniej, nie zostały jednak odnotowane w dokumentach, ponieważ akta młodocianych utajniano. Poza tym z materiałów Muellera wynikało, że Tennant nie miał dwóch palców u lewej ręki; stracił je w następstwie wybuchu, który spowodował jako nastolatek.

Opracowanie zawierało protokół przesłuchania młodego złodzieja samochodów, Roberta Castillo; ukradł dwa z trzech wozów, które Tennant wysadził w powietrze. Do protokołu dołączono zdjęcia spalonych wraków. Mueller został wezwany przez policjantów z patrolu do sali wypadków nagłych Puritan Hospital w Bakersfield, gdzie zastał Castilla z policzkiem przekutym wycieraczką samochodową. Chłopak dostarczył Tennantowi stary model nissana stanza i prawdopodobnie stał zbyt blisko w chwili detonacji; pióro wycieraczki przebiło mu policzek i kumple dostarczyli go w pośpiechu do szpitala. Starkey przeczytała kilka razy raport Muellera, zanim wychwyciła w zeznaniu Castilla coś, co wzmocniło jej przekonanie, iż Tennant zachował swój warsztat. Uznała, że powinna z więźniem porozmawiać.

Znalazła numer do Atascadero, wykreśliła go i zapytała o oficera łącznikowego. Policjanci nie mogli tak po prostu przyjść z ulicy, gdy chcieli porozmawiać z więźniem. Osadzony miał prawo zażądać, by przy rozmowie był obecny adwokat, mógł też po prostu się na nią nie zgodzić. Do Atascadero było zbyt daleko, by tłuc się tam na próżno.

- Siedzi u was więzień nazwiskiem Dallas Tennant. Prowadzę tu w Los Angeles śledztwo i jego informacje mogłyby mi pomóc. Czy zechciałby pan sprawdzić, czy zgodziłby się porozmawiać ze mną bez adwokata?

- Czy będzie pani skłonna się z nim spotkać, jeśli jednak zażąda obecności swojego papugi?

- Tak. Ale jeśli będzie się przy tym upierał, chciałabym poznać wcześniej nazwisko tego prawnika.

- W porządku.

Po sposobie, w jaki zamilkł, poznała, że coś notował. W tle cicho szemrała muzyka.

- Kiedy chciałyby się pani z nim spotkać, pani detektyw?

Spojrzała na ścienny zegar i pomyślała o Pellu.

- Jeszcze dzisiaj, jeśli to możliwe. Powiedzmy o drugiej po południu.

- Doskonale. Można wiedzieć, na jaki temat chciałaby z nim pani rozmawiać?

- Na temat materiału wybuchowego o nazwie RDX.

Oficer łącznikowy wziął od niej numer telefonu i obiecał wkrótce oddzwonić.

Starkey odłożyła słuchawkę i poszła do automatu po nowy kubek kawy, po czym wróciła do biurka i zaczęła się zastanawiać, jak to rozegrać. Regulamin policji Los Angeles wymagał, by detektywi pracowali zawsze w parach, tymczasem Marzik prowadziła przesłuchania świadków, a Hooker miał się zająć taśmami wideo. Pomyślała o Pellu. Nie miała żadnego powodu, by do niego dzwonić, żadnego, by wtajemniczać go w arkana śledztwa, dopóki nie będzie miała czegoś konkretnego do zakomunikowania.

Mimo to poszukała w torebce wizytówki agenta specjalnego i zadzwoniła na jego pager.

Wypełniła kwestionariusz prośby o przeniesienie dowodów, przesłała go faksem do biura okręgowego ATF w Miami i poczekała na Pella w holu. Podróż samochodem z LA do Atascadero miała im zająć nieco ponad trzy godziny. Sądziła, że Pell będzie chciał prowadzić, mężczyźni mają tego rodzaju ambicję, tymczasem on odmówił.

- Zapoznam się po drodze z aktami Tennanta - powiedział - a potem ułożymy jakiś plan.

Znowu wyskakiwał z tym planem.

Dała mu teczkę z dokumentami. Wyjechali z miasta i pomknęli biegnącą wzdłuż wybrzeża autostradą Ventura. Pell zagłębił się w lekturze, nie wygłaszając żadnych komentarzy. Przeczytanie tych sześciu stron zajęło mu wieczność. Jego milczenie zaczęło w końcu Starkey drażnić.

- Długo ma pan jeszcze zamiar to studiować?
- Czytam po raz kolejny. To dobry materiał, Starkey. Może nam się przydać. Poszukiwanie RDX wyraźnie się opłaciło.
- Wyjaśnijmy coś sobie. Lepiej nie zaczynać od nieporozumienia.

Popatrzył na nią.

- Od nieporozumienia?
- Panu się zdaje, że daje mi pan rady, ale ja pańskich rad nie potrzebuję. Zjawia się pan i zaczyna mi mówić, co i jak mam robić, i oczekuje pan jeszcze, że zacznę skakać z radości. Nic z tych rzeczy.

- Stwierdziłem tylko fakt. Pani sama podjęła te działania.
- Chcę po prostu wyjaśnić pewne kwestie. Niech pan nie oczekuje, że będę panu zaparzała kawkę.

Zerknął na nią z ukosa, po czym na powrót utkwiał wzrok w aktach sprawy Tennanta.

- Rozmawiała pani z policjantem, który dokonał aresztowania?
- Tak. Niejaki Mueller.
- Czy mogłaby mi pani powtórzyć, co powiedział? A może to zbyt śmiała prośba z mojej strony?
- Nie chcę iść z panem na udry, Pell. Chcę po prostu ustalić jasne reguły gry.

Powtórzyła mu rozmowę z Muellerem, przytaczając ją niemal słowo w słowo. Pell przyglądał się mijanemu krajobrazowi i milczał, aż poczęła się zastanawiać, czy w ogóle jej słucha. Kiedy skończyła, przejrzał jednak ponownie papiery i pokręcił głową.

- Mueller mylił się, sądząc, że Tennant nie ma warsztatu. Według tego raportu kupował kradzione samochody, żeby je niszczyć. Trzy auta, trzy eksplozje. Ten złodziej samochodów...

- Robert Castillo.
- Właśnie. Castillo zeznał, że Tennant go prosił, by skombinował czwarte auto, a przecież nie potrzebowałby kolejnego wozu, gdyby nie miał większej ilości RDX lub nie wiedział, gdzie go zdobyć.

Dłonie Starkey mocniej zacisnęły się na kierownicy.

- Też tak uważam.

Jej słowa zabrzmiały zbyt słabo. Pell wzruszył ramionami i odłożył dokumenty. Przedstawił dokładnie jej własny tok rozumowania, więc pożałowała, że nie wyraziła swego zdania wcześniej. Teraz wyglądało na to, że to on odkrył sprzeczność w zeznaniach Tennanta.

- Mówił pan, że mają panu przysłać z Miami portret pamięciowy tego typka. Dostał go pan?

- Tak, wraz z dwoma poprzednimi.

Wyjął z kieszeni rysunki, rozprostował i podsunął jej przed oczy.

- Dobrze pani widzi?

- Mhm.

- W bibliotece było sporo ludzi, więc udało się stworzyć całkiem niezły portret. Nasz bohater miał metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów. Prawdopodobnie włożył buty na koturnach i wywatował się poduszczkami, bo świadkowie wcześniejszych incydentów ocenili go ledwie na metr siedemdziesiąt z kawałkiem. Gość z biblioteki miał kwadratową szczękę, płomiennie rude włosy oraz baczki. To również nie pasuje do wcześniejszych opisów.

Starkey zerknęła na rysunki, popatrując zarazem na drogę. Pell miał rację: między portretami nie było śladu podobieństwa, żaden też nie przypominał osobnika, jakiego opisał Lester Ybarra. Portret z Miami odpowiadał opisowi Pella, drugi przedstawiał łysiejącego, poważnie wyglądającego mężczyznę w okularach, a trzeci, czyli w kolejności zdarzeń pierwszy, ukazywał postawnego mężczyznę z kołtuniastymi dreadami, w okularach przeciwsłonecznych i z brodą.

Oddała Pellowi rysunki.

- Ten ostatni przypomina pana w kobiecym przebraniu. Schował kartki.
- A pani gagatek? Przypomina któregoś z tych trzech? Poprosiła, by zajrzał do teczki na tylnym siedzeniu. Pokręcił głową, rzuciwszy okiem na wydobyty z niej portret.
- Na ile lat go oceniono?
- Koło czterdziestki, ale nasz świadek nie jest zbyt wiarygodny.
- Prawdopodobnie celowo się postarzył.
- Możliwe. Jeśli mówimy o tym samym gościu.
- Mister Red ma koło trzydziestki. To niemal wszystko, co wiemy na pewno. Plus to, że jest biały. Facet pozwala się oglądać, Starkey. Zmienia wygląd, bawi się z nami w kotka i myszkę.
- Przez jakiś czas jechali w milczeniu; Starkey zastanawiała się, w jaki sposób podejść Tennanta. W pewnej chwili zerknęła w bok i stwierdziła, że Pell się jej przygląda.
- Tak?
- Powiedziała pani, że dostała taśmy wideo z tego wybuchu w Silver Lake. Czy już je pani obejrzała?
- Przeniosła spojrzenie na drogę. Minęli Santa Barbara; autostrada odbijała w głąb łądu w stronę Santa Maria.
- Tak. Zeszłej nocy.
- I co?
- Wzruszyła ramionami.
- Dałam je do obróbki.
- To musiało być dla pani trudne.
- Co?
- Przyglądanie się temu. To musiało być trudne. Dla mnie by było.
- Spojrzał jej w oczy, a potem zapatrzył się na powrót w okno. Pomyślała, że jej współczuje, i poczuła, jak czerwieni się z złości.
- Jeszcze jedno, Pell.
- Słucham?
- Partię z Tennantem rozgrywam sama. To ja prowadzę śledztwo.

Nie patrząc na nią, kiwnął obojętnie głową.

- Wybrałem się jedynie na przejażdżkę.

Następne dwie godziny prowadziła w milczeniu, wściekła, że go w ogóle zaprosiła.

Zakład karny o złagodzonej rygorze w Atascadero przypominał wioskę. Budynki z brązowej cegły rozrzucone były na rozległej otwartej przestrzeni, którą niegdyś porastały gaje migdałowe, należące do jałowego dziś rancza na południe od Paso Robles. Nie było tam murów ani wieżyczek wartowniczych, jedynie trzymetrowy płot z drucianej siatki i mechaniczna brama wjazdowa obsługiwana przez dwóch znudzonych strażników.

Atascadero służyło jako miejsce odosobnienia dla niegroźnych przestępców, którym sąd postanowił oszczędzić pospolitego kryminała: byłych policjantów, przestępców w białych kołnierzykach, skazanych za jednorazowe papierowe szwindle, i różnych sławnych ludzi na przymusowych wywczasach, którzy zdążyli zmarnować osiem czy dziewięć szans, jakie dawali im sędziowie rozpatrujący sprawę o posiadanie narkotyków. W Atascadero nikogo nie zasztyletowano, nikt nie padł ofiarą zbiorowego gwałtu, pensjonariusze musieli natomiast uprawiać ogródek warzywny o powierzchni trzech akrów. Groził im tu najwyższej udar słoneczny.

- Na pewno będą chcieli obejrzeć naszą broń - powiedziała Starkey. - Szybciej się uporamy z biurokratycznymi przepisami, jeśli zostawimy spławy w samochodzie.

- Zostawi pani swoją?

- Już leży w teczce. Staram się nie nosić przy sobie tego żelastwa.

Pell rozejrzał się ostrożnie, po czym wydobył na światło dzienne wielkiego automatycznego smitha kalibru 10 i wsunął go pod siedzenie.

- Chryste, Pell, po diabła panu taka armata?

- Nie trzeba dwa razy strzelać.

Starkey pokazała odznakę strażnikom przy bramie, a ci wskazali jej drogę do wejścia dla gości. Zostawiła samochód na małym, nieoświetlonym parkingu i wraz z Pellem weszła do budynku, gdzie czekał już na nich strażnik więzienny, Larry Olsen.

- Detektyw Starkey?

- Carol Starkey, a to agent specjalny Jack Pell z ATF.

Dziękuję, że zorganizował nam pan to spotkanie.

Olsen poprosił, by się wylegitymowali i wpisali do dziennika. Sprawiał wrażenie człowieka śmiertelnie znudzonego, a chodził tak, jakby strasznie bolały go nogi. Wyprowadził ich przez dwuskrzydłowe szklane drzwi z tyłu budynku i powiodł chodnikiem w stronę innego pawilonu. Starkey dostrzegła ogród warzywny i dwa boiska do koszykówki. Grało na nich kilku półnagich, rozbawionych więźniów. Chybiali łatwe rzuty i kiepsko kozłowali. Wszyscy z wyjątkiem jednego byli biali.

- Powinienem was uprzedzić - odezwał się Olsen - że Tennant jest aktualnie poddawany kuracji medycznej. Chodzi o terapię zaleconą przez sąd. Xanax na stan niepokoju i anaf-ranil na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Jest zobowiązany przyjmować te leki.

- Czy możemy mieć z tego powodu problem z uzyskaniem jego zgody na odbycie rozmowy bez udziału adwokata?

- Ach, nie. Leki nie upośledzają jego funkcji poznawczych, wpływają jedynie na sferę emocjonalną. Odstawiliśmy je na jakiś czas, ale po ostatnich problemach wznowiliśmy kurację.

- Jakiego rodzaju problemach? - zapytał Pell.

- Ze środków czyszczących i wykradzonej z izby chorych jodyny facet sprokurował jakiś materiał wybuchowy i stracił lewy kciuk.

Pell pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Głupi kutas.

- Cóż zrobić, to zakład o złagodzonego rygorze. Więźniowie cieszą się tu znaczną swobodą.

Dallas Tennant miał nadwagę, bladą, niemal białą cerę i wielkie oczy. Siedział przy dosuniętym do ściany czystym

stoliku z laminatowym blatem. Wstał, gdy Olsen wprowadził gości do pokoju widzeń. Jego lewa dłoń, bez kciuka, była obandażowana i dziwnie wąska. Utkwił spojrzenie w Starkey i już go od niej nie odrywał. Na Pella ledwo rzucił okiem. Palce wskazujący i średni u prawej dłoni miał amputowane w drugim stawie; bliznowate opuszki były starte i zniszczone. O tym właśnie okaleczeniu Starkey przeczytała w aktach Muellera.

- Dzień dobry, panie.Olsen - odezwał się więzień. - Czy to jest detektyw Starkey?

Olsen ich przedstawił, Tennant wyciągnął rękę, ale ani Starkey, ani Pell jej nie uściśnęli. Zamachowcom nie podaje się ręki. Oznacza to, że nie traktuje się ich jak równych sobie. Oni siedzą w więzieniu, ty nie. Oni są słabi, ty jesteś silny. Starkey dowiedziała się o tej walce o dominację, kiedy jeszcze nosiła mundur. Dla tych kutasów za kratkami przyjaźń oznaczała wyłącznie możliwość manipulacji.

Olsen położył na stole podkładkę z klipsem i zdjął nasadkę z mazaka.

- Tennant, w tym formularzu stwierdzono, że zostałeś pouczone o przysługującym ci prawie do obecności adwokata przy rozmowie, ale z tego prawa nie zamierzasz skorzystać. Musisz się podpisać tu, w tej rubryce, w mojej obecności.

Kiedy więzień podpisywał formularz, Starkey zauważyła leżący na stole gruby album w plastikowej oprawie. Dwie gwintowane klamry spinały grzbiet, a na okładce widniała tropikalna wyspa w blasku zachodzącego słońca. Odręczny napis głosił: *Moje szczęśliwe wspomnienia*. Tani album na zdjęcia, jaki można kupić w każdym kiosku.

Podniósłszy wzrok, napotkała nieruchome spojrzenie Tennanta.

- To mój album - oznajmił z nieśmiałym uśmiechem.

Olsen postukał palcem w formularz.

- Proszę o podpis w tym miejscu, pani detektyw.

Starkey odwróciła oczy od Tennanta i podpisała dokument. Olsen złożył niżej swą parafkę, postawił datę, powiedział, że

strażnik będzie czekał za drzwiami, by odprowadzić więźnia, kiedy skończą, po czym wyszedł.

Starkey wskazała Tennantowi, gdzie ma usiąść. Chciała go mieć na wprost siebie, chciała też, aby Pell usiadł obok niego - w ten sposób więzień będzie mógł patrzeć tylko na jedno z nich, nigdy na oboje naraz. Przesiadając się, Tennant przesunął album z wycinkami na drugą stronę stołu, żeby go mieć pod ręką.

- Chciałabym oświadczyć ci na wstępie, Dallas, że nie prowadzimy śledztwa w twojej sprawie. Nie chcemy wysuwać przeciw tobie żadnych nowych oskarżeń. Wychodząc stąd, zapomnimy o wszystkich przewinach, do jakich się przed nami przyznasz, chyba że będą dotyczyły przestępstw przeciw życiu i zdrowiu.

Tennant kiwnął głową.

- Takich nie ma. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem.

- To świetnie. Zatem zaczynamy.

- Czy mogę najpierw pani coś pokazać? Myślę, że to mogłoby wam pomóc.

- Nie rozpraszajmy się, Dallas. Ograniczmy się do spraw, które nas tu sprowadziły.

Ignorując jej sprzeciw, wziął do ręki album.

- To nie zajmie dużo czasu, a dla mnie jest bardzo ważne. Początkowo nie chciałem się z panią spotkać, ale potem przypomniałem sobie pani nazwisko.

Otworzył album na zakładce, którą był kawałek papieru toaletowego. Wycinek z gazety pożółkł, spoczywając przez trzy lata pod plastikiem, ale nagłówek na dwie szpalty był nadal wyraźny. Starkey poczuła, jak cierpnie jej skóra.

PIROTECHNIK GINIE W WYBUCHU BOMBY JEGO PARTNERKA JEST W STANIE KRYTYCZNYM

To był artykuł z „Los Angeles Times” poświęcony wybuchowi w osiedlu przyczep kempingowych. Pod nagłówkiem

zamieszczono czarno-białe gruboziarniste zdjęcie, przedstawiające dwa zespoły pogotowia ratunkowego, z których jeden zajmował się Sugarem, a drugi Starkey, gdy tymczasem strażacy gasili płonąca przyczepę.

Starkey nigdy nie czytała ani tego artykułu, ani żadnego z trzech, jakie się później ukazały. Koleżanka, Marion Tyson, wycięła je i przyniosła Starkey w tydzień po jej wyjściu ze szpitala. Carol artykuły wyrzuciła, a do Marion przestała się odzywać.

Odczekała chwilę, by mieć pewność, że głos jej nie zdrzży i nie zdradzi wzbudzonych emocji.

- Czy wszystkie wycinki w tym albumie dotyczą bomb?

Tennant przekartkował strony i przed oczami Starkey mignęły obrazy zwłok, zrujnowanych budynków, zdemolowanych samochodów, fotografie przedstawiające urwane kończyny i rozczłonkowane ciała.

- Zbieram te rzeczy od dziecka. Nie miałem zamiaru z panią rozmawiać, ale potem uzmysłowiłem sobie, kim pani jest. Oglądałem wiadomości tego dnia, kiedy pani omal nie zginęła, i pamiętam, jakie wrażenie to na mnie zrobiło. Miałem nadzieję, że podpisze mi się pani w moim albumie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Pell wyciągnął ramię ponad stołem i zatrzasnął księgę.

- Nie dzisiaj, łajzo.

Przysunął do siebie album i położył na nim rękę.

- Dzisiaj nam wyśpiewasz, skąd brałeś RDX.

- To moja własność! Nie wolno go panu zabierać. Pan Olsen do tego nie dopuści.

Starkey była wściekła na Pella za ten wyskok, ale udało jej się niczego po sobie nie okazać. Zmiana, jaka w nim zaszła, była naprawdę dramatyczna. W samochodzie wydawał się nieobecny i zamyślony. Teraz drżał na krześle jak prężący się do skoku lampart.

- Nie zamierzam się podpisywać w twoim albumie, Dallas.

Chyba że nam powiesz, skąd brałeś RDX i jak moglibyśmy dotrzeć do tego źródła... Może wtedy podpiszę. Inaczej nie.

- Chcę dostać z powrotem mój album. Pan Olsen każe go panu oddać.

- Niech pan mu go odda, Pell.

Starkey wyjęła album spod ręki agenta specjalnego i przesunęła po blacie stolika. Tennant chwycił swój skarb i nakrył obiema dłońmi.

- Nie podpisze się pani?

- Może, jeśli okażesz się pomocny.

- Kupiłem kilka min od jakiegoś obcego faceta. Raytheony.

Nie pamiętam modelu.

- He sztuk?

Muellerowi powiedział, że kupił skrzynkę, a skrzynka mieściła sześć min, o czym się dowiedziała, zatelefonowawszy do firmy Raytheon.

- Skrzynkę. Sześć min.

Uśmiechnęła się, a Tennant odpowiedział jej uśmiechem.

- Jak się nazywał ten facet? - zapytał Pell.

- Clint Eastwood... Wiem, wiem, ale tak mi się przedstawił.

Starkey zapaliła papierosa.

- Jak moglibyśmy znaleźć tego Clinta?

- Nie mam pojęcia.

- Jak t y go znalazłeś?

- Tu nie wolno palić.

- Pan Olsen udzielił mi specjalnego pozwolenia. Jak dotarłeś do tego Clinta? Gdybyśmy cię dzisiaj wypuścili i gdybyś chciał zdobyć więcej RDX, jak byś się z nim skontaktował?

- Spotkałem go w barze. Po prostu. Tak też zeznałem, kiedy mnie aresztowali. Facet miał skrzynkę min przeciwpiechotnych, kupiłem ją od niego i gość się ulotnił. Nie zależało mi zresztą na samych minach. Nie zamierzałem podkładać ich na polach i patrzeć, jak mućki wylatują w powietrze, nic z tych rzeczy. Kupiłem je wyłącznie z powodu RDX.

Uznała, że Tennant mówi prawdę o odzyskiwaniu RDX ze

skradzionych min. Wyższej klasy materiały wybuchowe niemal zawsze zdobywano w taki sposób - z pocisków moździerzowych, granatów ręcznych czy innej amunicji wojskowej. Była jednak przekonana, że dostawcą nie był anonimowy kutas z przydrożnego baru. Tacy pojebańcy jak Tennant należeli na ogół do samotników o niskiej samoocenie; w ich aktach nie znalazłoby się charakterystyki „łatwość nawiązywania kontaktów”. Wiedziała, że jego obsesyjne zainteresowanie materiałami wybuchowymi, podobnie zresztą jak u piromanów, było wysublimowaną formą seksualności. Kobiety go peszyły, nie miał doświadczeń seksualnych w potocznym tego słowa znaczeniu, zaspokojenia szukał w kolekcjach zdjęć pornograficznych poświęconych różnym dewiacjom, jak sadomasochizm czy tortury. Unikał kontaktów bezpośrednich wszelkiego rodzaju. Myszkował w sklepach dla hobbystów, takich jak ten, w którym sam pracował, bywał na spotkaniach kolekcjonerów. Bałby się zawierać znajomości w barach dla motocyklistów. Starkey postanowiła zmienić podejście i natrzeć na niego z całkiem innej strony. Wyjęła fotografie trzech wysadzonych samochodów i zapis przesłuchania z akt Muellera, z którymi Pell zapoznał się w drodze.

- W porządku, Dallas. Kupuję to. Powiedz mi teraz, ile tego koksu ci zostało?

Więzień zawahał się, a ona od razu się zorientowała, że Mueller w ogóle mu nie postawił tego pytania.

- Ani trochę. Wszystko zużyłem.

- Akurat! Wysadziłeś tylko trzy samochody. Wystarczy mi rzut oka na te zdjęcia, by stwierdzić, że nie zużyłeś całego zapasu RDX. My potrafimy obliczać takie rzeczy, nie wiedziałeś? Wychodzimy od rozmiaru zniszczeń i na jego podstawie szacujemy ilość wykorzystanego materiału wybuchowego. Nazywa się to porównaniem energii.

Zamrugał głupkowato powiekami.

- Więcej nie miałem.

- Kupiłeś te samochody od typka nazwiskiem Robert Castillo. Ten Castillo zeznał, że zamówiłeś u niego również czwar-

ty wóz. Po cholerę był ci czwarty wóz, skoro miałeś materiału jedynie na trzy?

Tennant oblizał wargi, uśmiechnął się nieśmiało i wzruszył ramionami.

- Miałem trochę dynamitu. Jeśli wleje się do wozu dość benzyny, pięknie wybucha i na dynamicie. Co prawda nie tak jak na RDX, ale RDX to w ogóle sam kwiat.

Starkey wiedziała, że kłamie; Tennant wiedział, że ona wie. Odwrócił oczy i wzruszył ramionami.

- Przepraszam. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Owszem, masz. Powiedz nam, gdzie jest twój warsztat.

Była pewna, że gdyby udało im się znaleźć warsztat, odkryliby dowody, które by ich doprowadziły do dostawcy RDX lub podobnych Tennantowi świrusów korzystających z tych samych źródeł.

- Nie mam żadnego warsztatu. Cały sprzęt trzymałem w bagażniku auta.

- W bagażniku twojego auta nie znaleziono nic podejrzanego, nie licząc paru żabek zaciskowych i odrobiny drutu.

- Wciąż mnie o to pytacie, a ja naprawdę nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. Lubię porządek. Proponowali mi nawet w zamian za tę informację złagodzenie kary i status pacjenta ambulatoryjnego, ale ja nie mam żadnego towaru do przehandlowania. Nie sądzi pani, że poszedłbym na taki układ, gdybym tylko mógł?

Pell pochylił się do przodu i przysunął ręce do albumu Tennanta.

- Myślę, że co noc trzepiesz kapucyna, marząc o tym, jak spożytkujesz resztę tego szajsu, gdy cię stąd wypuszczą. Nie zapominaj tylko, że jesteś tutaj na obserwacji psychiatrycznej. To podróż w jedną stronę, jeśli psychiatrzy uznają, że nie jesteś zdrow na umyśle. A czy człowiek zdrow na umyśle urywa sam sobie kciuk?

Tennant oblał się rumieńcem.

- To był wypadek.

- Reprezentuję rząd Stanów Zjednoczonych. Detektyw

Starkey reprezentuje departament policji Los Angeles. Wspólnie, przy twoim skromnym współudziale, moglibyśmy ci pomóc i doprowadzić do złagodzenia kary. Nie musiałyś urywać sobie paluchów, stosując środek do mycia szyb. Mógłbyś się pokusić o amputację całej dłoni, a może nawet ramienia. Starkey wpatrywała się uważnie w więźnia.

- Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. To nie w porządku, że mnie tu trzymają.

- Powiedz to temu kutasowi z wycieraczką samochodową w japie.

Starkey spostrzegła, że Tennant zaczyna kombinować. Żeby nie dać mu na to zbyt wiele czasu, wtrąciła, przybierając współczujący ton:

- To prawda, Dallas. Nie chciałeś skrzywdzić tego chłopca, próbowałeś nawet na swój sposób go chronić.

- Powiedziałem mu, żeby się schował, ale ten idiota nie posłuchał.

- Wierzę ci, Dallas. Widzisz, chodzi jednak o to, i to nas tu właśnie sprowadza, że na wolności przebywa człowiek, który nie ma podobnych skrupułów jak ty. Przeciwnie, on chce krzywdzić.

Kiwnął głową.

- Przyjechaliście tu z powodu tego zabitego pirotechnika, Riggia.

- Skąd wiesz?

- Mamy tu telewizję, Internet. Siedzą tu różni dziani faceci, bankierzy, prawnicy. Jeśli miałyby pani kiedyś trafić do pudła, gorąco polecam to miejsce.

Pell prychnął gniewnie.

- Ten Riggio zginął od RDX?

- RDX był jednym ze składników. Jako materiału wybuchowego użyto mieszanki o nazwie „Modex Hybrid”.

Tennant odchylił się na oparcie krzesła i splótł palce. Kikut po urwanym kciuku musiał go zabołec, bo skrzywił się i cofnął rękę.

- Robótka Mister Reda?

Pell zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że Starkey aż podskoczyła.

- Skąd wiesz o Mister Redzie?

Tennant spoglądał z lękiem to na nią, to na niego.

- Ja nic nie wiem, naprawdę. Tak mówią. Takie chodzą plotki. Ja nie wiem nawet, czy ten Red jest postacią rzeczywistą.

Pell wyciągnął rękę nad stołem i chwycił Tennanta za przegub zabandażowanej dłoni.

- Kto mówi, Tennant? Gadaj!

Starkey miała już dość obcesowych metod agenta specjalnego. Pozwoliła mu grać gburą, sobie rezerwując rolę tej dobrej, nie podobało jej się jednak, że Pell dotykał więźnia, i nie podobał jej się wyraz zaciętości, jaki dostrzegła w oczach partnera.

- Pell...

- Co takiego mówią, Tennant?

Oczy Tennanta zrobiły się ogromne. Usiłował wyszarpnąć rękę.

- Nic. Ten facet to legenda, autor supereleganckich bomb.

- Ta legenda morduje ludzi, ty pojechańcu!

Starkey zerwała się z krzesła.

- Puść go, Pell!

Twarz agenta była czerwona z wściekłości. Nie puścił ręki więźnia.

- Sukinsyn wie, że Red używa modeksu, Starkey. Nigdy nie przekazaliśmy tej informacji do wiadomości publicznej. Skąd o tym wie?

Chwycił i ścisnął zabandażowaną dłoń Tennanta. Młody człowiek pobałdł i jęknął.

- Mów, skurwysynu. Skąd wiesz o Redzie? Co o nim wiesz?

Starkey z całej siły popchnęła Pella, usiłując oderwać go od więźnia, lecz na próżno. Przestraszyła się, że strażnik może usłyszeć hałas i wbiec do pokoju.

- Pell, przestań, do jasnej cholery! Puść go!

Tennant uderzył Pella bez żadnego skutku, po czym zwałił się z krzesła na plecy.

- Czatują o nim na Klaudiuszu. Stąd wiem! Czatują o bombach, jakie konstruuje, jaki jest, dlaczego to robi. Wiem o nim z Klaudiusza.

- Kto to jest Klaudiusz, kurwa?

- Puść go, Pell!

Starkey powtórnie popchnęła agenta i tym razem zdołała go poruszyć. Przypominało to przesuwanie ciężkiej szafy.

Pell dyszał ciężko, ale wydawało się, że już nad sobą panuje. Wpatrywał się w Tennanta takim wzrokiem, że Starkey nie wątpiła, iż przystawiłby mu lufę do czaszki, gdyby miał przy sobie sfluwę.

- Opowiadaj o tym Klaudiuszu. Mów, jak się dowiedziałeś o Redzie.

Tennant pojękiwał na podłodze, obejmując zdrową ręką obolałą dłoń.

- Klaudiusz to strona w Internecie. Grupa dyskusyjna dla... dla takich jak ja. Rozmawiamy o bombach, o gościach, którzy je konstruuja, różne takie. Mówią, że zagląda tam nawet sam Red, żeby sobie poczytać, co o nim czatują.

Starkey odwróciła się od Pella i spojrzała na więźnia.

- Ty miałeś z nim kontakt?

- Nie. Chyba nie. To tylko plotki, zresztą nie wiem. Jeśli tam zagląda, używa jakiejś ksywki. Powtarzam tylko, co mówią. Podobno zaglądał na tę stronę Unabomber, ale nie wiem, ile w tym prawdy.

Starkey pomogła Tennantowi wstać i usiąść na krześle. Na bandażu rozkwitł czerwony kwiat. Rana krwawiła.

- Dobrze się czujesz, Dallas? Nic ci nie jest?

- Boli, kurwa. To jakiś szalaniec!

- Chcesz, żebym zawołała strażnika? Potrzebujesz lekarza? Spojrzał na nią i zdrową ręką podniósł ze stołu swój album.

- Chcę, żeby mi się pani podpisała.

Złożyła podpis w albumie, po czym zawołała strażnika i wyprowadziła Pella z pokoju widzeń. Tennant sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego, kiedy wychodzili, nie miała jednak pewności, czy po ich wyjeździe nie złożą skargi.

Pell, sztywny z napięcia, kroczył jak automat kilka metrów przed nią. Musiała wyciągać nogi, by za nim nadążyć, a z każdym krokiem narastał w niej gniew. Miała wrażenie, że jej twarz jest ceramiczną maską, tak kruchą, że gdyby idący przodem mężczyzna nagle się zatrzymał, mogłaby się rozpaść na kawałki, a wraz z nią ona cała.

Miała ochotę go zabić.

Kiedy znaleźli się na parkingu, podeszła za nim do samochodu od strony drzwi dla pasażera i pchnęła go mocno od tyłu. Nieprzygotowany, zatoczył się na błotnik.

- Co to miało znaczyć, ty idioto? Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? Masz pojęcie, jakiego syfa mogłeś nam narobić?

Gdyby miała przy sobie swoją usztywnianą pałkę z czasów pracy w policji mundurowej, z radością by go spałowała.

Wpatrywał się w nią z posępną miną.

- On dał nam trop, Starkey. Tego Klaudiusza.

- A mnie to wisi! Naruszyłeś nietykalność więźnia! Znęcałeś się nad nim! Jeśli złożysz skargę, mam przesrane! Nie wiem, jakie obyczaje panują w tym waszym cholernym ATF, ale dowiedz się, że tu za takie rzeczy wylewają na zbitą mordę! Zrobiłeś rzecz niedopuszczalną. Niedopuszczalną!

Była tak wściekła, że chętnie by go udusiła. Tymczasem on stał przed nią jak baranek, co jeszcze potęgowało jej wściekłość.

W pewnej chwili zaczerpnął głęboko powietrza, rozłożył ręce i spojrzał w bok, jak gdyby diabeł, który go opętał, właśnie się ulotnił.

- Przepraszam.

- Wspaniale! On raczy przeproszać!

Kręcąc głową, obeszła samochód. Wciąż czuła skutki wczorajszego przepicia i nagle uświadomiła sobie, że już myśli o strzeleniu sobie kilku głębszych, żeby się uwolnić od tego napięcia w karku. Była tak rozwścieczona, że bała się odezwać, bo nie ręczyła za siebie.

I wtedy Pell wyszeptał:

- Starkey...

Odwróciła się i zobaczyła, że się zatoczył. Chwycił się błotnika i przykleknął na jedno kolano.

Podbiegła do niego.

- Co się stało, Pell?

Był błądy jak ściana. Zamknął oczy i zwiesił głowę jak zmęczony pies. Pomyślała, że to atak serca.

- Poczekaj, sprowadzę pomoc!

Chwycił ją za ramię i mocno przytrzymał.

- Nie trzeba.

Otworzył na chwilę oczy, zamrugnął powiekami i na powrót zamknął. Ścisnął jej rękę tak mocno, że aż bolało.

- Nic mi nie będzie, Starkey. Czasami miewam takie bóle. To tylko migrena.

Nie puszczał jej ręki.

- Wyglądasz jak śmierć na chorągwi, Pell. Lepiej sprowadzę pomoc.

- Daj mi jeszcze minutkę.

Zamknął oczy i oddychał głęboko. Przyszła jej do głowy szalona myśl, że oto umiera przed nią na tym cholernym parkingu.

- Pell?

- Nic mi nie będzie.

- Puść mnie, bo znowu cię walnę.

Ścisnął jej rękę jak w imadle, ale po tych słowach twarz mu złagodniała i zwolnił uścisk. Zaczęły mu wracać kolory.

- Przepraszam. Nie chciałem ci zrobić krzywdy.

Podniósł na nią wzrok. Kucali tak blisko siebie, że aż się speszyła i spiesznie odsunęła.

- Pozwól mi po prostu chwilkę tak posiedzieć. Nikt nas nie widzi, prawda?

Musiała wstać, żeby ponad dachem samochodu popatrzeć w kierunku wartowni.

- Nie, chyba że umieją przenikać wzrokiem karoserie. Jeśli nawet spostrzegli, co się stało, pewnie myślą, że się migdalimy.

Zarumieniła się, zaskoczona własnymi słowami. Pell zdawał się ich nie słyszeć.

- Już mi lepiej. Mogę wstać.
- Nie wygląda na to. Posiedź jeszcze trochę.
- Czuję się już dobrze.

Wstał, oparł się o samochód, a potem, przytrzymując drzwi, wsiadł do środka. Zanim obeszła auto i usiadła za kierownicą, całkiem wróciły mu rumieńce.

- Dobrze się czujesz?
- Prawie. Ruszajmy.
- Naprawdę cholernie narozrabiałeś.
- Nie aż tak. Mamy Klaudiusza. To już coś.
- Jeśli Dallas złoży skargę, jestem załatwiona i nic mi po Klaudiuszu.

Położył dłoń na jej udzie. Wyraz twarzy Pella wprowadził ją w zdumienie; w jego oczach widniał szczery żal.

- Przepraszam. Jeśli ten gnój złoży skargę, całą winę biorę na siebie. Ty w ogóle nie brałaś w tym udziału. Tak im oświadczę. Teraz po prostu jedź, dobrze? To nie rozkaz, jedynie prośba. Przed nami długa droga.

Przyglądała mu się chwilę, po czym włączyła silnik i ruszyła. Na udzie jeszcze długo czuła ciężar jego dłoni.

6

Było już po siódmej, gdy wysadziła Pella na Spring Street. Letnie słońce dopiero zniżało się nad horyzontem, zaszyte w pióropusz palmy. Niebo miało wkrótce spurpurowieć.

Starkey zapaliła kolejnego papierosa i włączyła się do ruchu. Hooker i Marzik już dawno poszli do domu. Nawet Kelsa już nie było; pewnie jadł właśnie kolację. Gdy mijała restaurację „Burger King”, żołądek ścisnął jej się z głodu. Nie jadła nic od śniadania, ale na razie musiała się zadowolić dwiema tabletkami przeciw nadkwasocie.

Na LA sływała już cisza długiego wieczoru. Starkey doszła do wniosku, że Pell stanowi zagrożenie nie tylko dla śledztwa, ale i dla jej szansy na odbudowanie kariery. Jeśli Tennant złoży skargę albo naskrzeczy swojemu papudze, będzie skończona. Olsen właśnie w tej chwili mógł dzwonić do Kelsa, który wypełni w następstwie wniosek o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego. Wiele się mogło wydarzyć w ciągu ostatnich trzech godzin.

Ze złością wyrzuciła niedopałek przez okno. Utrata posady z powodu jakiegoś tam Klaudiusza wyglądała na marny interes. Mogła się przed tym zabezpieczyć w jeden tylko sposób: złożyć raport na Pella, zgłosić przypadek nadużycia prawa przez funkcjonariusza. Mogła też od razu podjechać do Kelsa i opowiedzieć mu, co zaszło. Jutro z samego rana posłałby ją do wydziału wewnętrznego, gdzie zostałaby przesłuchana przez

jakiegoś porucznika, który następnie zatelefonowałby do Olsena i poprosił o przesłuchanie Tennanta. Do południa połączenia telefoniczne między Spring Street a biurem terenowym ATF rozgrzałyby się do czerwoności. Waszyngton odsunąłby Pella od śledztwa, a ona ocalałaby tyłek. Gdyby Tennant sam z siebie zaczął śpiewać, byłaby w porządku. Postąpiłaby prawidłowo, zgodnie z regulaminem. Byłaby bezpieczna.

Zapaliła następnego papierosa, zadowolona, że ruch posuwa się tak ospale. Wokół niej samochody wyciekały z parkingów jak życie z nieboszczyka. Wizyta u Kelsa nie wchodziła w rachubę. Na samą o niej myśl poczuła się jak szmata.

Nie mogła przestać myśleć o Pellu.

Nic nie wiedziała o migrenowych bólach głowy, ale to, co zaszło na parkingu, przstraszyło ją nawet bardziej niż jego brutalna napaść na Tennanta. Obawiała się, że siłowe pogry wki z podejrzanymi należą do stałego repertuaru ATF, co znaczyło, że Pell przy najbliższej okazji znów sięgnie po takie metody, czym narazi ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Była pewna, że coś przed nią ukrywa. Miała dość własnych tajemnic, by wiedzieć, że ludzie nie ukrywają swoich mocnych stron; ukrywają słabe. Teraz bała się słabych stron Pella. Znani jej eksperci od materiałów wybuchowych byli bez wyjątku ludźmi ostrożnymi. Poruszali się powoli i metodycznie, ponieważ nader często układali puzzle złożone z drobnych kawałeczków; prowadzone przez nich śledztwa trwały tygodniami, często miesiącami. Pell działał zupełnie inaczej: drapieżnie i porywczo; wobec Tennanta zachował się jak ostatni brutal i cham. Nawet jego spluwa, ta cholerna armata kalibru 10, nie pasowała do wizerunku śledczego, który prowadzi sprawę zamachu bombowego.

Jechała do domu z poczuciem, że znalazła się pod ścianą, i była z tego powodu wściekła. Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do Pella do hotelu i jeszcze raz mu nauręgać, ale wiedziała, że nic dobrego by z tego nie wynikło. Miała dwa wyjścia: albo zadzwonić do Kelsa, albo dać sobie spokój. Wszystko inne było zawracaniem dupy.

Po przyjeździe do domu puściła gorącą wodę do wanny, przygotowała sobie mocnego drinka z dzinu i ze szklanką w ręku weszła do sypialni.

Rozebrała się i stojąc nago w nogach łóżka, popijała dzin i słuchała plusku lejącej się wody. Była boleśnie świadoma obecności lustra w drzwiach ściennej szafy. Wisiało za jej plecami, jakby na nią czekało. Pociągnęła solidny łyk, odwróciła się i przyjrzała własnemu odbiciu. Ujrzała blizny, krater, wyłobienia i doliny, przebarwienia i ściegi po szwach. Opuściła wzrok na prawe udo i zobaczyła odcisk dłoni Pella, wyraźny jak piętno.

Westchnęła i odwróciła się od lustra.

- Chyba ci, kurwa, odbiło.

Dopiła drinka kilkoma długimi łykami, weszła do łazienki i spoczęła w objęciach gorącej kąpieli.

7

- Opowiedz mi o Pellu.
 - Jest federalnym w ATF. Przepęstwa związane z alkoholem, tytoniem i bronią palną.
 - Wiem.
 - Jeśli wiesz, po co pytasz?
 - Chciałam powiedzieć, że wiem, co znaczy skrót ATF. Wydajesz się dziś rozdrażniona, Carol.
 - Przepraszam. Chyba zapomniałam połknąć poranną dawkę opiatów.

Była zła na siebie, że wspomniała Danie o Pellu. W drodze do Santa Monica zaplanowała sobie, o czym chce rozmawiać w czasie dzisiejszej sesji. Pella wśród tych tematów nie było, tymczasem pierwszy wyskoczył z jej ust.

- Narażam się na ryzyko z powodu faceta, którego nawet nie znam.
 - Dlaczego to zrobiłaś?
 - Cholera wie.
 - Spróbuj się domyślić.
 - Nikt nie lubi kapusiów.
 - Ale on naruszył prawo, Carol. Sama to powiedziałaś. Pogwałcił nietykalność osobistą więźnia, a ty znalazłaś się w niebezpieczeństwie, bo nie złożyłaś na niego doniesienia. Najwyraźniej nie aprobujesz tego, co zrobił, ale przeżywasz konflikt, nie wiedząc, jak postąpić.

Starkey przestała słuchać głosu terapeutki. Stała przy oknie, paliła papierosa i przyglądała się ruchowi ulicznemu na Santa Monica Boulevard. Grupka kobiet czekała w dole przy przejściu dla pieszych, popatrując z niepokojem na autobus stojący na przystanku na drugim brzegu sześciopasmowej arterii, zatłoczonych samochodami sunącymi zderzak w zderzak w porannej godzinie szczytu. Przysadzista, środkowoamerykańska budowa tych bab i ich plastikowe torby na zakupy pozwoliły się domyślać, że to służące spieszące do pracy w bogatych rezydencjach na północ od Montana. Po zmianie świateł autobus zaczął ruszać. Kobiety wpadły w panikę i nie zważając na jadące samochody, wtargnęły na jezdnię mimo czerwonego światła. Zatrąbiły klaksony, jakiś czarny nissan skręcił gwałtownie, omal nie rozjeżdżając dwóch spośród rozgorączkowanych niewiast, które nawet się nie obejrzały. Zignorowały niebezpieczeństwo, narażając się na ryzyko potrącenia, byle tylko nie uciekły im autobus. Starkey czuła, że ona by tak nie umiała.

- Carol?

Starkey nie chciała dłużej rozmawiać o Pellu ani przyglądać się grupce kobiet, które myślały tylko o tym, żeby złapać ten przeklęty autobus.

Wróciła na fotel i zdusiła papierosa w popielniczce.

- Chciałabym cię o coś zapytać.

- Pytaj.

- Nie jestem pewna, czy naprawdę tego chcę.

- Czy chcesz zadać mi to pytanie?

- Nie, zrobić to, o czym chcę ci powiedzieć. Mam te taśmy, na których widać, co spotkało Charliego Riggio, te nagrania wideo ze stacji telewizyjnych. Wiesz, co sobie uświadomiłam? Że oni powinni mieć również nagrania z mojego wypadku. Mają taśmy, na których widać, co spotkało Sugara i mnie. Nie mogę przestać o tym myśleć. Te sceny istnieją, utrwalone na taśmie, i ja mogłabym je obejrzeć.

Dana zapisała coś w notesiku.

- Zrób to, kiedy poczujesz, że jesteś gotowa. Uważam, że to świetny pomysł.

Starkey poczuła skurecz w żołądku. Jakaś część jej istoty pragnęła przyzwolenia Dany; inna - żeby ją zwolniła z tego obowiązku.

- Sama nie wiem...

Dana odłożyła notes. Starkey nie wiedziała, czy cieszyć się z tego, czy nie. Jeszcze nigdy nie widziała, by Dana odkładała ten swój bloczek na bok.

- Od jak dawna miewasz te sny, Carol?

- Od prawie trzech lat.

- Więc oglądasz śmierć Sugara, i własną także, każdej nocy od prawie trzech lat. Kilka dni temu przyszła mi w związku z tym do głowy pewna myśl. Nie wiem, czy jest trafna, czy nie, ale chcę się nią z tobą podzielić.

Starkey łypnęła na nią podejrzliwie. Nie znosiła słowa „podzielić”.

- Czy wiesz, co to takiego złudzenie percepcji?

- Nie.

- Spójrz na ten rysunek. Patrzysz i widzisz wazon. Lecz jeśli spojrzysz z innym nastawieniem, zobaczysz profile dwóch kobiet. To jak rysunek ukryty wewnątrz innego rysunku. Który z nich zobaczysz, zależy od intencji, z jaką patrzysz. Kiedy ktoś uporczywie wpatruje się w taki obrazek, żeby odkryć ten drugi rysunek, często mu się to nie udaje. Wpatruje się z nadzieją, że w końcu go zobaczy, ale nie potrafi.

Starkey uznała, że to bzdura.

- Twierdzisz, że ten sen stale do mnie wraca, bo próbuję odkryć sens tego, co się stało?

- Nie wiem. A ty jak sądzisz?

- Sądzę, że jeśli ty nie wiesz, to tym bardziej ja. Ty tu jesteś terapeutką.

- Słusznie. Dobrze, więc terapeutką sugeruje, że powinniśmy się zająć przeszłością, aby uzdrowić teraźniejszość.

- Tak właśnie robię. Przynajmniej próbuję. Chryste, tak często myślę o tamtym dniu, aż mnie czasem mdli. - Starkey machnęła ręką. - Dobra, wiem, że „myśleć” i „zajmować się” to nie całkiem to samo.

- Nie zamierzałam tego powiedzieć.
- Być może.
- Nie krytykuję cię, Carol. Po prostu próbuję zrozumieć.
- W porządku.
- Wróćmy do zjawiska złudzenia wzrokowego. Przypuszczam, że twój sen jest jak ten pierwszy obraz. Wracasz do niego, bo nie odkryłaś dotychczas drugiego, ukrytego rysunku. Jesteś w stanie dostrzec tylko wazon. Szukasz dwóch kobiet, podejrzewasz, że tam są, ale nie jesteś w stanie ich dojrzeć. Przyszło mi do głowy, że dzieje się tak może dlatego, że to, co widzisz, nie odpowiada temu, co się naprawdę zdarzyło. Jest tylko twoim wyobrażeniem, nie rzeczywistością.

Starkey poczuła, jak jej irytacja zmienia się w gniew.

- Jasne, wyobraziłam to sobie. Byłam już martwa, kurwa!

- Taśma by ci pokazała, co się naprawdę zdarzyło.

Starkey westchnęła przeciągle.

- I jeśli tam są dwie kobiety do odkrycia, być może zdołasz je odkryć. Możliwe też, że stwierdzisz, iż jest tam tylko wazon. Cokolwiek odkryjesz, może ci to pomóc przezwyciężyć traumę.

Spojrzenie Starkey pobiegło obok Dany w stronę okna. Podniosła się i znowu do niego podeszła.

- Wróć na miejsce, proszę.

Starkey wystukała z paczki papierosa i zapaliła. Dana nie patrzyła na nią, patrzyła na pusty fotel, jakby klientka nadal w nim siedziała.

- Carol, proszę, żebyś wróciła na miejsce.

Starkey wypuściła kłęb dymu. Zaciągnęła się głęboko i zawiesiła w powietrzu jeszcze gęstszą chmurę.

- Dobrze mi tu, gdzie jestem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że ilekroć zbliżamy się do czegoś, czego się boisz, uciekasz przez to okno?

Starkey wróciła na fotel.

- Mój sen się zmienił.

- Mianowicie?

Starkey założyła nogę na nogę. Zdała sobie z tego sprawę i wyprostowała nogi.

- Pojawił się w nim Pell. Kiedy zdjęli Sugarowi hełm, zobaczyłam tego kutasa Pella.

Dana kiwnęła głową.

- Pociąga cię.

- Nie pieprz!

- Pociąga?

- Czy ja wiem...

- Przed chwilą powiedziałś, że cię przestraszył. Może to jest prawdziwy powód.

- Dwie twarze?

- Tak. Ukryty rysunek.

Starkey spróbowała obrócić to w żart.

- Może jestem po prostu świruską, którą pociąga ryzyko. Czy w innym wypadku pracowałabym jako pirotechnik?

- Z nikim nie byłeś od tamtego czasu?

Starkey poczuła, że się czerwieni. Odwróciła oczy, mając nadzieję, że wygląda na zamyśloną, a nie śmiertelnie przeżaloną.

- Z nikim.

- Zamierzasz pójść za tą sympatią?

- Nie wiem.

Siedziały w milczeniu, dopóki Dana nie zerknęła na zegar.

- Obawiam się, że nasz czas się kończy. Chciałabym, żebyś przed naszym kolejnym spotkaniem pomyślała jednak o czymś całkiem innym.

- Bo to mi jeszcze mało?

Dana uśmiechnęła się i położyła bloczek na kolanach, jakby już obmyślała treść notatki, jaką w nim zapisze.

- Zażartowałaś, że pracowałaś jako pirotechnik, bo lubisz ryzyko. Przypomniałam sobie coś, co powiedziałaś podczas naszego pierwszego spotkania. Zauważyłam wtedy, że praca pirotechnika wydaje się zajęciem bardzo niebezpiecznym.

- Tak?

Starkey sobie tego nie przypominała.

- Odparłaś, że wcale tak nie jest. Wyjaśniłaś, że nigdy nie myślałaś o bombie w kategoriach niebezpieczeństwa, że bomba

to tylko układanka, którą musisz rozwiązać, elegancka, logiczna i przewidywalna. Myślę, że przy bombach czujesz się bezpieczna, Carol. Natomiast boisz się ludzi. Nie sądzisz, że właśnie dlatego tak lubiałaś pracę w sekcji pirotechnicznej? Starkey spojrzała na zegar.

- Miałaś rację. Nasz czas już się kończy.

Po wyjściu od Dany Starkey przedzierała się przez miasto w stronę Spring Street z rosnącym poczuciem nieuchronności. Wmawiała sobie, że po prostu podjęła decyzję, lecz miała świadomość, że to taka decyzja, jaką podejmuje spadający ze schodów pijak. Gruchnie o ziemię niezależnie od tego, czy to sobie postanowił, czy nie. Ona właśnie spadała z takich schodów. Miała zobaczyć moment własnej śmierci.

Czuła się skołowana i otumaniona, jak gdyby była duchem, który wrócił na ziemię, by straszyć w jakimś domu, ale nie może tam trafić i błąka się po świecie nieważki i niewidzialny.

Hooker majstrował przy automacie z kawą po przeciwległej stronie sali ogólnej. Uświadomiła sobie, że powinien mieć numery telefonów do programów informacyjnych wszystkich stacji telewizyjnych. Postanowiła zdobyć te numery. Zacznie obdzwaniać redakcje i odszuka te cholerne taśmy, na których została uwieczniona. Musi zrobić to zaraz, zanim stchórzy.

Ruszyła w stronę automatu z kawą.

- Jorge, zorganizowałeś obróbkę tych taśm?

- Jasne. Powiedziałem ci przecież, że się tym zajmę. Zapomniałaś?

- Nie. Chciałam się tylko upewnić.

- Nasz wydział współpracuje z pewnym studium postprodukcyjnym w Hollywood. Powinniśmy je mieć za jakieś dwa, trzy dni.

- Świetnie. Słuchaj, czy któraś z tych taśm pochodziła z kanału ósmego?

- Owszem. Jedną z nich zabrałaś nawet do domu. Zapomniałaś?

- Na rany Chrystusa, Jorge! Zataczałam przecież do domu całe naręczce tych cholernych taśm. Mam pamiętać, skąd która była?

Przyjrzał się jej podejrzliwie.

- Prawda, masz rację.

- Z kim w kanale ósmym rozmawiałeś na temat tych taśm?

- Z Sue Borman, szefem wiadomości.

- Mógłbyś mi dać jej numer? Chcę ją o coś spytać.

- Może ja potrafiłbym ci pomóc. Co chcesz wiedzieć?

Nic w życiu nie jest proste. Nie mógł to powiedzieć zwyczajnie: „Ależ oczywiście”, i pójść po ten cholerny numer?

- Chciałabym porozmawiać o tych taśmach, Jorge. Więc mogę dostać jej numer czy nie?

Poszła za Hookerem do jego biurka, zapisała numer, po czym ze swojego telefonu zadzwoniła do kanału ósmego. Wystukała numer mechanicznie, nie zastanawiając się, co powie ani jak to powie. Wołała nie zostawiać sobie czasu na myślenie.

Kanał ósmy był jedyną stacją telewizyjną obecną w osiedlu przyczep kempingowych, która utrwaliła się w jej pamięci. Wiedziała, że były tam również inne stacje, lecz nie pamiętała jakie, a nie chciała wszystkich obdzwaniać i wypytywać. Kanał ósmy zapamiętała dzięki jego charakterystycznej nazwie identyfikacyjnej: KROK. Pirotechnicy nazywali wóz transmisyjny KROK-a kroczem-.

- Mówi detektyw Starkey z wydziału policji Los Angeles. Chciałabym rozmawiać z redaktor Sue Borman, jeśli można.

Gdy Sue Borman podeszła wreszcie do telefonu, głos miała zadyszany. Starkey pomyślała, że to pewnie cecha zawodowa pracowników telewizji.

- Wysłaliśmy już państwu taśmy. Czy coś się stało? Macie państwo kłopoty z ich odtworzeniem?

- Ach, nie. Z taśmami wszystko w porządku. Bardzo jesteśmy państwu wdzięczni za współpracę. Dzwonię w sprawie innego kompletu taśm.

- Posłaliśmy państwu wszystkie, jakie posiadamy.

- Mnie chodzi o starsze taśmy. Macie je prawdopodobnie w taśmotece. Przed trzema laty w osiedlu przyczep kempingowych w Chatsworth zginął pirotechnik, a drugi został ranny.

Pamięta pani to zdarzenie?

- Nie. To również był zamach bombowy?

Starkey zamknęła oczy.

- Tak.

- Chwileczkę. Tam zdaje się był uszkodzony nie jeden, ale dwóch policjantów, z tym że drugiego zdołali odratować, prawda?

- Zgadza się.

- Byłam wtedy redaktorem wiadomości. Chyba nawet sama pisałam tę notatkę.

- To było trzy lata temu. Domyślam się, że nie przechowujecie tak starych taśm?

- My wszystko przechowujemy. Przepraszam, jak pani godność?

- Carol Starkey.

- To nie z panią rozmawiałam o tym wypadku w Silver Lake?

- Nie, z detektywem Santosem.

- Dobrze, zajmę się tym, przejrzę taśmotekę. Jak już znajdę co trzeba, zadzwonię do pani. Proszę mi tylko podać datę tamtego zdarzenia i numer pani telefonu.

Starkey podyktowała jej jedno i drugie.

- Będzie pani chciała dostać tę taśmę, jeśli się okaże, że ją mamy?

- Jeśli to będzie możliwe...

- Czy to ma jakiś związek z wypadkiem w Silver Lake?

Starkey wołała nie mówić, że była jednym ze sfilmowanych pirotechników.

- Chyba nie, musimy to jednak sprawdzić. Tak nakazuje procedura.

- Jeśli będzie w tym jakaś *story*, chciałabym mieć wyłączość.

- Jasne, załatwione.

- Przepraszam, znowu zapomniałam. Jak pani godność?
- Starkey.
- Odezwę się do pani.

Starkey odłożyła słuchawkę. Drżała na całym ciele. Z całej siły przycisnęła dłonie do blatu biurka, by opanować ich drżenie. Na próżno. Powinna być dumna, że odważyła się na tak trudny krok, tymczasem czuła tylko podchodzące do gardła mdłości.

Połknęła bez popijania tabletkę tagametę i czekała, aż zacznie działać, gdy zadzwonił Pell.

- Możesz rozmawiać?
- Mogę.
- Chciałbym cię jeszcze raz przeprosić za wczorajszy występ u Tennanta. Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotów.
- Nie wezwali mnie dotąd na górę do pionu wewnętrznego, jeśli o tym mówisz. Co prawda Tennant może w każdej chwili zmienić zdanie i zrujnować moją karierę, ale na razie do tego nie doszło.

- Złożyłaś na mnie raport?
- To nie w moim stylu, kotku. Nie martw się.
- Dzięki. No cóż, jak mówiłem: gdyby coś wyskoczyło, całą winę biorę na siebie.

Poczuła, jak się czerwieni z gniewu wymierzonego raczej w nią niż w niego.

- Nie możesz wziąć całej winy na siebie, Pell. Przypuszczam, że przemawia przez ciebie szlachetność itepe, ale niezależnie od tego, czy weźmiesz winę na siebie, czy nie, ja i tak dostanę w dupę za to, że nie złożyłam doniesienia. Takie u nas na szczeblu lokalnym panują obyczaje.

- Trudno. Słuchaj, jest jeszcze drugi powód, dla którego dzwonię. Znalazłem kogoś, kto może nam pomóc z tym Kladiuszem.

- Co masz na myśli?
- Jeśli to prawda, co powiedział Tennant, że Red tam zagłada, przyszło mi do głowy, że możemy to wykorzystać. ATF ma faceta na politechnice kalifornijskiej, specja od tych spraw. Już się z nim umówiłem. Jedziesz ze mną?

- Jasne.
 - Świetnie. Możesz po mnie wpaść?
- Wizytówka hotelu Pella leżała na biurku. Starkey zerknęła na nią i stwierdziła, że mieszka w Culver City, niedaleko lotniska, w „Islander Palms”.
- Chcesz, żebym po ciebie podjechała? A czemu nie mielibyśmy się spotkać tam na miejscu? Mieszkasz na drugim końcu miasta.
 - Mam kłopoty z tym cholernym wozem z wypożyczalni. Dobra, jeśli to za wielka fatyga, wezmę taksówkę.
 - Spokojnie. Będę u ciebie za dwadzieścia minut.

„Islander Palms” okazał się jednopiętrowym motelem kawałek w bok od Pico Boulevard, parę przecznic za starym studium MGM. Nad parkingiem pysznił się wielki neon z drzewami palmowymi, ale fronton był pokryty paskudnym tynkiem, a wykończenie raziło odcieniem morskiej zieleni. Starkey rozglądała się zdziwiona, że Pell zatrzymał się w tak nędznej dziurze; pomyślała, że najpewniej wybrał ten hotelik z jakiegoś taniego przewodnika. „Islander Palms” wręcz krzyczał: „Rabaty dla rodzin z dziećmi!”.

Pell wyszedł z holu, ledwo skręciła na parking. Był błądy i wyglądał na zmęczonego. Podkrążone oczy powiedziały jej, że to nie z samochodem miał kłopot. Prawdopodobnie był nadal wytrącony z równowagi po przeżyciach w Atascadero.

Wsiadł do samochodu, nie czekając, aż wyłączy silnik.

- Rany boskie, Pell, czy ATF ma węża w kieszeni? Wydział policji Los Angeles umieściłby mnie w lepszym hotelu.

- Zadzwońię do dyrektora i powtórzę mu, co powiedziałaś. Wiesz, jak dojechać na tę politechnikę?

- Urodziłam się w LA. Tutejszy plan ulic mam we krwi.

W drodze przez miasto Pell poinformował ją, że jadą na spotkanie z facetem o nazwisku Donald Bergen, absolwentem fizyki. Bergen należał do wąskiej grupy ekspertów komputerowych zatrudnianych przez rząd do wykrywania i śledzenia

potencjalnych zabójców prezydentów, świrusów na punkcie broni palnej, pedofilów, terrorystów i podobnych szajbusów, którzy wykorzystywali Internet jako narzędzie komunikacji, planowania i realizacji czynów zakazanych. To była szara strefa wymiaru sprawiedliwości, z każdym dniem pograżająca się w coraz ciemniejszej tonacji. Internet nie wchodził w skład systemu pocztowego Stanów Zjednoczonych, pokoje rozmów nie były prywatnymi połączeniami telefonicznymi, mimo to specjalne służby napotykały coraz większą liczbę ograniczeń dotyczących kwestii, co im wolno, a czego nie wolno w sieci.

- Czy ten facet to ktoś w rodzaju tajnego agenta?

- To po prostu cywilny współpracownik. Wyświadczył mi przysługę, dobrze, i nie pytaj go, czym się trudni, ani nie mów za dużo, czym my się zajmujemy. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

- Słuchaj, oświadczam ci już teraz, że nie zrobię nic, co byłoby niezgodne z prawem.

- To nie będzie niezgodne z prawem. Bergen wie, po co przyjeżdżamy. Jego zadaniem jest wprowadzić nas na tę stronę. Reszta należy do nas.

Przyjrzała się Pellowi i nic nie odpowiedziała. Jeśli Bergen i Klaudiusz mogą się przyczynić do zamknięcia śledztwa, w porządku.

Dwadzieścia minut później znaleźli wolne miejsce na parkingu dla gości i weszli na kampus politechniki kalifornijskiej. Starkey nigdy tu jeszcze nie była, choć od dziecka mieszkała w LA. Piękne budynki w kolorach ziemi przycupnęły wśród płaszczyn Pasadeny. Mijali młodych ludzi obojga płci, którzy wyglądali całkiem zwyczajnie, choć prawdopodobnie zapowiadali się na geniuszy. Niewielu z nich wybierze zawód gliniarza - pomyślała. Gdyby była mądrzejsza, też by go pewnie nie wybrała.

Dotarli do gmachu informatyki, zeszli schodami w dół i zagłębili się w sterylnie czysty korytarz. Znaleźli gabinet Bergena. Pell zapukał. Drzwi otworzył im niski mężczyzna umięśniony jak kulturysta, z lekka cuchnący potem.

- Pan Jack Pell?

- Owszem. Pan Bergen?

Bergen zerknął na Starkey.

- A to kto?

Pokazała mu odznakę.

- To jest detektywem wydziału policji Los Angeles - powiedziała, hamując złość. - Carol Starkey.

Bergen łypnął podejrzliwie na Pella.

- Jerry nie wspominał o drugiej osobie. Co ona tu robi?

- Jesteśmy partnerami, Bergen. To panu powinno wystarczyć. A teraz zechce nas pan wpuścić.

Bergen wystawił głowę, by sprawdzić, czy korytarz jest pusty, po czym zaprosił gości do środka i zamknął drzwi na klucz. Starkey wyczuła mdlący zapaszek marihuany.

- Możesz mi mówić Donnie.

Gabinet był zawalony książkami i podręcznikami oprogramowania, zastawiony komputerami i obwieszony plakatami, na których przeżyły mięśnie kulturystki. Gospodarz poprosił, żeby usiedli na dwóch krzesłach ustawionych przed ekranem płaskiego laptopa. Starkey źle się czuła, siedząc tak blisko Pella i dotykając go ramieniem, lecz nie miała się dokąd cofnąć. Bergen przysunął krzeselko obrotowe i usiadł z drugiej strony Pella. Cała trójka skupiła się przed komputerkiem, jakby to było okno do innego świata.

- Szybko się z tym uwiniemy. Zadanie było dość banalne, szczególnie w porównaniu z niektórymi tematami, jakie dostają od waszych chłopców. Coś mnie jednak dziwi...

Starkey zauważyła, że Bergen zwraca się tylko do Pella; na nią nawet nie spojrzy. Pomyślała, że prawdopodobnie wstydzi się kobiet.

- Mianowicie? - zapytał Pell.

- Kiedy dostają podobną robótkę, zwykle wysyłam rachunek przez Jerry'ego, a tym razem powiedział, żebym nie wracał tym sobie głowy.

- Pogadamy o tym później, Donnie. Detektyw Starkey to nie interesuje.

Bergen zaczerwienił się.

- Dobra, jak chcesz.
- Wprowadź nas do tego Klaudiusza, Donnie.
- Jasne. Co chcesz wiedzieć?
- Pokaż nam, jak tam wejść.
- Ja już tam wszedłem. Odwiedziłem tę stronę dziś rano.

Bergen, który siedział po drugiej stronie Pella, jak najdalej od Starkey, wyciągnął rękę i uderzył w kilka klawiszy na klawiaturze.

- Zacząłem od wyszukania w sieci stron poświęconych bombom, materiałom wybuchowym, samodzielnemu urządzeniu wybuchowemu, broni masowego rażenia i temu podobnym. Takich stron są setki.

Ekran wypełniła strona domowa portalu GRABARZ, przedstawiająca czaszkę z chmurami atomowych grzybów w oczodołach. Bergen wyjaśnił, że założył tę stronę i zarządzał nią pewien hobbysta z Minnesoty; była absolutnie legalna.

- Wiele bardziej rozbudowanych stron dysponuje tablicami komunikatów, żeby ludzie mogli sobie przysyłać wiadomości lub wpadać do czatowni i gawędzić w czasie rzeczywistym. Czy wiesz, jak wyszukujemy informacje o zabójstwach?

- Donnie... - przerwała mu Starkey.

Bergen odchrząknął, zerknął na nią i szybko odwrócił wzrok.

- Słucham panią.

- Nie musisz mi mówić „pani”. Chciałabym jednak, żebyś zwracał się również do mnie, okay? Nie aresztuję cię za palenie trawki, nie musisz się mnie bać.

- Nie paliłem trawki.

- Po prostu zwracaj się również do mnie. Ja również nie wiem, jak wyszukujecie informacje o zabójstwach.

- Może w to lepiej nie wchodzimy - zaproponował Pell.

Bergen ponownie oblał się rumieńcem.

- Przepraszam.

- Po prostu powiedz, jak znalazłeś tego Klaudiusza, i wprowadź nas tam.

Bergen okręcił się na krzeselku i wskazał piramidę niebieskich Power- Maców zsięciowanych na metalowym stelażu.

- Szuka się odpowiednich kombinacji słów. Powiedzmy: prezydent, Biały Dom, zabić. Mam program, który bez przerwy obserwuje czterdziestu dostawców usług, przeszukuje wątki na tablicach komunikatów, grupy dyskusyjne i czatownie w poszukiwaniu takiej kombinacji słów. Jeśli się pojawi, automatycznie kopiuje komunikaty i adresy rozmówców. Wystarczyło kazać mu szukać słowa „Klaudiusz” w sąsiedztwie kilku innych, i oto rezultat. To było równie łatwe jak walka o demokrację na świecie.

Nacisnął jakiś klawisz i na ekranie pojawiła się nowa strona. Bergen nadął się dumą.

- „Możecie uciekać, ale nie zdążycie się schować, dranie”. Oto Klaudiusz.

Pojawiła się głowa cała w płomieniach. Boleśnie wykrzywiona, jak w męczarni. Starkey przyszło na myśl, że przypomina twarz Rzymianina. Z lewej strony biegł pasek nawigacyjny z różnymi tematami: JAK TO ZROBIĆ, SPECE, MILITARIA, GALERIA, ŁĄCZA, NAJBARDZIEJ POSZUKIWANI oraz kilkoma innymi.

Starkey nachyliła się do ekranu.

- Co to takiego?

- Strony w obrębie stron. „Galeria” przedstawia zdjęcia ofiar wybuchów. Raczej makabryczne. Strony „Jak to zrobić” zawierają artykuły o konstrukcji bomb i tablicę komunikatów, gdzie ci popaprańcy mogą się wymieniać opiniami. A zatem w drogę.

Kliknął przyciskiem myszy i zabrał gości na przejażdżkę po piekle. Oglądali przepływające przez ekran projekty samodziiałowych urządzeń wybuchowych, artykuły poświęcone metodom takiego zamieniania składników chemicznych w popularnych produktach gospodarstwa domowego, by te mogły się stać materiałami wybuchowymi. „Galeria” przynosiła fotografie zrujnowanych budynków i zdemolowanych pojazdów, zdjęcia z sekcji zwłok osób, które zginęły na skutek wybuchów,

wręcz nieskończony ciąg fotografii mieszkańców Trzeciego Świata, którzy stracili stopy lub całe nogi w wybuchach min, zdjęcia zwierząt rozerwanych na strzępy w laboratoriach badających rany.

Starkey musiała odwrócić wzrok od ekranu.

- Ci faceci są kompletni popierdoleni. To ohydne!
- Ale legalne. Pierwsza Poprawka, moja droga. Jeśli uważnie się w nią wczytasz, zauważysz, że nic, co ukazuje się na tych stronach, nazywanych notabene publicznymi, nie stanowi wykroczenia wobec prawa. Nikt nie przyznaje się tutaj do popełnienia zbrodni czy do handlu niedozwolonymi towarami. To po prostu hobbyści. Ot i wszystko.

- Szukamy niejakiego Mister Reda - powiedział Pell. - Podobno rozmawiają tu na jego temat. Słyszeliśmy nawet, że czasem sam tutaj zagląda.

Bergen kiwnął głową, nim Pell skończył zdanie, dając do zrozumienia, że niczym nie są w stanie go zaskoczyć. Zerknął na zegarek, po czym przeniósł wzrok na wielkiego Maca typu desktop.

- No cóż, jeśli zjrzał tu później niż o jedenastej cztery wczorajszego wieczoru, nie wystąpił pod własnym nazwiskiem. Rejestruję wszystkich logujących się.

Okręcił się z powrotem w stronę laptopa i przyciskiem myszy otworzył tablicę komunikatów.

- Ponieważ wciąż o nim nadają, będzie tego od groma. Część tych szajbusów uważa Reda i podobnych mu drani za bohaterów. Mamy tu wątki dyskusji o Unabomberze, o tym łobuzie z Kalifornii znanym pod ksywą „IRS Bomber”, o Deanie Harveyu Hicksie, o tym palancie z Południa, który zabija sędziów i adwokatów, o skurwielach z Oklahomy, no i do słownie tony gadek na temat Mister Reda.

- Pokaż je - poprosiła Starkey.

Bergen wywołał wątek poświęcony Mister Redowi, wyjaśniając, że „wątek” to ciąg komunikatów zarejestrowanych na wyodrębnionej tablicy, i pokazał, jak przechodzić kolejno z komunikatu na komunikat, by śledzić wymianę zdań.

- W którym miejscu mam zacząć? - spytała.
 - W którym chcesz, obojętne. Wątki idą wiecznie.
- Wybrała na chybił trafił i otworzyła komunikat.

TEMAT: Re: Prawda lub konsekwencje
OD: BOOMER
MESSAGE-ID: »187765.34 @ zipp«

». . .fakt, że Unabomber działał przez tyle lat, dowodzi jego klasy. . .«

Kaczyński miał fart. Jego urządzenia były proste, prymitywne i toporne. Szukasz elegancji, spójrz na Mr Reda.

Boomster
(często mylony, zawsze nieomylny)

Starkey otworzyła następny komunikat wątku.

TEMAT: Re: Prawda lub konsekwencje
OD: JYMB04
MESSAGE-ID: »222589.16 @ nomadd«

»Szukasz elegancji, spójrz na Mr Reda.«

Jakiej elegancji, Boom? Zgoda, używa bajeranczkiego kitu jak modex i zachowuje incognito. Unabombera nie dorwali przez siedemnaście lat. Red działa dopiero od dwóch. Zobaczymy, na jak długo starczy mu fartu.

Jednak podoba mi się, że facet nie babrze się w polityce. Arabusy i terroryści psują środowis-

ku opinię... Podobają mi się, że koleś nie gra w żadne gry.

Siema,

J

Starkey spojrzała na Pella.

- Tych gnoi powinno się kastrować.

Roześmiał się.

- Spokojna głowa, Carol. Założę się, że większość ich nigdy nie była na randce.

Popatrzyła na Bergena.

- Więc oni tym się zajmują, wymianą takich wiadomości?

- Mhm. Właśnie dlatego nazywają to tablicą komunikatów. Ale te gnojki to przyszcz. Żaden się nie przyzna do przestępstwa. Jeśli chcesz spotkać prawdziwych pojebańców, powinnaś zajrzeć do czatowni. Tu, gdzie teraz jesteśmy, może trafić prawie każdy, byle wiedział, jak szukać. Czatownia to całkiem inna sprawa. Tam nie możesz po prostu wpaść, zapukać puk, puk, jestem. Trzeba zostać zaproszonym.

- Ciebie zaproszono?

Bergen wyjaśniał z zadowolenia.

- Ja nie potrzebuję zaproszenia. Włamuję się. Ale zwykli śmiertelnicy muszą mieć coś, co nazywają wejściówką, specjalny soft, który ktoś musi ci przysłać mailem. Rodzaj klucza, którym otwierasz drzwi. Ci chłopcy dyskutują o rzeczach, za które można trafić do pierdła, więc zależy im na dyskrecji. Że tu jesteśmy, ja i mnie podobni, o tym wiedzą. Sądzą jednak, że w czatowni są bezpieczni.

Bergen klepnął kilka klawiszy i na ekranie otworzyło się okno z pseudonimami dwóch rozmówców, ALPHK1 i 22TIDAL. Nie rozmawiali o bombach, materiałach wybuchowych czy choćby pokrewnych tematach. Gawędzili na temat popularnych seriali telewizyjnych.

- Te świry gadają o jakiejś aktorce - zdziwił się Pell.

- W czatowni można gadać, co ślina na język przyniesie.

To się odbywa w czasie rzeczywistym. Rozmawiają jak my w tej chwili, tyle że wypowiedzi wystukują na klawiaturze. Ci dwaj mogą się znajdować na dwóch przeciwnych krańcach naszego globu.

Starkey obserwowała tę wymianę zdań z uczuciem, że zagląda przez okno do innego świata.

- Czy oni nas widzą?
- Nie, w tej chwili nie. Mamy na głowach czapki niewidki, koledzy, jesteśmy całkowicie niewidzialni. W Internecie nie ma żadnych ścian, w każdym razie dla mnie.

Bergen ponownie się roześmiał, a Starkey przyszło na myśl, że jest prawdopodobnie równie pokręcony jak szajbusy, których podglądali.

Pell pociągnął nosem i wskazał głową ekran.
- Czuję go, Starkey. Te szczyły muszą łechtać jego ambicję. Zagląda tu i czyta te pieprzone peany na swoją cześć, to bardzo do niego pasuje. Możemy go tu dopaść.

Starkey pomyślała, że każdy z uczestników tego pokoju rozmów mógł być Mister Redem.

Wychyliła się do przodu i spojrzała na Bergena.
- Moglibyśmy zostawić tu wiadomość, gdybyśmy obrali pseudonim?

- Jasne. Możecie nadać wiadomość, wejść do czatowni, co tylko chcecie, gdy jesteście ze mną.

Zerknęła na Pella, a ten kiwnął głową.

- Tego właśnie chcemy.
- *No problemo. Zatem do roboty.*

Pell

Wybrali hasło NABUZOWANY. Pell uważał, że jest głupie, ale po namyśle doszedł do wniosku, że jego seksualny podtekst mógł działać na ich korzyść.

Kątem oka obserwował Starkey, podziwiając jej zapał. Gabinet Bergena był ciasny i zagracony; mógł pomieścić zaledwie

trzy stłoczone przed komputerem osoby. Bergen cuchnął potem tak okropnie, że Pell starał się jak najdalej od niego odsunąć. Ilekroć dotykał ramieniem Starkey, wzdragała się. Gdy w pewnej chwili zetknęły się ich uda, aż się zląkł, że jego towarzyszyka spadnie zaraz z krzesła.

Zastanawiał się nad jej reakcją i przyszło mu na myśl, że może nie lubi mężczyzn albo nie lubi być dotykana, po namyśle doszedł jednak do wniosku, że to mało prawdopodobne. W czasie tego cholernego ataku w Atascadero okazała zaskakujące ciepło, czym go wzruszyła; nawet gdy go opieprzała za Tennanta.

- Obudź się, Pell.

Przyglądali mu się oboje. Zdał sobie sprawę, że bujał w obłokach.

- Przepraszam.

- Na litość boską, przestań myśleć o niebieskich migdałach! Nie chcę tu siedzieć do rana.

Bergen pokazał im, jak się posługiwać laptopem, jak go włączać i wyłączać i jak łączyć się z Internetem poprzez adres anonimowego dostawcy, którego właścicielem i operatorem był rząd. Potem pokazał, jak znaleźć stronę Klaudiusz, kiedy już będą w sieci. Naradzili się nad dalszym posunięciem i postanowili zrobić coś, co Bergen nazwał podpuchą. Podpisując się jako Nabuzowany, zostawili na tablicy komunikatów trzy wiadomości na temat Mister Reda; dwie potwierdzające status Nabuzowanego jako fana i jedną powtarzającą plotkę, że Mister Red zaatakował ponownie w Los Angeles, zakończoną pytaniem, czy ktoś to może potwierdzić. Bergen wyjaśnił, że celem podstępu było sprowokowanie reakcji i zaistnienie na tablicy.

Kiedy skończyli, Pell zapowiedział Bergenowi, że za chwilę wróci, po czym wyszedł ze Starkey na korytarz.

- Dłaczego musisz tam wracać?

- Wewnętrzne sprawy ATF. Nic takiego.

- Wiesz co, Pell? Pieprz się!

- Czy to rozdrażnienie jest u ciebie chroniczne?

Zmierzyła go groźnym spojrzeniem, ale nic nie odpowiedziała.

Wyjęła papierosa i zapaliła. Zadał sobie pytanie, czy zawsze była taka nieumiarkowana w piciu i paleniu, czy może ta Starkey narodziła się tamtego dnia w osiedlu przyczep kempingowych. Starkey z niewyparzonym językiem i manierami kaprała. Włączając się czasami po mieście samochodem lub leżąc w obskurnym hotelowym pokoju, miał ochotę ją o to zapytać, wiedział jednak, że źle by to przyjęła. Wiedział i tak aż za dużo, na przykład to, jak takie przeżycie może człowieka zmienić, czy to, że gdy jesteś słaby psychicznie, pokrywasz tę słabość skorupą. Odpędził od siebie te myśli.

Starkey zamachała ręką, jakby chciała rozniecić żar w papierosie, po czym zdjęła wzrok z Pella i spojrzała w głąb korytarza.

- Muszę wracać na Spring Street. Mam jeszcze przesłuchać z Marzik świadków, którzy widzieli naszego ptaszka.

- Weź komputer. Możemy spotkać się później u ciebie, żeby sprawdzić, czy ktoś złapał się na nasz haczyk.

Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

- Dobra, spotkamy się u mnie. Poczekam w wozie.

Odprowadził ją wzrokiem i wrócił do gabinetu Bergena.

Gdy zapukał do drzwi, Bergen jak poprzednio wyjrzał na korytarz, żeby się upewnić, czy jest pusty. Pell czuł obrzydzenie do takich interesów.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, informatyk powiedział:

- Mam nadzieję, że niczego przy niej nie chłapnąłem.

Pell wyjął kopertę z pieniędzmi, a potem przyglądał się, jak Bergen przelicza banknoty.

- Zgadza się. Dwanaście stówek. Pierwszy raz płacie mi gotówką, chłopcy. Zwykle wystawiam e-mailem rachunek, ale tym razem Jerry powiedział, żebym o tym zapomniał.

- Skoro powiedział, żebyś o tym zapomniał, to o tym zapomnij.

Bergen wzruszył ramionami, wyraźnie podenerwowany.

- Słusznie. Chcesz pokwitowanie?

- Chcę dostać drugi komputer.

Gospodarz wytrzeszczył nań oczy.

- Chcesz drugi komputer? Taki jak ten, który wam właśnie dałem?

- Tak. Tak ustawiony, żebym mógł łatwo wejść na stronę Klaudiusz.

- Po co ci drugi komputer?

Pell przysunął się do Bergena i zmierzył go takim wzrokiem, że muskularny mężczyzna aż się wzdrygnął.

- Możesz mnie zaopatrzyć w drugi komputer czy nie?

- To będzie kosztowało drugie dwanaście setek.

- Wrócę tu później. Sam.

8

Starkey odwiozła Pella z powrotem do motelu i przez resztę popołudnia przesłuchiwała razem z Marzik klientów pralni w Silver Lake. Niestety, nikt nie widział telefonującego mężczyzny w baseballowej czapeczce i koszuli z długimi rękawami. Starkey myślała z niepokojem o tym, że będzie zmuszona zawiadomić Kelsa, iż sprawa wizerunku podejrzanego pozostała otwarta.

Pod koniec dnia pojechały pod kwaciarnię, aby pokazać Lesterowi Ybarrze trzy portrety pamięciowe, jakie Starkey dostała od Pella.

Chłopak obejrzał je i pokręcił głową.

- Wyglądają jak trzech różnych gości.
- Wbrew pozorom to jeden gość, tyle że w różnych przebraniach.

- Możliwe, że ten, którego wiedziałem, też był przebrany, ale na pewno wyglądał na starszego niż ci.

Marzik wyżebrała u koleżanki tabletkę tagametę.

Starkey wróciła wieczorem do domu z mocnym postanowieniem, że przystopuje z dzinem. Przygotowała dzbanek mrożonej herbaty. Popijała ją, próbując oglądać telewizję, jednak większą część wieczoru spędziła na rozmyślaniach o Pellu. Usiłowała skoncentrować uwagę na śledztwie, lecz jej myśli wracały uporczywie do osoby agenta specjalnego i ich porannej rozmowy, podczas której powiedział, że weźmie wszystko na siebie, gdyby Tennant jednak złożył skargę.

Zgasiła światło, położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Nawet na te swoje żalosne dwie godziny.

W końcu wyjęła z szafki fotografię Sugara i usiadła z nią w salonie, czekając końca nocy.

Jeden mężczyzna już wziął wszystko na siebie, żeby ją ratować. Nie pozwoli, by inny to powtórzył.

Dziesięć po dziewiątej następnego dnia zadzwonił do niej na Spring Street Buck Daggett.

- Przepraszam, Carol, nie chciałem zwracać ci głowy, ale jestem ciekaw, czy nie ma jakiegoś przełomu w śledztwie?

Ogarnęło ją poczucie winy. Dobrze wiedziała, jak się czuje człowiek w położeniu Bucka, odsunięty na margines w tak poważnej sprawie. Sama się tak czuła po wypadku.

- Prawdę mówiąc, nie. Przykro mi, stary.

- Jestem po prostu ciekaw, rozumiesz.

- Doskonale. Słuchaj, wiem, że powinnam sama do ciebie zadzwonić i poinformować, jak nam idzie, ale byłam koszmarnie zajęta.

- Słyszałem, że znaleźliście jakiś napis na odłamku. O co to chodzi?

- Jeszcze nie wiemy. Owszem, na ścianie rury wyryto jakiś symbol. Cyfrę „pięć” albo duże „S”.

Nie była pewna, ile może mu powiedzieć o Mister Redzie, więc na tym poprzestała.

Zdziwił się.

- Piątka albo duże „S”? Co to ma znaczyć, u licha? To jakiś kod?

Wolała zmienić temat.

- Nie mam pojęcia, Buck. Jak tylko coś wyskoczy, natychmiast dam ci znać.

Santos gestami wskazywał telefon na jej biurku. Migła lampka połączenia na drugiej linii.

- Słuchaj, Buck, mam drugi telefon. Jak tylko coś ustalimy, natychmiast do ciebie dzwonię.

- Dobrze, Carol. Nie chcę być natrętem, rozumiesz.
- Wiem, Buck. Do usłyszenia.

Odniosła wrażenie, że w jego głosie zabrzmiała gorycz, i opadły ją tym silniejsze wyrzuty sumienia.

Na drugiej linii czekał John Chen.

- Z laboratorium ATF w Rockville przysłali mi dowód rzeczowy na twoje zamówienie.

- Chodzi o elementy składowe tej bomby z Miami?

- Mhm. Powinnaś była uprzedzić, że mają nadejść, Starkey. Nie lubię takich zaskoczeń. Przed jedenastą muszę być w sądzie, a tu zwala się na mnie ta papierkowa robota.

Zerknęła na zegarek.

- Już do ciebie jadę. Chcę to sobie obejrzeć.

Zgodnie z wymogami procedury Chen lub inny ekspert kryminalistyki powinien osobiście przekazać nadesłane dowody na ręce Starkey.

- Muszę być w sądzie, Carol. Przyjedź jutro. Albo jeszcze dzisiaj, ale później.

W jego głosie pojawił się ten zrzędlawy ton, którego nie cierpiała.

- Zaraz wyjeżdżam, John. Będę u ciebie za kwadrans.

Zmierzała już do wyjścia, gdy otworzyły się drzwi gabinetu Kelsa. W jednej chwili przypomniała sobie o Tenancie i o incydencie w Atascadero, o którym na kilka błogosławionych minut zdołała zapomnieć.

- Starkey!

Kelso szedł do niej z kubkiem kawy w rękę. Na kubku widniał nadruk: NAJSEKSOWNIEJSZY KOCHANEK. Starkey przyglądała się szefowi obojętnie, z wewnętrznym nastawieniem typu: „pieprz się”. Jeśli Olsen telefonował, by złożyć skargę, było już za późno, aby się tym martwić.

- Morgan zwołuje zebranie dzisiaj po południu. O pierwszej w moim gabinecie.

Starkey miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

- Na jaki temat?

- A jak pani myśli, pani detektyw? Chce się dowiedzieć,

co zrobiliśmy w sprawie Riggia. Dick Leyton też będzie. Zapoznasz ich ze stanem śledztwa. Spodziewam się, że masz im coś do powiedzenia.

Uspokoila się. Najwyraźniej nikt nie wniósł skargi do wydziału wewnętrznego.

Kelso rozłożył ręce w geście zaproszenia.

- Zatem? Nie przedstawiś mi wstępnego raportu?

Starkey opowiedziała mu o stronie „Klaudiusz”, wyjaśniła, że Tennant dowiedział się stamtąd o Redzie, i dodała, iż przeczytanie jej mówi, że może to być cenne źródło informacji.

Kelso nieco się udobruchał.

- No cóż, to już coś, jak przypuszczam. Przynajmniej wygląda na to, że działamy.

- Bo działamy, Barry.

Choć nic tego dnia nie piła, sprawił, że rozbolała ją głowa.

Jeszcze po wyjściu z komendy wewnątrznie się trzęsła. Miała nadzieję, że zdoła złapać Chena, nim ten wyjedzie do sądu. Udało się. Dopadła go, gdy schodził na dół, z przetrzuconą przez ramię sportową marynarką. Nie ucieszył się na jej widok.

- Uprzedziłem cię, że muszę być w sądzie, a ty powiedziałaś, że będziesz za kwadrans.

- Wprowadź mnie tylko w sprawę i możesz jechać.

Nawet wolała pracować samotnie. Łatwiej się skoncentruje, gdy Chen nie będzie zaglądał jej przez ramię i pchał się ze swymi męskimi radami.

Zaklął pod nosem, ale zawrócił, wbiegł po dwa stopnie na górę, skręcił w korytarz i wprowadził ją do laboratorium. Dwaj technicy jedli właśnie kanapki w otoczeniu plastikowych toreb zawierających wedle wszelkich oznak ludzkie szczątki. W powietrzu unosiła się ostra woń formaliny.

- Przysłali nam dwa urządzenia wybuchowe - poinformował ją Chen. - Nie tylko to z biblioteki, jak zapowiadałaś.

Ta wiadomość ją zaskoczyła.

- Spodziewałam się tylko bomby z biblioteki.

- Owszem, otrzymaliśmy ją, ale przysłali też odłamek bomby, jaka u nich naprawdę wybuchła. W raporcie piszą, że to niemal identyczna konstrukcja, choć jedno urządzenie było prawdziwą bombą, a drugie nie.

Przypomniała sobie, co Pell opowiadał jej o bombie w nielegalnej fabryce. Była też o tym mowa w jednym z siedmiu raportów, jakie jej dostarczył. Przeczytała już raport z hrabstwa Dade na temat tego urządzenia i uznała, że warto by je obejrzeć na własne oczy.

Chen zaprowadził ją w kąt laboratorium, gdzie na czarnym stole stały dwa białe pudła. Obydwa otwarte.

- Wszystko już jest zapakowane, ometkowane i opisane. Musisz tu podpisać, a potem za zgodą ATF możesz z tym robić, co ci się podoba, z określaniem siły wybuchu na podstawie zniszczeń włącznie.

Badania destrukcyjne były niekiedy konieczne dla rozdzielenia komponentów lub uzyskania próbek. Starkey nie sądziła, by tym razem okazały się niezbędne, i miała zamiar poprzestać na wynikach laboratorium z Miami.

Podpisała w miejscach wskazanych przez Chena cztery federalne formularze przekazania dowodów materialnych.

- Dzięki. Czy mogłabym popracować przy twoim stole?

- Tylko postaraj się nie nabałaganić. Wiem, gdzie co leży, więc bądź łaskwa odłożyć wszystko na miejsce. Nie znoszę, gdy coś mi ruszają.

- Niczego nie będę ruszała.

- Chcesz, żebym powiedział Russowi Daigle'owi, że tu jesteś? Prawdopodobnie chciałby sobie obejrzeć to cacko.

- Wołałabym popracować nad tą bombą sama, John. Zwołam go, jak skończę.

Gdy Chen wreszcie wyszedł, Starkey zaczerpnęła głęboko powietrza i zamknęła oczy. Czowała, jak powoli, w tempie topniejącego lodowca, opada z niej napięcie. Tę część pracy zawsze najbardziej lubiła. To był jej sekret. Kiedy dotykała bomby, kiedy trzymała w rękach fragmenty, gdy czuła je pod palcami, stawała się jej częścią. Było tak od czasu pierwszych

treningów w centrum szkoleniowym w Redstone. Bomba stanowiła zagadkę. Starkey stawiała się częścią większej całości, jej tylko dostępnej. Może Dana ma rację. Po raz pierwszy od trzech lat znalazła się sam na sam z bombą i spłynął na nią błogi spokój.

Włożyła parę winylowych rękawiczek.

ATF przysłało oba urzędników wraz z raportami, jednym z wydziału pirotechnicznego hrabstwa Dade, drugim z Krajowego Centrum Badawczego ATF w Rockville, Maryland. Odłożyła raporty na bok. Chciała podejść do materiału ze świeżym spojrzeniem i wyciągnąć z badania własne wnioski. Raporty przeczyta później, żeby porównać konkluzje ekspertów z Maryland i Miami z własnymi.

Z urzędników, które wybuchło, pozostały jak zwykle jedynie spalone i pocięte odłamki, które umieszczono w dwudziestu ośmiu plastikowych torebkach opatrzonych przywieszkami z numerem sprawy, numerem dowodu i krótkim opisem.

#3B12:104/rura ocynkowana

#3B12:028/zaślepka zapalnika

#3B 12:062-08 l/rura łączona

Starkey obejrzała zawartość wszystkich torebek, nie otwierając ich; nie widziała po temu potrzeby. Interesowało ją głównie urządzenie nieuszkodzone. Największym pod względem rozmiaru fragmentem był skręcony, czterocalowy kawałek rury, spłaszczony na kształt regularnego prostokąta o bokach tak doskonale równych, jakby został wycięty na frezarce. Wybuchy powodowały niekiedy podobne efekty, odkształcały przedmioty w sposób niespodziewany i zaskakujący, często absurdalny, zniekształcenia powstawały bowiem nie tylko na skutek działania materiału wybuchowego, były też uwarunkowane wewnętrznymi napięciami odkształcanego materiału.

Starkey włożyła torebki na powrót do pudła i odsunęła je na bok. Drugie pudło zawierało rozłożone na części urządzenie wybuchowe znalezione w bibliotece. Włożyła torebki

z częściami na stole i uszeregowała według funkcji. Jedna zawierała brzęczyk, który zawył, żeby przyciągnąć uwagę, druga zapalnik czasowy, kolejna bateryjne źródło zasilania. Brzęczyk uległ zmiążdżeniu, a dwie spośród trzech baterijek typu AA zostały rozprute w trakcie neutralizacji urządzenia za pomocą wyrzutnika pirotechnicznego. Starkey stwierdziła, że nie rozpoznałaby brzęczyka, gdyby torebki nie opatrzone metką.

Wyłożywszy na stół wszystkie torebki z częściami, otworzyła je.

Obie ocynkowane rury zostały rozerwane (przypominały rozkwitające kwiaty), poza tym jednak nie były uszkodzone. Łącząca je taśma hydrauliczna, choć przecięta, pozostała na miejscu. Metal wciąż pachniał klejem, za pomocą którego eksperci kryminalistyki z hrabstwa Dade usiłowali zdjąć odciski palców. Szukali odłamków z odciskami palców - niekoniecznie zamachowca, także sprzedawców ze sklepu, magazynierów, kasjerów. Żadnych jednak nie znaleziono. Mister Red starannie oczyścił wszystkie komponenty, nie pozostawiając niczego przypadkowi.

Bez trudu ułożyła elementy składowe bomby. Niektóre już do siebie nie pasowały, zostały bowiem odkształcone podczas neutralizacji. Na oko jedyna różnica między tym urządzeniem a bombą, która zabiła Charliego Riggio, polegała na dodatku zapalnika czasowego. Red podłożył bombę i gdy wszystko było gotowe, nacisnął przycisk, uruchamiając mechanizm zegarowy. Sądząc po wyglądzie, oceniła, że zegar był najprawdopodobniej nastawiony na jedną godzinę i zaczął odliczanie od sześćdziesiątej minuty. Gdyby raport policyjny został porządnie sporządzony, określiliby chronologię zdarzeń na podstawie zeznań świadków i spróbowałyby ustalić, ile czasu upłynęło od chwili, gdy Reda po raz ostatni widziano przy stole bibliotecznym, do zadziałania brzęczyka. Ale Starkey ta sprawa nie interesowała.

Położyła dłonie na elementach składowych bomby, chcąc wyczuć je dotykiem. Rękawiczki trochę jej w tym przeszkadza-

działy, nie zdjęła ich jednak. To były te same kawałki metalu, przewodów i taśmy, których dotykał Red. Zgromadził surowe komponenty, przyciął, ukształtował i dopasował do siebie. Ogrzewało je ciepło jego ciała, owiewał jego oddech. Jego pot położył się na nich niewidzialnym cieniem. Starkey wiedziała, że o człowieku można się dowiedzieć niejednego, oglądając jego samochód lub dom, obserwując, jak dba o swoje otoczenie lub nakłada farbę na płótno. Bomba była odbiciem konstruktora równie niepowtarzalnym jak rysy twarzy czy odciski palców. Starkey dostrzegała w niej znacznie więcej niż tylko rury i przewody; dostrzegała pętle, łuki i spirale wzoru osobowości budowniczego.

Mister Red był dumny ze swojego dzieła aż do granic pychy. Dokładny, wręcz obsesyjnie skrupulatny, zapewne jest człowiekiem dbającym o siebie i o swój dom. Prawdopodobnie też porywczym i niecierpliwym, choć te wady raczej ukrywa, przywdziewając maskę. Możliwe, że jest tchórzem. Daje upust gniewowi jedynie za pośrednictwem precyzyjnych urządzeń, które konstruuje i z którymi się utożsamia. Czuje się jak one potężny i wszechwładny. Jest wierny swoim zwyczajom, bo ich sztywne ramy zapewniają mu poczucie bezpieczeństwa.

Starkey obejrzała przewody i zauważyła, że zostały połączone żabkami, jakie można dostać w sklepach dla majsterkowiczów. Koszulki żabek były czerwone, podobnie jak same przewody. Mister Red pragnął być rozpoznawany. Chciał, by wiadano, że to on. Musiał być chorobliwie spragniony uznania.

Starkey umieściła żabki pod szkłem powiększającym i za pomocą pincety usunęła koszulki. Stwierdziła, że każdy przewód został okręcony wokół złącza trzy razy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Ponieważ nie znaleziono żadnych żabek z bomby Riggia, nie miała materiału porównawczego. Pokiwała głową, zaskoczona precyzją Mister Reda. Każdy przewód okręcony tyle samo razy w tym samym kierunku. Regularność dawała draniowi poczucie bezpieczeństwa.

Zbadała gwintowanie na końcach rur i białą plastikową

taśmę hydrauliczną, częściowo odwiniętą. Starkey nie ruszyła taśmy w bombie, od której zginął Riggio, bo uznała, że to niekonieczne, ale teraz zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Taśma hydrauliczna była zupełnie zbędnym komponentem bomby, zatem paradoksalnie najbardziej charakterystycznym. Starkey przyszło do głowy, że gdyby Mister Red chciał przekazać jakieś posłanie, mógł je zapisać właśnie na tej taśmie, która zapewniała początkowo białą i gładką powierzchnię.

Zbadała kawałki taśmy usunięte przez ekspertów ATF, lecz nic nie znalazła. Taśma miała taką właściwość, że po zmiążdżeniu tworzyła złącze całkowicie hermetyczne, została jednak podarta na strzępy podczas usuwania, więc nawet gdyby coś na niej napisano, nie można by tego odczytać.

Starkey postanowiła mimo to zbadać taśmę na pozostałych złączach, przeniosła więc rury na koniec warsztatu Chena, gdzie było zamocowane imadło. Podłożyła gumowe podkładki na jego szczęki, by nie uszkodzić rury, po czym specjalnym kluczem zaciskowym odkręciła zaślepkę. Jej zdjęcie nie wymagało wielkiej siły, gdyż nie została zbyt mocno dokręcona.

Taśma wżarła się głęboko w rowki gwintowania. Starkey przyniosła szkło powiększające, po czym za pomocą igły zaczęła penetrować gwint, póki nie natrafiła na koniec taśmy. Od długiego wyężania wzroku rozboleły ją oczy. Wyprostowała się i zaczęła je trzeć grzbietem dłoni. Jeden z techników, czarna kobieta, uśmiechnęła się do niej i pomachała z daleka okularami. Starkey odpowiedziała jej uśmiechem. Owszem, i ona będzie musiała niedługo zaopatrzyć się w patrzalki.

Mozoliła się nad taśmą przeszło kwadrans, zanim udało jej się ją odwinąć, nie znalazła jednak żadnych napisów ani znaków. Włożyła w imadło następny kawałek rury i wzięła się do drugiej taśmy. Tym razem poszło łatwiej. Już po dziesięciu minutach zdała sobie sprawę, że oba złącza zostały owinięte w identyczny sposób. Mister Red przyciskał taśmę do końca rury, po czym nawijał ją od siebie, górą, potem dołem i ponownie górą, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, znów w każdym przypadku tak samo. Zastanowiła ją ta regularność.

Ból oczu stał się trudny do zniesienia, zaczynała ją już także boleć głowa. Starkey zdjęła rękawiczki, wyciągnęła z paczki papierosa, wyszła na parking i oparła się o jeden z niebieskich wozów sekcji pirotechnicznej. Palila i gapila się na garaże z czerwonej cegły na tyłach budynku, w którym pirotechnicy ćwiczyli celowanie i strzelanie z neutralizatora. Pamiętała swój pierwszy strzał z tego urządzenia, wyrzutnika kalibru dwadzieścia. Huk śmiertelnie ją wtedy przeraził.

Mister Red starannie obmyślał i konstruował swoje bomby. Przypuszczała, że miał jakiś powód, by nawijać taśmę na gwintowanie rury w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Dręczyło ją, że tego powodu nie rozumie. Jeśli on widział coś, czego ona nie dostrzegała, to znaczyło, że był od niej lepszy, a na to się zgodzić nie mogła. Odrzuciła papierosa i wyobraziła sobie, że trzyma w ręku rurę i owijają. Zamknęła oczy i zaczęła w myślach nakręcać zaślepkę. Kiedy uniosła powieki, śmiało się do niej dwóch mundurowych policjantów zmierzających do samochodów. Pokazała im środkowy palec: odpalantujcie się! Gdy po raz trzeci montowała w wyobraźni rurową bombę, dostrzegła wreszcie powód, dla którego Red nawijał taśmę właśnie w tym, a nie w innym kierunku: czynił tak dlatego, aby przy nakręcaniu zaślepki - również zgodnie z ruchem wskazówek zegara - taśma nie odwijala się i nie marszczyła. Gdy oba ruchy są zbieżne co do kierunku, zaślepka nakręca się łatwiej. To był drobiazg, Starkey poczuła jednak przyływ szalonej dumy, jakiej od dawna nie zaznała. Zaczynała rozumieć, jak funkcjonuje jego mózg, a to znaczyło, że mogła go pokonać.

Wróciła do budynku, aby sprawdzić sposób owinięcia taśmy na bombie z nielegalnej fabryki, znalazła jednak wyłącznie fragment gwintowanej zaślepki. W rowkach gwintu zachowały się co prawda resztki taśmy, nie dałoby się jednak określić na tej podstawie kierunku oplotu. Starkey zeszła na dół do sekcji pirotechnicznej i odszukała Russa Daigle'a. Siedział w kanciapie dla podoficerów i jadł kanapkę z wątrobianką. Uśmiechnął się na widok Starkey.

- Cześć, Carol. Co ty tu robisz?
- Jestem na górze u Chena. Słuchaj, my zdaje się mamy zaślepkę z bomby Riggia, prawda?
- Zdjął nogi ze stołu, przełknął kęs i pokiwał głową.
- Mhm. Jedną nieuszkodzoną i kawałek drugiej. Pokazywałem ci taśmę łączącą, pamiętasz?
- Nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym rozmontowała tę nieuszkodzoną?
- Chcesz ją odkręcić?
- Tak. Chciałabym rzucić okiem na tę taśmę.
- Możesz z nią robić, co ci się żywnie podoba, ale uprzedzam: to nie będzie łatwe.

Zaprowadził ją do swojego stołu warsztatowego, gdzie trzymał zamknięte w szafce odłamki bomby z Silver Lake. Gdy Chen wypuszczał je ze swoich rąk, wędrowały do Daigle'a, który mógł ich użyć do rekonstrukcji.

- Widzisz? Rura jest nadal spojona z nakrętką, ale wypuczyły się obie od ciśnienia wybuchu, więc raczej nie uda ci się ich oddzielić.

Dostrzegła, co ma na myśli, i jej nadzieje zgasły. Rura nie była okrągła; ciśnienie gazów wydeło ją w jajo. Nie da rady odkręcić nakrętki.

- Mogę wziąć to na górę i trochę się z tym pobawić?
- Daigle wzruszył ramionami.
- Skoro chcesz się męczyć.

Gdy wróciła do laboratorium, wkręciła nakrętkę w imadło, po czym piłą wysokoobrotową przepiłowała ją na pół. Używając stalowej igły, podważyła i odłączyła połówki rury od połówek nakrętki, następnie złożyła razem obie części przepiłowanej rury i mocno skręciła w imadle. Daigle będzie prawdopodobnie zły, że przecięła nakrętkę, ale nie widziała innego sposobu dobrania się do taśmy.

Znalezienie jej końca zajęło Starkey przeszło pół godziny; pracowała, popatrując na zegar, bliska rezygnacji. Później zdała sobie sprawę, że trwało to tak długo, ponieważ spodziewała się, że taśma będzie nawinięta od góry, jak w urządzeniu

z Miami. Tymczasem było inaczej. Taśmę na tym gwintowaniu nawinięto od dołu, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Starkey odsunęła się od stołu.

- Psiakrew!

Przejrzała przysłany z Rockville raport i stwierdziła, że został sporządzony przez eksperta kryminalistyki o nazwisku Janice Brockwell. Ponownie spojrzała na zegarek. Trzygodzinna różnica czasu między LA a Waszyngtonem oznaczała, że byli już tam po lunchu, ale jeszcze nie wyszli z pracy. Starkey poszukała w laboratorium telefonu, zadzwoniła do Krajowego Centrum Badawczego ATF i poprosiła o połączenie z Janice Brockwell.

Kiedy Brockwell podniosła słuchawkę, Starkey przedstawiła się i podała numer sprawy fałszywej bomby z Miami.

- A tak, właśnie wysłałam wam raport.

- Wiem. Mam go przed sobą.

- W czym mogę pani pomóc?

- Czy miała pani styczność z pierwszymi siedmioma bombami?

- Chodzi pani o wyroby Mister Reda?

- Właśnie. Czytałam raporty, ale nie przypominam sobie, żeby natknęła się na wzmiankę o taśmie na gwintowaniach rur.

Opowiedziała, co znalazła na bombie z biblioteki.

- Udało się pani odwinąć tę taśmę?

Starkey wyczuła chłód w głosie Janice Brockwell. Kobieta odebrała jej słowa jako krytykę.

- Odkręciłam jedną z zaślepek. Podarta taśma sama się niemal rozwinęła. To mnie zaciekało, więc rozwinęłam drugą. Potem zaczęłam się zastanawiać nad zaślepkami na pozostałych bombach.

Starkey miała nadzieję, że to małe kłamstwo udobrucha rozmówczynię.

Istotnie, ton głosu Janice Brockwell złagodniał.

- To niezła myśl, Starkey. Obawiam się, że nie zwróciliśmy uwagi na tę taśmę.

- Czy mogłaby mi pani oddać przysługę i to sprawdzić? Chciałabym wiedzieć, czy są podobne.

- Powiedziała pani, że taśma została nawinięta zgodnie z ruchem wskazówek zegara, czy tak?

- Owszem. Na obu rurach zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Chciałabym sprawdzić, czy podobnie było też w innych przypadkach.

- Nie wiem, iloma nieuszkodzonymi zaślepkami dysponujemy...

Starkey milczała. Dawała Janice Brockwell okazję do wykazania się inicjatywą.

- Dobrze, Starkey, zajmę się tym. Oddzwonię do pani, zgoda?

Starkey podała jej numer telefonu, a potem włożyła części bomby do odpowiednich pudeł, które zamknęła na klucz w szafce pod stołem warsztatowym Chena.

Wróciła na Spring Street z dziesięciominutowym zapasem. Przystanąła na schodach i wypaliła połówkę papierosa, by trochę odsapnąć. Kiedy już doszła do siebie, weszła na górę i zastała w sali ogólnej Hookera i Marzik. Marzik uniosła ze zdziwienia brwi.

- Już myśleliśmy, że olejesz tę zbiórkę.

- Byłam w Glendale.

Doszła do wniosku, że nie ma czasu, by im opowiadać o bombie z Miami. Dowiedzą się wszystkiego, gdy będzie referowała sprawę przed Kelsem.

- Morgan już jest?

- Siedzą z Dickiem Leytonem u starego.

- Więc czemu wy dwoje jeszcze tu sterczycie?

Marzik wyglądała na mocno wkurzoną.

- Kelso poprosił, żebyśmy poczekali na zewnątrz.

- Żartujesz?

- Głupi kutas! Pewnie myśli, że jego gabinecik będzie wyglądał ciasnawo, gdy wciśnie się tam za dużo luda.

Starkey doszła do wniosku, że domysł Marzik jest prawdopodobnie trafny. Ponieważ do pierwszej miała jeszcze minutę, spytała kolegów, czy nie dowiedzieli się czegoś nowego. Marzik odparła, że na razie przesłuchania w SiWer Lake gówno dały, natomiast Santos rozmawiał z firmą postprodukcyjną i miał kilka dobrych wiadomości.

- Wśród tych taśm jest jedna, na której mamy prawie pełną panoramę okolic parkingu - raportował. - Jeśli facet, który telefonował, gdzieś tam jest, powinniśmy go wypatrzeć.

- Kiedy możemy ją dostać?

- Najpóźniej pojutrze. Będziemy musieli kopnąć się do nich, żeby ją sobie obejrzeć na ich urządzeniach, wtedy obraz będzie najwyraźniejszy, choć zapewniamą, że jest w ogóle niezły.

- Dobra. To już coś.

Marzik przysunęła się do Starkey, upewniwszy się, że nikt nie podsłuchuje.

- Chciałam cię ostrzec.

- Ty zawsze usłyszysz coś, przed czym mnie musisz ostrzegać.

- Mówię ci po prostu, co słyszałam, nie? Morgan zamierza przekazać śledztwo wydziałowi zabójstw.

- Zalewasz.

- Zginął człowiek, mamy zatem do czynienia z zabójstwem, czyli śledztwo przejmuje wydział zabójstw. Logiczne, nie? Słuchaj, powtarzam ci po prostu, co słyszałam, nic więcej. Mnie też zależy na tym śledztwie.

Starkey wywnioskowała z miny Santosa, że i on potraktował tę plotkę poważnie.

- W porządku, Beth, dzięki.

Starkey ponownie zerknęła na zegarek. Dotąd martwiła się, żeby nie stracić śledztwa na rzecz federalnych, a teraz nowy pasztet. Postanowiła w ogóle się tym nie przejmować; ostatecznie i tak nie miała na tę sprawę wpływu. Nie przekona Morgana, że prowadzi śledztwo pewną ręką. Psiknęła do ust odświeżaczem oddechu, połknęła tabletkę tagametę i punktualnie o pierwszej zapukała do drzwi gabinetu Kelsa.

Z fałszywą uprzejmością zaprosił ją do środka; popisywał się przed szefem. Dick Leyton posłał jej uśmiech.

- Cześć, Carol. Co słyhać?

- W porządku, poruczniku. Dziękuję.

Podawała mu rękę. Dłoń miała spotniała. Przytrzymał ją w uścisku nieco dłużej, chcąc dodać Starkey otuchy.

Kelso przedstawił nowo przybyłą zastępcy komendanta policji Christopherowi Morganowi, poważnemu szczupłemu mężczyźnie w ciemnym garniturze. Podobnie jak większość detektywów, nigdy dotąd nie spotkała Morgana ani żadnego z sześciu pozostałych zastępców komendanta, choć wiedziała, jaką się cieszy reputacją. Uchodził za wymagającego szefa, który energicznie i z wigorem zarządzał podległą mu domeną. Startował w dwunastu kolejnych maratonach w Los Angeles i żądał, by jego współpracownicy również w nich biegali. Żaden z nich nie palił, nie pił i nie miał nadwagi. Na wzór Morgana ubierali się wszyscy elegancko, paradowali w ciemnych garniturach i nawet poza urzędem nosili identyczne okulary przeciwsłoneczne. Policjanci niższych stopni nazywali Morgana i jego sztab „facetami w czerni”.

Morgan podał Starkey rękę i bez zbędnych wstępów poprosił, by zapoznała go ze stanem śledztwa.

- Może zaczniesz od opisu samego urządzenia, Carol - poradził Leyton - skoro ono stanowi punkt wyjścia śledztwa?

Starkey zapoznała Morgana z konstrukcją bomby z Silver Lake, opisała, jak została zdetonowana i z czego wywnioskowali, że zamachowiec musiał się znajdować na miejscu zdarzenia, nie dalej niż sto jardów od epicentrum wybuchu. Jednocześnie zapoznała Morgana z postacią Mister Reda. Kiedy powiedziała, że użył zapalnika sterowanego radiem i że w związku z tym musiał być w pobliżu w chwili eksplozji, Morgan przerwał jej:

- Możecie zwrócić się o pomoc do stacji telewizyjnych. Udostępnią wam swoje kasy wideo.

Poinformowała go, że już te taśmy zdobyła i że są właśnie poddawane obróbce. Wyglądało na to, że ta wiadomość Morgana ucieszyła, choć wyraz jego twarzy pozostał niezmienny.

Opisanie dotychczasowych osiągnięć śledztwa, w tym penetracji strony internetowej „Klaudiusz” jako ewentualnego źródła informacji na temat RDX i Reda, zajęło Starkey niecałe pięć minut. Odniosła wrażenie, że odwaliała kawał porządnej roboty.

- Więc bomba z Silver Lake nie miała służyć zastraszeniu kogoś z lokalnych przedsiębiorców?

- Nie, panie komendancie. Nasi detektywi sprawdzili wszystkie firmy z pasażu handlowego i pracujących tam ludzi. Nic nie potwierdza takiego przypuszczenia. Nikomu nie grożono, nikt też dotychczas nie przyznał się do podłożenia bomby.

- Zatem jakim tropem idzie pani śledztwo?

- Tropem składników. Modex hybrid należy do wyjątkowo rzadkich materiałów wybuchowych, ale nie tak trudno go wytworzyć, jeśli się dysponuje niezbędnymi składnikami. O trotyl i pikrynian amonowy nietrudno, co innego RDX. Idea polega na tym, żeby przez RDX dotrzeć do tego, kto skonstruował bombę.

Morgan przyjrzał się jej uważnie.

- Co to znaczy „kto”? Sądziłem, iż ustalono, że skonstruował ją Red.

- Owszem, przyjęliśmy i takie założenie, ale musimy też rozważyć możliwość, że skonstruował ją ktoś inny.

Dick Leyton poruszył się niespokojnie, a Kelso zmarszczył brwi.

- O czym pani mówi, Starkey?

Opowiedziała im o swoim odkryciu, o tym, jak porównała taśmę z obu zaślepek atrapy z Miami i ocalałej zaślepki bomby z Silver Lake.

- Wszystkie bomby przypisywane Redowi zostały zaprojektowane i skonstruowane tak samo. Identyczny jest nawet sposób mocowania przewodów do żabek: trzy oploty zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Zawsze tak samo. To majster, który prawdopodobnie ma się za artystę. Tymczasem bomba z Silver Lake nieznacznie się różni. Różnica jest niewielka, ale u takiego niewolnika rutyny jak Red mało prawdopodobna.

Dick Leyton sprawiał wrażenie zamyślnego.

- Czy dostrzeżono ją w siedmiu wcześniejszych przypadkach?

- Zadzwoiłam do Rockville i zapytałam o to. Nikt dotąd nie pomyślał o sprawdzeniu kierunku nawijania taśmy.

Morgan splótł ręce.

- Ale pani to zrobiła?

Spojrzała mu w oczy.

- Należy sprawdzić wszystko, panie komendancie, nie ma rady. Nie twierdzę, że mamy do czynienia z naśladowcą. Śledztwo w sprawie Reda jest dobrze utajnione. Stwierdzam tylko, że odkryłam intrygującą różnicę. Trzeba się nad tym zastanowić.

Pozałowała, że w ogóle z tą kwestią wyskoczyła. Morgan się zmarszczył, a Kelso nie krył irytacji. Poczula się tak, jakby własnoręcznie kopała sobie grób. Jedynie Dick Leyton wyglądał na zaintrygowanego.

- Carol, gdyby to była robota naśladowcy, jaki miałyby to wpływ na twoje śledztwo?

- Rozszerzyłoby się. Jeśli się przyjmie, że tej bomby nie skonstruował Mister Red, powstaje pytanie, kto to zrobił? Kto wie dostatecznie dużo o Redzie, by kopiować jego bomby, i w jaki sposób zdobył komponenty? Następnie rodzi się pytanie: po co? Po co ktoś miałby naśladować Reda? Po co zabijać pirotechnika, zresztą kogokolwiek, gdy nie przyjmuje się odpowiedzialności za ten zamach?

Morgan słuchał jej z nieprzeniknioną twarzą. Kiedy skończyła, spojrzał na zegarek, a potem na Kelsa.

- To mi wygląda na zadanie dla wydziału zabójstw, Barry. Uważam, że powinniście przekazać im śledztwo. Mają odpowiednie doświadczenie.

Stało się. Starkey zmartwiała. Mieli oddać śledztwo wydziałowi zabójstw i rozbojów.

Kelso również nie był taką perspektywą zachwycony.

- No cóż, czy ja wiem...

Dick Leyton stwierdził natomiast stanowczo:

- A ja myślę, że popełnilibyśmy błąd.

Jego stanowisko zaskoczyło Starkey.

Leyton rozłożył ręce i zrobił spokojną minę pewnego swojej racji zawodowca.

- Aby ująć tego łotra, należy ustalić konstruktora bomby, idąc tropem składników, w tym przypadku RDX, dokładnie tak, jak to robi detektyw Starkey. Podobne zadanie wymaga pracownika wydziału dochodzeniowego o przeszkoleniu pirotechnicznym, a nie oficera z wydziału zabójstw. Starkey wykonuje dobrą robotę. Co się tyczy różnicy, jaką odkryła, trzeba ją uważnie zbadać, lecz nie należy przeceniać. Seryjni przestępcy, tacy jak Red, podlegają ewolucji. Owszem, są niewolnikami rutyny, ale się też uczą i zmieniają. Nie wiemy, co się kluje w tej chorej mózgownicy.

Starkey patrzyła na Dicka z taką wdzięcznością, aż ją samą to krępowało.

Morgan zamyślił się na chwilę, w końcu zerknął na zegarek i pokiwał głową.

- W porządku. Przypominam pani tylko, detektyw Starkey, że mamy do czynienia z zabójcą policjanta.

- Pamiętam o tym, panie komendancie. Dopadniemy drania. Jestem zdecydowana rozwiązać tę sprawę.

- Mam nadzieję. Postawiła pani trafne pytania, obawiam się wszelako, że może długo poszukiwać na nie odpowiedzi. Wziąwszy pod uwagę znane nam dotąd okoliczności, pani pytania wyglądają jednak na zbyt daleki strzał, dalekie strzały zaś mają to do siebie, że są potwornymi złodziejami czasu. Wszystkie dowody wskazują na tego Mister Reda.

- Ta taśma nie pasowała po prostu do reszty, panie komendancie.

Jej wyjaśnienie zabrzmiało żałośnie pokornie, niemal płaczliwie. Poczula do siebie odrazę.

Morgan zerknął na Kelsa.

- No cóż, byle nie sprowadzało nas na manowce wyjaśnianie zanadto śmiałych hipotez. To moja rada dla pani, pani detektyw. Proszę posłuchać porucznika Leytona. Niech pani utrzymuje śledztwo w nieustannym ruchu. Śledztwa są ponieważ podobne do rekinów. Kiedy przestają się poruszać, toną.

Kelso potaknął skwapliwie.

- Śledztwo będzie szło do przodu, panie komendancie. Dopadniemy drania. Znajdziemy Mister Reda.

Morgan podziękował zebranym za dobrą robotę, ponownie zerknął na zegarek i wyszedł. Leyton puścił do Starkey oko i pospieszył za przełożonym. Chciała wybiec za nim, by go wycalować, lecz Kelso ją zatrzymał.

Poczekał, aż Morgan i Leyton się oddalą, po czym zamknął drzwi.

- Daj spokój temu wątkowi naśladowcy, Carol. Doskonale ci szło, dopóki o tym nie wspomniałaś. To czysty absurd.

- To była wyłącznie obserwacja, Barry. Chciałbyś, żebym ją zignorowała?

- W każdym razie zabrzmiało to po amatorsku.

Uroki Południa

John Michael Fowles kupił chevelle SS 396 rocznik 1969 w komisie samochodowym o nazwie „Dago Red's” w Metairie w stanie Luizjana. Wóz miał podniesiony tył, zajebiste radiale Goodyeara z wypukłymi napisami i obwódki rdzy wokół błotników. Te obwódki rdzy zadecydowały; John kupił tego rzęcha, bo był czerwony. Czerwony wóz od Dago Reda dla Mister Reda. John Michael Fowles uznał, że to dobry żart.

Zapłacił gotówką z Miami, posługując się fałszywym prawem jazdy wystawionym przez stan Luizjana na nazwisko Clare Fontenot, po czym pojechał do pobliskiego centrum handlowego, gdzie kupił nowe ubranie i nowiutkiego laptopa Macintosha, również za gotówkę. Wybrał egzemplarz w kolorze pomarańczowym.

Mostem nad jeziorem Pontchartrain przejechał do Slidell w Luizjanie, gdzie zjadł lunch w przydrożnym barze o nazwie „Irma's Qwik Stop”. Zamówił zupę z owoców morza, ale mu nie smakowała. Krewetki były małe i wysuszone; od rana się pewnie przużyły. John Michael Fowles nigdy dotąd nie był

w Luizjanie. Nie spodobało mu się tutaj. Było parno jak na Florydzie, ale nawet w połowie nie tak ładnie. Widziało się masę tłuszczochów o tępym wyrazie nalanych gąb. Za dużo potraw smażonych w głębokim tłuszczu.

Bar „Irma's Qwik Stop” był usytuowany przy wąskiej dwupasmowej drodze naprzeciwko baru z kelnerkami topless o nazwie „Irma's Club Parisienne”. John miał się tam spotkać o ósmej wieczorem z facetem, który przedstawiał się jako Peter Willy, co stanowiło aluzję do nazwy „Willy Peter”, w gwarze wojskowej oznaczającej materiał zapalający - fosfor biały. Peter Willy twierdził, że ma na sprzedaż cztery miny przeciwpiechotne typu „Claymore”. Jeśli to była prawda, John zamierzał je kupić po tysiąc dolarów sztuka, żeby odzyskać pół funta zawartego w nich RDX. Potrzebował tego składnika do produkcji modeksu, którego używał w swoich bombach. O RDX było cholernie trudno, więc opłacało się fатыgować aż do Luizjany, choć Peter Willy okaże się prawdopodobnie zwyczajnym bucem.

John „poznał” go tam, gdzie zwykle poznawał swoich kontrahentów: w internetowym pokoju rozmów. Peter Willy podawał się za byłego zabójcę tajnych służb i handlarza narkotykami, członka gangu motocyklowego, który pracuje obecnie na morskiej platformie wiertniczej firmy Exxon w cyklu półmiesięcznym, a dwa wolne tygodnie spędza jako najemnik w Ameryce Południowej. John wiedział, że facet sprzedaje kit. Posługując się programem o nazwie „Creeper”, wytropił, że pod pseudonimem „Peter Willy” kryje się niejaki George Parsons i ustalił numer karty Visa, którą ten palant płacił za swój rachunek. Mając numer karty, bez trudu ustalił prawdziwą tożsamość Parsonsa: gość był kontrolerem lotów na międzynarodowym lotnisku w Nowym Orleanie. Miał żonę i trzy córki; niekarany, nie był weteranem żadnych tajnych służb, a tym bardziej handlarzem narkotykami i najemnikiem na pół etatu. Być może stawi się dziś na spotkanie, a może i nie. Faceci tacy jak Peter Willy okazywali się na ogół śmierdzącymi tchórzami. W sieci różnili zabijaków, w realnym życiu byli

pospolitymi mięczakami. Właśnie ta dysproporcja różni prawdziwego drapieźnika od ofiary, o czym John doskonale wiedział.

Siedział w restauracji i popijał mrożoną herbatę, dopóki sześć rajcujących w narożnej łoży kobiet nie wstało i nie wyszło. Najbardziej wśród nich wygadana, tleniona blondyna z dziobatą cerą i dupskiem jak szafa, położyła rachunek na karcie kredytowej stałego klienta. Gdy babska gromadka wychodziła, John wstał i przeszedł obok ich stolika. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, zgrabnie zgrabną kartę kredytową i wsunął do kieszeni.

Minęła dopiero druga po południu, miał więc masę czasu do zabicia. Postanowił sprawdzić, jak ATF oceniła jego liścik pozostawiony w bibliotece hrabstwa Broward. Od tamtego czasu był w ciągłym ruchu, wykorzystując Klaudiusza w poszukiwaniach nowego źródła RDX, ale teraz wzięła go chęć, by przeczytać komunikaty, jakie na jego temat zamieszczono w biuletynach ATF i FBI. Wiedział, że numer z biblioteki nie wprowadzi go na listę dziesięciu najbardziej poszukiwanych, spodziewał się jednak, że biura terenowe w całym kraju zatrząsą się od ostrzeżeń. Czytanie takich tekstów diabelnie go rajcowało.

Roześmiał się, rozbawiony własną próżnością.

Czasem zachowywał się tak dziwacznie, aż jego samego to zaskakiwało.

Zapłacił za posiłek, nie zostawiając napiwku (chujowe krewetki), wsiadł do czerwonego krążownika szos i pojechał z powrotem do motelu „Blue Bayou”, gdzie wynajął pokój za dwadzieścia dwa dolary doba. Zamknąwszy za sobą drzwi, podłączył do gniazdka telefonicznego nowego iBooka i wydzwonił AOL. Normalnie zalogowałby się do Klaudiusza, żeby sobie poczytać, co te złamasy o nim nadają, albo nawet podszedł pod jednego z tych patafianów i wymądrzał na temat Mister Reda, napawając się własną legendą. Łykał takie pochwały jak ciepłe kluseczki: John Michael Fowles, Legenda Miasta, Król Rocka. Dziś jednak miał inny cel. Posługując się

kartą Visa i nazwiskiem tlenionej blondyny, połączył się z serwisem AOL, wszedł do Internetu, po czym wpisał adres URL strony, którą zarządzał pod nazwiskiem Kip Russell. Stronę tę, umieszczoną na serwerze w Rochester, identyfikowało się jedynie poprzez numer, nigdy też nie została skatalogowana na żadnej wyszukiwarce. Nie można jej było znaleźć przez Yahoo!, AltaVistę, HotBot czy Internet Explorera. Strona Johna była składnicą oprogramowania.

John Michael Fowles podróżował bez bagażu. Nieustannie się przemieszczał, porzucając przedmioty i powierzchowność, które pozwoliłyby go wytropić, toteż często miał przy sobie jedynie saszetkę z pieniędzmi. Nie posiadał rachunku bankowego, kart kredytowych (z wyjątkiem tych, które ukradł lub kupił do przejściowego wykorzystania) ani żadnego majątku ruchomego. Ilekroć się gdzieś przenośli, kupował za gotówkę potrzebne mu rzeczy, które wyjeżdżając, porzucał. Jedną z rzeczy, jakich często potrzebował, lecz nigdy ze sobą nie woził, był software. Najcenniejsze dla niego narzędzie.

Zanim zaczął konstruować bomby, pisał programy komputerowe. Włamywał się do systemów, porozumiewał się w sieci z innymi hakerami, krótko mówiąc: wszedł w tamten świat i panujące w nim reguły równie głęboko jak w świat materiałów wybuchowych. Nie stał się aż tak dobrym programistą i hakerem jak konstruktorem bomb, ale był w tym całkiem niezły. Programy, jakie zgromadził w Rochester, umożliwiały mu demaskowanie dupków w rodzaju Petera Willy'ego oraz sprawdzanie, co o Mister Redzie wiedzą federalni. Otwierały mu ponadto drzwi do firm oferujących karty kredytowe oraz banków, do sieci telefonicznych i systemu wewnętrznego obiegu informacji policyjnych, w tym do centrum bazy danych o urządzeniach wybuchowych FBI, do krajowej bazy danych ATF i niektórych wydziałów ministerstwa obrony, gdzie często zaglądał, szukając doniesień o kradzieżach amunicji.

Po dostaniu się na swoją stronę John załadował program-wytrych o nazwie OSCAR i program klonujący się o nazwie

PEEWEE. Ładowanie trwało około dziesięciu minut, po czym John wykręcił numer oddziału Bank of America w Kalamazoo w stanie Michigan i za pomocą OSCAR-a włamał się do jego systemu. PEEWEE wjechał do środka za taranem OSCARA-a, po czym sklonował się w samodzielną jednostkę, istniejącą jedynie w wewnętrznej sieci tego oddziału bankowego. Z Kalamazoo program PEEWEE połączył się z krajową bazą danych ATF. Zgodnie z oczekiwaniami został zastopowany w bramie, która zażądała zakodowanego hasła. PEEWEE ściągnął OSCAR-a, żeby złamał bramę. Cały proces trwał dokładnie dwie minuty i dwanaście sekund, po czym John Michael Fowles, znany również jako Mister Red, uzyskał nieskrępowany dostęp do bazy danych na temat bomb i podkładających je terrorystów.

Uśmiechnął się do siebie, jak to miał w zwyczaju, i mruknął pod nosem:

- Cholerna ławizna.

Ostatnia pozycja w bazie dotyczyła Los Angeles. Zdziwiło go, dlaczego nie Miami.

John Michael Fowles nie był w Los Angeles od blisko dwóch lat.

Wpatrywał się chwilę ze zdumieniem w ekran, po czym otworzył plik. Prześliznął się wzrokiem po ogólnych informacjach, z których się dowiedział, że pirotechnik z wydziału policji Los Angeles, niejaki Charles Riggio, zginął od wybuchu bomby na parkingu w Silver Lake. Ostatnie zdania raportu uderzyły go jak obuchem.

... analizy wykryty osad trójskładnikowego materiału wybuchowego modex hybrid... Wstępne ustalenia wskazują^ że sprawcą jest anonimowy terrorysta znany jako „Mister Red”...

Johrr przeszedł przez pokój, oparł się plecami o ścianę i tępo zapatrzył w przestrzeń. Oddychał ciężko. Zaczynał się pocić. Wrócił do laptopa.

Z takim natężeniem wpatrywał się w składniki bomby, aż wypełniły sobą cały ekran:

MODEX HYBRID

Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy to nie on skonstruował tę bombę i jakimś cudem o tym zapomniał. Potem zaśmiał się złowrogo i cisnął iBookiem w ścianę, żłobiąc w niej długą rysę i roztrzaskując plastikową osłonę laptopa.

- Skurwysyn! - syknął.

Chwycił saszetkę z forszą i wybiegł z motelu. Peter Willy miał spędzić długi wieczór w barze z piersiastymi kelnerkami, czekając na kogoś, kto się nie zjawi. John Michael Fowles pędził jak szalony wzdłuż jeziora, żyłując do granic możliwości przestawiony na gaz żarłoczny silnik czerwonego krążownika szos i wydobywając piskliwe jęki z grubych, łysawych good-yearów. Zatrzymał się na skraju biegnącej po grobli szosy tylko po to, by wrzucić rozbitego iBooka do wody, i popędził prosto na lotnisko. Zostawił samochód na parkingu długoterminowym, starannie wytarłszy wnętrze i drzwi wozu, po czym kupił za gotówkę bilet w jedną stronę do Los Angeles.

Nikt nie wiedział lepiej od niego, jakich przygotowań wymagało wyprodukowanie modeksu ani jak znaleźć potrzebne komponenty w światku fanatyków materiałów wybuchowych.

John Michael Fowles miał i potrzebne środki, i niezbędną wiedzę.

Ktoś wykradł mu jego dzieło, ktoś usiłował się kąpać w blasku jego sławy!

John nie zamierzał tego tolerować.

Zamierzał dopaść drania.

CZĘŚĆ DRUGA

Kocham LA

John Michael Fowles wysiadł z samolotu z dwudziestoma sześcioma tysiącami dolarów, trzema prawami jazdy i czterema kartami kredytowymi, z których dwie wystawiono na te same nazwiska co dwa spośród praw jazdy. Miał też numer telefonu pewnej dwudziestoosmioletniej stewardesy z dołeczkami w policzkach i opalenizną złocistszą od złotych zachodów słońca. Mieszkała w Manhattan Beach. Na imię miała Penny.

Już samo powietrze Los Angeles wywołało uśmiech na twarzy przybysza.

Uwielbiał ten suchy, słoneczny klimat, palmy, zadbane dzieci w skąpych przyodziewkach, swobodnych ludzi, eleganckie samochody, wyczuwalny pęd do bogactwa, te głupie gwiazdy filmowe, to, że całe to cholerne miasto było takie ogromne, płaskie i szeroko rozrzucone, Tar Pits na La Brea, stragany z hot dogami, które naprawdę wyglądały jak hot dogi, ten wołowaty napis „Hollywood” rozciągnięty na tej kretyńskiej górze, trzęsienia ziemi i wielkie pożary, eleganckie kluby na Sunset Strip, *sushi*, opaleniznę w kolorze karmelu, Meksykanów, autobusy wycieczkowe pełne turystów z Iowa, olśniewające baseny, ocean, Arnolda Schwarzeneggera, gejów i Disneyland.

Wymarzone miejsce na efektowne bum!

Zaczął od wypożyczenia kabrioletu u Hertz, potem zdjął koszulę, włożył okulary przeciwsłoneczne i pojechał Sepulveda

Boulevard - żywa reklama radości życia. Przeszła mu już furia, wyparowała z niego wściekłość; nadszedł czas chłodnej kalkulacji, zwieńczonej okrutną zemstą. Mister Red przybył do miasta.

Porzucił wcielenie jełopa z prowincji i zaczął udawać czarnego. Uwielbiał białych facetów, którzy zachowywali się jak czarni. Dragi w tabletkach. Na wierzchu jasne, w środku ciemne. *Yo, G, 'sup?* LA nadawało się do tego jak żadne inne miejsce na Ziemi. Tu każdy udaje kogoś, kim nie jest.

John kupił za duże ubranie w sklepiku ze starzyzną dwie przecznice od plaży w Venice, kupił nowego iBooka plus inne niezbędne utensylia, następnie wynajął pokój w małym motelu o nazwie „Flamingo Arms”. Motelik wręcz cuchnął cudzoziemcami. John ogolił się na pałę, obwiesił łańcuszkami z fałszywego złota i wszedł do Internetu. Tym razem nie zawracał sobie głowy włamywaniem się do systemu wewnętrznego obiegu informacji policyjnych. Poszukał artykułów prasowych na temat bomby z Silver Lake i znalazł aż trzy. Dwa pierwsze przynosiły niemal te same wiadomości: pirotechnicy wydziału policji Los Angeles wyjechali, żeby rozpoznać podejrzany pakunek, po czym pirotechnik Charles Riggio, lat trzydzieści cztery, dziewięcioletni staż w sekcji, zginął podczas eksplozji. Żaden z artykułów nie podawał szczegółów na temat urządzenia wybuchowego, choć cytowano detektywa prowadzącego śledztwo, niejaką Carol Starkey, która przypisała konstrukcję bomby, „prymitywnego, marnie skonstruowanego urządzenia”, komuś o „osobowości infantylnej”. John roześmiał się, czytając te słowa. Wiedział, że ATF podejrzewało jego, co znaczyło, że podejrzewał go również wydział policji Los Angeles.

- Dziwka próbuje mnie zażyć z mańki - mruknął.

Szczególnie zaintrygował go trzeci artykuł, przyczynek poświęcony samej Starkey, która -jak się okazało - była kiedyś pirotechnikiem, dopóki nie padła ofiarą wybuchu. W artykule napisano, że omal nie odeszła z tego świata, została jednak szczęśliwie reanimowana na miejscu zdarzenia. Johna ta wiadomość zafascynowała. Do artykułu dołączono zdjęcie Starkey

i kilku innych policjantów, ale fotografia była mała i nieostra. John wpatrywał się w Carol Starkey, usiłując przeniknąć spojrzeniem rozmyte kontury, a potem dotknął palcem ekranu.

- Witaj, cipko.

W ostatnim akapicie Starkey przysięgała, że znajdzie osobę lub osoby odpowiedzialne za śmierć Riggia.

John uśmiechnął się.

- Chyba że pierwszy skurwiela dopadnę.

Zrzucił artykuły i wszedł na swoją stronę w Rochester, by ściągnąć listę numerów telefonów, adresów e-mailowych oraz innych danych, których często potrzebował, ale nigdy ze sobą nie woził. Skopiował numer telefonu człowieka, którego znał jako Clarence'a Jester, zamieszkałego w Venice. Facet prowadził mały lombard, lecz ta działalność służyła mu jedynie jako przykrywka; z powołania był piromanem. Dobiegający sześćdziesiątki Jester przesiedział w federalnych więzieniach dwanaście lat za podpalenia, a obecnie był na obserwacji psychiatrycznej. Johnowi służył w przeszłości jako doskonałe źródło informacji o światku pirotechnicznych szajbusów.

- Cześć, Clarence. Tu LeRoy Abramowicz. Jestem w LA, stary.

- Tak?

Clarence Jester mówił z podejrzliwym namysłem paranoika, którym zresztą był.

- Chętnie bym wpadł i czymś zahandlował. Pasuje ci?

- Czemu nie.

Choć Johnowi się spieszyło, musiał po drodze wpaść na hamburgera, bo kiszki grały mu już marsza. Kilka minut później wszedł wolnym krokiem do lombardu Clarence'a.

Jester był nerwowym kurduplem z nędzną resztką owłosienia. Nie podał gościowi ręki, tłumacząc, że ma obsesję na punkcie zarazków.

- Siema, Clarence. Chodź, przejdziemy się.

Clarence, przygotowany na jego wizytę, bez słowa zamknął sklepik.

Na zewnątrz obrzucił gościa zaciekawionym spojrzeniem.

- Zmieniłeś się.
- Odstawiam bambusa. Jak wszyscy.
- Rozumiem.

Interesy ubijali zawsze pod gołym niebem, John wiedział bowiem dobrze, że Clarence byłby skłonny sprzedać go bez mrugnięcia powieką w zamian za obietnicę złagodzenia kary. Już dwa razy kupował od Jestera pikrynian amonowy. Ten facet był nie tylko piromanem, handlował też materiałami wybuchowymi, twardą pornografią i okazjonalnie bronią. John wiedział, że ten, kto skopiował jego bombę, musiał sporządzić własny modex hybrid, co oznaczało, że zdobył skądś RDX.

- Słuchaj, Clarence, szukam odrobiny erdeksu. Pomożesz mi?
- Ha!
- Co miało znaczyć to „ha!”, kolego?
- Nie mówisz jak prawdziwy czarnuch. Mówisz jak biały, który małpuje czarnucha.

- Pozostańmy przy erdeksie, Clarence. Wyświadczysz mi tę drobną przysługę?

- Kto teraz ma RDX? Widuję małe porcyjki raz na parę lat, ot i wszystko. Znalazłoby się jednak trochę trotylu i pentrytu. Też zajebisty towar.

Mówiąc to, Clarence przesunął palcami po wargach i jego słowa zabrzmiały mamrotliwie. Prawdopodobnie sądził, że John jest naprany.

- Muszę mieć erdeks.
- Nie mam na zbyciu.
- Ty może nie, ale kto inny ma. Kurwa, stary, nie mieszkasz w pipidowie. To jest Los Angeles. Tutaj wszystko kupisz.

Obok nich przemknęła na łyżworolkach dziewczyna w zielonym, połyskliwym bikini, ze słuchawkami od walkmana na uszach. Spod jej majteczek wyglądał tatuaż przedstawiający wschód słońca, a na smyczy biegł za nią złocisty cocker spaniel. John spostrzegł, że Clarence chciwie przygląda się psu i dziewczynie, jakby w wyobraźni widział ich oboje polanych benzyną i płonących.

- Wskaż mi tylko trop, stary. Znajdę, czego szukam, masz u mnie dołą. Nie skrzywdzę cię.

Dziewczyna i pies zniknęli za rogiem.

- Coś mi zaczyna dzwonić.

- Na to właśnie liczyłem.

- Nie podniecaj się za wcześnie. Trudno go zdobyć, to szczerza prawda. Kilka lat temu działał tu w okolicy jeden gościu, którego w końcu przymknęli za wysadzanie w powietrze samochodów. Używał do tego erdeksu. Może mógłbym cię z nim skontaktować.

John poczuł, że jest w domu. Kontakty otwierały następne kontakty.

- Twój klient?

- Nie brał erdeksu ode mnie, zapewniam cię.

Clarence opowiedział o niejakim Daliasie Tennancie, aktualnie w kiciu. John przerwał mu ze złością, gdy tamten wspomniał o więzieniu.

- Chwileczkę. Na chuja mi facet, który siedzi w pierdlu?

- Możesz z nim pogadać na Kladiuszu.

- Z faciem za kratkami?

- Czemu nie? Nie uwierzyłybyś, jakie numery wycinałem, gdy sam kiblowałem. Słuchaj, gościu wykombinował dosyć erdeksu do wysadzenia trzech starych rzęchów. Jeśli sam nie będzie mógł ci pomóc, skontaktuje cię z kimś, kto pomoże.

John uspokoił się; więc jednak był w domu. Tego się właśnie spodziewał, wiedział, że tak będzie, wiedział to przez całą drogę z Nowego Orleanu. Zastanawiał się, czy detektyw Starkey jest dość przebiegła, by wytropić źródło RDX. I czy ich drogi się spotkają.

- Znasz jego pseudo?

- Mam je w komputerze. Wiesz, jak wejść do Kladiusza?

- Jasne.

John poklepał Clarence'a po plecach tylko po to, żeby zobaczyć, jak tamten się wzdraga.

- Dzięki, stary byku.

- Nie dotykaj mnie. Nie znoszę tego.
- Przepraszam.
- Słyszałeś ostatnią nowinę?
- Nie. Jaką nowinę?
- Ponoć odwiedził LA Mister Red. Ponoć rozwalili jakiegoś
glinę w Silver Lake.

John, którego natychmiast opuścił dobry humor, po raz drugi z całej siły grzmotnął Clarence'a w plecy.

Atascadero

Kiedy ostatni z więźniów opuścił bibliotekę, Dallas Tennant zebrał ze stołów książki i czasopisma i ułożył je na wózku. Biblioteka nie była duża, liczyła jedynie sześć stołów, ale księgozbiór był urozmaicony i na bieżąco aktualizowany. Wśród pensjonariuszy Atascadero znajdowało się kilku milionerów, którzy zadbali o hojne dary w postaci książek, aby sami mieli co czytać. Biblioteka w Atascadero była przedmiotem zazdrości pozostałych kalifornijskich więźniów.

Pan Riley, cywilny kierownik biblioteki, emerytowany nauczyciel historii w szkołach średnich, zgasił światło w swoim kantorze.

- Kończysz już, Dallas?
- Muszę tylko odłożyć te książki i odkurzyć półki. To nie potrwa długo.

Pan Riley stał niezdecydowany w drzwiach. Zawsze niechętnie zostawiał swoich więziennych pomocników bez nadzoru, choć nie stanowiło to naruszenia regulaminu.

- No cóż, chyba poczekam...

Dallas uśmiechnął się przyjaźnie. Usłyszał wcześniej, jak pan Riley mówi, że spodziewa się na kolacji syna z synową, więc wiedział, że staruszkowi będzie spieszno do domu.

- Och, nie ma potrzeby, panie Riley. Dostaliśmy dziś tę pakę z nowymi nabytkami. Pomyślałem, że jakbym od razu wprowadził opisy do komputera, to jutro miałbym więcej

czasu na poustawianie książek na półkach. To może potrwać dłużej, niż myślałem.

- Dobrze, bylebyś zamknął do dziewiątej. Przed dziewiątą masz być w ambulatorium, pamiętaj, bo inaczej przyjdą cię tu szukać.

Więźniowie w Atascadero cieszyli się znacznym zakresem swobody, co nie znaczy, że nie mieli żadnego nadzoru. Na przykład Dallas mógł pracować do późna w bibliotece, wymagano jednak od niego, by o dwudziestej pierwszej zgłaszał się do izby chorych po wieczorną porcję leków. Gdyby nie stawiał się o oznaczonej porze, pielęgniarka zawiadomiłaby strażnika na służbie, a ten zarządziłby poszukiwania więźnia.

- Wiem, proszę pana. Czy mógłby pan powiedzieć strażnikowi, że będę w pana biurze, na wypadek gdyby przechodził i mnie tam zobaczył?

- Dobrze. Miłego wieczoru, Dallas.

- Nawzajem, panie Riley.

Nie chcąc dłużej zwlekać, starszy pan spiesznie wyszedł, podziękowawszy Dallasowi za solidną pracę, jak to czynił co dnia.

Dallas Tennant był porządnym chłopcem, już od dziecka, i taki też pozostał, nawet w Atascadero. Dobrze wychowany, uprzejmy i zrównoważony. Do tego bystry, co wykorzystywał, nie tylko mieszając chemikalia i konstruując skomplikowane urządzenia wybuchowe, ale również manipulując innymi.

Zaraz po przybyciu do Atascadero postarał się o pracę w kuchni, dzięki czemu zyskał dostęp do takich dóbr jak soda oczyszczona i łepki zapalek oraz do nieograniczonych zapasów rozmaitych przekąsek. Pozwoliło mu to wymieniać z więźniami zatrudnionymi jako sprzątacze produkty spożywcze na określone środki czystości, które połączone z substancjami wykradzionymi z kuchni, tworzyły udatne mieszanki wybuchowe.

Wypadek przy pracy, jaki mu się zdarzył, pociągając za sobą utratę kciuka, przerwał to pasmo powodzenia i sprawił, że rugowano go z rejonów umożliwiających dostęp

do substancji chemicznych. Jednak obecna praca w bibliotece dawała niemal równe korzyści z powodu całkiem innego rodzaju dostępu.

Ironiczna strona wygnania z kuchni i odstawienia od służb porządkowych polegała na tym, że Dallas nie skonstruował feralnego ładunku z materiałów znalezionych w więzieniu. Kupił go od kogoś spoza murów.

Myśląc o tym, nie przestawał się uśmiechać; przebolewał nawet stratę kciuka. Pewne osiągnięcia były warte małych ofiar.

Sprzątnął resztę książek i czasopism, ale nie tracił czasu na odkładanie ich na miejsce. Wyjrzał na korytarz, by się upewnić, że pan Riley rzeczywiście wyszedł, po czym zerknął na zegar. Strażnik, który miał sprawdzić, czy Tennant znajduje się tam, gdzie powinien, pojawi się mniej więcej za dwadzieścia minut. Dallas wszedł do biura pana Rileya, otworzył pudło z nadesłanymi książkami, żeby oszukać podejrzliwość strażnika, po czym wyjął dyskietkę z oprogramowaniem, którą trzymał schowaną za szafką kierownika. Choć Atascadero było zakładem nowoczesnym, połączonym z systemem penitencjarnym Kalifornii *via* Internet, żaden z komputerów dostępnych dla więźniów nie mógł mieć zainstalowanego oprogramowania sieciowego; komputery z takim oprogramowaniem były zarezerwowane dla funkcjonariuszy więziennych i administracji.

Dallas zdobył własny program, zlecając swojemu adwokatowi opłacanie miesięcznych abonamentów z wpływów za czynsz.

Zainstalował oprogramowanie na dysku twardym komputera pana Rileya, podłączył modem do gniazdka telefonicznego i wszedł do sieci. Po skończonej pracy odinstaluje program i pan Riley niczego nie spostrzeże.

Dallas Tennant wracał w domowe pielesze.

Na stronę „Klaudiusz”.

To było jedyne miejsce, gdzie czuł się bezpieczny. Anonimowy świat, gdzie nikt go nie osądzał, nie wyśmiewał, ale przygarbiał jak swego, członka plemienia. Tam przebywali

jego jedyni przyjaciele, inne anonimowe ksywki sieciowe, z którymi wymieniał pocztę w obszarach publicznych lub gawędził w ukrytych pokojach rozmów. Na liście wiadomości natychmiastowych zobaczył kilku zalogowanych rozmówców: ACDRUSH, który uwielbiał zamieszczać piętrowe wzory chemiczne (zdaniem Tennanta na ogół fałszywe), MEYER2, który podzielał jego podziw dla Mister Reda, RATBOY, który napisał długi na czternaście stron traktat, wykazując, że bomba z Oklahoma City mogłaby mieć siłę wybuchu o czterdzieści procent większą dzięki kilku drobnym ulepszeniom, wreszcie DEDTED, który uważał, że Theodore Kaczyński nie jest Unabomberem.

Tennant obrał sobie ksywkę BOOMER.

Zerkając co chwila w stronę korytarza, by nie przegapić strażnika, przejrzał założony przez siebie w grupie dyskusyjnej wątek poświęcony pojawieniu się Mister Reda w Los Angeles. Właśnie pisał swój głos w dyskusji, gdy pojawiło się na ekranie okno komunikatu:

PRZYJMIESZ WIADOMOŚĆ OD NEO?

Tennant nie znał żadnego „Neo”, ale ciekawość przemogła. Kliknął przycisk akceptacji i otworzyło się okno wiadomości natychmiastowej:

NEO: Ty mnie nie znasz, ale ja ciebie tak.

Tennant zerknął nerwowo w stronę korytarza, bo wiedział, że strażnik może się pojawić lada chwila i trzeba się spieszyć. Wystukał pytanie:

BOOMER: Kim jesteś?

Odpowiedź Neo pojawiła się niemal natychmiast.

NEO: Kimś, kto podziwia użytek, jaki robisz z erdeksu. Chciałbym o tym pogadać.

Tennant, podobnie jak wszyscy bywalcy Klaudiusza, dobrze wiedział, że na tej stronie często się pojawiali agenci służb bezpieczeństwa, by podstępem skłonić nieostrożnych do chlapanięcia czegoś obciążającego. Dbał więc o to, by nie mówić niczego otwarcie poza zabezpieczoną strefą pokoju rozmów.

BOOMER: Dobranoc, stary.

NEO: Chwilka! Powinieneś się ze mną spotkać, Dallas. Daję ci szansę, o jakiej inni mogą tylko marzyć .

Tennant zmartwił ze strachu. Nieznajomy rozmówca znał jego prawdziwe imię.

BOOMER: Skąd wiesz, jak mam na imię?

NEO: Ja dużo wiem.

BOOMER: Masz o sobie wysokie mniemanie.

NEO: Ty masz o mnie wysokie mniemanie, Dallas. Sporo o mnie pisałeś. Przejdź do czatowni.

Tennant zawahał się. To zmieniało postać rzeczy. Jeśli Neo znał hasło do czatowni, to znaczy, że ktoś za niego poręczył. Rozmowa w czatowni zapewniała taki stopień bezpieczeństwa, jaki był w ogóle możliwy w tym niepewnym świecie.

BOOMER: Znasz hasło?

NEO: Znam. Już tam jestem. Czekam.

Tennant użył własnego hasła i otworzył okno pokoju rozmów. Było puste, jeśli nie liczyć Neo.

BOOMER: Kim jesteś?

NEO: Jestem Mr Red. Masz coś, na czym mi zależy, Dallas. Pewną informację.

Tennant gapił się z niedowierzaniem na tekst na ekranie. To było niewiarygodne, niebywałe, fantastyczne!

Wystukał na klawiaturze słowa:

BOOMER: Co oferujesz do wymiany?

9

Ledwo Starkey przekroczyła tego wieczoru próg swojego mieszkania, pożałowała, że zaprosiła do siebie Pella. Podniosła z podłogi magazyny i czasopisma, schowała karton chińskiego jedzenia i zmartwiła się, że w powietrzu wisi niemiły zapach. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz sprzątała w kuchni i łazience, lecz nie mogła. W domu nie było nic do picia, oprócz dżinu, toniku i wody z kranu. Na obudowie telewizora można by się z powodzeniem podpisać w grubej warstwie kurzu. Starkey wzięła prysznic, włożyła dżinsy i czarny podkoszulek, po czym bez zbytniego przekonania spróbowała doprowadzić mieszkanie do jakiegoś takiego porządku. Ostatnim jej gościem, blisko rok temu, był Dick Leyton. Wpadł, by się dowiedzieć, co słychać, i został na drinka.

Naprawdę powinnaś zmienić swoje życie, Starkey. Może sprzedają nowe w sklepie wysyłkowym?

Cokolwiek myślał sobie Kelso, Starkey czuła się w tym śledztwie jak ryba w wodzie. Wzięcie do ręki bomby z Miami doskonale na nią podziałało. Bomba była czymś realnym i wzbogaciła jej wiedzę na temat urządzenia z Silver Lake. Kelso i pozostali nie rozumieli tego, ale Starkey była pirotechnikiem i wiedziała, że części składowe zawsze się sumują; teraz zaś dostała do rąk nowy składnik. Była szalenie ciekawa, czy Klaudiusz rzeczywiście na coś im się przyda; nadzieję budził też raport Hookera ze studia postprodukcyjnego. Prze-

czuwała ponadto, że dużo więcej dałoby się wycisnąć z Dallasa Tennanta.

Postawiła laptopa na stole w jadalni, uznawszy, że to będzie najlepsze miejsce do pracy. Wetknęła wtyczkę do kontaktu i włączyła komputer, gdy na podjeździe zachrząściły koła samochodu Pella.

Otworzyła drzwi. Stał w progu z pizzą i jakąś białą torbą.

- Zbliża się pora kolacji, więc pozwoliłem sobie kupić to i owo. Mam tu pizzę i małą przekąskę. Chyba niczego nie przygotowałeś?

- Cholera, właśnie wstawiłam kaczkę do piekarnika!

- Przepraszam, powinienem był zadzwonić...

- Żartuję, Pell. Moja kolacja składa się zwykle z konserwowanego tuńczyka i kilku placuszków tottilli. Miałeś świetny pomysł.

Zaniosła jedzenie do kuchni, podwójnie zażenowana, że nie ma nic do picia. Nie była nawet pewna, czy uda jej się znaleźć czyste talerze.

- Ty nie pijesz dżinu z tonikiem, prawda?

- Może być trochę toniku bez dżinu. Gdzie komputer?

- Na stole w jadalni. Nie chcesz najpierw zjeść?

- Możemy jeść, pracując.

Pomyślała, że pewnie chce jak najszybciej wyjść. Szklanki nie były zbyt czyste, pocieszała się jedynie nadzieją, że gość tego nie zauważy. Napęliła dwie szklanki tonikiem z lodem. Poczula ogromną pokusę, by dolać sobie dżinu, ale ją zwalczyła.

Kiedy się odwróciła, chcąc podać mu szklankę, napotkała jego spojrzenie.

- Nie wiedziałem, jaką pizzę lubisz, więc wziąłem pół wegetariańskiej, a pół z pepperoni i kiełbasą.

- Lubię i taką, i taką, ale dzięki. Miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś.

Usłyszawszy słowa, jakie wyszły z jej ust, aż w duchu jąknęła. Rozmawiali jak para niedojd na pierwszej pokracznej randce. Przypomniała sobie, że czeka ich praca, nie randka.

Nie umawiała się już na randki. Będzie dopiero musiała poprosić o katalog sprzedaży wysyłkowej, by wybrać sobie nowe życie.

Wymijając talerze i sztuce, zastanawiała się, czy powiedzieć mu o swoim odkryciu, po namyśle postanowiła jednak tego nie robić. Poczekaj na wiadomość od Janice Brockwell. Dopiero wtedy się przecież okaże, czy kwestia kierunku oplotu taśmy ma w ogóle jakieś znaczenie. W gruncie rzeczy bała się po prostu, by Pell od ręki nie zdyskredytował jej odkrycia, jak to uczynił Kelso.

Podzielili przekąskę i pizzę, po czym przenieśli talerze i szklanki do jadalni. Przysunęli blisko siebie dwa krzesła, jak w gabinecie Bergena, po czym Starkey zalogowała się do Klaudiusza. Nadmierna bliskość Pella zaczęła jej wkrótce doskwierać, więc odsunęła krzesło.

- Może powinniśmy najpierw zjeść, żeby nie potłuścić klawiszy?

- Do diabła z klawiszami. Umieram z ciekawości, czy ktoś nam odpowiedział.

Starkey na powrót przysunęła się do Pella z krzesłem i otworzyła wrota do Klaudiusza.

W gabinecie Bergena nadali trzy wiadomości: dwie wyrażające entuzjastyczny podziw dla Mister Reda, jedną z pytaniem, czy prawdą jest plotka, że uderzył ponownie w Los Angeles. Ta ostatnia wiadomość doczekała się kilku odpowiedzi, z których jedna przynosiła reprodukcję artykułu z „Los Angeles Times”, jednak większość powątpiewała w obecność Reda w mieście, powołując się na jego ostatni zamach bombowy w Miami. Jeden z nadawców porównywał Reda do Elvisa i zapowiadał, że wkrótce będzie widywany w każdej knajpie w Ameryce.

Starkey za pomocą myszy przechodziła od wiadomości do wiadomości, czytała, czekała na potwierdzający pomruk Pella, po czym klikała następną. Skoncentrowana na dziwacznej treści tej wymiany zdań, prawie zapomniała o obecności towarzysza, póki nie wyciągnął nagle ręki i nie chwycił myszy.

- Zaczekaj. Chcę to jeszcze raz przeczytać.

Kiedy jego ręka nakryła jej dłoń, Starkey odsunęła się tak gwałtownie, jakby poraził ją prąd, a w następnej chwili zaczerwieniła się speszona. Kryjąc zawstydzenie, odebrała Pellowi bezceremonialnie mysz i zapytała:

- Co takiego?
- Zobacz.

TEMAT: Re: Prawda czy plotka
OD: AM7TAL
MESSAGE-ID: »9777721.04 @ selfnet«

»prawda czy plotka?«

Moi szpiedzy donieśli, że gość wykazał się ostatnio na południu Florydy, co się potwierdziło. Historia poucza, że facet zwykł robić małe przerwy między kolejnymi występami. Prawda jest taka, że nikt nie sra z rana modeksem. Może ktoś by mi odpalił trochę tego kitu?

Ha, ha! Żartowałem, federalne cioty!

Am7

Starkey jeszcze raz przeczytała tę wiadomość.

- Myślisz, że to Red?
 - Nie. Facet robi sobie jaja na temat kupna modeksu, a my wiemy, że Red sam go produkuje. Nie próbowałby kupować modeksu, szukałby składników. Co byś powiedziała, gdybyśmy odpowiedzieli temu palantowi żarcikiem na żarcik, oświadczając na przykład, że nie mamy co prawda na zbyciu modeksu, ale moglibyśmy mu skombinować trochę RDX?
 - Spróbuj.
 - Do niego i do wszystkich, którzy to czytają.
- Pell obrócił laptopa klawiaturą w swoją stronę i poprawił

się na krześle. Jego kolano dotknęło przy tym kolana Starkey, a prawe ramię jej lewego barku. Tym razem nie cofnęła się; pozwoliła, by dotyk się przedłużał. Zerknęła na Pella; sprawiał wrażenie bez reszty pochłoniętego redagowaniem wiadomości. Przez jej głowę przeleciały szokujące obrazy: dotyka jego ramienia, ich spojrzenia się spotykają, całują się. Zaczęło jej walić serce, gdy o tym pomyślała.

Bierze go za rękę, prowadzi do sypialni, obnaża swe blizny.

Zrobiło jej się słabo. Odsunęła się nieznacznie.

Nie jestem gotowa.

Spojrzała na pizzę, lecz nie mogła się zmusić do jedzenia.

Tymczasem Pełł, zaabsorbowany zadaniem, zapytał:

- Co o tym myślisz?

TEMAT: Re: Prawda czy plotka
Od: NABUZOWANY
MESSAGE-ID: »5521721.04 @treenet«

»nikt nie sra z rana modeksem. Może ktoś by mi odpalił trochę tego kitu?«

Erdeks to najlepszy środek na przeczyszczenie. Chętnie ci trochę odstąpię za godziwą cenę. Bu-
jaj się, frajerze!

NABUZOWANY

- Nieźle.

Zerknęła w bok i zauważyła, że Pell trze oczy i mruga powiekami.

- Dobrze się czujesz?

- Niedługo będę musiał wkładać okulary do czytania, a potem przyjdzie czas na laskę.

- Mam gdzieś krople do oczu. Chcesz?

- Nie trzeba.

Nadali wiadomość.

- Co teraz?
- Pozostaje nam tylko czekać.
Zamknął pokrywę laptopa.

- Nie chcę, byś znowu odniosła wrażenie, że mówię ci, co masz robić, ale czy mógłbym prosić, żebyś jeszcze raz poszukała RDX przez system wewnętrznej informacji policyjnej? Żeby się przekonać, czy nie znaleźlibyśmy tam jeszcze kogoś oprócz Tennanta.

- Już to zrobiłam. Nikogo więcej nie znalazłam. Pojawia się tylko to jedno nazwisko.

- Wszystko, co się dało, już z niego wycisnęliśmy.

- Z Tennanta może, lecz nie z jego sprawy.

- Co masz na myśli?

- Przeczytałam ponownie raport Muellera. Jest oczywiste, że nie potrzebował szukać warsztatu Tennanta ani reszty materiałów wybuchowych, żeby zamknąć sprawę, toteż niejedno prześlepił. Notatki z przesłuchań wskazują, że nie poświęcił dostatecznie wiele czasu ani gospodyni Tennanta, ani jego pracodawcy. Miał zdjęcia trzech rozwalonych wozów, miał zeznanie tego złodzieja samochodów, niczego więcej nie potrzebował. Gdyby przepytał jeszcze innych świadków, pewnie mógłby dużo więcej odkryć.

- Masz rację. To dobry trop.

Zdała sobie sprawę, że się do niego uśmiecha, a on odpowiada jej uśmiechem. W domu panowała niczym nie zmąconą ciszą. Teraz, gdy komputer został wyłączony, uświadomiła sobie, że są z Pellem sami. Zaciekawilo ją, czy i do niego ten fakt dociera równie wyraźnie, i zapragnęła nagle, by tę ciszę zakłóciły jakieś dźwięki: telewizora, radia, przejeżdżającego ulicą samochodu. Byli jednak sami i siedzieli w ciszy, co w końcu stało się dla niej nieznośne.

Zebrała talerze i wyszła do kuchni.

- Jeszcze raz dziękuję za pizzę. Następnym razem ja funduję.

Wstawiwszy talerze do zlewozmywaka, wróciła do jadalni, ale nie podeszła do swojego krzesła. Nie zaproponowała więcej

toniku i miała nadzieję, iż wyraźnie daje do zrozumienia, by już sobie poszedł. Wyglądało na to, że chciałby coś jeszcze powiedzieć, ale nie dała mu szansy. Wymownym gestem wsadziła ręce do kieszeni spodni.

- Rozumiem, że jutro znowu sprawdzimy odpowiedzi? Zadzwoń do ciebie w tej sprawie.

W końcu wstał. Odprowadziła go do drzwi i usunęła się na bok, by zrobić mu przejście.

- Do zobaczenia, Pell. Dopadniemy drania.

- Dobranoc, Starkey.

Ledwo przestąpił próg, zamknęła za nim drzwi. Nie poczuła się dzięki temu lepiej; było jej głupio. Czuła się tak nadal, gdy już leżała w łóżku, patrzyła w ciemności w sufit i dziwiła się, dlaczego jest taka zagubiona. Nie miała na świecie nic oprócz swojej pracy, oprócz tego śledztwa. Od trzech lat tak wyglądało jej życie. I tak miało wyglądać już zawsze.

Pell

Pell siedział w motelu i wpatrywał się w komputer, kiedy powróciły potwory. Wiły się nad klawiaturą jak dżdżownice otoczone rojem świetlików. Zamknął oczy, mimo to wciąż widział je pod powiekami. Potykając się, wyszedł do łazienki po lód i mokre ręczniki, a potem położył się na łóżku z ręcznikiem na twarzy. Głowę rozsadał mu ból tak potworny, że z trudem łapał powietrze.

Śmiertelnie przerażony, miał ochotę zadzwonić do Starkey.

Przeklął sam siebie za tę pokusę i spróbował skoncentrować się na bólu, skupić całą uwagę na tym jednym punkcie. Wsłuchiwał się w hałas wieczornego ruchu za oknem, w odgłosy zatrzymujących się i ruszających z miejsca samochodów, które napierały na bezwładną bryłę kolosalnego miasta - pisk hamulców, wycie silników, huk przeładowanych ciężarówek. Miał wrażenie, że utkwiał na krawędzi piekła.

Im bliżej poznawał Starkey, tym jego sytuacja stawała się

trudniejsza. Przy każdym spotkaniu odkrywał jakąś jej nową, zaskakującą cechę, co tylko wzmagało w nim poczucie winy. Pell miał nosa do ludzi, umiał dostrzegać ukrytą - a prawdziwą - twarz, jaką wszyscy noszą pod zewnętrzzną maską. Już dawno temu zauważył, że każdy składa się w istocie z dwóch osób: tej wystawionej na pokaz i tej drugiej, schowanej pod spodem. Pell umiał docierać do tych nieujawnionych postaci, więc zorientował się szybko, że pod powłoką twardej Starkey ukrywa małą dziewczynkę, która stara się ze wszystkich sił okazać dzielną. W tej małej dziewczynce biło męzne serce, usiłujące odbudować jej życie i karierę. Nie spodziewał się, że tak ją polubi. Nie liczył też na wzajemność. Zaczęły go nękać coraz dotkliwsze wyrzuty sumienia.

Nic jednak nie mógł w tej sprawie poradzić.

Po jakimś czasie ból minął i pojaśniało mu przed oczami. Spojrzał na zegarek. Minęła cała godzina. Zakrył twarz dłońmi. Pięć, dziesięć minut, ale żeby aż godzina?

Dźwignął się z łóżka i wrócił do komputera. Z ekranu patrzyła płomienista głowa. Odpędził od siebie poczucie winy wobec Starkey i otworzył stronę „Klaudiusz”. Na tej ostatniej bombie było wyryte jej nazwisko. Mister Red zamierzał ją dopaść. Mogło mu się udać.

Pod pseudonimem, którego Starkey nie znała, Pell zaczął o niej pisać.

10

Nazajutrz, jak zwykle, Starkey przyszła do pracy pierwsza. Uznawszy, że Mueller raczej nie zjawi się w biurze przed szóstą, zajęła się robotą papierkową, byle zabić czas. Hooker przyjechał pięć po siódmej, Marzik dwadzieścia minut później. Z teczką towarów Amwaya.

Chowając ją pod biurko, odwróciła głowę w stronę Carol.

- Jak tam sławetne spotkanie z zastępcą?

- Powiedział, żebym nie zasypiała gruszek w popiele. To cały jego wkład w śledztwo.

Marzik, z kubkiem kawy w ręku, opadła na krzesło. Starkey doleciał zapach czekolady. „Mokka”.

- Słyszałam, że Dick Leiton uratował ci dupę.

Starkey zmarszczyła czoło. Zastanawiała się, co Beth rzeczywiście mogła słyszeć.

- Tak? I coś takiego jeszcze ci doniesiono?

Marzik zdjęła pokrywkę z kubka i zaczęła dmuchać do środka.

- Kelso wygadał się przed Giadonną. Powiedział, że wystrzeżiłaś z hipotezą, jakoby Silver Lake było dziełem naśladowcy Reda. Ciekawam, kiedy miałaś zamiar powiedzieć o tym mnie i Hookerowi?

Starkey poczuła złość: Kelso rozpuścił jęzor i Marzik mogła pomyśleć, że ona chce coś ukryć przed swoimi partnerami. Opowiedziała ze szczegółami o urzędzeniu z Miami i odkrytej różnicy w kierunku nawijania taśmy.

- Robisz z igły widły, Beth. Planowałam omówić to z wami dzisiaj. Wczoraj nie miałam kiedy.

- Możliwe. Pewnie byłaś zbyt zajęta panem Pellem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Spoko, gościu jest całkiem przystojny. Jak na federalnego.

- Nie zauważyłam.

- Sprzedał ci tego Klaudiusza, co? Uważam, że kiedy facet wyświadcza babce podobną przysługę, pora pomyśleć o nagrodzie. Zrób mu laskę.

Hooker spąsował, zerwał się z miejsca i uciekł. Marzik parsknęła śmiechem.

- Głupi kutas.

W Starkey się zagotowało.

- Mylisz się, moja droga. Jest po prostu dobrze wychowany i nie chce słuchać twojego rynsztokowego języka.

Beth podjechała bliżej krzesłem i zniżyła głos.

- A mówiąc poważnie... gołym okiem widać, że gość ci się podoba.

- Nie chrzań!

- Wystarczy, że ktoś wymieni przy tobie jego nazwisko, robisz taką minę, jakbyś miała za chwilę wykorkować. I bynajmniej nie dlatego, że może odebrać nam sprawę.

- Kiedy ostatni raz ktoś ci przyłożył, Beth?

Marzik uniosła brwi jak osoba, która i tak wie lepiej, i odjechała na krzesło do swojego biurka.

Carol poszła po następny kubek kawy, ignorując Marzik, która siedziała na tłustym tyłku z uśmieżkiem samozadowolenia. Hooker, nadal czerwony po usłyszanym sprośności, błąkał się w odległym końcu sali, zbyt zawstydzony, by spojrzeć Starkey w oczy.

Wróciła do biurka, podniosła słuchawkę i wykręciła numer Muellera. Wiedziała, że jest jeszcze za wcześnie, ale miała do wyboru: albo zadzwonić do Muellera, albo zastrzelić Marzik.

Tymczasem Mueller odebrał, choć jego ton zdradzał, że bardzo się spieszy.

- Nie mogę teraz rozmawiać, Starkey. Jakiś wariat wrzucił granat do skrzynki na listy.

- Mam tylko kilka pytań, sierżancie. Rozmawiałam z Tennantem. Muszę wyjaśnić z panem parę spraw.

- Kompletny wariat, prawda? Straci jeszcze kilka paluchów i będzie musiał liczyć na palcach u nóg.

Uznała jego żart za mało zabawny.

- Tennant upiera się, że nie miał warsztatu.

Przerwał jej, zły, że niepotrzebnie zabiera mu czas.

- Zdaje się, że już o tym mówiliśmy, prawda?

- Owszem.

- Nic nowego się nie pojawiło. Jeśli miał warsztat, nie udało nam się go odszukać. Zastanawiałem się nad tym po naszym spotkaniu i muszę pani powiedzieć, że moim zdaniem ten gnojek prawdopodobnie nie kłamie. Taki pizdzielec nie szedłby w zaparte, gdyby dzięki przyznaniu się mógł skrócić wyrok.

Nie zadała sobie trudu, by mu uświadomić, że dla takiego pizdzielca jego warsztat jest najważniejszą rzeczą na świecie.

Oświadczyła tylko, że ma podstawy, by sądzić, iż Tennant nie tylko miał warsztat, ale i większą ilość RDX. Tym razem w głosie Muellera zabrzmiał ton niechęci.

- Jakie podstawy?

- Tennant powiedział nam to samo co panu: że zdobył RDX ze skrzyni z minami Raytheon GMX. Każda taka skrzynia mieści sześć min.

- Wiem o tym.

- Otóż właśnie. Zajrzałam do naszych katalogów. Wynika z nich, że każda mina GMX zawiera 1,8 funta erdeksu, co znaczy, że zgromadził nieco ponad dziesięć funtów tego towaru. Z fotografii tych trzech samochodów, które pan mi przysłał, wynika, że były to wozy dość lekkie, a większość zniszczeń spowodował ogień. Zrobiłam obliczenia siły niszczącej RDX i sądzę, że gdyby użył tylko jednej trzeciej posiadanego zapasu na każdy z samochodów, skutek byłby znacznie bardziej widowiskowy.

Mueller milczał.

- Poza tym z przesłuchania Roberta Castillo wynika - ciągnęła - że Tennant prosił go o dostarczenie czwartego skradzionego wozu. Wnioskuje sąd, że posiadał większą ilość RDX.

Kiedy Mueller w końcu się odezwał, w jego głosie porzmięwała irytacja.

- Przeszukaliśmy tę cholerną norę, w której mieszkał. Zajrzeliśmy do każdej dziury, do każdego pudła. Na trzy miesiące skonfiskowaliśmy wóz tego gnoja, zdjęliśmy nawet osłony wahaczy. Przeszukaliśmy dom i garaż tej starej, sprowadziliśmy specjalistów z FBI, a ich pies obwąchał kwietniki, więc niech mi pani nie sugeruje, że coś spieprzyłem!

- Nie próbuję panu niczego sugerować, panie Mueller. - Starkey usłyszała twardy ton również we własnym głosie i natychmiast tego pożałowała. - Dzwonię tylko dlatego, że nie znalazłam w pańskim raporcie zbyt wielu zapisów z przesłuchania gospodyni i pracodawcy Tennanta.

- Nie było czego zapisywać. Stara wiedźma w ogóle nie chciała z nami gadać. Martwiła się tylko, żebyśmy nie podeptali jej klombów.

- A jego pracodawca?

- Powiedział to, co zawsze mówią w takich wypadkach. Jest niepomernie zdziwiony. Dallas był takim przyzwoitym chłopcem. Nosimy tu kowbojskie buty, Starkey, ale to nie znaczy, że jesteśmy tępyimi ćwokami. Radzę to pani zapamiętać. Ten skurwiel siedzi w Atascadero dzięki mnie. Ja swoje śledztwo zamknąłem. Kiedy pani zamknie z sukcesem swoje, proszę do mnie znowu zadzwonić.

Rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć, więc ze złością trzasnęła słuchawką. Gdy podniosła oczy, napotkała spojrzenie Marzik.

- Spoko.

- Pieprzony kutas!

- Cholernie dziś jesteś drażliwa. Co cię tak wkurwiło?

- Odpalantuj się, dobrze?

Starkey ponownie przejrzała akta sprawy. Gospodynią Tennanta była niejaka Estelle Reager, pracodawcą zaś Bradley Ferman, właściciel sklepu dla hobbystów „Robbie's Hobbies”.. Odszukała telefony obojga i do obojga zadzwoniła. Dowiedziała się, że sklep „Robbie's Hobbies” został już zlikwidowany; Estelle Reager zgodziła się z nią porozmawiać.

Starkey wzięła torebkę i wstała.

- Rusz się, Beth. Jedziemy pogadać z tą babą.

Marzik nastroszyła się.

- Ani mi się śni dymać do Bakersfield. Weź Hookera.

- Hooker ma co robić.

- Ja też mam co robić. Nie skończyłam jeszcze tych przesłuchań w pralni.

- Podnieś dupę i dymaj do wozu. Wybieramy się na przejażdżkę.

Starkey wyszła, nie oglądając się na Marzik.

Autostrada Golden State kierowała się z Los Angeles na północ i biegła środkiem rozległych równin Doliny Centralnej. Starkey uważała tę prostą jak strzelił szeroką taśmę za najlepszą drogę w całej Kalifornii, nawet w całym kraju. Mogłeś ustawić tempomat na osiemdziesiąt mil, wyłączyć uwagę i po pięciu godzinach byłeś w San Francisco. Do Bakersfield powinny dojechać w niecałe półtorej godziny.

Marzik siedziała wciśnięta w fotel, ze skrzyżowanymi rękami i nogami, nadąsana jak mała dziewczynka. Starkey nie miała pojęcia, po licha ją zabrała, i ledwo zjechały ze Spring Street, pożałowała swojej decyzji. Nie odezwały się do siebie przez pierwsze pół godziny, dopóki nie dotarły na przełęcz Newhall u wylotu doliny San Fernando i po lewej stronie nie ukazały się diabelskie kolejki i wieże parku rozrywki „Magie Mountain”.

Marzik poruszyła się niespokojnie i pierwsza przerwała milczenie.

- Moje gnojki marzą o wycieczce tutaj. Bajeruję ich, bo to

kosztuje majątek, ale co to da? Wciąż oglądają te zaszrane reklamy i tych uszczęśliwionych idiotów w kolejkach górskich. W reklamach nigdy nie mówią, ile co kosztuje.

Starkey zerknęła w bok, spodziewając się ujrzeć Marzik zagniewaną i naburmuszoną, tymczasem partnerka wyglądała na zmęczoną i przygaszoną.

- Chciałabym cię o coś zapytać. Czy to naprawdę tak się rzuca w oczy? No wiesz, z tym Pellem...

Marzik wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Tak tylko gadałam.

- To dobrze.

- Nigdy nie opowiadasz o swoim życiu prywatnym. Pomyślałam, że pewnie żadnego nie masz.

Marzik przyjrzała się Starkey z ukosa.

- Czy teraz ja z kolei mogę cię o coś zapytać?

Carol poczuła się niewyraźnie, zapewniła jednak Marzik, że może pytać, o co tylko chce.

- Kiedy ostatni raz spałaś z facetem?

- No wiesz! Co za pytanie...

- Powiedziałaś, że mogę pytać, o co tylko chcę. Ale skoro nie chcesz o tym rozmawiać, to nie.

Starkey z taką siłą ścisnęła kierownicę, aż jej zbieleły knykcie. Zaczerpnęła głęboko tchu, próbując się rozluźnić. Choć niechętnie, musiała w duchu przyznać, że chciałaby o tym porozmawiać, tylko nie wie jak. Może właśnie dlatego zabrała ze sobą Marzik?

- Dawno.

- Na co czekasz? Myślisz, że stajesz się młodsza? Boisz się, że szparka ci zarosła?

- Sama nie wiem...

- Nie wiem, co tam ci chodzi po głowie, bo nigdy ze sobą nie gadamy. Jesteśmy w wydziale tylko dwie, a rozmawiamy wyłącznie o sprawach służbowych. Coś ci powiem, Carol. Poświęciłaś się robocie, ale potrzebujesz czegoś więcej, bo to zaszra robotę. Wysysa z człowieka wszystkie siły i nic nie daje w zamian. Gówniany interes.

Starkey spojrzała na koleżankę: mrugała szybko powiekami, starając się pohamować łzy. Carol zdała sobie nagle sprawę, że nie rozmawiają już o niej; rozmawiały o Marzik.

- Dobra, powiem ci, czego j a chcę. Chcę wyjść za mąż. Mieć kogoś, z kim mogłabym pogadać i kto byłby ode mnie wyższy. Chcę mieć w domu faceta, choćby godzinami leżał na kanapie, choćbym musiała mu przynosić piwo i słuchać, jak pierdzi o trzeciej nad ranem. Mam dość życia w samotności, bez żadnego towarzystwa prócz dwójki bachorów wiecznie chrupiących krakersy. Kurwa, tak bardzo chcę wyjść za mąż, że faceci wyczuwają to z daleka i spiemiczają na mój widok gdzie pieprz rośnie.

Starkey nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przykro mi, Beth. Ale przecież umawiasz się na randki? W końcu kogoś znajdziesz.

- Gówno tam wiesz! Nienawidzę tej pieprzonej roboty. Nienawidzę swojego zasranego życia. Nienawidzę tej pary szczyli... Słyszałaś kiedyś coś równie potwornego? Nienawidzę gnojków i jednocześnie serce mi się kraje, że nie mogę ich zabrać do „Magie Mountain”!

Marzik zmęczyła się i zamilkła. Starkey czuła się fatalnie. Domyślała się, że Marzik oczekuje jakiejś reakcji z jej strony, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć. Czuła, że sprawia koleżance zawód.

- Beth?...

Marzik potrząsnęła głową, lecz jej nie odwróciła, najpewniej ze wstydu. Starkey była nie mniej zmieszana.

- Nie umiem prowadzić takich babskich rozmów. Wybacz...

Zamilkły obie i każda pogrążyła się we własnych myślach. Autostrada sphywała z gór w rozległą Dolinę Kalifornijską. Kiedy na pustej równinie ukazało się Bakersfield, Marzik przerwała milczenie.

- Nie mówiłam serio tego o bachorach...

- Wiem.

Wkrótce zjechały z autostrady i kierując się wskazówkami Estelle Reager, odszukały przedwojenny tynkowany dom mię-

dzy przesiadkową stacją kolejową na południowym przedmieściu Bakersfield a lotniskiem. Pani Reager otworzyła im drzwi ubrana w dzinsy, kraciastą koszulę i robocze rękawice. Miała pobrużdżoną, wysuszoną skórę kobiety, która większość życia spędziła na słońcu. Starkey domyśliła się, że Mueller zjawiał się u niej jak kowboj, sądząc, że może potraktować starowinkę z góry, czym ją rozeźlił. Rozeźloną nie tak łatwo już było udobruchać.

Starkey przedstawiła siebie i Marzik.

Reager zlustrowała je ciekawie.

- Dwie babeczki, ha? Domyślam się, że żadnemu z tych leni w pantalonach nie chciało się tłuc taki kawalas drogi.

Marzik parsknęła śmiechem aprobaty. Ujrawszy iskierkę, jaka zabłysła w oku Estelle Reager, Starkey już wiedziała, że zaskarbiły sobie sympatię starszej pani.

Gospodyni przeprowadziła je przez środek domu na małe patio nakryte przezroczystą zieloną markizą, która zatrzymała promienie słońca i kąpała ogródek w zielonkawej poświacie. Wzdłuż ściany domu biegł podjazd do garażu, za którym stał schludny domek gościnnie. Przestrzeń między patiem a tym budyneczkiem zajmował wypielęgnowany warzywnik.

- Dziękuję, że zgodziła się pani nas przyjąć, pani Reager.

- Drobiazg, z radością wam pomogę. Choć nie wiem, czy zdołam, bo powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia.

Marzik podeszła na skraj patia, żeby się lepiej przyjrzeć domkowi gościnnemu.

- Tutaj mieszkał?

- A tutaj, tutaj. Mieszkał u mnie cztery lata i powiem paniom, że trudno o sympatyczniejszego lokatora. Wiem, że to brzmi dziwnie, zważywszy na to, co dziś o nim wiemy, a jednak to prawda. Dallas był nadzwyczaj uprzejmym młodym człowiekiem. Czynnś też płacił zawsze regularnie.

- Domek wygląda na pusty. Czy ktoś w nim teraz mieszka?

- Miałam w zeszłym roku lokatora, ale ożenił się z nau-

czycielką i jak to młode małżeństwo: potrzebowali czegoś większego. Trudno znaleźć kogoś odpowiedniego w tym przedziale cen, panie rozumieją. Czy mogę zapytać, czego panie szukają?

Starkey podzieliła się z nią przypuszczeniem, że Dallas zachował gdzieś swój warsztat i komponenty do produkcji bomb.

- No cóż, tu panie niczego nie znajdują. Policja wywróciła wszystko do góry nogami. Zdeptali mi cały ogródek. Miałam szczerą ochotę im pomóc, ale nie okazali się zbyt uprzejmi.

Starkey już wiedziała, że trafnie oceniła Muellera.

- Jeśli chcecie przejrzeć rzeczy Dallasa, bardzo proszę. Wszystko jest w garażu.

Marzik porozumiała się spojrzeniem z Carol.

- Ma pani wciąż jego rzeczy?

- No cóż, prosił, żebym je przechowała do czasu, aż wyjdzie z kryminału.

Starkey spojrzała na garaż, a potem na panią Reager.

- I te rzeczy tu były, gdy policja robiła przeszukanie?

- I owszem. Są w garażu, jeśli chcą je panie obejrzeć.

Wyjaśniła, że Tennant w pierwszym roku odsiadki nadal uiszczał czynsz, ale potem napisał, że dłużej nie może płacić, i pytał, czy zgodziłaby się przechować jego rzeczy. Nie było tego wiele. Ledwo kilka pudeł.

Starkey przeprosiła starszkę i obie z Marzik poszły do garażu.

- Skoro powiedziała, że możemy tu wejść, jesteśmy kryte, ponieważ to jej własność. Ale jeśli zaczniemy grzebać w pudłach tego gnoja i coś znajdziemy, możemy sobie napytać biedy.

- Uważasz, że powinniśmy mieć nakaz rewizji?

- Oczywiście.

Nie tylko potrzebowały nakazu rewizji, ale na domiar złego znajdowały się na obcym terenie - dwie policjantki z Los Angeles w Bakersfield. Najprościej byłoby zadzwonić do Muellera, żeby przyjechał z gotowym nakazem.

Starkey wróciła do starszej pani.

- Pani Reager, chciałabym coś wyjaśnić. Czy te rzeczy w garażu to te same, które policja wtedy przeszukała?

- Hmm, były w domku gościnnym, gdy tu przyjechali, więc chyba tak.

- Doskonale. Powiedziała pani, że Tennant prosił o przechowanie swoich rzeczy. Czy pani je spakowała?

- Tak. Nie było tego dużo, trochę ubrań i tych świńskich filmów dla dorosłych. Tego nie pakowałam. Od razu wyrzuciłam na śmietnik. Meble były moje. Wtedy jeszcze wynajmowałam ten domek wraz z umeblowaniem.

Starkey doszła do wniosku, że nic nie zyska, grzebiąc w jakichś pudłach. Miała nadzieję odszukać ludzi, u których Tennant mógł zamelinować warsztat na długo przed aresztowaniem.

- Czy znała pani jego przyjaciół, znajomych?

- Nikt go tu nie odwiedzał, jeśli o to pani pyta. Nie, chwilczkę. Jeden młody człowiek zachodził tu dawniej kilka razy. Domyśliłam się, że pracowali razem w tym sklepiku.

- Kiedy to było?

- O, jakiś rok temu. Wydaje mi się, że oglądali razem te filmy, wie pani jakie?

Marzik wyjęła trzy portrety pamięciowe.

- Czy któryś z tych osobników go przypomina?

- Boże, to było tak dawno, a ja mu się nie przyglądałam. Raczej nie.

Starkey postanowiła porzucić ten temat, uznawszy, że starszka pewnie się nie myli.

- Czy posada w tym sklepie była jego jedyną posadą? - zapytała Marzik.

- Tak.

- Miał jakieś przyjaciółki?

- O ile wiem, nie.

- A rodzinę?

- Słyszałam tylko o jego matce. Zmarło się biedaczce. Przyszedł do mnie po jej śmierci całkiem załamany. Wypiliśmy razem kawę, a on ciurkiem płakał.

Starkey i ten temat nie zainteresował. Jej ciekawość obudziły natomiast pozostawione przez Tennanta rzeczy.

- Przez rok płacił pani czynsz, siedząc już w więzieniu?
- Właśnie. Myślał, że może zostanie przedterminowo zwolniony, rozumieją panie, i chciał do mnie wrócić. Nie chciał, żebym wynajęła domek komuś innemu.

Marzik ze zrozumieniem uniosła brwi.

- Wyobrażam sobie. Czy ktoś go obecnie wynajmuje?
- Nie. Od czasu tego ostatniego lokatora nie brałam nikogo na stancję.

Starkey zerknęła na Marzik, a ta lekko skinęła głową. Myślały obie o tym samym. Dlaczego Tennant nie zrezygnował z mieszkania, choć nie miał z niego żadnego pożytku? Jeśli nie płacił już czynszu i nie był formalnie najemcą, mogły zgodnie z prawem wejść i przeszukać lokal za zgodą właściciela.

- Pani Reager, czy pozwoli nam pani tam zajrzeć?
- Ależ proszę.

W domku panowała duchota. Składał się z jednego dużego pokoju, kuchenki, łazienki i sypialni. Meble już dawno usunięto, pozostał jedynie mały prosty stół i krzesła. Linoleum na podłodze było spłowiałe i brudne. Starkey już nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała linoleum. Pani Reager stała w otwartych drzwiach i tłumaczyła, że jej mąż używał tego domku jako biura, tymczasem Starkey i Marzik chodziły po pomieszczeniach i uważnie oglądały podłogi i listwy przypodłogowe w poszukiwaniu ukrytych schowków.

Pani Reager przyglądała się ich poczynaniom z łagodnym zdziwieniem.

- Myślą panie, że miał tu jakąś skrytkę?
- Takie rzeczy się już zdarzały.
- Ci policjanci, co tu wtedy byli, też szukali skrytek. Próbowali nawet zajrzeć pod podłogę, ale dom stoi na płycie, nie jest podpiwniczony.

Po dziesięciu minutach daremnych wysiłków policjantki doszły do wniosku, że dalsze poszukiwania nie mają sensu.

Starkey nie kryła zawodu. Wyglądało na to, że wycieczka do Bakersfield była stratą czasu, a trop wiodący do źródła RDX okazał się mylny.

- To bardzo ładny domek, pani Reager - pochwaliła Marzik. - Może mogłabym przysłać pani dwójkę moich szkrabów, żeby z panią zamieszkały? Wstawiłoby się w oknach kraty.

Staruszka zachichotała.

- Nie masz lepszych pomysłów, Beth? - zapytała z uśmiechem Starkey.

Marzik pokręciła głową. O wszystko już starszą panią wypytały.

Nie wiedzieć czemu, Starkey prześladowała myśl o tym, że Tennant nadal płacił czynsz, gdy już siedział w więzieniu. Wychodziły za furtkę, podziękowawszy pani Reager za uprzejme przyjęcie, gdy nagle sobie uświadomiła, co ją tak w tym fakcie niepokoi, i zatrzymała się gwałtownie.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Marzik.

- Facet pracował w sklepie dla hobbystów. Nie mógł tam dużo zarabiać. Jakim cudem płacił czynsz, siedząc w pierdlu, jak ci się zdaje?

Okrążyły na powrót dom i podeszły do drzwi od tyłu. Kiedy pojawiła się w nich pani Reager, zadały jej to samo pytanie.

- Hmm, nie mam pojęcia. Jego matka zmarła na rok przed tą awanturą. Może odziedziczył po niej jakąś sumkę?

Wróciły do samochodu. Starkey włączyła silnik i klimatyzację. Przypomniała sobie, że Mueller odnotował w raporcie, iż oboje rodzice Tennanta nie żyją, ale niczego więcej na ten temat nie zapisał.

- Nasza wycieczka okazała się więc niewypałem.

- Nie jestem pewna, Beth. Coś mi zaczyna świtać.

- No, no? Zamieniam się w słuch.

- Po śmierci matki Tennant mógł odziedziczyć jakąś nieruchomości albo poświęcić część spadku na wynajęcie innego lokalu.

- Ja po śmierci matki gównie odziedziczyłam.

- Ty tak, ale załóżmy, że on coś dostał. Dam sobie rękę uciąć, że Mueller tego nie sprawdził.

Sprawdzenie sytuacji majątkowej skazanego zajęłoby parę dni, mogły jednak poprosić prokuratora z LA, by zlecił to zadanie prokuraturze okręgowej w Bakersfield. Gdyby coś odkryto, policja z Bakersfield mogłaby wystąpić o nakaz sądowy.

Starkey wracała do Los Angeles w znacznie lepszym nastroju; wierzyła, że trafiła na właściwy trop. Zastępca komendanta radził, by nie zwalniała tempa śledztwa. Jeśli Kelso zapyta, czy stosuje się do rady szefa, będzie mu nawet mogła wskazać kierunek, w jakim ono podąża. Gdyby dzięki stronie „Klaudiusz” udało się podchwycić drugi trop, tym lepiej, ale nie było to już takie ważne.

Gdy dojeżdżały na Spring Street, postanowiła zadzwonić do Pella. Wmawiała sobie, że powinni się umówić na dzisiejszy wieczór, by zajrzeć do Klaudiusza, szybko jednak zrozumiała, że chce go przeprosić za wczorajsze zachowanie. Potem zaś doszła do wniosku, że nie chodzi o przeprosiny; chce po prostu wykorzystać jeszcze jedną szansę - kolejną szansę w życiu - i wykazać, że nie jest pozbawiona ludzkich uczuć. Może pomogła jej rozmowa z Marzik, choć rozmawiały głównie o Beth.

Już od drzwi dojrzała leżącą na biurku szarą kopertę, rzucającą się w oczy niczym morska latarnia. Z nalepki adresowej krzyczały wielkie litery: KROK-TV.

Starkey poczuła skurcz w żołądku. Po wybruszeniu papieru poznała, że koperta zawiera kasetę wideo. Sama ją zamówiła, lecz potem wyrzuciła z pamięci. Nie chciała o niej myśleć. I oto miała ją teraz przed sobą.

Rozerwała kopertę i wyjęła kasetę. Na naklejce była wypisana data. Nic więcej, tylko data sprzed trzech lat. Dzień jej śmierci. Oddech Starkey stał się świszczący. Poczuła, że lodowacieje.

- Carol?

Wieki trwało, nim się obejrzała.

Obok niej stała Marzik z dziwnym wyrazem twarzy. Musiała dostrzec datę.

- To jest to, o czym myślę?
Starkey chciała jej odpowiedzieć, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu.
- Co chcesz z tym zrobić?
Odpowiedź Carol dobiegła jakby z innego świata.
- Obejrzeć.
Beth dotknęła jej ramienia.
- Chcesz, żebym ci towarzyszyła?
Starkey nie była w stanie oderwać wzroku od kasety.
- Nie.

W drodze do domu wręcz czuła obecność taśmy w samochodzie. Leżała na siedzeniu pasażera niczym istota zmartwychwstała do życia, oddychająca zachłannie, by jak najprędzej wypełnić puste od lat płuca - tak zachłannie, aż groziło to wyssaniem całego powietrza z samochodu. Starkey niemal zaczęła się dusić. Kiedy musiała zatrzymać się w korku, zerknęła z ukosa na taśmę i odniosła wrażenie, że ta się jej przygląda. Przykryła kasetę teczką.

Nie pojechała prosto do domu. Wstąpiła do sklepu z kawą, zamówiła dużą czarną i wypila przy wąskiej ladzie z widokiem na ulicę. Kark i barki spinała jej żelazna obręcz, a głowę rozsadzał ból tak przeraźliwy, jakby miał za chwilę zmiążyć gałki oczne. Pomyślała o niewygodnych stołkach w barze Barrigana. Podwójny dżin niechybnie złagodziłby ten ucisk, oparła się jednak pokusie. Nie, postanowiła, obejrzy tę taśmę na trzeźwo. Będzie trzeźwym świadkiem tamtych zdarzeń i swojej ostatniej wspólnej chwili z Sugarem Boudreaux. Niezależnie od tego, jak bolesne i trudne okaże się to doświadczenie. Tamtego dnia była trzeźwa, więc i teraz będzie.

Uznała, że nie powinna gnać do domu na łeb, na szyję, by rzucić się do magnetowidu; lepiej zachowywać się tak, jakby miała przed sobą normalny wieczór. Nie będzie się spieszyła, zmieni się w automat doznający jedynie mechanicznych uczuć. Była oficerem śledczym; poprowadzi śledztwo we własnej

sprawie. Była też jednak detektywem i obowiązywała ją zasada: nie zabieraj roboty do domu.

Zatrzymała samochód przy supermarkecie sieci Ralphs. W domu nie miała nic do jedzenia, postanowiła więc kupić to i owo. Pchała przed sobą wózek między rzędami półek i wrzucała do niego artykuły, jakich nigdy dotąd nie jadała i zapewne nadal nie będzie jadać. Łosoś w puszcze, kukurydza w śmietanie, brukselka. Stojąc w kolejce do kasy, całkiem straciła apetyt, ale mimo to kupiła prowianty. Na co jej, u licha, kukurydza w śmietanie?

Ledwie przekroczyła próg domu, poczuła przemożną chęć sięgnięcia po kieliszek. Pomyślała, że to już zwyczaj, utrwalony wzór. Przychodzisz do domu i wypijasz drinka. W jej przypadku kilka.

- Później - powiedziała głośno.

Wniosła teczkę i torby z zakupami do kuchni. Na automatycznej sekretarce były nagrane dwie nowe wiadomości. Pierwsza od Pella, który pytał, dlaczego się do niego nie odzywa, i zostawił numer pagera. Starła się o nim zapomnieć; nie będzie teraz zawracał jej głowy. Druga wiadomość była od Marzik.

- Cześć, to ja, Carol. Słuchaj, hmm... dzwonię tylko po to, żeby zapytać, jak się czujesz. Tak... No to pa!

Starkey odsłuchiwała tę wiadomość dwa razy, tak ją poruszyła. Ona i Marzik nigdy nie były sobie bliskie, nie utrzymywały żadnych kontaktów na płaszczyźnie osobistej. Postanowiła zadzwonić do Beth i podziękować jej za troskliwość. Później.

Położyła kasetę na stole w kuchni i zajęła się wyjmowaniem zakupów. Wypiła szklankę wody, nie odrywając oczu od kasety, a potem szklankę umyła i odstawiła na ociekacz. Wypakowawszy sprawunki, zaniósła kasetę do salonu i wsunęła do magnetowidu. Przypomniała sobie o propozycji Marzik, by wspólnie ją obejrzały. Zastanowiła się nad tym, choć wiedziała, że po prostu chwytą się pretekstu, by odłożyć obejrzenie taśmy.

Nacisnęła przycisk „play”.

Na ekranie pojawiły się kolorowe pasy.

Usiadła po turecku przed telewizorem. Wciąż miała na sobie spodnium; nie zdjęła żakietu ani butów. Nie pamiętała, kiedy ekipa KROK pojawiła się wtedy na miejscu wypadków, kiedy zaczęli kręcić ani jak długo filmowali. Mogli zarejestrować całe zdarzenie, mogli jedynie sam koniec. Przypominała sobie kamerzystę na dachu wozu transmisyjnego, nic więcej. Kamera stała wysoko, więc pole widzenia musiało być rozległe.

Zaczął się nagranie.

Zaciągała sprzączki na kombinezonie antywybuchowym Sugara. Jej własny strój był już zapięty, z wyjątkiem helmu. Buck Daggett i drugi sierżant, Win Bryant, obecnie na emeryturze, podeszli od tyłu ciężarówki, żeby im pomóc. Choć Starkey nie miała na sobie od tamtego dnia kombinezonu antywybuchowego, teraz wyraźnie poczuła jego przytłaczający ciężar. Ledwie człowiek włożył na siebie to cholerstwo, zaczął się gotować. Starkey, choć wysoka i mocno zbudowana, ważyła niecałe siedemdziesiąt kilogramów, a kombinezon aż ponad czterdzieści. Prawdziwy młyński kamień. Gdy siebie zobaczyła, najpierw pomyślała: „Dlaczego ja wyglądam tak ponuro?” Istotnie, minę miała poważną, niemal chmurną. Przybrała już maskę pokerzysty. Natomiast Sugar promieniał uśmiechem gwiazdora filmowego. Kiedy zaczęli ze sobą sypiać, wyznała mu pewnej nocy, że nigdy się nie boi, pracując nad bombą. Brzmiało to kretyńsko, w stylu przechwałek macho, chociaż mówiła-szczerą prawdę. Uważała, że coś z nią jest nie tak, bo nie odczuwa strachu. Sugar wyznał jej z kolei, że w chwilę po odebraniu zgłoszenia dostawał takiego boja, że musiał łykać immodium, żeby nie zesrać się w gacie. Patrząc teraz na ekran, stwierdziła, że to jej kochanek wygląda na zupełnie wyluzowanego, a ona na śmiertelnie wystraszoną. Zabawne, jak pozory myślą.

Wymieniali jakieś uwagi. Choć na taśmie zarejestrowano dźwięk, słyszała jedynie gwar gapiów i szum miasta. Tego, o czym rozmawiali, mikrofon nie mógł z daleka wyłowić. Sugar musiał powiedzieć coś zabawnego, bo zobaczyła na swojej twarzy uśmiech.

Daggett i Bryant pomogli im włożyć helmy, a potem podali Sugarowi rentgena. Sugar poklepał Carol po helmie, ona odwzajemniła mu się takim samym gestem, po czym ruszyli oboje niezgrabnie w stronę przyczepy, podobni parze astronautów na spacerze kosmicznym.

W polu widzenia był cały bok przyczepy, zwisające nad nią gałęzie i wyraźnie widoczne gęste krzewy azalii, tworzące wokół splątany, zawężony bastion. Sugar wyciął część krzewów przy pierwszym podejściu, tworząc małą niszę, w której mogli jako tako się poruszać. Spostrzegła teraz, że każde z nich wskazywało inny fragment krzewów, planując, z którego kierunku należałoby podejść do urządzenia wybuchowego. Starkey miała odgarnąć gałęzie, by Sugar mógł zrobić zdjęcia.

Przyglądała się akcji na ekranie z obojętnością, która ją wręcz zaszokowała.

Sugar miał przed sobą niecałe pół minuty życia.

Pierwsza pochylała się nad krzewami, ciężarem kombinezonu rozchylając gaszcz. Cofnęła się i znowu podeszła, szukając lepszej pozycji. Patrzyła na to ze zdziwieniem, bo już nie pamiętała, że zrobiła ten drugi manewr. Sugar wychylił się przed nią z rentgenem i właśnie wtedy obrazem kamery zachwiało trzęsienie ziemi, niezbyt silne, betka jak na warunki LA, o sile 3,2 stopnia i epicentrum gdzieś na północy w Newhall. Kadr zakotłosał się i Starkey usłyszała gniewny pomruk kamerzysty:

- Co, do kurwy...

Wybuch bomby zagłuszył jego dalsze słowa. W telewizorze rozległ się trzask, ostry jak strzał z karabinu.

Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy; Starkey zobaczyła tylko oślepiający błysk i leniwie koziółkujący w powietrzu rentgen. Ona i Sugar leżeli na ziemi. W pobliżu kamery rozległy się jakieś krzyki i rozpaczliwe wołania.

- Nie przerywaj! Kręć! Kręć!

Obraz był niewyraźny i daleki. Miała wrażenie, że ogląda całkiem obcych ludzi.

Podbiegli do nich Daggett i Bryant, Daggett do niej, Bryant do Sugara. Buck odciągał ją od przyczepy. Jedną z zasad,

jakie wbijano im do głów w centrum szkolenia techników bombowych, było wyczulenie na drugie urządzenie wybuchowe. Po pierwszym wybuchu mogło w każdej chwili dojść do następnego, należało więc usunąć z zagrożonego terenu wszystkich rannych. Starkey nie miała pojęcia, żejaponizowano. Była martwa, kiedy to się działo.

Taśma kręciła się jeszcze przez dziewięć minut. Sanitariusze z pogotowia zdzierali z nich stroje przeciwwybuchowe, i usiłowali reanimować. W swoich snach Starkey leżała pod baldachimem z gałęzi i liści, które ją nakrywały sklepieniem z koronek, a teraz przekonała się, że miała nad sobą tylko niebo. W swoich snach leżała tak blisko Sugara, że mogła wyciągnąć rękę i go dotknąć. Teraz stwierdziła, że leżeli oddaleni od siebie o blisko dziesięć metrów, powykręceni jak połamane lalki, przedzieleni gromadą spoconych, przeklinających sanitariuszy, którzy robili co w ich mocy, żeby ratować pirotechników. Nie było to bynajmniej piękne widowisko. Nagranie urwało się niespodziewanie, gdy w kadr wjechała karetka pogotowia.

Starkey przewinęła taśmę do miejsca, gdy ona i Sugar leżą na ziemi po wybuchu, wcisnęła na pilocie przycisk „pause” i dotknęła ciała kochanka na ekranie.

- Mój ty biedaku! Mój ty kochany biedaku...

Po chwili przewinęła taśmę do początku, wyjęła kasetę z magnetowidu i wyłączyła telewizor.

Jeszcze dwa razy zadzwonił tego wieczoru telefon. W obu przypadkach dzwoniący nagrał wiadomość, lecz ona nie zadała sobie trudu, aby je odsłuchać.

Położyła się do łóżka bez drinka, spała jak zabita i nie miała żadnych snów.

Boskie przeznaczenie

- Pana godność?

- Alexander Waverley, adwokat. Telefonowałem w sprawie Dallasa Tennanta.

Wartownik sprawdził legitymację wystawioną przez radę adwokacką stanu Kalifornia oraz prawo jazdy przybyłego, po czym oba dokumenty zwrócił i zrobił notatkę w dzienniku.

- W porządku. Więc jest pan nowym adwokatem Tennanta?

- Zgadza się, kochany. Umówiłem się z nim na spotkanie telefonicznie.

- Odwiedzał pan już swoich klientów tu, w Atascadero, panie Waverley?

- Otóż nie. Wyznam panu, że po raz pierwszy jestem w podobnym przybytku. Specjalizuję się w błędach lekarskich i naruszeniach ustawy psychiatrycznej.

Wartownik uśmiechnął się.

- Ten „przybytek” nazywamy więzieniem. Choć przypomina raczej wiejski klub, jeśli chce pan znać moje zdanie. Zapyta pan Tennanta, dlaczego ma nierówno pod sufitem?

- Coś w tym rodzaju, choć chyba nie mam obowiązku uzgadniać z panem tej kwestii, prawda?

- No nie, raczej nie. Musi się pan tylko w tym i w tym miejscu podpisać, ja muszę przejrzeć pana teczkę, a potem przejdzie pan przez ten wykrywacz metalu.

- Rozumie się.

- Czy ma pan przy sobie broń lub jakieś przedmioty metalowe?

- Nie dzisiaj.

- Telefon komórkowy?

- Owszem. Nie mogę go tam wnieść?

- Niestety, nie. Pager proszę bardzo, ale nie komórkę. Będziemy musieli ją tutaj zatrzymać. Magnetofon pan ma?

- Owszem. Ten oto maleńki magnetofonik. To chyba wolno, prawda? Nie znoszę odręcznych notatek.

- Magnetofon można. Będę chciał go tylko sobie obejrzeć, to wszystko.

- Doskonale, ale co z komórką? A jeśli dostanę wiadomość na pager i będę musiał natychmiast oddzwonić? Mój współnik jest właśnie w sądzie.

- Zawiadomi pan nas, a my zaprowadzimy pana do telefonu. Nie będzie z tym problemu.

Przybyły podpisał się we wskazanych miejscach, ale własnym piórem, starając się nie dotknąć przy tym stołu, zeszytu ani niczego, z czego dałoby się zdjąć odciski palców. Przyglądał się obojętnie, jak wartownik przeszukuje jego teczkę i ogląda uważnie magnetofon, po czym przeszedł przez bramkę wykrywacza metalu, uśmiechając się do czekającego za nią strażnika. Oddał komórkę, odebrał teczkę i magnetofon i wyszedł za strażnikiem przez podwójne oszklone drzwi, skąd poszli chodnikiem do sąsiedniego budynku. Wiedział, że cały czas filmowała go kamera przemysłowa. Taśma wideo z tym nagraniem będzie później uważnie badana, a jego portret zostanie rozpowszechniony, miał jednak pełne zaufanie do swego przebrania. Choćby pękli, nie zdołają pod nim dojrzeć jego prawdziwej powierzchowności.

John Michael Fowles został wprowadzony do niewielkiego pokoju widzeń, gdzie czekał już na niego Dallas Tennant. Siedział za stołem, zdrową ręką nakrywając dłoń okaleczoną, jakby się jej wstydził. Uśmiechnął się nieśmiało, a potem położył zdrową rękę na grubym albumie z wycinkami.

- Ma pan pół godziny, panie Waverley - zapowiedział strażnik. - Gdyby pan czegoś potrzebował, będę na korytarzu. Wystarczy wystawić głowę i zawołać.

- Doskonale. Dziękuję panu.

John zaczekał, aż za strażnikiem zamkną się drzwi, i postawił teczkę na stole. Uśmiechnął się szeroko do więźnia i rozłożył ręce w geście powitania.

- Czołem, żołnierze! Mister Red, do usług.

Tennant wstał powoli.

- To dla mnie... zaszczyt. Prawdziwy zaszczyt. Nie znajduję innego słowa - wybąkał.

- Wiem. To najdziwniejszy ze światów, prawda, Dallas?

Tennant wyciągnął do niego rękę, lecz John jej nie uściśnął. Uznał, że Tennant nie jest dostatecznie czysty.

- Ja nie serwuję piątki, droga pani. Przypuszczam, że

bawiłeś się przed chwilą swoim siusiakiem, igrałeś swoim wyciorkiem, miętosileś swojego zaganiacza, wiesz, co mam na myśli?

Zorientowawszy się, że gość nie poda mu ręki, Tennant przesunął gruby album na drugi koniec stołu. Jego niezgrabna unizoność sprawiała, że John miał ochotę wymierzyć mu kopniaka.

- Chciałbym panu pokazać mój album. Jest pan w nim, wie pan?

John nawet na album nie spojrział. Zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła, po czym rozpiął pasek. Noskiem buta odsunął krzesło.

- To potem. Najpierw musisz mi opowiedzieć o erdeksie. Tennant wpatrywał się w Reda jak pies w swojego właściciela, czekający, kiedy sygnie mu do miski suchą karmę.

- Przyniósł pan to, o czym mówiliśmy? Przyniósł pan?

- Nie musisz tak wywalać na mnie gał. Myślisz, że ściągam gacie, bo chcę się branzlować?

- No nie, przepraszam.

- Wiedz, że Mister Red zawsze dotrzymuje słowa. Zapamiętaj to sobie. Mam nadzieję, że i ty dotrzymujesz danego słowa, Dallas. To dla mnie niezmiernie ważne, ważne dla naszych przyszłych wzajemnych stosunków. Chyba ci nie odbije i nie zaczniesz się przechwalać wszem wobec, że od wiedził cię Mister Red, prawda?

- Ach, nie, rozumie się, że nie!

- Gdybyś to zrobił, Dallas, srodze byś swej niedyskrecji pożałował. Po prostu ostrzegam, kapewu? Chcę, żeby to było między nami jasne.

- Rozumiem. Gdybym się wygadał, więcej by pan już do mnie nie przyszedł.

- Zgadłeś.

John uśmiechnął się blado. Był święcie przekonany, że Dallas Tennant nie wytrzyma nawet tygodnia, by nie opowiedzieć komuś o ich spotkaniu. Przygotował się na tę okoliczność.

- Policja już tu była i może znowu wrócić, wie pan. Nie chcę, żeby pan sam to odkrył i pomyślał, że coś im chlapnąłem. Po prostu nie mogę zabronić im przychodzić.

- W porządku, Dallas. Nie przejmuj się tym.

- Przyszli w sprawie RDX, ale nic im nie powiedziałem.

- Bomba.

- Jeden z tych gliniarzy to kobieta. Nazywa się Carol Starkey. Ją też mam w swoim albumie. Była kiedyś pirotechnikiem.

Tennant przesunął album, nie mogąc się doczekać, by John go obejrzał.

- Nie była sama. Był z nią agent ATF o nazwisku Pell, Tell czy jakoś tak.

- Jack Pell.

Tennant zrobił zdziwioną minę.

- Pan go zna?

- Poniekąd.

- Zachował się bardzo po chamsku. Ścisnął mnie z całej siły za bolącą rękę.

- Dobra, zapomnij o nich. Najpierw załatwimy nasz mały interes.

John spuścił spodnie i majtki i odkleił taśmy, którymi przyczepił w pachwinach dwie plastikowe torebeczki. Jedna zawierała rzadką szarą maź, druga drobnoziarnisty żółty proszek. Położył torebki na albumie Tennanta.

- Kiedy to odpalisz, pobudzą się nawet warzywa w ogrodzie.

Tennant pomacał obie torebki i dokładnie obejrzał ich zawartość przez przezroczyste opakowanie.

- Co to jest?

- Na razie tylko chemikalia w plastikowych torebkach. Ale jeśli zmieszasz je z odrobiną amoniaku zgodnie z moją instrukcją, otrzymasz coś, co nazywamy w branży kwasem pikrynowym. Kurewsko niebezpieczny materiał wybuchowy.

Tennant zetknął ze sobą obie torebki i trzymał je tak, jakby już sobie wyobrażał, jak ich zawartość się miesza. John obserwował go uważnie spod oka, wypatrując oznak, że chłopak

wie, co trzyma w rękach. Przypuszczał, że Tennant słyszał coś o kwasie pikrynowym, ale nie miał z nim dotychczas do czynienia. I na to właśnie liczył.

- Czy to nie to nazywają dętką?

- Owszem. Przyjemny w pracy i bezpieczny materiał, ale cholernie zajebisty. Pracowałeś już z nim kiedyś?

Dallas jeszcze raz przyjrzał się chemikaliom, po czym odłożył obie torebeczki.

- Nie. Jak to zdetonować?

John uśmiechnął się szeroko, zadowolony z ignorancji Tennanta.

- To łatwe jak potarcie draski, Dallas. Wierz mi, nie doznasz zawodu.

- Nie powiem, skąd to dostałem. Obiecuję. Nikomu nie powiem.

- O to mnie głowa nie boli, chłopie. Ani, ani. Dobra, powiedz mi teraz, kto ma RDX, a ja ci powiem, jak mieszać ten towar.

- Jasne, panie Red. Zrobiłbym wszystko, żeby panu pomóc. Przysięgam.

- Wiem, synu. A teraz powiedz mi, kto dysponuje erdeksem, a ja ci dam władzę nad życiem i śmiercią, władzę zamkniętą w tych małych woreczkach.

Dallas Tennant wsunął torebeczki głęboko w spodnie, a potem dał Mister Redowi kontakt na erdeka.

John bez pośpiechu zgłosił swoje wyjście na wartowni, ale gdy już znalazł się w samochodzie i wyjechał za bramę więzienia, pełnym gazem pomknął w stronę autostrady. Wymógł na Tennancie przyrzeczenie, że nie zmiesza składników co najmniej przez dwa dni, ale nie wierzył w obietnicę tego gówniarza, podobnie jak w jego zapewnienie, że nikomu nie powie o wizycie takiego gościa. Wiedział, że Dallas zmiesza składniki przy pierwszej nadarzającej się okazji; taki pojebaniec nie zdoła się długo powstrzymać. John zresztą na to

liczył, skłamał bowiem, mówiąc mu o tych chemikaliach i reakcji, w jaką ze sobą wejdą.

To nie były komponenty kwasu pikrynowego, ale całkiem innego, skrajnie niebezpiecznego materiału.

John uznał, że to jedyny sposób, aby Dallas Tennant naprawdę milczał jak grób.

Starkey obudziła się jak zwykle skoro świt, lecz bez tego wrażenia niepokoju, które jej tak często doskwierało. Zrobiła sobie kawę rozpuszczalną, a potem siedziała w kuchni, paliła i usiłowała zanalizować swoje doznania po obejrzeniu taśmy. Wiedziała, że czuje się inaczej, ale nie była pewna istoty tej zmiany. Nie objawiły się jej żadne rewelacje, żadne niespodzianki, nie odkryła żadnych ukrytych prawd. Nie dostrzegła żadnych błędów w postępowaniu swoim czy Sugara, które by pieczętowały ciężącą nad nią klątwę winy, ale też żadnych czynów bohaterskich, które by ją zdjęły. Miała to wreszcie za sobą. Codziennie od trzech lat wspomnienie tego osiedla przy czep kempingowych przygniatało ją strasznym brzemieniem, nie opuszczało jej myśli. Teraz odpłynęło.

Wzięła prysznic, włożyła to samo spodnium co wczoraj, wyszła na dwór, przestawiła samochód w taki sposób, by reflektory oświetliły krzak białej gardenii rosnący obok domu, po czym ucięła trzy kwiaty.

Bramy cmentarza w Westwood otwierano dopiero o szóstej, lecz Starkey odszukała stróża, pokazała mu odznakę i oświadczyła, że musi natychmiast wejść. Stróż, starszy mężczyzna, wahał się chwilę trwożliwie, ale zmroziła go surowym policyjnym spojrzeniem i ustąpił.

Nie lubiła odwiedzać cmentarzy. Miała kłopot z odnalezieniem grobu Sugara Boudreaux; światło latarki prześlizgiwało

się po jednakowych białych płytach nagrobnych jak zgubiony pies szukający pana. Dwa razy przeszła obok szukanego grobu, zawracała, w końcu trafiła na właściwy kamień i położyła na nim kwiaty. Sugar wychował się w Luizjanie wśród zapachu gardenii.

Chciała opowiedzieć mu o tym, co wydarzyło się w jej życiu od tamtego dnia, ale nie była pewna, czy jest o czym opowiadać. Zresztą wiedziała, że opowiadałaby to raczej sobie niż jemu. Takie już jest życie.

W końcu westchnęła i powiedziała tylko:

- Było nam dobrze, Shug.

Staruszek ze stróżówki przy bramie obserwował w milczeniu, jak wychodzi z cmentarza i odjeżdża, by zacząć nowy dzień.

Przez pierwszą godzinę na Spring Street porządkowała książkę raportów, a potem ułożyła listę spraw, które zamierzała omówić z Marzik i Hookerem. Jorge zjawił się wcześniej niż Beth. Podszedł do Carol z taką miną, jakby się spodziewał, że za chwilę przeciągnie po sali serią z automatu. Poznała po jego twarzy, że Marzik powiedziała mu o taśmie. Poczowała lekki zawód, ale cóż, Marzik już taka była.

- Cześć, Carol. Jak się czujesz?

- Nie narzekam, Jorge.

- Dobrze?

- Obejrzałam tę taśmę i żyję.

Pokiwał zdenerwowany głową.

- No wiesz... jeśli mógłbym coś dla ciebie zrobić...

Wstała i cmoknęła go w policzek.

- Jesteś kochany, Jorge. Dziękuję.

Wyszczrzył w uśmiechu duże białe zęby.

- A teraz znikaj i daj mi popracować.

Zaśmiał się z ulgą i wrócił do swojego biurka. Rechotał jeszcze, gdy zadzwonił telefon Carol.

- Detektyw Starkey.

- Mówi Warren Mueller z Bakersfield.
Była zaskoczona i otwarcie mu to powiedziała. Zapytała, z czym dzwoni.
- Wasi ludzie poprosili naszego adwokata o zbadanie stanu majątkowego matki Tennanta, niejakiej Doroty Tennant.
- Zgadza się.
- Strzał w dziesiątkę, Starkey. Chciałem powiedzieć to pani osobiście. Stoję właśnie przed tym budynkiem. Staruszka zostawiła synalkowi bliźniaczy domek, dotąd zapisany na jej nazwisko. Tennant prawdopodobnie w ogóle nie zgłosił spadku do urzędu skarbowego.
Starkey poczuła uniesienie. Marzik pojawiła się w drzwiach właśnie w chwili, gdy Mueller oznajmiał tę rewelację. Carol przywołała koleżankę ruchem głowy i zakrywając dłonią mikrofon, przekazała jej nowinę.
- Dzwonią z Bakersfield. Strzał w dziesiątkę, Beth. Tennant rzeczywiście odziedziczył małe co nieco.
Marzik potrząsnęła pięścią w triumfalnym geście.
- Co jest? - zaniepokoił się Mueller. - Nie słyszę pani.
- Przekazywałam tę wiadomość kolegom. Proszę posłuchać, panie Mueller, musi pan tam posłać sekcję pirotechników. W tym domu mogą się znajdować materiały wybuchowe...
Przerwał jej.
- Chwilka, pani detektyw. Jesteśmy już dwa ruchy do przodu. Trafiła pani nie tylko nieruchomości należąca do tego gnojka, ale i jego warsztat. To tutaj trzymał swój towar. Nasi pirotechnicy zabezpieczają właśnie teren.
Oboje, Hooker i Marzik, z niecierpliwości aż rozkładali ręce. Starkey poprosiła Muellera, by chwilę poczekał, przekazała im, czego się dowiedziała, i wróciła do rozmowy telefonicznej.
- Już jestem, sierżancie. Co pan ustalili?
- Ten dom po matce to nieduży bliźniak. Połowa stoi pusta, ale w drugiej mieszka ludzie.
- Cholera jasna! I ten warsztat jest tuż za ścianą?
Domyślała się już, dzięki czemu Tennant mógł opłacać czynsz za mieszkanie, nawet siedząc w kiciu.

- No, niezupełnie. Gnój miał za domem przebudowany garaż, zamknięty na cztery spusty. To tam trzymał materiały.

- Znaleźliście RDX?

- Tego nie, ale znaleźliśmy trochę trotylu i około dwudziestu funtów jakiegoś czarnego proszku.

- Przypuszczamy, że może się tam znajdować dowód wskazujący na źródło, z którego Tennant czerpał RDX. To ma bezpośredni związek ze śledztwem w sprawie wybuchu w Silver Lake, panie Mueller. Jeśli znajdzie pan jakieś papiery, korespondencję, zdjęcia, cokolwiek, co mogłoby stanowić jakiś ślad, chciałabym, żeby pan to zabezpieczył. Przyjadę to zbadać.

- Jasne, ale to jeszcze nie wszystko. Lokatorzy z tego domu mówią, że gdzieś tak z miesiąc temu kręcił się w pobliżu domu jakiś podejrzany typ.

- Wchodził do warsztatu?

- Tego nie widzieli, ale widzieli jakiegoś faceta wężącego wokół domu. Staruszek, który mieszka na piętrze, zapytał z góry, czego szuka, i facet uciekł przez płot. Twierdzi, że wyglądał, jak gdyby coś niósł.

- Myśli pan, że to mógł być erdeks?

- Czemu nie.

- Ma pan portret pamięciowy?

- Biały mężczyzna po czterdziestce, niecałe sześć stóp wzrostu, sto osiemdziesiąt funtów wagi, czapeczka baseballowa, okulary przeciwsłoneczne.

Zakryła dłonią mikrofon, żeby podzielić się tą informacją z Hookerem i Beth. Gdy usłyszeli o mężczyźnie w czapeczce baseballowej, z radości przybili piątkę.

- Mamy podobnego podejrzanego z Silver Lake, panie sierżancie. Jeśli przysłemy panu faksem jego portret pamięciowy, czy mógłby go pan pokazać mieszkańcom tego domu?

- Jasne.

- Proszę mi podać numer swojego faksu.

Starkey podała Marzik kartkę z numerem i wróciła do przerwanej rozmowy.

- Jeszcze jedno. Znaleźliście jakieś ślady włamania? Jeśli facet tam wszedł, czy musiał się włamywać?

- Wiem, do czego pani zmierza. Nie. Tennant zamykał garaż na dwie solidne yalowskie kłody, które musieliśmy przecinać szczypcami. Nie były naruszone. Więc jeśli gość tam wszedł i zabrał RDX, musiał mieć klucz.

Starkey nie przychodziło już do głowy żadne pytanie.

- Panie Mueller, zdaję sobie sprawę, że nie musiał pan do mnie dzwonić. To świadczy o klasie.

- No cóż, miała pani rację, Starkey. Mogę być upartym osłem, ale nie całkiem pozbawionym manier.

- Zachował się pan jak prawdziwy dżentelmen. To była świetna robota, sierzancie. Ogromnie nam pan pomógł.

Mueller zaśmiał się.

- A co pani powie na takie stwierdzenie? Przypuszczam, że my dwoje jesteśmy parą najlepszych gliniarzy, jaka kiedykolwiek chodziła po tej ziemi.

Starkey odłożyła z uśmiechem słuchawkę.

Marzik wykrzyknęła z dumą:

- Kurwa, jest się tym detektywem czy nie?!

Starkey poprosiła Hookera, żeby zorganizował projekcję podrasowanej taśmy. Chciała ją obejrzeć możliwie jak najprędzej, ponieważ rysopis mężczyzny w baseballowej czapeczce potwierdzał przypuszczenie, że pod numer 911 zadzwonił zamachowiec. Coś jej mówiło, że mężczyzna w koszuli z długimi rękawami został zarejestrowany na taśmie. Jeśli Hooker nie mylił się, mówiąc o pełnej panoramie otoczenia, facet musiał na niej być. Musiał się znajdować w promieniu stu jardów, by zdetonować bombę.

Gdy Jorge odszedł, Starkey zapoznała Kelsa z najświeższymi ustaleniami, po czym zadzwoniła na pager Jacka Pełła. Czuliła ogromną potrzebę podzielenia się tą nowiną właśnie z nim, co aż ją samą zdumiało. Jako numer zwrotny podała numer własnego pagera.

Zakład obróbki filmów mieścił się przecnicę na południe od Melrose Avenue, w obszarze naszpikowanym japońskimi

turystami i sklepikami z używaną odzieżą. W holu przywitał Starkey i Santosa chudy młody człowiek, który przedstawił się jako Miles Bennell.

- Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas - powiedziała Starkey.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

- Próbujecie wyświetlić zagadkę zbrodni, to chyba ważniejsze od montażu reklamy papieru toaletowego.

- Czasami.

Pomyślała, że chciałaby, aby tę taśmę obejrzał też Lester, a chyba i Buck Daggett. Zapytała Bennella, czy wychodząc, mogliby wziąć ze sobą kopię.

- Żeby ją odtworzyć na domowym magnetowidzie?

- Tak.

Zrobił smętną minę.

- Owszem, mogę wam taką kopię przygotować, ale stracie rozdzielczość. Właśnie dlatego musieliście fatygować się aż tutaj, żeby to sobie obejrzeć. Macie jakieś wyobrażenie, jakiej obróbce poddajemy taką taśmę?

- Ja nie umiem nawet zaprogramować magnetowidu.

- Obraz telewizyjny składa się z maleńkich punkcików zwanych pikselami. Kiedy powiększamy obrazy na taśmie, stają się zamazane, bo piksele, które zawierają określoną porcję informacji, ekspandują i informacja ulega rozcieńczeniu. Otóż my bierzemy taki piksel i dzielimy go na więcej pikseli, po czym za pomocą komputera ekstrapolujemy brakującą treść. To taka telewizja wysokiej rozdzielczości od tyłu.

- Chce pan powiedzieć, że komputer po prostu wypełnia kolorami przestrzeń?

- Niezupełnie. Komputer mierzy różnicę natężenia światła i cienia, po czym rozjaśnia te pierwsze, a drugie przyciemnia. W rezultacie otrzymuje pani naprawdę ostre kontury i nasycone kolory.

Starkey nie rozumiała wyjaśnień młodego człowieka, lecz bynajmniej się tym nie przejęła. Interesowało ją tylko, czy metoda okaże się skuteczna.

Poszli korytarzem obok stanowisk montażowych, z których dochodziły odgłosy popularnych seriali, i weszli do reżyserki z konsolą naprzeciw ściany monitorów. W mrocznym pomieszczeniu pachniało stokrotkami.

- Jak długie jest to nagranie?

- Osiemnaście minut.

Starkey nie kryła zaskoczenia.

- Z blisko sześciu godzin zostało tylko osiemnaście minut?

Bennell usiadł za konsolą i wcisnął jeden z podświetlonych na zielono przycisków. Na centralnym monitorze zabłyśły kolorowe pasy.

- Wycięliśmy te ujęcia, na których byli tylko dwaj pirotechnicy, czyli znakomitą większość nagrania. Widzów chwytaliśmy jedynie wtedy, gdy kamery naziemne zmieniały kąt lub helikoptery pozycję.

Przypomniała sobie te momenty ze swojej prywatnej projekcji.

- Dobrze. Więc co zobaczymy?

- Jedynie krótkie ujęcia. Za każdym razem, gdy kamera chwytala tłum lub kryjących się za budynkami gapiów, wycinaliśmy te fragmenty i poddawaliśmy je obróbce. Mieliliśmy trochę szczęścia z panoramami, muszę przyznać. Jorge powiedział, że najchętniej obejrzelibyście pełną panoramę.

- To prawda.

- Łącząc ujęcia z różnych helikopterów, pewnie ją uzyskamy. Szukacie faceta w czapeczce baseballowej i okularach przeciwsłonecznych, prawda?

- Tak. I w koszuli z długimi rękawami.

Starkey położyła na konsoli portret pamięciowy.

- Cholera, to mój współlokator, wypisz, wymaluj!

- Pański współlokator bawił ostatnio w Miami?

- Skądże, niemal nie wyłazi z łóżka.

Bennell majstrował przy konsoli.

- Mamy paru facetów w czapczkach - zapowiedział. - Przyjrzymy się im teraz dokładniej. Mogę przewijać taśmę tak szybko, jak tylko zechcecie. Możemy też wyświetlić stopklatkę.

Kiedy to zrobimy, ostrość obrazu nieco się pogorszy, ale potrafię temu zaradzić.

Wcisnął inny przycisk i taśma ruszyła. Obraz na ekranie miał w sobie coś hiperrealnego, jakąś - zdaniem Starkey - metaliczną jakość. Błękity były jaskrawobłękitne, szarości niemal lśniły, natomiast cienie rysowały się ostro jak cienie na Księżycu.

- Wygląda jak obraz Maxfielda Parrisha - zauważył Santos.

Bennell uśmiechnął się z uznaniem.

- Strzał w dziesiątkę, kolego. Dobra, zrobiłem kilkusekundowy wstęp przed zmianą kąta widzenia kamery, żeby nasz wzrok mógł się przyzwyczaić do obrazu. Widzicie, teraz widać w kadrze tylko tego glinę...

- Nazywał się Riggio.

- Przepraszam, oficera Riggio. Patrzcie uważnie, kamera zaraz się poruszy.

Kadr nagle się zmienił, ukazując gromadkę gapiów stojącą za kordonem żółtej taśmy na północ od Sunset Boulevard koło sklepiku gwatemalskiego. Starkey rozpoznała znaki topograficzne, które ustaliła na własny użytek, odmierzając krokami odległości. Ta grupka gapiów stała w obrębie stujardowego promienia, zatem mógł się w niej znajdować zamachowiec.

Technik zatrzymał kadr i lekko poruszył dźwignią, by rozjaśnić obraz.

Santos wskazał palcem na jedną z postaci.

- O, tu mamy faceta w czapeczce.

Grupka składała się z ośmiu osób. Obraz był nadal niezbyt wyraźny, ale bez porównania ostrzejszy od widm, jakie oglądała na ekranie telewizora, kompletnie pijana po kilku szklankach dżinu. Wskazany przez Hookera mężczyzna miał na głowie czapeczkę czerwoną, a może brązową, nałożoną daszkiem do przodu. Lester Ybarra opisał faceta w czapeczce niebieskiej, w barwach Dodgersów, ale Starkey wiedziała z doświadczenia, że nie należy zbyt ufać spostrzegawczości świadków. W pamięci kolory łatwo się mogły pomieszać. Kąt widzenia kamery nie pozwalał stwierdzić, czy mężczyzna nosi okulary słoneczne bądź koszulę z długimi rękawami.

- Czy kamera długo filmuje tę grupkę? - zapytała Starkey. Bennell zerknął na deskę ze spinaczem.
- Są w kadrze szesnaście sekund.
- Przewińmy taśmę szybciej, zobaczymy, może coś się zmieni. Chciałabym zerknąć na ręce tego gościa, jeśli to możliwe.

Bennell wskazał dźwignię na konsoli służącą do ustawiania prędkości przewijania taśmy.

- Kręcąc tą gałką, może pani regulować prędkość przesuwu taśmy. Im bardziej w prawo, tym prędzej. Jeśli będzie pani chciała cofnąć, proszę przekręcić w przeciwną stronę.

Przy pierwszej próbie Starkey za bardzo przegięła dźwignienkę i obraz przemknął po ekranie rozmazaną smugą. Technik cofnął taśmę i odstąpił Starkey dźwignię. Druga próba wypadła już lepiej. W dwunastej sekundzie ujęcia facet w czapeczce odwrócił się do stojącego za jego plecami mężczyzny i przekonali się, że ma na sobie koszulę z krótkim rękawem.

Przeglądali taśmę w przód i w tył przez niemal godzinę, wyławiając wszystkich znajdujących się w promieniu mniej więcej stu jardów. W końcu Santos oświadczył, że musi wyjść do toalety. Starkey ogłosiła przerwę na papierosa i udała się na parking. Stała tam i paliła, kiedy zapiszczał jej pager. Odczuła przyływ podniecenia, stwierdziwszy, że telefonował Pell. Tymczasem Santos wystawił głowę przez drzwi.

- Jesteśmy gotowi, Carol!
- Zaraz idę.

Zadzwoiła do Pella ze swojego samochodu i powiedziała, co Mueller znalazł w warsztacie Tennanta. Kiedy skończyła, w słuchawce zaległa cisza.

- Słuchaj - odezwała się Starkey po chwili - zesłłym razem ty postawiłeś pizzę. Dzisiaj kolację ja stawiam.

Myślała, że odmówi albo przypomni jej, co wczoraj powiedziała, ale na linii zapadło przeciągłe milczenie, które narastało, dopóki nie przerwał go pytaniem:

- O której przyjść?
- Co powiesz na siódmą?

Starkey rozłączyła się i ze zdumieniem spytała samą siebie, co ją, u licha, napadło? Nie zamierzała urządzić kolacji ani w ogóle spotykać się z Pellem. Ta propozycja ją samą zaskoczyła.

Dopaliła papierosa i wróciła do studia. Obejrzenie osiemnastu minut podrasowanej taśmy zajęło im blisko dwie godziny. Starkey obserwowała uważnie pozostałe punkty orientacyjne na obwodzie przyjętego koła i stwierdziła z zadowoleniem, że uzyskali pełny, panoramiczny obraz otoczenia parkingu i wyraźne zbliżenie niemal każdej osoby znajdującej się w obrębie maksymalnego zasięgu nadajnika radiowego.

Niestety, nie było wśród nich mężczyzny w baseballówce.

Skończyli projekcję na szerokim planie, ukazującym prawie całe otoczenie miejsca wybuchu. Riggio kuczał przy bombie na chwilę przed eksplozją. Buck Daggett stał obok samochodu. Pusty parking sprawiał wrażenie niezmiernie rozległego. Starkey splótła ręce na piersi i próbowała pogodzić się z porażką.

Santos wyglądał na szczerze przygnębionego.

- Byłem pewien, że facet tu będzie. Powinien być.

- Jest, Jorge. Musi gdzieś być. Wystarczyło, że zdjął czapkę i podwinął rękawy, a już się przed nami ukrył, ale musi tu być.

Bennell sprawiał wrażenie równie zawiedzionego jak Santos. Włożył tyle trudu w obróbkę tej taśmy i liczył, że zdoła się przyczynić do postępu w śledztwie.

- Facet może się kryć za każdym z tych budynków. Może siedzieć na chodniku za jednym z tych samochodów, więc nie jesteśmy w stanie go dojrzeć.

Starkey wzruszyła ramionami; uznała to za mało prawdopodobne. Przedstawiciel producenta nadajników zdalnego sterowania powiedział jej, że nadajnik musi „widzieć” odbiornik, co znaczyło, że nie mogą obu urządzeń dzielić żadne przeszkody.

- Czy mimo wszystko chcecie dostać kopię? - zapytał Bennell.

- Przydałoby się. Obejrzę sobie tę taśmę jeszcze raz.
- Na domowym magnetowidzie obraz nie będzie tak ostry.
- Ostrość, jak widać, niewiele nam pomogła.

Bennell przygotował kopię dla każdego z nich.

Wracali na Spring Street w grobowym milczeniu; entuzjazm sprzed trzech zaledwie godzin przygasł, lecz nie całkiem wyparował. Mister Red musiał gdzieś tam być. Pytanie tylko gdzie?

Lustro Carol Starkey

Biblioteka w Beverly Hills nawet by się Johnowi spodobała, gdyby nie Arabowie. Nieważne, czy sami siebie nazywali Irańczykami, Persami (co jest tylko inną nazwą jebanych Irańczyków), Irakijczykami, Saudyjczykami, sierściuchami, abdulami, ahmedami czy Kuwejtczykami - Arabus zawsze zostanie Arabusem. John Michael Fowles nienawidził tych dżokajów na wielbłądach za to, że z taką łatwością dostawali się na listę dziesięciu najbardziej poszukiwanych. Wystarczy, że jakiś turban pierdnie, i federalni już go na nią wciągają. A prawdziwy Amerykanin, taki jak John, musi urobić się po łokcie, jeśli się chce tam dostać. Beverly Hills wręcz roilo się od tych śmierdzieli.

John zamknął oczy i próbował medytować, żeby się rozluźnić. Starał się zapomnieć o wystrojonych w dodatki od Gucciego Arabach kłębiących się wśród księgozbioru. Niełatwo się przechadzać w jaskrawych promieniach słońca ze świadomością, że jest się najgroźniejszym człowiekiem na świecie, tyle że nikt o tym nie ma pojęcia.

Wiedział już, gdzie szukać ostatków erdeksu, i miał nadzieję je wkrótce zdobyć, choć mogło to potrwać jeszcze kilka dni. Tennant, jebany skurwiel, okazał się jednak pomocny. John nienawidził takich aspołecznych, bezpalcych popaprańców, którzy tylko zaśmiecali jego świat. Psuli opinię poważnym miłośnikom materiałów wybuchowych.

Wyciągnąwszy z gnojka potrzebne wiadomości na temat RDX, z przyjemnością słuchał jego opowiadania o Carol Starkey. Tennant opisał ją jako twardzielkę, co Johnowi cholernie zaimponowało. Dallas tyle o niej opowiadał, że Fowles zaczął mu w końcu zadawać pytania, a nawet zajrzał do albumu więźnia, żeby zerknąć na poświęcone pannie Carol artykuły. Po rozmowie z Tennantem wrócił do Los Angeles i wybrał się do biblioteki. Przez kilka godzin czytał stare materiały prasowe na temat Carol Starkey, szukał jej fotografii i zastanawiał się, czy naprawdę była tak dobrym pirotechnikiem, jak ją w tych tekstach przedstawiano.

Jebany pech takie trzęsienie ziemi!

Roześmiał się głośno, gdy o tym przeczytał, aż kilku Irańczyków zerknęło w jego stronę. Ja pieprzę, pomyślał, jeśli Bóg istnieje, musi być wyjątkowo wrednym skurwysynem.

Cholerne trzęsienie ziemi.

Specjalność Kalifornii.

John był pod wrażeniem faktu, że ta kobieta praktycznie zginęła od bomby i została odratowana. Zastanawiał się nad tym, czego doświadczyła, i te myśli nie dawały mu spokoju. Znaleźć się tak blisko wybuchu, zostać porwanym jego energią, poczuć całym ciałem jego falę uderzeniową, gorącą jak pocałunek diabła, doznać pieśczęty tej nieposkromionej potęgi...

Przyszło mu do głowy, że Starkey jest chyba jego bratnią duszą.

Po wyjściu z biblioteki wrócił do swojego pokoju w hotelu Bel Air, pięknym romantycznym bungalowie, który wynajął za osiemset dolarów za dobę dzięki swojej najnowszej złotej karcie American Express i fałszywemu nazwisku. Wszedł do Klaudiusza. W ciągu kilku ostatnich dni zauważył wyraźny przypływ wiadomości na własny temat oraz RDX. Kilku nadawców rozsiewało nawet plotki, o jakich wspomniał już Jester, że za wybuchem w Silver Lake kryje się on, Mister Red. Wcale mu się to nie podobało. Tennant powiedział Starkey i Pellowi o Klaudiuszu, więc nietrudno było zgadnąć, co jest grane: Starkey uznała, że to on zabił Riggia, i zastawiała

na niego pułapkę. Dała się nabrać plagiatorowi. John czuł zarazem złość i satysfakcję. Podobało mu się, że ona o nim myśli, że próbuje go dopaść.

Przejrzał nowe wiadomości i stwierdził, że nie wszystkie są jemu poświęcone. Wiele dotyczyło Starkey; niektóre informowały, że dawny pirotechnik i bohaterka dnia pirotechnicznych szajbusów stoi teraz na czele śledztwa. Wyglądało na to, że jej kibicują.

John przewinął wątek wiadomości, aż dotarł do ostatniej:

TEMAT: Ostateczna rozgrywka
OD: KIA
MESSAGE-ID: 136781.87 @lippr

Złapali Unabombera, złapali Hicksa, McVeya i innych. Jeśli ktoś może przyskrzynić Reda, to tylko Starkey. Słyszałem, że próbował ją dopaść, ale chybił. Pech. Miał tylko jeden strzał.
Żegnaj, Mister Red.

John był ciekaw, na jakiej podstawie Kia sądził, że usiłował dopaść Starkey. Czyżby ci kretyni od rana rozsiewali ploty? Wyłączył komputer i zamyślił się. Tym szajbusom się wszystko popieprzyło. Starkey wyrastała na gwiazdę, on schodził na drugi plan.

Uspokoiwszy się, John ponownie włączył iBooka i wszedł na swoją stronę w Minnesocie. Ściągnąwszy software, którego potrzebował, włamał się do systemu sieci telefonicznej LA i ściągnął adres Carol Starkey.

W łazience było okno żaluzjowe z ciemnozielonego matowego szkła, takie wąskie okno od podłogi do sufitu, które się otwiera, by wypuścić parę po kąpielu. Zainstalowano je w tym domu najpewniej jeszcze w latach pięćdziesiątych. Z pomocą podkładki podważył zatrzaski moskitiery, usunął ją, po czym

zabrał się za pierwszą taflę szkła. To było najtrudniejsze; za pomocą taśmy izolacyjnej unieruchomił szybę, żeby nie wypadła, a potem ją wyjął, posługując się śrubokrętem i palcami. Następnie włożył rękę do środka, wymacał klamkę i otworzył okno. Z kolejnymi szybkami poszło mu już łatwiej.

Wyjął ich dość, by powstał otwór na pół metra z górą wysoki, po czym przecisnął się nim do domu Carol.

Wciągnął nosem powietrze. Wyczuł jej zapach: mydło i papierosy. Przez chwilę napawał się świadomością, że znalazł się w prywatnej przestrzeni swojej tropicielki. Był w jej domu, wąchał jej zapachy, oddychał tym samym powietrzem, co ona. Można by powiedzieć, że wniknął do jej wnętrza.

Przed wszystkim spenetrował pobieżnie cały dom, by się upewnić, że nie ma w nim psów, gości ani żadnych nieprzewidzianych niespodzianek. Zaniepokoił go szum klimatyzacji - nie usłyszy podjeżdżającego samochodu ani zgrzytu wsuwanego w zamek klucza. Musi się spieszyć.

Otworzył kluczem drzwi do ogrodu, na wypadek gdyby mu przyszło salwować się ucieczką, po czym wrócił do łazienki. Wstawił na miejsce moskitierę, zapiął zatrzaski i powkladał na powrót szybki. Dokonawszy tego, pozwolił sobie na chwilę wytchnienia. Półka w łazience była zastawiona słoiczkami i buteleczkami: tonik „Alba Botanica”, waciki w szklanym słoiczku, kuleczki mydła, koszyczek z zakurzonymi szyszkami do kąpieli, niebieskie pudełko tampaksów Super Plus. Stał tam ponadto kubek do kawy z nadrukiem wydziału policji Los Angeles, ze szczoteczką do zębów i wyciśniętą tubką pasty „Crest”. Lustro nad umywalką było brudne, całe w smugach i cętkach; fugi pomiędzy kafelkami pociemniały od nalotu pleśni. Carol Starkey nie uważała na zajęciach z prowadzenia domu - pomyślał i doznał zawodu.

Przejrzał się w lustrze. Rozciągnął w uśmiechu wargi i wyszczerzył zęby, a potem przeniósł spojrzenie na szczoteczkę. Włożył ją do ust i poczuł smak pasty miętowej. Wyszczotkował zęby, dziąsła oraz język, po czym odstawił szczoteczkę do kubka.

Przeszedł salon, rzuciwszy spojrzenie przez okno, żel sprawdzić, czy na podjeździe nie ma samochodu gospodyr Nie było. Usiadł na kanapie i przesunął dłońmi po tkanin obicia. Wyobraził sobie, jak ona wykonuje podobny gest; ic dłonie poruszały się bliźniaczym ruchem. W salonie nie by o wiele czyściej niż w łazience. John bardzo dbał o siebie swoje otoczenie i uważał, że ludzie, którzy tak nie postępuj zasługują na-złą opinię.

Na stole w kuchni znalazł komputer podłączony do gniazi ka telefonicznego. Choć to był jego cel główny, minął £ i wszedł przez kuchnię do sypialni. Panował tam półmrc i było chłodniej niż w pozostałej części domu. Stał w ni gach niezasłanego łóżka; pościel była niemiłosiernie zmięti szona. Ta baba mieszkała jak ostatnia świnia. Zdawał sob sprawę, że popełnia szaleństwo, że to wariactwo, że gdyb teraz weszła, musiałby albo ją zabić, albo drogo by za swo chętkę zapłacił, ale trudno, pokusa była zbyt wielka: mi; przed sobą jej ZASRANE ŁÓŻKO. Rozebrał się do nag Tarzał się na prześcieradle, wciskał twarz w poduszkę. Mi chał rękami i nogami, jakby robił na piasku orła. Dost; erekcji, ale sprawienie sobie ulgi odłożył na później. Wst; z łóżka, skotłował kołdrę do poprzedniego stanu, ubrał si i wrócił do kuchni.

Przyszedł przygotowany zarówno na PC, jak i na Macinte sha, mimo to doznał rozczarowania, gdy stwierdził, że Starkę używa peceta. Podobnie jak cały ten niechlujny dom, marni to o niej świadczyło.

Włączył laptopa, spodziewając się ujrzeć na ekranie zwykij rozmieszczenie ikon, tymczasem stwierdził ze zdumienien że ukazała się tylko jedna. Zrozumiał, co to znaczy, i zanió; się śmiechem: Starkey nie miała zielonego pojęcia o kon puterach. Kiedy Tennant powiedział im o Klaudiuszu, Pe przez swoje kontakty federalne zaopatrzył ją najpewniej w sp< cjalnie przygotowany komputer. Prawdopodobnie nie wiedzia! nawet, jak tę zabaweczkę obsługiwać.

Reszta zadania zajęła mu tylko chwilę. Połączył z laptopem

napęd typu Zip, który ze sobą przyniósł, zainstalował potrzebny program, skopiował pliki, po czym go odinstalował, żeby nie zostawić żadnych śladów swoich działań. Później w hotelu otworzył skopiowane pliki i sprawdził, jakiego hasła Starkey używa w Klaudiuszu.

Na razie wszedł do jej domu; gdy pozna to hasło, wejdzie do wnętrza jej głowy.

Starkey wysadziła Hookera na Spring Street i pojechała do domu. Po drodze wstąpiła do marketu Ralphsa, kupiła pieczonego kurczaka, puree ziemniaczane i trochę dietetycznych napojów gazowanych. Kiedy stała w kolejce, przyszło jej do głowy, że Pell może nie pić napojów gazowanych, więc wzięła jeszcze kwartę mleka, butelkę merlota, a po namyśle dorzuciła jeszcze francuską bagietkę. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz podejmowała gości kolacją. Dick Leyton, który wpadł do niej wieczorem mniej więcej rok temu, został jedynie na drinka.

Ruch od śródmieścia w stronę peryferii był okropny. Starkey ślimaczym tempem brnęła w korku, zadręczając się psychicznie. Nie planowała, że zaprosi Pella, nie przemyślała sobie tego kroku. Słowa same wyskoczyły jej z ust i czuła się teraz fatalnie. Kiedy miała szesnaście lat, zaprosił ją na szkolny bal chłopak, którego prawie nie знаła, niejaki James Marsters. W dzień potańcówki włożyła sukienkę pożyczoną od starszej siostry i uznała, iż jest w niej tak brzydka i gruba, że nie zdziwiłaby się, gdyby James Marsters uciekł od niej z krzykiem. Dwa razy wymiotowała i przez cały dzień nie była w stanie przełknąć nawet kęsa. Teraz czuła się podobnie. Potrafiła rozbroić skrzynkę dynamitu połączoną z zapalnikiem przechyłowym, ale nie umiała się bronić przed podobnymi myślami.

Spóźniła się. Pell już na nią czekał; siedział w zaparkowanym przed domem samochodzie. Wsiadł, kiedy wjechała na podjazd, i podszedł, by się przywitać. Na widok jego miny, wzięła ją chęć, by sięgnąć po tagamet. Pell wyglądał tak, jakby sam nie wiedział, co tu robi.

Wytarabaniła się z wozu z torbami zakupów.

- Cześć.
- Pomóc ci?

Oddała mu jedną z toreb i otworzyła drzwi domu, relacjonując jednocześnie wieści, jakie dotarły z Bakersfield. Kiedy mu powiedziała, że w warsztacie Tennanta widziano mężczyznę, którym mógł być osobnik telefonujący pod numer 911, Pell wydawał się zadowolony, ale gdy opisała podejrzanego jako faceta po czterdziestce, wzruszył obojętnie ramionami.

- To nie on.
- Skąd wiesz?
- Red jest młodszy. Jesteśmy w Los Angeles, tu każdy nosi okulary przeciwsłoneczne i czapkę baseballową.

- Może nasz ptaszek to wcale nie Mister Red?

Twarz Pella spochmurniała.

- To jest Mister Red.
- A jeśli nie?
- Jest.

Zirytowała ją jego pewność siebie, zupełnie jakby miał dostęp do jakichś tajnych informacji. Przyszło jej do głowy, żeby mu powiedzieć o taśmie izolacyjnej, ale postanowiła z tym poczekać na wiadomość od Janice Brockwell.

- Słuchaj, może lepiej o tym nie rozmawiać? Uważam, że trafiliśmy na jakiś ważny trop, a ty mi wszystko psujesz.

- Dobrze, nie rozmawiajmy.

Postawili torby na stole przy zlewozmywaku. Starkey zaczerpnęła głęboko tchu, po czym odwróciła się do Pella z tak surową miną, jakby chciała go wylegitymować. Uznała, że jeśli chce, by dotrwał do końca wieczoru, musi od razu postawić sprawę jasno.

- Dzisiaj to jest randka.

Poczuła się cholernie głupio. Stoją w kuchni, a ona wyskakuje jak idiotka z podobnym wyznaniem.

Pell wyglądał na tak zmieszanego, że miała ochotę wleźć do piekarnika. Spojrzał jej w oczy, a potem przeniósł spojrzenie na torby z zakupami.

- Nie wiedziałem o tym...

Poczuła się upokorzona i głęboko dotknięta. Przeklinała się w duchu za to, że jest aż taką kretynką.

- Zrozumiem, jeśli zaraz wyjdiesz. Wiem, że zachowuję się głupio. Musiałam ci to jednak powiedzieć. Jeśli uważasz, że jestem taką idiotką, jaką się czuję, wołałabym, kurwa, żebyś sobie poszedł.

- Wcale nie myślę wychodzić.

- To tylko randka, do jasnej cholery! Nie zjem cię.

Wbiła wzrok w podłogę. Trudno o gorszy początek.

Zaczął wyjmować sprawunki.

- Może byśmy to rozpakowali i coś zjedli?

Dopiero po dłuższej chwili zaczęła mu pomagać. Wyciągnęła kilka rzeczy z toreb, wstawiła mleko do lodówki, wyjęła ze zmywarki świeżo umyte talerze i sztućce. To ci randka! Oboje milczeli.

Starkey odłożyła na bok kurczaka i puree ziemniaczane, nie wiedząc, co z tym zrobić. Wyglądały żałośnie w tych foliach i plastikowych pojemnikach.

- Może powinnam go podgrzać?

Pell dotknął paczki z kurczakiem.

- Wydaje się dość ciepły.

Wyjęła talerze i nóż do krojenia drobiu, myśląc przy tym, że powinna była przygotować jakąś sałatkę. Czowała się okropnie, co Pell najpewniej wyczuwał, bo stawał się coraz niezgrabniejszy.

- Pomogę ci. Jestem całkiem niezłym kucharzem.

- A ja głównianą kucharką.

- Hmm, ponieważ danie jest- prawie gotowe, raczej nie możesz go zepsuć. Pozostaje je tylko nałożyć na talerze.

Zaśmiała się nerwowo. Od tego śmiechu zatrzęsło się całe jej ciało. Przestraszyła się, że zaraz się rozplacze, odmówiła sobie jednak tej przyjemności. „Byłaś zawsze dzielną dziewczynką”. Pell odstawił talerz i ruszył w jej stronę, ale go powstrzymała wyciągniętą ręką. Czuła, że lody w jej duszy zaczynają pękać. Może z powodu tego, co spotkało Charliego Riggio, może dlatego, że obejrzała taśmę z nagraniem wybuchu w osiedlu przyczep kempingowych, a może po prostu dlatego, że minęły już trzy lata i dłużej nie chciała czekać. Pomyślała zresztą, że powód nie jest ważny. Grunt, że to nastąpiło.

- Nie jestem dobra w te klocki, Pell. Usiłuję na powrót coś poczuć, ale to kiepsko idzie.

Wlepił wzrok w kurczaka.

- Cholera, dlaczego nic nie mówisz? Zostawiasz mnie samą w tej durnej sytuacji i tylko się gapisz!

Podszedł i wziął ją w ramiona. Zesztywniała, ale on nie zrobił nic więcej, po prostu ją przytulił. Pozwoliła na to. Rozluźniła się z wolna, a gdy jej ręce również go objęły, usłyszała, jak z ulgą westchnął. Było tak, jakby nawzajem się wspierali. Zapragnęła, żeby posunął się dalej, choć nie była na to jeszcze gotowa.

- Nie mogę, Jack...

- Nic nie mów. Tak jest dobrze.

Potem zanieśli jedzenie do jadalni i rozmawiali o różnych błahostkach. Wypytywała go o pracę w ATF, ale odpowiadał wymijająco.

Później, gdy talerze były już puste, sprzątnięte, zmyte i schowane do szafki, odsunął się od niej niezgrabnie i powiedział:

- Powinienem już chyba pójść...

Kiwnęła głową i odprowadziła go do drzwi.

- Mam nadzieję, że nasza randka nie była aż taka okropna.

- Bynajmniej. Mam nadzieję, że ją powtórzymy.

Roześmiała się.

- Jesteś masochistą?

Zatrzymał się jeszcze w drzwiach i zdawał się walczyć ze

sobą, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Zmagał się tak zresztą przez cały czas ich spotkania i Starkey zaczęła się teraz zastanawiać, co było tego powodem.

- Lubię cię, Starkey.

Poczuła, że się uśmiecha.

- Naprawdę?

- Dla mnie to też nie jest łatwe. Z mnóstwa powodów.

Zebrała się na odwagę.

- Ja też cię lubię, Pell. Dziękuję, że mnie dzisiaj odwiedziłeś. Przepraszam, że trochę to dziwnie wypadło.

Przeszedł przez próg i zniknął. Wsłuchując się w odgłos silnika jego samochodu, pomyślała, że odrobina dziwności chyba człowiekowi nie zaszkodzi.

Posprzątawszy w kuchni, weszła do sypialni. Marzyła tylko o jednym: żeby zrzucić z siebie ubranie i zagrzebać się w pościeli. Stwierdziła, że łóżko jest niemiłosiernie skotłowane, więc po namyśle ściągnęła prześcieradło i poszwy, wsadziła wszystko do pralki i powlekła świeżą pościel. Cały jej dom domagał się zresztą ścierki i szczotki. Na dobry początek sama wzięła prysznic.

Po kąpieli sprawdziła telefonicznie nagrania na sekretarce w biurze. Dzwonił jedynie Mueller.

- Cześć, Starkey, mówi Warren Mueller. Pokazałem ten cholerny obrazek, który pani mi przefaksowała, temu staremu, co mieszka u Tennanta. Nie umie powiedzieć ani tak, ani tak, ale wydaje mu się, że facet wyglądał dość podobnie: biały, około czterdziestki, w kapeluszu i okularach. Chcę, żeby z nim popracował nasz rysownik, może uda się wycisnąć ze staruszka jakiś wierniejszy portrecik. Jak coś będziemy mieli, przefaksuję pani. Zdrówka życzę.

Skasowała wiadomość i odłożyła słuchawkę. Ich portret może i był do dupy, ale jakoś wszyscy rozpoznawali w nim faceta podobnego, i zarazem całkiem niepodobnego do Mister Reda.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby sprawdzić, co słyhać na stronie „Klaudiusz”. Wróciła do jadalni, włączyła komputer i zalogowała się. Przeczytała pozostawione wiadomości. Niejaki AM7 opowiedział im długą i mętną historię swej służby wojskowej. Odpowiedziało ponadto kilka innych osób, ale żadna nie wykazała chęci kupna bądź sprzedaży RDX, nie dała nawet do zrozumienia, że wie, jak do tego towaru dotrzeć. Wielu pisało natomiast o niej, o Carol Starkey.

Czytała te wiadomości, kiedy na ekranie komputera otworzyło się nowe okno.

Czy przyjmiesz wiadomość od Mr Reda?

Poczuła, jak cierpnie jej skóra. Po chwili uśmiechnęła się jednak; to musiał być żart, jakaś internetowa gierka, której nie rozumiała. Okno nadal wisiało na ekranie.

Czy przyjmiesz wiadomość od Mr Reda?

Otworzyła je.

MRRED: Szukałaś mnie.

Wiedziała, że to żart.

NABUZOWANY: Kim jesteś?

MR RED: Jestem Mr Red.

NABUZOWANY: To wcale nie jest śmieszne.

MRRED: Faktycznie. To niebezpieczne.

Poszła po teczkę. Znalazła numer hotelu Pella i zadzwoniła do niego. Gdy nikt nie podnosił słuchawki, zadzwoniła na jego pager.

MRRED: Dzwonisz po pomoc, Carol Starkey?

Gapiła się na te słowa, po czym spojrzała na zegarek i już wiedziała, że to nie mógł być Pell; nie miał przecież dostępu do komputera. To musiał być Bergen. Ten oczywisty świrus był jedyną prócz Pella osobą, która знаła hasło NABUZOWANY.

NABUZOWANY: To ty, Bergen?

MRRED: Nie ufasz mi .

NABUZOWANY: Dobrze wiem, kim jesteś, ty DUPKU. Powiem o wszystkim Pello-
wi . Będziesz miał szczęście, je-
śli ATF cię nie wykopie.

Mr RED: CHACHA! Dobrze, powiedz Pello-
wi . Niech mnie wykopie .

NABUZOWANY: Jutro nie będzie ci do śmiechu,
kolego.

Wpatrywała się ze złością w tę wiadomość.

MRRED: Wszystko ci się pieprzy, Carol
Starkey. Ja nie jestem Bergen.
Jestem Mr. Red.

Zadzwęczał telefon. Oddzwaniał Pell.

- Boję się, że mamy kłopot z Bergenem - powiedziała. -
Weszłam do Klaudiusza. Wskoczyło mi to zasrane okno
i gada ze mną ktoś, kto zna hasło „Nabuzowany” i wie, kim
jestem. Twierdzi, że jest Mister Redem.

- Spław go, Carol. To musi być Bergen. Jutro z nim po-
mówię.

MRRED: Gdzie się podziewałaś, Carol?

To pytanie wisiało na ekranie, kiedy Starkey odeszła od tele-
fonu. Jakby na nią czekało. Carol wpatrywała się w wiadomość,
lecz nie zamierzała na nią odpowiadać.

MR RED: Dobra, Carol Starkey, nie masz
 mi nic do powiedzenia, więc się
 zmywam. Pozostawiam cię ze Świa-
 tem Według Mister Reda.
MR RED Ja nie zabiłem Charlesa Riggio.
MRRED Wiem, kto to zrobił.
MR RED Moje imię Zemsta.

Światła miasta

John Michael Fowles wyszedł z Klaudiusza. Przerwał połączenie komórki, przez którą połączył się z siecią, i opadł na oparcie siedzenia, odkładając na bok iBooka. Po upalnym dniu przyjemnie było siedzieć w cienistym chłodzie na cichej uliczce.

Samochód Johna stał zaparkowany jedną przecznicę od domu Carol Starkey, w gęstym cieniu wiązu ugiętego pod brzemieniem letnich liści.

John siedział i patrzył w jej oświetlone okna.

Siarka

Dallas Tennant niósł amoniak w tekturowym kubku, udając, że to kawa. Dmuchał i udawał raz po raz, że pociąga łyżczek. Gryzące opary wżerały mu się w nos i piekły w oczy.

- Dobry wieczór, panie Riley.
- Dobry wieczór, Dallas. Do zobaczenia jutro.

Pan Riley siedział jeszcze za biurkiem, kończąc papierkową robotę. Dallas wyciągnął kubek w jego stronę.

- Pozwoli pan, że wezmę tę kawę do celi?
- Ależ oczywiście. Proszę cię bardzo. Zostało coś jeszcze w dzbanku?

Dallas zrobił zboliałą minę i ponownie wyciągnął rękę z kubkiem.

- Była tylko ta resztką, panie Riley. Przykro mi, ale umyłem już dzbanek. Życzy pan sobie, żebym przed wyjściem zaparzył świeżej kawy? A może chce pan tę?

Riley machnął ręką i pochylił się nad biurkiem.

- Nie trzeba. I tak niedługo wychodzę. Smacznego, Dallas.

Więzień ponownie życzył starszemu panu dobrej nocy, po czym wyszedł. Schował amoniak w magazynie, wstąpił do izby chorych, żeby przyjąć leki, po czym ruszył do celi, szybszym już krokiem, bo pilno mu było brać się do roboty. Choć obiecał Redowi, że wstrzyma się kilka dni ze sporządzeniem tego materiału wybuchowego, byłby go sprokurował już wczoraj, zaraz po wyjściu gościa, gdyby tylko miał amoniak i zapalnik.

Ponieważ nie miał ani jednego, ani drugiego, przed południem, gdy pan Riley wyszedł na lunch, wydrukował z Internetu zdjęcia pornograficzne ze stron w Amsterdamie i Tajlandii. Zdjęcia kurew uprawiających seks z końmi wymienił na amoniak, a Azjatek wsadzających sobie palce w dupę - na główki zapalek i papierosy, z których zamierzał sporządzić zapalnik. Wszedłszy w posiadanie tych skarbów, przez resztę dnia wręcz dygotał z niecierpliwości, tak się palił do nowej mieszanki wybuchowej, i teraz niemal biegiem dopadł swojej celi.

Odczekał chwilę, by się upewnić, że nikt nie nadchodzi korytarzem, po czym przykucnął w nogach pryczy z dwiema plastikowymi torebkami i kubkiem amoniaku. Instrukcje Mister Reda były proste: nalej amoniaku do torebki z proszkiem, dobrze wymieszaj, aż proszek się rozpuści, następnie wlej uzyskany roztwór do torebki z masą plastyczną. Mister Red ostrzegł go, że ta druga torebka stanie się ciepła, kiedy obie substancje się zmieszają, ale potem mieszanka stwardnieje w kleistą pastę, trochę podobną do plastiku, i materiał wybuchowy będzie aktywny.

Dallas nalał amoniaku do pierwszej torebki, zacisnął strunę zatraskową i zaczął torebkę ugniatać, żeby rozpuścić proszek. Zaplanował sobie, że stworzy materiał wybuchowy, a resztę nocy spędzi na fantazjach, jak go odpali w jednym z metalowych pojemników na śmieci na tyłach kantyny. Sama myśl o rozrywającym się pojemniku i potężnym huku, który przetoczy się przez dziedziniec, wzbudziła w nim podniecenie.

Gdy roztwór był gotowy i Dallas miał go już wlać do drugiej torebki, usłyszał kroki strażnika.

- Tennant, wzięłeś pigułki?

Dallas ukrył torebki za własnymi nogami i schylił się w taki sposób, jakby rozwiązywał sznurowadła. Strażnik przyglądał mu się przez zakratowane okienko.

- Oczywiście, panie Winslow. Może pan sprawdzić w izbie chorych. Wstąpiłem tam po drodze.

- W porządku. Zajdę do nich później. Chciałem się tylko upewnić, że nie zapomniłeś.

- Oczywiście, proszę pana. Dziękuję.

Strażnik odwrócił się, zamierzając odejść, ale zatrzymał się jeszcze ze zmarszczonym czołem. Serce omal nie wyskoczyło Dallasowi z piersi; po plecach spływał mu strumyczkiem pot.

- Dobrze się czujesz, Tennant?

- Dobrze, proszę pana. A czemu pan pyta?

- Bo siedzisz taki skulony.

- Przypiliło mnie. Muszę się wykakać.

Strażnik rozważył sobie to wytłumaczenie, po czym kiwnął głową.

- Dobra, tylko nie zesraj się w portki. Masz jeszcze godzinę do zgaszenia światła.

Więzień wsłuchiwał się przez chwilę w cichnące kroki strażnika, podszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz i dopiero potem wrócił do pracy. Otworzył drugą torebkę, umieścił ją między nogami i dodał roztwór proszku. Zamknął zatrzask torebki i wziął się do ugniatania. Zgodnie z zapowiedzią Mister Reda torebka zaczęła się rozgrzewać.

Mister Red nie powiedział mu tylko, że zawartość przybierze kolor krwistoczerwony.

Tennant był podniecony, ale i trochę zaniepokojony. Wcześniej tego dnia, gdy już wydrukował pornografię, przejrzał dwie strony w sieci poświęcone materiałom wybuchowym i poczytał sobie o kwasie pikrynowym. Dowiedział się, że jest to potężny, w miarę bezpieczny materiał, stabilny, a dzięki temu łatwy do przechowywania i użytku. Oba artykuły opisywały jednak kwas pikrynowy jako żółty proszek, nie zaś purpurową ciastowatą masę.

Torebka stawała się coraz gorętsza.

Tennant przestał ją ugniatć. Przyjrzał się zgęstniałej w środku masie. Pęczniała jak ciasto drożdżowe, jakby się napelniała maleńkimi pęcherzykami gazu.

Otworzył torebkę i powąchał. Zapach był odrażający.

Przez głowę Dallasa przemknęły dwie myśli. Pierwsza, że Mister Red nie mógł się pomylić; jeśli powiedział, że to kwas pikrynowy, to musiał być kwas pikrynowy. Druga, że niektóre

materiały wybuchowe nie wymagają zapalnika. Dallas kiedyś o tym czytał, czytał o substancjach, które wybuchają, gdy się je ze sobą wymiesza. Istniało słowo opisujące podobne reakcje, ale Tennant nie mógł go sobie przypomnieć.

Szukał w pamięci, gdy czerwona substancja wybuchła, obrywając mu ramiona i wstrząsając więzieniem Atascadero z taką mocą, że włączyły się wszystkie syreny alarmowe i spryskiwacze przeciwpożarowe.

Tym słowem było „hipergol”.

Starkey usiłowała nie zwracać uwagi na sposób, w jaki Marzik się na nią gapiła. Marzik skończyła przesłuchiwanie klientów i pracowników pralni, lecz nie znalazła nikogo, kto widziałby osobę telefonującą pod numer 911. Powinna teraz pisać raport z tych przesłuchań, tymczasem siedziała rozwalona, z założonymi rękami, i wpatrywała się w Starkey. Gapiła się tak na nią przez prawie całe przedpołudnie, prawdopodobnie z nadzieją, że Starkey zapyta, czemu się tak gapi, ale Starkey ją ignorowała.

W końcu Marzik nie wytrzymała i podjechała bliżej na krzesło.

- Zastanawiasz się pewnie, dlaczego ci się tak przyglądam.
 - Nie zauważyłam.
 - Kłamiesz. Podziwiałam ten uśmiech Mony Lisy, jaki dziś obnosisz.
 - O czym ty mówisz?
 - O tym uśmieszku ścichapkę, który informuje, że w końcu wzięłaś na od wagę i zrobiłaś sobie okład z agenta federalnego.
 - Ty zawsze wszystko potrafisz splugawić.
- Marzik ryknęła śmiechem.
- NIE POMYLIŁAM SIĘ!

Pobiegly w ich stronę spojrzenia wszystkich detektywów obecnych w sali ogólnej. Starkey miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Pomyliłaś. Nic takiego nie miało miejsca.
- Do czegoś jednak musiało dojść. Jeszcze nigdy nie widziałam cię tak rozanielonej.

Carol zmarszczyła czoło.

- Zmiana nastąpiła wcześniej. Powinnaś też spróbować.

Marzik zaśmiała się i odjechała na krześle do swojego biurka.

- Chętnie spróbowałabym tego, co wywołało na twojej twarzy ten uśmiezek, cokolwiek to było. I wzięłabym dokładkę.

Marzik uśmiechała się nadal z wyższością, gdy zadzwonił telefon na biurku Starkey. Telefonowała Janice Brockwell z laboratorium ATF w Rockville w stanie Maryland.

- Witam, pani detektyw. Dzwonię w sprawie, o której rozmawialiśmy.

- Tak, słucham panią.

- Z siedmiu zamachów bombowych, które przypisujemy Redowi, mamy sześć nakrętek w miarę nieuszkodzonych na ogólną liczbę dwudziestu ośmiu użytych w tych urządzeniach wybuchowych. Rozmontowałam owe sześć i ustaliłam, że w każdym przypadku taśma izolacyjna była nawinięta zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

- Wszystkie w tym samym kierunku?

- Tak, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Powinna pani wiedzieć, że te sześć zaślepek pochodzi z pięciu różnych bomb podłożonych w trzech różnych miastach. Uważam to za znaczące, pani detektyw. Zamierzamy dołączyć odkrytą przez panią cechę do charakterystyki Reda w krajowej bazie danych i rozesłać tę wiadomość jako pilną do naszych biur terenowych. Prześlę pani kopię mojego raportu zwykłą pocztą, żeby mogła pani dołączyć do akt.

Starkey zwilgotniały dłonie, a serce zaczęło bić jak oszalałe. Jeśli Red owijał taśmę izolacyjną za każdym razem w tę samą stronę, dlaczego na bombie z Silver Lake została nawinięta w kierunku przeciwnym?

Miała ochotę wydać głośny okrzyk triumfu.

- Świetnie się pani spisała, pani detektyw - pochwaliła Brockwell. - Dziękuję za współpracę.

Starkey odłożyła słuchawkę. I co teraz? Była podniecona, a chciała zachować rozwagę i nie działać pochopnie. Taki drobiazg jak kierunek nawijania taśmy nie miał zwykle żadnego znaczenia, lecz teraz go nabrał. Nie pasował do wzoru. Stanowił odstępstwo, a to znaczyło, że i sama bomba z Silver Lake była odstępstwem od jakiejś reguły.

Starkey podeszła do automatu z kawą, byle się czymś zająć, po czym z kubkiem wróciła do biurka. Mister Red był sprytny. Wiedział, że jego bomby są drobiazgowo badane, a analizy rozsyłane do wszystkich ogniw aparatu ścigania. Wiedział, że badali je federalni, stanowi i lokalni eksperci od materiałów wybuchowych, starając się stworzyć charakterystykę jego urządzeń. Napawał się świadomością, że jest bystrzejszy od swoich tropicieli. To dlatego grawerował na bombach nazwiska pirotechników, dlatego podłożył w Miami tę fałszywą bombę. Zabawa w kotka i myszkę sprawiała mu przyjemność, a czyż może być lepsza rozrywka od zmiany drobnego elementu cechy charakterystycznej tylko po to, by wzbudzić wątpliwości u prowadzących śledztwo, takich jak Carol Starkey?

Jeśli bomba czymś się różniła od dotychczasowego wzoru, należało zapytać: dlaczego? Narzucająca się odpowiedź na to pytanie była zarazem najgorsza. Ponieważ skonstruowała ją inna osoba.

Starkey chciała to sobie przemyśleć. Musiała mieć pewność, zanim pójdzie z tą sprawą do Kelsa.

- Beth...

Marzik odwróciła głowę.

- Muszę wybyć na kilka minut. Będę pod pagerem.

- Jasne.

Starkey przeszła kilka krótkich przecznic do restauracji Philippe'a, zaciągając się chciwie papierosem. Znała się na bombach i na skurwielach, którzy je konstruowali. Doszła do wniosku, że Mister Red nie zmieniłby swoich nawyków, nawet gdyby chciał zdradzić z policji. Za bardzo zależało mu na

sławie; nie pragnął wcale, by zaczęli wątpić, z kim mają do czynienia. Przeciwnie: chciał, aby to wiedzieli. Sam fakt, że „podpisywał” swoje urzędzenia, dowodził, iż pragnie, żeby policja miała pewność, z kim sprawa. Pieczętował w ten sposób swoje zwycięstwo.

W restauracji Philippe'a Starkey poprosiła o filizankę kawy, usiadła samotnie przy długim stole i zapaliła papierosa. Obowiązywał tu zakaz palenia, ale o tej porze lokal świecił pustką, więc nikt nie protestował.

„Ja nie zabiłem Charlesa Riggio”.

Federalni dysponowali licznymi opisami podejrzanego. Wszystkie określały Reda jako mężczyznę pod trzydziestkę. Tymczasem Lester Ybarra widział faceta po czterdziestce, podobnie jak staruszek z bliźniaka Tennanta. Jeśli to nie Mister Red zbudował tę bombę, zrobił to ktoś, kto doskonale potrafił podrabiać jego dzieła. Starkey odważyła się w końcu przywołać w myśli to słowo: Naśladowca.

Naśladowcy zdarzali się na ogół wśród seryjnych morderców i gwałcicieli. Wiadomości w dziennikach traktujące o podobnych zbrodniach mogą przywieść jednostki o określonych predyspozycjach do wniosku, że pojedyncze zabójstwo łatwiej ujdzie im na sucho, jeśli naśladować cudzy sposób popełnienia zbrodni, ukryją osobiste motywy, a więc zwykle chorą żądzą mordu lub nienawiść do kobiet. Przesłępcy wierzą, że przykrywka cudzej zbrodni zamaskuje ich prawdziwe pobudki, wpływające na ogół z chęci zemsty, wzbogacenia się lub pozbycia rywala. Naśladowca nie zna szczegółów zbrodni, których nie podano do publicznej wiadomości, wie tyle, ile wyczytał z gazet, czyli ma z reguły obraz niepełny, zazwyczaj błędny.

Ten jednak naśladowca znał wszystkie szczegóły konstrukcyjne bomb Mister Reda, z wyjątkiem jednego detalu, o którym nigdy nie wspominały raporty pirotechniczne: kierunku, w jakim Red nawijał taśmę izolacyjną.

Starkey przyglądała się smudze dymu snującej się z papierosa, zatrwożona kierunkiem własnych myśli. Grono osób, które

tak dobrze znały komponenty bomb Reda i wiedziały, jak je połączyć w całość, było zaiste niewielkie.

Policjanci.

I pirotechnicy.

Westchnęła.

To nie mieściło się w głowie. Ten, kto zamordował Charliego Riggio, znajdował się niecałe sto jardów od niego. Widział, jak Riggio przyjeżdża na miejsce, przyglądał się, jak wkłada strój antywybuchowy, poczekał, aż podejdzie do podejrzanego pakunku. Wiedział, kogo zabija. W ciągu dwu i pół lat pracy w charakterze detektywa Starkey prowadziła dwadzieścia osiem spraw, lecz żadnej przeciw osobie, która miała dostęp do szczegółowych informacji o bombach Mister Reda lub dość przenikliwości, by je wykorzystać.

Wrzuciła niedopałek papierosa do kawy. Zasyczał i zgasł.

Wyjęła z torebki telefon komórkowy. Złapała Pella w motelu.

- Jack? Muszę się z tobą zobaczyć.

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Rozmawiałem dziś rano z Bergenem.

Umówili się na spotkanie w barze Barrigana. Starkey tak pilno było zobaczyć Pella, aż ją to zdumiało. W środku nocy i drugi raz nad ranem przyszło jej do głowy podejrzenie, że jest w nim zakochana, nie miała jednak pewności i wołała zachować ostrożność. Ostatnie trzy lata pozostawiły w niej pustkę, która domagała się wypełnienia. Carol perswadowała sobie, że nie wolno jej pomylić tego pragnienia z miłością, nie może pozwolić, by ta potrzeba zmieniała rodzącą się przyjaźń w fałszywy pozór głębszego uczucia.

Poranny tłumek w barze składał się, jak zwykle, z detektywów z okręgu Wilshire, których zasilali bywalcy stolika okręgu Rampart i nieliczni agenci służb specjalnych, trzymający się osobno u końca baru. Nawet o dziesiątej przed południem w lokalu wręcz roiło się od glin. Starkey przecisnęła się przez ciżbę przy drzwiach. Na widok Pella, siedzącego

przy tym samym stoliku co poprzednio, zrobiło jej się ciepło wokół serca.

- Dzięki, że przyszedłeś. Naprawdę musiałam się z tobą zobaczyć.

Uśmiechnął się radośnie. Wyglądał na szczerze zadowolonego. Miała nadzieję, że uradował się tak na jej widok.

- Pora, żebyś przejął śledztwo, Jack.

Zrobił taką minę, jakby podejrzewał, że jego rozmówczyni żartuje, lecz nie był tego do końca pewny.

- O czym ty gadasz?

Niełatwo to było wytłumaczyć.

- Mówię o tobie... o ATF... Powinniście przejąć śledztwo w sprawie zabójstwa Charliego Riggio. Ja nie mogę go dalej prowadzić, Jack. Nie byłabym skuteczna, gdyż doszłam do wniosku, że w sprawę wybuchu w Silver Lake był zamieszany ktoś z naszego wydziału policji.

Zerknął w stronę baru, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy.

- Sądzisz, że Red to ktoś z waszych ludzi?

- Nie uważam, by to była sprawka Mister Reda. Mogłabym pójść z tym prosto do centrali lub do wydziału wewnętrznego z pominięciem Kelsa, lecz nie mogę tego zrobić, dopóki nie zgromadzę większej liczby dowodów.

- Chwileczkę. Poczekaj. Rozmawiałem dziś rano z kilkoma osobami na temat Bergena. Zeszłej nocy, dokładnie o godzinie, kiedy do mnie dzwoniłaś, miał u siebie innych klientów. Carol, wczoraj wieczorem naprawdę skontaktował się z tobą Mister Red. Mamy skurwysyna!

Był tak podniecony, aż się przestraszyła, że spadnie ze stołka.

- Niemożliwe. Gość znał moje imię i nazwisko. Wiedział, że Nabuzowany to Carol Starkey. Skąd Red mógł to wiedzieć?

- Pojęcia nie mam - odparł wolno.

- Oświadczył, że nie zabił Riggia. Lecz wie, kto to zrobił.

Przyjrzał się jej uważnie.

- I co? Ty mu wierzysz?

- To nie Red skonstruował bombę z Silver Lake.
- To również wiesz od niego?
- Nie, z laboratorium ATF w Rockville.

Powiedziała mu o telefonie od Janice Brockwell oraz o tym, że bomba z Silver Lake różniła się od wszystkich innych przypisywanych Redowi.

Pell popatrywał z irytacją na tajnych agentów, czekając, aż skończy.

- To tylko taśma izolacyjna - mruknął lekceważąco.

W jego głosie usłyszała ton zniecierpliwienia i natychmiast się najeżyła.

- Mylisz się, Jack, to prawdziwy dowód, a świadczy o tym, że ta bomba jest inna niż pozostałe. Różni się zaś od nich jedynym elementem, o którym nikt nie wiedział, bo nie wspomniano o nim w żadnych raportach. Wszystkie pozostałe składniki można było skopiować choćby na podstawie ekspertyz pirotechnicznych. Drań wyciął na bombie nazwisko Riggia, żebyśmy myśleli, że to robota Reda.

Pell ponownie zerknął w stronę baru. Ten jeden ruch sprawił, że poczuła się dojmująco samotna, co ją przestraszyło i trochę zdumiało.

- To zrobił Mister Red. Zaufaj mi. Mister Red, nikt inny. Nasze działania zaczynają przynosić efekty. Skurwiel się spłoszył. Nie zbaczaj na manowce. Trzymaj się prostej linii.

- Świadkowie z biblioteki w Miami opisali mężczyznę dwudziestoparoletniego. Portrety pamięciowe, jakie mi pokazałeś, również przedstawiają faceta w tym mniej więcej wieku. Tymczasem tu, w LA, mamy dwa rysopisy mężczyzn po czterdziestce.

- Red potrafi po mistrzowsku zmieniać powierzchowność.
 - Do kurwy nędzy, Pell, potrzebuję twojej pomocy!
 - W każdym śledztwie pojawiają się sprzeczne dowody. Nie słyszałem o takim, w którym by było inaczej. Uchwyciłaś się kilku szczegółików i usiłujesz zmienić kierunek dochodzenia. To Mister Red, Carol. Zakonotuj to sobie. To jego mamy złapać. Mister Reda.

- Więc nie chcesz mi pomóc?
 - Chciałbym, ale obrałaś zły kierunek. Szukamy Mister Reda. To on jest sprawcą. Zaufaj mi, proszę.
 - Tak się zafiksowałaś na tym Mister Redzie, że nie zwracasz uwagi na fakty.
 - To Mister Red. Dlatego tu jestem, Starkey. Tylko on mnie interesuje. Mister Red.
- Ciepłe uczucia, jakie dotąd do niego żywiła, nagle ostygły. Przyszło jej później do głowy, że jego zaangażowanie w tę sprawę - równe, zdawałoby się, jej własnemu - powinno ją do niego przekonać, lecz jakoś nie przekonało.
- Pozostała ze swymi podejrzeniami sama. Perswadowała sobie, że tak jest dobrze; od trzech lat była przecież sama.
- Jesteś w błędzie, Pell.
- Wyszła z baru i wróciła na Spring Street.

- Masz książkę raportów, Hook?
- Podniósł znad papierów zdziwione spojrzenie.
- Myślałem, że wyszłaś.
 - Ale już wróciłam. Muszę zajrzeć do raportów w naszej sprawie.
 - Marzik je miała. Powinny leżeć na jej biurku.
- Istotnie, znalazła raporty na biurku Marzik. Zabrała je i usiadła w swojej przegródce. Jedna ze stron zawierała listę policjantów, którzy znajdowali się na parkingu w Silver Lake w dniu śmierci Riggia. Czytała ją jak zdrajczynie. To byli jej koledzy i współpracownicy.
- Znalazłaś?
- Stał nad nią Hooker. Wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu i zamknęła książkę raportów. Spróbowała ukryć zmieszanie.
- Mhm, dziękuję.
 - Leżała u Marzik, tak?
 - Tak, na jej biurku.
- Książka raportów zawierała nazwiska oficerów sekcji pirotechnicznej wysłanych na parking po odebraniu zgłoszenia

oraz tych, którzy zjawili się tam już po wszystkim. Buck, Charlie, Dick Leyton i pięciu innych członków dziennej zmiany sekcji pirotechnicznej. Ośmiu z ogólnej liczby czternastu. Plus ona, Hooker, Marzik i Kelso. Plus policjanci mundurowi i detektywi z okręgu Rampart. Lista nie informowała, a Starkey nie mogła tego na sto procent stwierdzić, kiedy każda z tych osób przybyła na miejsce ani kto jeszcze mógł się tam znajdować, skryty za jakąś zasłoną albo pod przebraniem.

Wyjęła stronę z segregatora, zrobiła kopię, po czym odłożyła raporty na biurko Marzik.

W stronę Glendale jechała w ślimaczym tempie, cały czas analizując kroki, jakie podjęła, i wnioski, jakie wyciągnęła, zarówno w sprawie Riggia, jak i wobec Pella. Choć nie była śledczym z wydziału zabójstw, znała pierwszą zasadę każdego śledztwa w sprawie o morderstwo: Szukaj związku między zabójcą a ofiarą. Będzie musiała przyjrzeć się bliżej Charliemu Riggio; być może jakiś fakt z jego życia doprowadzi ją do mordercy. Myśląc o swych uczuciach względem Pella, miała w głowie zamęt. Chciała do niego zadzwonić; byłaby szczęśliwa, gdyby on zadzwonił. Czuła, że nie jest mu obojętna, ale już nie ufała własnemu przecuciu.

Wjechała na parking policyjny, ale nie wysiadła z samochodu. Przyglądała się nowoczesnemu ceglanemu budynkowi sekcji pirotechnicznej. Dzień był gorący i słoneczny. Parking, duże ciemne samochody kombi, śmiejący się technicy w czarnych mundurach; wszystko było jakoś zmienione. Doznała nagle złudzenia percepcji, o którym mówiła Dana: jeden obraz przedstawiał oficerów policji, drugi twarze podejrzanych i morderców. Gapiła się na budynek i zastanawiała, czy nie sfiksowała. A może po prostu przywiązywała zbyt dużą wagę do tej taśmy izolacyjnej? Miała nadzieję, że tak było. Siedziała w samochodzie, paliła papierosa i wpatrywała się w budynek, w którym czuła się dotąd jak u siebie w domu. Wiedziała, że jeśli się myli, musi to najpierw udowodnić samej sobie.

- Jak leci, dziecinko?

Starkey aż podskoczyła.

- Przestraszyłeś mnie.
- Zobaczyłem, że tu siedzisz, myślałem, że mnie widzisz.
Jeśli idziesz do nas, możemy wejść razem.

Dick Leyton uśmiechał się do niej przyjaźnie, wysoki, opiekuńczy starszy brat. Wysiadła z samochodu i ruszyła za nim, bo innego wyjścia nie widziała.

- Czy biurko Charliego zostało już uprzątnięte?
- Wpadł tu Buck i spakował wszystko do pudła, żeby przekazać rodzinie. Charlie miał dwie siostry, wiedziałaś o tym?

Nie miała ochoty rozmawiać o siostrach Riggia ani iść u boku Dicka Leytona, który odwiedzał ją każdego wieczoru, kiedy leżała w szpitalu.

- Nie, nigdy o nich nie słyszałam. Powiedz mi, Dick, czy rzeczy Charliego jeszcze tutaj są?

Nie wiedział tego i zapytał, dlaczego ją to interesuje. Okropnie zakłopotana własnym kłamstwem, była pewna, że musiał dostrzec jej zmieszanie, on jednak niczego nie zauważył.

- Sam widzisz, nie miałam pojęcia o jego siostrach. Kiedy pracuje się nad czymś takim, widzi się sprawę, lecz traci z oczu człowieka. Może jeśli rzucę okiem na jego rzeczy, zdołam go lepiej poznać.

Leyton nic nie odpowiedział. Weszli razem do sali ogólnej. Russ Daigle wskazał pudło z rzeczami Riggia stojące pod jego biurkiem. Szafka zmarłego również została opróżniona; jego bluzy, zmiana ubrania i przybory toaletowe zapakowano w torby i złożono w pudle. Czekały na jego siostry.

Starkey zaniósła pudło do szatni, bo chciała być sama. Buck wykazał się niezwykłą starannością przy pakowaniu rzeczy zmarłego kolegi. Ołówki i pióra związane gumką i włożono do kubka z nadrukiem sekcji pirotechnicznej wydziału policji Los Angeles. Między dwa czasopisma poświęcone łodziom motorowym i broszurowe wydanie powieści Jamesa Pattersona włożono niewielki plik zdjęć. Jedno przedstawiało Riggia na motocyklu, inne jako żołnierza piechoty morskiej, trzy ukazywały go pozującego do fotografii z wieńcem zabitego jelenia. Starkey przypomniała sobie, że Riggio był zapa-

lonym myśliwym; przechwalał się, że jest lepszym strzelcem niż jego dwaj kumple z wydziału antyterrorystycznego, z którymi co roku polował. Wątpiła, by któryś z nich miał go przez zawiść zamordować. Cywilne ubranie, w którym prawdopodobnie przyszedł do pracy w dniu śmierci, starannie złożono na wierzchu. Telefon komórkowy Motoroli owinięto w czarny podkoszulek, by nie doznał szwanku. Nie znalazłszy wśród ubrań portfela, Starkey doszła do wniosku, że Charlie miał go prawdopodobnie w kieszeni munduru. Leżał pewnie nadal w biurze koronera lub został już zwrócony najbliższej rodzinie. Obejrzenie zawartości pudła zajęło jej tylko kilka minut. Miała nadzieję znaleźć kalendarz na biurko albo terminarzyk, które dałyby jej wgląd w życie Charliego w kilku ostatnich miesiącach, ale na nic takiego nie natrafiła. Była zaskoczona, jak niewiele przedmiotów osobistych Riggio przynosił do pracy.

Odniosła pudło do sali ogólnej i wsunęła pod opróżnione biurko.

Russ Daigle ze zgnębiałą miną pokiwał głową.

- Smutne, prawda?

- Cóż zrobić, Russ. Czy rodzina wyznaczyła już datę pogrzebu?

- Nie, koroner nie wydał im jeszcze ciała.

Nie wiedziała o tym. Była tak zajęta śledztwem, że ta okoliczność jej umknęła.

Daigle wrócił do papierkowej roboty, garbiąc nad czarnym białem barczyste ramiona. Jego siwe włosy były krótko ostrzyżone, kark pomarszczony i szczeciniasty. Najstarszy z techników bombowych pracował w wydziale najdłużej ze wszystkich. Rok temu przyszedł do jednostki przeniesiony z Metro, elitarnej jednostki mundurowej, oficer Tim Withers. Był to zadziorny młody twardziel, który uparł się nazywać Russa „Tatusiem”, choć ten prosił go wielokrotnie, by tego zaprzestał. Withers jednak uparcie tytułował go „Tatusiem”, aż pewnego ranka Russ Daigle dał mu na parkingu w zęby, jednym ciosem zwalając młodzieńca z nóg. Po tym incydencie Withers wrócił tam, skąd przyszedł.

- Hej, Russ?

Obejrzał się.

- Byłeś w Silver Lake, kiedy to się stało?

- Nie, w domu. Choć chciałoby się być na miejscu, kiedy coś takiego się przydarza. Człowiek ma wrażenie, że mógłby pomóc. Ty też się tak czujesz?

- Mhm.

- Wszystko dobrze, Carol? Wyglądasz, jakby coś cię gryzło.

Odeszła bez odpowiedzi, w nagłym przypiływie paniki. Poczła się jak w jaskini zbójców i znienawidziła samą siebie za podobną myśl. Russ Daigle był szczęśliwy w małżeństwie, miał czwórkę dorosłych dzieci i dziewięcioro wnucząt. Fotografie całej rodziny stały rządkiem na jego biurku. Przypuszczenie, że mógłby zamordować Charliego Riggio, było absurdalne.

- Carol?

Nie obejrzała się.

Opuściła Glendale, nie wiedząc, dokąd ma jechać ani czym się zająć. Niepokojący objaw. Praca śledczego przypomina pracę pirotechnika. Wymaga koncentracji. Należało mieć jasny cel i konsekwentnie do niego zmierzać, nawet gdy człowiek ociekał krwawym potem.

Gdyby chodziło o zwykłe śledztwo, wypytałaby współpracowników Riggia o jego kolegów i znajomych; w tej sytuacji nie mogła tego zrobić. Zastanawiała się, czy nie skontaktować się z antyterrorystami, z którymi polował, ale obawiała się, że wiadomość o tym mogłaby przeniknąć do wydziału pirotechnicznego.

Leyton powiedział, że Riggio miał dwie siostry. Postanowiła od tego zacząć.

Każda książka raportów zawierała stronę poświęconą ofierze. Nazwisko, adres, rysopis, tego rodzaju dane. W noc po śmierci Riggia Starkey zleciła zebranie tych informacji Hookerowi, a on jak zwykle rzetelnie wywiązał się z zadania. Spojrzała teraz na stronę poświęconą ofierze i dowiedziała się, że Charles miał dwie siostry, jedną młodszą, drugą starszą od niego, Angelę Weilów i Marie Riggio. Starsza, Angela, mieszkała w Northridge, niedaleko od domu Charliego w Canoga Park. Druga - w Torrance, na południe od Los Angeles.

Starkey zadzwoniła do Angeli Weilów. Przedstawiła się i złożyła kondolencje.

Angela miała głos czysty, ale przygaszony. Jorge zanotował, że liczyła trzydzieści dwa lata.

- Pracowała pani z Charliem?

Carol wyjaśniła, że kiedyś tak, ale teraz jest zatrudniona jako detektyw od zamachów bombowych w wydziale terroru kryminalnego.

- Pani Weilów, jest kilka...

- Mów mi Angela. Dzieci bez przerwy nazywają mnie „panią” i już mi to zbrzydło. Byłaś koleżanką Charliego, nie chcę, żebyś mówiła mi „pani”.

- Mieszkasz niedaleko mieszkania Charliego, prawda?

- Zgadza się. O dwa kroki.

- Czy ktoś z policji już z tobą rozmawiał?

- Nie, ze mną nie. Ktoś zadzwonił z wiadomością o Charliem do moich rodziców, a oni skontaktowali się ze mną. Mieszkają w Scottsdale. Ja zadzwoniłam do siostry.

- Dzwonię dlatego, że mieszkałaś tak blisko brata. Sądzymy, że Charlie ma w domu akta potrzebne nam w dwóch innych sprawach. Prawdopodobnie zabrał je do siebie, a teraz bardzo by się nam przydały. Czy mogłybyśmy się spotkać w jego mieszkaniu? Może by mi się udało je odnaleźć.

- Charlie miał jakieś akta?

- Raporty pirotechniczne z dawniejszych spraw. Nie mają nic wspólnego z Silver Lake, lecz są nam teraz potrzebne.

W głosie Angeli pojawił się ton irytacji.

- Właśnie u niego byłam. Chodzę tam codziennie i usiłuję pakować jego rzeczy. Cholerny świat!

Starkey postanowiła być nieustępliwa, choć czuła się podle z powodu kłamstw, jakimi raczyła tę kobietę.

- Rozumiem twoje uczucia, Angelo, ale naprawdę pilnie potrzebujemy tych akt.

- Kiedy byś chciała tam zajść?

- Choćby zaraz. Prawdę mówiąc, im prędzej, tym lepiej.

Umówiły się za godzinę.

Przedarcie się przez korki do Northridge, kawał w stronę San Fernando Valley, zajęło Starkey niemal tyle właśnie czasu.

Blok, w którym znajdowało się mieszkanie Riggia, stał przy ruchliwej ulicy trzy przecznice na południe od campusu Uniwersytetu Kalifornijskiego. Było to wielkie gmazysko, tynkowany kolos o podwyższonym standardzie, najprawdopodobniej odbudowany po wielkim trzęsieniu ziemi w 1994 roku. Starkey zaparkowała samochód przy czerwonej linii i podeszła do oszklonego wejścia, przed którym umówiła się z Angelą. Jakieś dwie młode dziewczyny, wychodzące z domu z paczkami książek, przytrzymały dla niej uprzejmie drzwi, ale podziękowała im machnięciem ręki, dodając, że umówiła się z kimś na zewnątrz. Uśmiechnięta odprowadzała je z wzrokiem, gdy oddalały się w stronę campusu. Wymarzone miejsce dla kogoś takiego jak Charlie. W środku był najpewniej basen, jacuzzi, a pewnikiem i salon gier z bilardem, co wieczór odbywały się tu sąsiedzkie przyjęcia na świeżym powietrzu i aż roilo się od dziewcząt.

Szklane drzwi otworzyły się po chwili i wyjrzała z nich szczupła kobieta z typową dla młodych matek udręczoną miną. Na rękę trzymała chłopczyka, najwyżej czteroletniego.

- Detektyw Starkey?
- Pani Weilów? Przepraszam, Angela?
- Tak.

Angela Weilów musiała zaparkować samochód w podziemnym garażu i weszła na górę wewnętrznym przejściem. Starkey pokazała jej odznakę, po czym ruszyła za swoją przewodniczką przez wewnętrzny dziedziniec, a następnie schodami do mieszkania na pierwszym piętrze. Chłopczyk miał na imię Todd.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Mój starszy syn wraca o trzeciej ze szkoły.

- Nie powinno, Angelo. Dziękuję, że poświęciłaś mi czas.

Mieszkanie Riggia mieściło się na poddaszu; było piękne, wysokie, z dwiema sypialniami i bajecznym telewizorem z ogromnym ekranem w salonie. Ze ściany patrzyła na Starkey wypchana głowa jelenia. Zaciekawiło ją, czy to ten sam jeleń, którego widziała na fotografii. Kanapa była obstawiona

wielkimi kartonowymi pudłami, a jeszcze więcej stało ich w kuchni. To musiało być smutne zadanie pakować rzeczy zmarłego.

Angela postawiła chłopczyka na podłodze, a ten natychmiast podbiegł do telewizora jak do najbliższego, zaufanego przyjaciela.

- Jak wyglądają te wasze akta? Może gdzieś wpadły mi w oczy.

Starkey aż się skuliła, że znowu musi posłużyć się kłamstwem.

- Takie segregatory z trzema pierścieniami. Prawdopodobnie czarne.

Angela przyjrzała się pudłom, jakby usiłowała sobie przypomnieć, co które zawiera.

- Nie, chyba sobie nie przypominam. Tu są głównie jego ubrania i trochę rzeczy z kuchni. Charlie nie miał tu gabinetu. Na piętrze jest sypialnia. W drugiej urządził sobie siłownię.

- Pozwolisz, że tam zajrzę?

- Proszę, ale naprawdę nie mam zbyt wiele czasu.

Starkey miała nadzieję, że będzie mogła wejść sama do sypialni Riggia, ale Angela wzięła malca na ręce i poszła schodami przodem.

- Tędy, pani detektyw.

- Przepraszam, że o to pytam, ale czy byliście sobie z Charliem bliscy?

- Bliższa mu chyba była Marie, najmłodsza z naszej trójki, ale ogólnie jesteśmy kochającą się rodziną. Dobrze znałaś Charliego?

- Nie tak dobrze, jak bym chciała. Kiedy zdarza się podobne nieszczęście, zawsze żałujemy, że zmarnowaliśmy czas.

Angela nie odpowiedziała, dopóki nie weszły na piętro.

- To był dobry chłopak. Trzymały się go czasem głupie żarty, ale był dobrym bratem.

Pościel z łóżka została już zdjęta. Na podłodze piętrzyły się kolejne pudła, niektóre jeszcze puste, inne już częściowo wypełnione. Pod ramę lustra stojącej przy ścianie komody

zatknięto kolekcję zdjęć. Większość przedstawiała parę starych ludzi, w których Starkey domyśliła się rodziców Riggia.

- To wasza siostra?

- Tak, Marie. A to nasi rodzice. Nie usunęliśmy dotychczas tych zdjęć. To nie jest łatwe.

Chłopczyk otworzył jedno z pudeł i włożył do środka. Angela usiadła na brzegu łóżka, nie spuszczać dziecka z oka.

- Myślę, że możesz zajrzeć do tych pudeł. Są tam głównie ubrania, ale pamiętam też jakieś papiery, książki i takie tam.

Gdy Carol wzięła się do przeglądania pudeł, starała się w miarę możliwości zasłaniać Angeli widok. Mając siostrę Riggia tuż za plecami, doszła do wniosku, że gdyby nawet w tych pakach kryło się coś interesującego, nie zdoła tego znaleźć. Natknęła się na gruby album ze zdjęciami, który chętnie by przejrzała, potem na blok biurowy, w kącie pokoju zaś dostrzegła komputer Macintosha, którego pamięć mogła niejedno przechowywać. Tyle tego było, a ona grzebała w pudłach pod fałszywym pozorem, czując na plecach pełne wyrzutu spojrzenie osieroconej siostry. Co za idiotyczny, żaloszny sposób prowadzenia śledztwa!

- Byłaś pirotechnikiem jak Charlie?

- Kiedyś. Teraz jestem detektywem od zamachów bombowych.

- Mogę cię w związku z tym o coś zapytać?

- Ależ oczywiście.

- Nie chcą nam wydać ciała Charliego. Nie pozwolili go nawet zobaczyć. Nie mogę się opędzić od różnych wyobrażeń, rozumiesz, co mam na myśli? Nie pojmuję, dlaczego go nam nie oddają.

Starkey obróciła się do Angeli ze współczuciem.

- Czy jego, no wiesz, rozerwało?

- Nie o to chodzi. Nie powinnaś się tym zadreżać.

Pani Weilów kiwnęła głową i odwróciła wzrok.

- No cóż, człowiek różne rzeczy sobie wyobraża, tym bardziej że nic nam nie mówią.

Starkey woląa zmienić temat.

- Czy Charlie opowiadał wam o swojej pracy?

Angela uśmiechnęła się i otarła oczy.

- Mój Boże, o niczym innym nie mów! Nie można mu było zamknąć ust. Akcje w terenie wyolbrzymiał do rozmiarów wybuchów jądrowych albo obracał w żart. Lubił opowiadać, jak to kiedyś wyjechali do podejrzanego pakunku, który ktoś zostawił przed zakładem fryzjerskim. Charlie zagląda do środka i widzi, że to ludzka głowa, tylko głowa. Kiedy jego dowódca zapytał, co jest w pudełku, Charlie odpowiedział, że fryzjer chyba za dużo ściał od góry.

Starkey uśmiechnęła się. Nigdy nie słyszała tej historii i pomyślała, że Riggio prawdopodobnie ją zmyślił.

- Charlie uwielbiał pracę w sekcji pirotechnicznej. Kochał swoich kolegów. Mówił, że są jak rodzina.

Starkey potaknęła; pamiętała dojmujące uczucie straty, gdy przyszło jej stamtąd odejść. A teraz podejrzewała któregoś z członków tej rodziny o morderstwo.

Kiedy skończyła z pudłami, przejrzała jeszcze komodę i szafę, lecz nie znalazła niczego ciekawego. Straciła wiarę, że pracując w pojedynkę, zdoła odkryć coś, co pomogłoby ustalić motyw zabójstwa Riggia. Może zresztą nie ma i nigdy nie było niczego do odkrycia ani do ustalenia.

- Hmm, chyba się pomyliłam co do tych raportów. Wygląda na to, że Charlie jednak nie przyniósł ich do domu.

- Żałuję.

Starkey nie wiedziała, co by tu jeszcze powiedzieć, o co by jeszcze zapytać; zrezygnowana, gotowa już była dać za wygraną i wyjść. Angela podkreślała wcześniej z naciskiem, że spieszy się do domu, bo czeka na powrót syna, tymczasem jakoś nie kwapiła się do odejścia.

- Czy mogę cię jeszcze o coś spytać, Carol?

- Oczywiście.

- Czy ty i Charlie byliście parą?

- Nie. Nawet nie wiedziałam, że miał dziewczynę.

Zerknęła na fotografie zatknięte wokół ramy lustra: Riggio

z rodzicami, Riggio z siostrami, Riggio z siostrzeńcami i siostrzenicami.

- Miał, ale nigdy nam jej nie przedstawił. Taki przystojny włoski chłopak; spodziewałabyś się, że szybko się ochajtnie i będzie miał furę dzieci. Rodzice wciąż wiercili mu o to dziurę w brzuchu. No wiesz: kiedy się wreszcie ożenisz, kiedy ty się wreszcie usatkujeś, kiedy wreszcie poznamy tę pannę?

- I co on na to?

Angela sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- No cóż, z niektórych jego wypowiedzi wywnioskowałam, że ta panna była mężatką.

- Aha.

Angela pokiwała głową.

- No właśnie: „Aha”.

- Przepraszam. Nie chciałam, by tak to zabrzmiało.

- Nie szkodzi, rozumiem cię. Takie rzeczy się zdarzają, prawda? Myślę, że to było dla Charliego trudne. Młody, przystojny chłopak, trochę zanadto kochliwy. Obawiam się, że ona była żoną kogoś, z kim pracował.

Angela spojrzała Starkey w oczy, jakby czekając na jej reakcję, lecz szybko odwróciła wzrok.

- Nie powinnam chyba tego mówić, ale skoro to nie ty, pomyślałam, że możesz ją znać. Bo, widzisz, chciałabym z nią porozmawiać. Nie robiłabym kłopotów jej mężowi, nic z tych rzeczy. Pomyślałam po prostu, że mogłybyśmy porozmawiać o Charliem. Kto wie, może nam obu przyniosłoby to ulgę.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mam pojęcia, o kogo chodzi.

Starkey zastanowiła się, czy przypadkiem album nie zawiera fotografii, których Riggio wołał nie wtykać za lustro.

Angela zerknęła nagle na zegarek i zerwała się z miejsca.

- O, psiakość! Teraz jestem naprawdę spóźniona. Przepraszam, ale muszę już pędzić. Mój syn będzie niedługo w domu.

- W porządku. Rozumiem.

Starkey zeszła za Angela z antresoli; myślała już tylko

o tym, w jaki sposób mogłaby bez świadków przejrzeć album Riggia.

Nim doszły do drzwi, Todd zaczął się wiercić w ramionach matki. Był zmęczony, kapryśny i senny. Ujrawszy, jaki kłopot sprawia Angeli, Starkey odebrała z jej rąk klucze.

- Pozwól, ja zamknę. Ty zajmij się małym.
- Łatwiej rybę utrzymać w rękach.

Carol przepuściła Angelę przodem. Udała, że zwalnia zasuwkę zamka zatraskowego, ale naprawdę ją zablokowała. Poruszyła klamką, jakby sprawdzała, czy drzwi są dobrze zamknięte. Ponieważ Angela nadal miała urwanie głowy z przeginającym się w jej ramionach malcem, Starkey wrzuciła jej klucze do torebki.

- Jeszcze raz dzięki za pomoc. Trochę mi głupio, że niepotrzebnie cię fatygowałam. Byłam pewna, że Charlie zabrał te akta do domu.

- Zadzwoń, gdyby się znalazły.

Angela odprowadziła Starkey pod szklane drzwi wejściowe i otworzyła je kluczem. Carol poszła do samochodu, wsiadła, lecz nie włączyła silnika. Serce biło jej jak oszalałe. Miała świadomość, że waży się na czyste szaleństwo. Gorzej: przestępstwo. Gdyby dostał ją w swoje ręce prokurator, oskarżyłby ją o włamanie.

Pięć minut później Angela Weilów wyjechała z podziemnego garażu białą hondą accord i skręciła na południe. Starkey wyrzuciła przez okno papierosa i ruszyła ku szklanym drzwiom w chwili, gdy przeciskał się przez nie jakiś młody człowiek z rowerem górskim i torbą wypchaną książkami. Przytrzymała skrzydło drzwi, by ułatwić mu ewakuację.

- Nie spóźnij się na zajęcia, synku.
- Zawsze się spóźniam. Za późno się urodziłem.

Starkey weszła spokojnie na pierwsze piętro i otworzyła drzwi do mieszkania Riggia. Pokonując po dwa stopnie, wbiegła do sypialni na antresoli i rzuciła się na album ze zdjęciami. Ponieważ szukała teraz śladów tajnego romansu, interesowała ją również billingi i rachunki za rozmowy telefoniczne, nie

wiedziała tylko, w którym znajdują się pudle, a była zbyt wystraszona, by tracić czas na ich poszukiwanie. Uśmiechnęła się smętnie; może i była nieustraszonym pirotechnikiem, ale włamywaczem z pewnością tchórzliwym. Nie odważyła się przeglądać albumu tu na miejscu. Był bardzo gruby i mieścił zbyt wiele fotografii.

Zabrała album, zatrzasnęła za sobą drzwi mieszkania, tym razem naprawdę, i zbiegła do samochodu. Pojechała prosto do domu, chowając album pod żakietem, jakby zawierał zdjęcia pornograficzne.

Usiadła przy stole w jadalni i zaczęła powoli przewracać strony. Powtarzała sobie, że szansę powodzenia ma właściwie zerową, że Angela Weilów najpewniej się myliła w podejrzeniach, że jutro znajdzie się znowu w punkcie wyjścia i sama będzie musiała dźwigać brzemień świadomości, że za śmierć Charliego Riggio nie odpowiada Mister Red, lecz ktoś całkiem inny.

Kolejne strony ukazywały sceny z życia zmarłego: oto Charlie grający w futbol w ogólniaku, Charlie w gronie kolegów, Charlie z pięknymi dziewczynami, które stanowczo nie wyglądały na żony policjantów, Charlie na polowaniu, Charlie w Akademii Policyjnej, Charlie z rodziną. To były radosne fotografie; takie, jakie się chętnie przechowuje, bo przypominają o najlepszych chwilach i wywołują uśmiech.

Dopiero na jednej z ostatnich stron znalazła zdjęcie zrobione na ubiegłorocznym konkursie na potrawę z chilli, zorganizowanym przez sekcję pirotechniczną. I drugie podobne, z przyjęcia bożonarodzeniowego, a potem, dwie strony dalej, trzecie, wykonane na ogrodowym party, które Kelso urządził dla wydziału w święto Czwartego Lipca.

Starkey wyrwała te fotografie z albumu i położyła je rzędem na stole. Nie mogła uwierzyć, by naprawdę oznaczały to, co oznaczały. Przekonywała samą siebie, że to niemożliwe, że jest w błędzie, że wyciąga nieuprawnione, zbyt daleko idące wnioski. Niestety, słowa Angeli Weilów dźwięczały jej w głowie jak wyrok skazujący.

„...była żoną kogoś, z kim pracował”.

Wszystkie trzy zdjęcia były podobne, przedstawiały kobietę i mężczyznę, objętych, roześmianych, trochę nazbyt ciasno przytulonych, trochę zanadto zżytych, zanadto zaprzyjaźnionych.

Charliego Riggia i Suzie Leyton.

Żonę Dicka Leytona.

Nalała do szklanki dzinu z tonikiem i wypila duszkiem. Czowała gniew, czuła się zdradzona. Leyton jako podejrzany nie mieścił się w granicach jej wyobraźni. Sama ta myśl dosłownie ją powalała. Postanowiła podejść do tego tak, jakby Leyton był po prostu jednym z elementów śledztwa. Nie miała innego wyjścia.

Przejrzała własny zbiór fotografii i znalazła zdjęcie Leytona zrobione na letnim obozie młodzieżowym wydziału policji Los Angeles. Wyrazne zbliżenie przedstawiało Leytona w cywilnym ubraniu i okularach przeciwsłonecznych. Pojechała z tym zdjęciem do zakładu ksero i zrobiła kilka kopii, tak długo ustawiając kontrast, aż uzyskała najlepszą rozdzielczość obrazu. Potem wróciła do domu i zadzwoniła do Warrena Muellera, choć nie spodziewała się, prawdę mówiąc, że zastanie go w biurze. Ku jej zaskoczeniu odebrał po pierwszym sygnale.

- Chciałabym pana prosić o pewną przysługę, sierżancie. Mam tu jedno zdjęcie i chciałabym, żeby je pan pokazał temu starszukowi z bliźniaka Tennanta.

- Zdjęcie naszego ptaszka?

- Niewykluczone. Chodzi jednak o to, że nie chcę, by ktokolwiek inny je zobaczył. Chcę, żeby ta sprawa została między nami.

Zawahał się.

- Nie bardzo mi się to podoba.

- Mam nadzieję wytropić źródło pochodzenia RDX Tennanta. Nie mogę panu na razie powiedzieć nic więcej i proszę, by mnie pan o nic nie pytał.

- Wszystko, co pani dotychczas powiedziała, każe mi zapytać, kogo przedstawia to zdjęcie?

- Niech pan posłucha, Mueller, jeśli to dla pana zbyt trudne, przyjadę i sama się tym zajmę.

- Chwilunia, spokojnie...

- Na zdjęciu jest ktoś, kto zostałby strasznie skrzywdzony, gdybym się myliła, a mogę się mylić. Do cholery, proszę pana o przysługę! Więc?

- Ten facet z fotografii to ktoś od was?

Milczała.

- Dobra. Zajmę się tym. Zdaje sobie pani sprawę, w co się pani pakuje, Starkey? Uniesie pani ten ciężar?

- Uniosę.

- Dobra, niech pani przefaksuje ten obrazek. Ale jeśli chce go pani przedstawić jako dowód w sądzie, będę musiał okazać świadkowi klasyczny zestawik.

Portretu podejrzanego nigdy nie pokazywało się świadkowi pojedynczo, zawsze w zestawie sześciu zdjęć, z nadzieją, że wskaże to właściwe. Sądy przykładały do tej procedury wielką wagę.

- Dobrze. I jeszcze jedno. Jeśli zdobędziemy potwierdzenie pańskiego świadka, będę chciała zobaczyć się w tej sprawie z Tennantem. Najlepiej jutro.

Mueller odchrząknął nerwowo.

- Do diabła, Starkey, widzę, że pani nic nie wie! Tennant nie żyje. Zadzwońłem dzisiaj do Atascadero, bo chciałem go przesłuchać w sprawie warsztatu. Ten idiota znowu spowodował wybuch, urwało mu ręce i w następstwie wykrwawił się na śmierć.

Zdębiała.

- Urwało mu ręce? Obie?

Energia potrzebna do takiego okaleczenia była ogromna.

- Mhm. Strażnik, z którym rozmawiałem, powiedział, że jego cela przypominała jatkę.

- Czym się posłużył, Mueller? Cholera, nie można sfabrykować tak potężnego ładunku z proszku do prania!

- Wydział materiałów wybuchowych naszego szeryfa przeprowadza analizy. Myślę, że za parę dni poznamy odpowiedź. Cokolwiek się jednak okaże, może pani zapomnieć o świadku nazwiskiem Dallas Tennant. Ten pojebaniec będzie odtąd milczał naprawdę jak grób.

Nie od razu mu odpowiedziała.

- Przefaksuję panu to zdjęcie. Gdyby nie wyszło wyraźnie, proszę oddzwonić, spróbuję ponownie.

Podawała mu numer domowego telefonu.

- Jestem pana dłużniczką, sierzancie. Dzięki.

- Zapamiętam to sobie, możesz być pewna, laleczko.

- Mueller, jest pan najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego znam.

- Oho, zaczyna się już pani na mnie napalać, co?

- Mhm, jak cholera.

Po minucie przefaksowała mu kopię zdjęcia Leytona. Czekwała przy telefonie, a gdy nie oddzwonił, doszła do wniosku, że zdjęcie dobrze wyszło.

Nie miała pojęcia, co robić dalej. Mogłaby pokazać zdjęcie Lesterowi Ybarrze, ale gdyby chłopak wygadał się przed Marzik, miałyby się z pyszna. Musiała dowieść, że Leyton znajdował się w Silver Lake w chwili wybuchu, w tym jednak celu musiałyby przepytac kolejne osoby, czego robić stanowczo nie powinna. Wiedziała, że był na miejscu, kiedy tam dotarła, lecz czy również w momencie, gdy nastąpiła eksplozja?

Jej spojrzenie biegło co chwila do komputera czekającego na stole w jadalni. Nie włączała go od ostatniej nocy. Miała wrażenie, że ją obserwuje.

„Ja nie zabiłem Charlesa Riggio.

Wiem, kto to zrobił”.

Zapaliła papierosa, wyszła do kuchni i zrobiła sobie kolejnego drinka. Abstynencja trwała więc tylko dwa dni. Wróciła do jadalni, włączyła komputer i zalogowała się do Klaudiusza.

Tym razem Mister Red na nią nie czekał. Pokój rozmów był pusty. Popijała drinka, paliła i czytała komunikaty. Były nowe wiadomości, nie wykraczające jednak poza typową pap-

MR RED: Nie zrobisz tego, Carol. Masz do mnie pytania.

Istotnie miała. Zaciągnęła się papierosem i wystukała pierwsze:

NABUZOWANY: Kto zabił Riggia?

MR RED: Więc nie ja?

NABUZOWANY: Tak twierdzisz.

MR RED: Jeśli ci powiem, nici z niespodzianki .

NABUZOWANY: Sama już to wiem. Chcę tylko sprawdzić, czy znamy te same odpowiedzi .

MR RED: Gdybyś naprawdę wiedziała, aresztowałabyś gościa. Podejrzewasz, ale pewności nie masz . Powiedziałbym ci, gdybyśmy byli sami, ale w pokoju pełnym glin...

Roześmiała się, rozbawiona sposobem, w jaki usiłował ją podejść.

NABUZOWANY: Właśnie wyszli . Zostaliśmy sami .

Ponownie się zawahał, a ona zadrżała z nadziei, że może naprawdę to powie.

MR RED: Czyżby? Naprawdę sami?

NABUZOWANY: Naprawdę.

MR RED: W takim razie zdradzę ci sekret.
Ale tylko między nami .

NABUZOWANY: Słucham?

Czekała, ale odpowiedź się nie pojawiała. Myślała początkowo, że wystukuje długi tekst, ale po kilkunastu minutach zorientowała się, iż on pragnie, aby zaczęła go błagać. Miał niepohamowaną potrzebę dominacji i manipulacji.

NABUZOWANY: Co to za sekret, Szkarłatny Chłopcze? Umieram z ciekawości .

MR RED: Nie chodzi o Riggia.

NABUZOWANY: Więc o kogo?

MR RED: Zesrasz się ze strachu.

NABUZOWANY: O KOGO CHODŹ I ?

Odpowiedź pojawiła się dopiero po kolejnej przerwie.

MRRED: Pell nie jest tym, za kogo się podaje. On się tobą wysługuje, Starkey. Napuszcza nas na siebie.

To oświadczenie spadło jak grom z jasnego nieba, wstrząsnęło nią niczym zderzenie czołowe.

NABUZOWANY: Co masz na myśli?

Nie odpowiedział.

NABUZOWANY: Co to znaczy, że Pell nie jest tym, za kogo się podaje?

Żadnej odpowiedzi.

NABUZOWANY: Skąd wiesz o Pellu?
Zero reakcji.

NABUZOWANY: Odpowiedz!

Żadna odpowiedź jednak nie nadeszła. Okno wiadomości wisiało niemo na ekranie. Oświadczenie Reda, że Pell nie jest tym, za kogo się podaje, przeraziło Carol. W pierwszym odruchu chciała do niego zadzwonić, ale nagle poczuła, że znalazła się między młotem a kowadłem: z jednej strony Mister Red, z drugiej Pell.

Kiedy jeszcze służyła w wydziale pirotechnicznym, ATF utrzymywał oficera łącznikowego z wydziałem policji Los Angeles, który urzędował w gmachu ich komendy. Trzy tygodnie po powrocie Starkey z centrum szkoleniowego techników bombowych w Alabamie Sugar poznał ją z tym oficerem. Regal Phillips był starszym mężczyzną z nadwagą i miał ciepły, przyjazny uśmiech. Przeszedł na emeryturę pod koniec pierwszego roku pracy Starkey w sekcji. Współpracowali ze sobą raczej rzadko, ale Sugar starszego pana wprost uwielbiał, a Carol czuła, że to sympatia wzajemna i obustronnie głęboka. Phillips odwiedził ją dwukrotnie, kiedy leżała w szpitalu, i obie wizyty zakończyły się jego płaczem na wspomnienie zmarłego przyjaciela.

Ostatni raz Starkey widziała Regala właśnie podczas tej drugiej wizyty, przed blisko trzema laty. Nie zadzwoniła do niego po wyjściu ze szpitala, bo zanadto jej przypominał o Sugarze, a to zbyt bolało.

Słuchając sygnału jego telefonu po upływie tak długiego czasu, czuła palący wstyd.

Wreszcie podniósł słuchawkę.

- Cześć, Reege, tu Carol Starkey.
- Chryste, dziewczyno, co się z tobą dzieło?! Już myślałem, że przestałaś się odzywać do czarnych ludzi.

W jego ciepłym po dawnemu głosie dała się słyszeć jedynie nutka zdziwienia.

- U mnie wszystko dobrze. Pracuję. Obecnie w wydziale terroru kryminalnego.

- Słyszałem. Wciąż mam tam przyjaciół. Nie tracę cię z oka, córeczko.

Roześmiał się miękko. Wyczuła w tym śmiechu tyle sympatii i oddania, że o mało nie spaliła się ze wstydu.

- Słuchaj, Reege, naprawdę ogromnie mi przykro, że tak długo się z tobą nie kontaktowałam, ale to było dla mnie trudne.

- W porządku, Carol. Nie tylko dla ciebie świat wywrócił się tamtego dnia do góry nogami.

- Słyszałeś o Charliem Riggio?

- Tyle co w dziennikach. Prowadzisz to śledztwo?

- Tak. Trochę mi głupio, bo mam do ciebie nietypową prośbę.

- Słucham.

- Pracuję z agentem ATF, który... jak by tu powiedzieć?... nie wzbudza we mnie zbyt dużego zaufania. Przyszło mi do głowy, czy nie mógłbyś się czegoś dowiedzieć na jego temat. Wiesz, co mam na myśli...

- Nie, Carol, nie bardzo.

- Chciałabym wiedzieć, kto to taki, Reege. No wiesz, chciałabym, żebyś sprawdził, czy mogę mu ufać.

- Jak się nazywa?

- Jack Pell.

Phillips powiedział, że to może mu zająć parę dni, ale wkrótce się do niej odezwie. Podziękowała, odłożyła słuchawkę i zgasiła światła. Nie poszła jednak spać. Nie położyła się nawet do łóżka. Siedziała w ciemności na kanapie i czekała na świt. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że mężczyzna, któremu tak mało ufa, tyle dla niej znaczy?

Pell

Po wyjściu z baru Barrigana, gdzie spotkał się z Carol, Pell musiał zmrużyć oczy, oślepiiony ostrym słońcem Kalifornii. Świeciło tak jaskrawo, że miał wrażenie, jakby ktoś wbił mu między oczy ostrze siekiery. Nie zabezpieczyły przed jego promieniami nawet okulary przeciwsłoneczne.

Usiadł w samochodzie i zastanawiał się, co robić dalej. Udzieliło mu się przygnębienie Starkey, którego sam był

sprawcą. Przyznawał jej rację: miał istną obsesję na punkcie Mister Reda, ale miał też odłamek z wrytym jej nazwiskiem. Brała go ochota, by wyciągnąć rękę nad stołem i wszystko wyznać, powiedzieć całą prawdę. Chciał się przed nią otworzyć, ponieważ i on był zamknięty, a pomyślał, że tylko ona byłaby w stanie go zrozumieć, choć pewności nie miał. Chciał jej powiedzieć o sympatii, jaką zaczyna ją darzyć, ale w głowie miał tylko Mister Reda. Już nie wiedział, gdzie kończy się tamten, a zaczyna on sam.

Głowa pękała mu z bólu.

- Boże! Nie teraz...

Z tablicy rozdzielczej, z okien i maski samochodu zaczęły się wyrażać miękkie szare kształty.

Zdarzało się to coraz częściej i wiedział, że nie może liczyć na poprawę.

Starkey wyszła z domu dobrze przed świtem. Miała dość pustki cichych pokoiów, zamętu wewnętrznego w związku z Pellem i Leytonem i całego swojego zasranego życia. Stwierdziła, że lepiej zagrzebać się z głową w śledztwie.

Musiała ustalić, gdzie przebywał Dick Leyton w momencie wybuchu, i przyszło jej do głowy, że Hooker mógł to odnotować w książce raportów. Nie tracąc czasu na przysznic, zmieniła ubranie, zapaliła papierosa i wsiadła do samochodu.

Na Spring Street było cicho jak w grobie. Jej samochód stał jedyny na tym poziomie parkingu. Nawet sekcja zbiegów nie stawiała się jeszcze do pracy.

Mruknąwszy „a chromolę”, weszła do biura z papierosem. To wykroczenie przeciw regulaminowi zawsze mogła zwalić na sprzątaczkę.

Książka raportów leżała tam gdzie przedtem: na biurku Marzik. Hooker nie zanotował godziny przybycia Leytona, jedynie sam fakt jego obecności. Starkey wyciągnęła spod biurka kolegi pudło z taśmami wideo. Odnalazła kopię tej, którą przygotował dla nich Bennell, prócz tego taśmy o najszerszych kątach, i zaniósła to wszystko na górę do sali projekcyjnej. Tyle razy oglądała te cholerne zapisy, że znała je niemal na pamięć, ale szukała na nich wyłącznie mężczyzny w baseballówce. Nigdy dotąd nie wypatrywała gliniarzy.

Zgodnie z zapowiedzią Bennella jakość obrazu z domowego magnetowidu pozostawiała wiele do życzenia, mimo to Carol przejrzała taśmę, wypatrując na obwodzie kordonu Dicka Leytona. Pamiętała, że miał na sobie koszulkę polo i wyglądał tak, jakby przyjechał prosto z domu.

Obejrzała taśmę dwukrotnie, za każdym razem z tym samym skutkiem: Riggio podchodził do bomby, następował wybuch, Buck rzucał się, żeby ściągnąć partnerowi hełm. Starkey zrezygnowała z zamiaru odnalezienia Leytona w momentach poprzedzających eksplozję, ponieważ ujęcia były zbyt bliskie i niewyraźne. Skoncentrowała się na kilku minutach po wybuchu, doszedłszy do wniosku, że gdyby Leyton znajdował się na miejscu, podbiegłby, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest jego podwładny. Przewinęła taśmę do miejsca wybuchu. Przez blisko dwanaście sekund po eksplozji jedynymi osobami w kadrze byli Buck i Charlie. Potem z dołu obrazu podjechał do nich ambulans policyjny, z którego wyskoczyło dwóch sanitariuszy i zastąpiło Bucka. Cztery sekundy później od lewej strony kadru podbiegł samotny mundurowy policjant, a dwaj inni weszli w kadr z prawej strony. Policjant, który nadbiegł od lewej, najwidoczniej usiłował skłonić Bucka, żeby usiadł na ziemi albo się usunął, ale ten go odepchnął. Od dołu kadru wbiegło trzech kolejnych policjantów, lecz niemal natychmiast zawrócili, by odgonić dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Inni cywile weszli w kadr z prawej strony. Potem wjechał drugi ambulans, a za nim wbiegło jeszcze kilku ludzi. Dwie postaci miały chyba na sobie koszulki polo, ale Starkey żadnej z tych osób nie znała. Potem taśma raptownie się skończyła.

- Cholera!

Coś w obejrzanym materiale filmowym nie dawało Carol spokoju, lecz nie umiałyby powiedzieć, co to było. Coś zwróciło jej uwagę, ale sama nie wiedziała co. Odpowiedź kryła się na taśmie. Starkey przekłęła w duchu stację telewizyjną za to, że kamera nie pracowała dłużej, po czym wróciła do siebie.

Postanowiła porozmawiać z Buckiem. Wyszła z wydziału, zanim przybyli inni detektywi, i pojechała do Glendale. Nie wiedziała, czy Buck ma tego dnia służbę, więc zatrzymała się w przydrożnej restauracji, żeby poczekać do siódmej, kiedy przychodziła do pracy Louise Mendoza, dyżurna sekcji pirotechnicznej. Mendoza, która powinna chyba znać harmonogram dyżurów, zjawiała się zwykle przed technikami bombowymi.

Stanley zadzwoniła za pięć siódma.

- Cześć, Louise, mówi Carol Starkey. Czy Buck ma dzisiaj służbę?

- Jest w warsztacie. Chcesz, żebym cię z nim połączyła?

- Chciałam się tylko dowiedzieć, czy w ogóle dziś jest. Właśnie jadę, żeby się z nim zobaczyć.

- Zawiadomię go.

- Jeszcze jedno, Louise. Jest Dick?

- Owszem, ale jeśli chcesz z nim mówić, lepiej jeśli od razu cię połączę. Ma z samego rana jechać do centrali.

- Nie trzeba. To może poczekać.

Po kilku minutach Starkey wjechała na parking wydziału policji w Glendale. Znalazła Bucka i Russa Daigle'a w warsztacie, ceglany budynek na tyłach parkingu, gdzie członkowie wydziału prowadzili ćwiczenia obsługi wyrzutników pirotechnicznych i robotów. Stali właśnie nad robotem „Andrus” i z marsmem na czole popijali kawę. Uśmiechnęli się na widok byłej koleżanki.

- To świństwo ściąga w prawo. Kierujesz drania naprzód, a on ściąga w prawo. Masz pojęcie, dlaczego tak jest?

- Musi być republikaninem.

Daigle, zagorzały republikanin, zarechotał głośno.

- Buck, mogłabym cię prosić na słówko?

Buck podszedł do drzwi i oboje wyszli na dwór.

Powiedziała mu, że przyszła w sprawie podrasowanej taśmy. Jest gotowa i byłoby dobrze, gdyby rzucił na nią okiem.

- Mogę, jeśli chcesz, ale na tych, które do tej pory obejrzałem,

niczego nie zauważyłem. Cholera, nie wiem, jak zdołam to znieść po raz drugi...

Spróbowała skierować rozmowę na Leytona.

- Nie ma gwałtu. Może powinnam zapytać Dicka? Może on coś zauważył?

Daggett kiwnął głową.

- Powinnaś. Stał tuż za kordonem.

Ugięły się pod nią nogi. Powiedziała sobie, że musi się zachowywać jak profesjonalistka. Po to była policjantem.

- Kiedy się zjawił?

- Nie wiem, jakieś dwadzieścia minut przed eksplozją, coś koło tego.

- Pogadam z nim.

Szła przez parking i czuła się tak, jakby stąpała na szczytach wysoko nad ziemią. Z trudem wsiadła do samochodu; czuła się jak modliszka, która składa odnóża. Wszystko się rozsypywało. Carol wpatrywała się w budynek wydziału pirotechnicznego. Na piętrze mieściło się biuro Leytona. Pudło z rzeczami Charliego Riggio wciąż stało pod biurkiem Daigle'a. Pomyślała o jego telefonie komórkowym. Jeśli Riggio i Susan Leyton byli kochankami, prawdopodobnie często do niej dzwonił. Telefonował zapewne ukradkiem w ciągu dnia, kiedy Dick był w pracy, więc powinien pozostać po tych schadzkach na linii jakiś ślad w billingach. Zdziwiła się, z jaką obojętnością o tym pomyślała. Robiła po prostu kolejny krok w śledztwie. Było tak, jakby już nic się zbytnio nie liczyło, prócz zebrania dowodów, które mogłaby przedstawić Kelsowi, by wykazać, że Pell się myli.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Angeli Weilów. Tym razem powiedziała jej prawdę.

Siedziały z Angelą w jej cichym domu, przycupnąwszy na brzeżku wystrzępionej kanapy, a między nimi leżał album Riggia. Mały Todd spał na brzuchu na podłodze. Angela co

chwila spoglądała na album, jakby wyjaśnienie, które podała jej Starkey, nie całkiem ją zadowalało. Pocierała nerwowo udo.

- Ja już nic nie wiem. Nie wiem, co myśleć, kiedy ktoś mi mówi coś takiego. Chcesz powiedzieć, że Charliego zamordowano?

- Badam i taką ewentualność. Właśnie dlatego potrzebne mi są jego rachunki za telefon. Chcę wiedzieć, do kogo dzwonił.

Angela wpatrywała się w nią z napięciem. Starkey przeczuwała, co się zaraz stanie. Kiedy oddała album i przyznała, że wróciła do mieszkania Charliego, uciekając się do podstępu, Angela wysłuchiwała jej w milczeniu. Teraz miała je przerwać.

- Dlaczego mi wczoraj skłamałaś? Dlaczego nie powiedziałaś prawdy?

Starkey spróbowała patrzeć jej w oczy, ale nie zdołała.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Przepraszam.

- O Chryste Jezu!

Angela podeszła do synka i zaczęła mu się uważnie przyglądać, jakby nie była pewna, kto to taki.

- Co teraz powiem rodzicom?

Starkey nie podjęła wątku. Nie chciała się wikłać w szczegóły. Nie chciała zbaczać na manowce. Chciała iść naprzód, póki nie znajdzie rozwiązania, które będzie mogła przedstawić Kelsowi.

- Potrzebne mi są wydruki jego rozmów, Angelo. Czy mogłybyśmy tam pójść i ich poszukać?

- Todd? - Angela zwróciła się do synka. - Obudź się, skarbie. Musimy na chwilkę wyjść.

Wzięła na ręce śpiącego synka, po czym odwróciła się do Starkey z gniewnym wyrazem twarzy.

- Możesz ze mną jechać, ale nie życzę sobie, żebyś wchodziła do domu mojego brata.

*

Starkey blisko godzinę czekała przed domem Riggia, zanim Angela Weilów ukazała się w szklanych drzwiach z plikiem białych kopert.

- Trudno je było znaleźć. Przepraszam, że to tak długo trwało.

- Nie szkodzi. Jestem ci bardzo wdzięczna, Angelo.

- Nieprawda. Nie wiem, co robisz ani do czego zmierzasz, ale za mało mnie znasz, żeby być mi wdzięczną.

Angela zostawiła Starkey z kopertami w ręku i odeszła bez pożegnania.

Carol zapaliła papierosa i wypuściła gęstą chmurę dymu, która zawisła w samochodzie mimo otwartych okien. Lubiła smak tytoniu i samopoczucie, jakie dawał papieros. Nie rozumiała, o co tyle krzyku z tym paleniem. Wielkie mi rzeczy: rak...

Rozwinęła wydruki rozmów Charliego Riggio. To się rzucało w oczy. Wcale nie musiała znać telefonu domowego Leytonów. Charlie wykręcał ten sam numer z kierunkowym 323 dwa, trzy razy dziennie, a czasem nawet sześć i siedem razy, i tak z miesiąca na miesiąc.

Odłożyła wydruki, dopaliła papierosa i wyjęła komórkę. Jeszcze raz sprawdziła numer, po czym wystukała go na klawiaturze.

Znajomy kobiecy głos.

- Słucham?

- Witaj, Susan - powiedziała Carol. Czują śmiertelne znużenie.

- Przepraszam, a kto mówi?

Starkey zawahała się.

- Susan?

- Przykro mi, ale chyba wykręciła pani zły numer.

Starkey jeszcze raz sprawdziła numer, by się upewnić, czy wybrała właściwy. Nie pomyliła się.

- Mówi Carol Starkey. Czy rozmawiam z panią Susan Leyton?

- A, witam, detektyw Starkey. Niestety, wykręciłaś nie ten numer, skarbie. Tu Natalie Daggett.

Natalie Daggett zaniepokoiła się:

- Jesteś tam jeszcze? Halo!

Starkey ponownie sprawdziła numery telefonów. To był ten sam numer; wielokrotne codzienne rozmowy od miłoścy.

- Jestem. Przepraszam, Natalie. Dzwoniłam do kogoś innego. Za chwilę się pozbieram i oprzytomnieję.

Natalie roześmiała się.

- I mnie się zdarzają podobne pomyłki. Nie masz pojęcia, jak często.

- Będiesz w domu przez następną godzinę?

- Bucka nie ma. Wyszedł do pracy.

- Wiem. Chciałabym zobaczyć się z tobą. Nie zabiorę ci dużo czasu.

- A o co chodzi?

- Wpadłabym tylko na minutkę, Natalie.

- Ale o co chodzi?

- Chodzi o Bucka. Przygotowuję dla niego małą niespodziankę. To ma związek z tym, co spotkało Charliego. Przyjście powitalne.

- To w tej sprawie dzwoniłaś do Susan?

- Właśnie. Dick mi to podsunął.

- Ach, tak... No cóż, dobrze. Wpadnij.

- Będę za kilka minut.

- Czekam.

Starkey zamknęła komórkę i odłożyła ją na bok. Więc nie Dick, tylko Buck Daggett! Wciąż od nowa oglądała taśmę w poszukiwaniu mordercy, a on tymczasem stał na widoku, na pierwszym planie, i czekał, aż jego partner podejdzie do bomby. Carol pomyślała po raz kolejny o Danie i zjawisku złudzenia percepcji. Wszystko zajeżało od tego, jak patrzysz. Teraz uświadomiła sobie, co ją zastanowiło na oglądanej taśmie. Buck nie rozpoznał rejonu zagrożenia na wypadek następnego wybuchu. Powinien był odciągnąć Riggia, zanim rozpiął mu strój antywybuchowy, tak jak wtedy odciągnął Carol od przyczepy; widziała to na taśmie z nagraniem własnej śmierci. Riggia jednak nie odciągnął. Pirotechnikom wbijano w trakcie szkolenia do głów, by zawsze sprawdzali rejon pod kątem następnego urządzenia wybuchowego, ale Buck wiedział, że drugiego wybuchu nie będzie. Ta oczywistość wręcz kłuła w oczy, a jednak Starkey jej nie dostrzegła. Złudzenie percepcji.

Długa droga do Monterey Park nie zajęła jej dużo czasu, choć wcale się nie spieszyła. Była pewna, że Natalie nie ma pojęcia, iż mąż zamordował jej kochankę. Buck zbyt starannie zaplanował to morderstwo, by ryzykować przyznanie się do niego żonie, choćby tylko po to, żeby ją ukarać.

Odczuła ulgę, gdy wjechała na podjazd domu Daggettów i stwierdziła, że terenowej toyoty Bucka tam nie ma. W drodze do drzwi przybrała swoją najlepszą policyjną maskę, tę samą, którą przywołała na twarz, gdy miała pokazać temu ojcu z Venice kciuk jego małej córeczki.

Nacisnęła dzwonek.

Natalie wyglądała na zmęczoną. Starkey pomyślała, że prawdopodobnie nie spała tej nocy.

- Cześć, Natalie. Dzięki, że zgodziłaś się ze mną spotkać.

Weszła za gospodynią do małej jadalni, gdzie usiadły przy pustym stole. Kosiarka do trawy wciąż stała na podwórku. Buck dotąd nie przystrzygł trawnika. Podobnie jak poprzed-

nim razem, Natalie nie zaproponowała gościowi niczego do picia.

- Jaką to niespodziankę przygotowujecie?

Starkey wyjęła z torebki i położyła na stole rachunki telefoniczne. Natalie zagapiła się na nie cielejącym wzrokiem.

- Przepraszam, Natalie, ale nie przyjechałam do ciebie w sprawie przyjęcia. Przejrzałam rzeczy Charliego i znalazłam coś, o co chciałabym ciebie zapytać.

Dojrzała przestrach na twarzy Natalie, kiedy wymówiła imię Riggia.

- Myślałam, że chodzi o Bucka?

Carol przesunęła rachunki na stole w taki sposób, by Natalie mogła je przeczytać.

- To są rachunki za jego komórkę. Widzisz tu wasz numer? Widzisz, jak często dzwonił? Znam już odpowiedź na to pytanie, ale chciałabym usłyszeć ją od ciebie. Czy mieliście romans?

Natalie wpatrywała się w wydruki, nie dotykając ich. Siedziała całkiem nieruchomo, poczerwieniał jej tylko nos, a z oczu popłynęły łzy.

- Więc słucham, Natalie? Czy ty i Charlie kochaliście się?

Natalie kiwnęła głową. Wyglądała teraz na dwunastoletnią dziewczynkę i Starkey zrobiło się jej żal.

- Długo to trwało?

- Od zeszłego roku.

- Mów głośniej, proszę.

- Od zeszłego roku.

- Czy Buck wie?

- Ależ skąd! To by go okropnie zabolowało.

Starkey zgarnęła ze stołu rachunki i włożyła je na powrót do kieszeni zakietu.

- Dobra. Przepraszam, ale musiałam cię o to zapytać.

- Powiesz Buckowi?

Starkey popatrzyła jej w oczy i skłamała na oczekaniu.

- Oczywiście, że nie. Ani myślę. Nie obawiaj się.

- Z Charliem to był błąd. Po prostu. Każdy może popełnić błąd - wyszeptała Natalie.

Starkey pożegnała ją, wyszła na słoneczną spiekotę, wsiadła do samochodu i wróciła na Spring Street.

Buck

Buckowi Daggettowi wcale się nie podobało, że Starkey spędziła tyle czasu w Glendale. Nie podobało mu się, że tak wypytuje o tego sukinsyna. Szczególnie gdy usłyszał, że chciałaby lepiej poznać jego życie - teraz, gdy Riggio już nie żył. Co się za tym kryło, do cholery?! Od wybuchu w osiedlu przyczep kempingowych gównem ją obchodził Riggio, gównem ją obchodził cały świat. Zaczęła pić i zesłała na psy, więc co jej teraz odbiło?

Buck był z siebie dumny, bo udało mu się ustanowić związek między Mister Redem a Starkey. Chciał sprowadzić śledztwo na boczne tory, byle jak najdalej od samego Riggia, ale jego zasrane szczęście sprawiło, że z nazwiska Starkey znaleźli tylko to przekłete „S”, co nasunęło im podejrzenie, że pochodziło z imienia Charles. Mimo to wszystko szło po jego myśli, bo wtrącili się federalni i zaczęli z wywieszonymi ozorami uganiać się za Mister Redem, a tymczasem ta suka jakimś cudem dokopała się chyba prawdy. A w każdym razie zaczęła coś podejrzywać.

Buck Daggett nadal użerał się z „Andrussem”, kiedy zadzwoniła Natalie. Głupia bladź nie mogła się powstrzymać, by mu nie powtórzyć, że ma do niej wpaść Carol Starkey, bo zamierzają urządzić dla niego przyjęcie-niespodziankę. Aby podnieść go na duchu. Kretynka! Buck odłożył słuchawkę i ledwo zdążył do kibla, żeby puścić pawia, a potem w te pędy pojechał do domu.

Kiedy Starkey odjeżdżała spod ich garażu, obserwował ją skulony z ogródka sąsiada. Nie wiedział, ile już ma na niego, ale wiedział, że go podejrzewa, a to wystarczyło.

Postanowił ją zlikwidować.

Starkey zadzwoniła do Muellera z samochodu, lecz nie zastała go już w biurze. Nagrała wiadomość na sekretarkę, informując, że mężczyznę z fotografii skreślono z listy podejrzanych i że wkrótce przefaksuje mu nowy portret. Potem zadzwoniła do Marzik.

- Beth, chcę, żebyś wzięła szóstkę i spotkała się ze mną w kwiaciarni. Zadzwoń do Lestera i upewnij się, że jest. Gdyby pojechał z dostawą, powiedz im, żeby natychmiast go ściągnęli.

- Miałam właśnie wychodzić na lunch...

- Do cholery, Beth, lunch ci nie ucieknie. Chcę mieć zestaw mieszany: białych i Latynosów po czterdziestce. Tylko nikomu ani słowa. Po prostu weź co trzeba i pędź do kwiaciarni.

- Zwariowałaś? Co to ja jestem, od zestawiania szóstek? Masz podejrzanego?

- Tak.

Starkey rozłączyła się, zanim Marzik zdążyła spytać kogo. Liczyły się teraz sekundy. Nie mogła polegać na zapewnieniu Natalie, że nie powie Buckowi o jej wizycie i zainteresowaniu Charliem Riggio. Nie bała się, że Buck ucieknie, raczej, że zacznie zacierać ślady i niszczyć dowody świadczące przeciw niemu.

Jechała teraz szybciej i w drodze do Silver Lake wpadła do

domu po jakieś zdjęcie Bucka Daggetta. Podobnie jak to było w przypadku fotografii Dicka Leytona, przedstawiało Bucka w cywilnym ubraniu. Kiedy podjechała pod kwiaciarnię, Beth i Lester stali na chodniku i rozmawiali. Marzik zostawiła chłopaka i podeszła do wysiadającej z samochodu koleżanki. Miała ze sobą w szarej kopercie zestaw identyfikacyjny.

- Powiesz mi wreszcie, co jest grane? Stary tego gnojka o mało mnie nie zamordował.

- Pokaż mi ten arkusz.

Zestaw identyfikacyjny składał się z kartonowego arkusza z kieszonkami na sześć zdjęć i przypominał stronę albumu fotograficznego. Wydziały śledcze dysponowały zestawami opracowanymi pod kątem wieku, rasy i typu. Większość zdjęć wzięto z akt policyjnych; niektóre przedstawiały policjantów. Starkey wybrała jeden z arkuszy i umieściła w nim fotografię Bucka Daggetta.

Marzik chwyciła ją za ramię.

- Jaja sobie robisz?!

- Ani mi to w głowie, Beth.

Carol podeszła z zestawem sześciu zdjęć do Lestera. Wyjaśniła chłopcu, że chciałaby, by przyjrzał się uważnie każdej z fotografii, po czym zapytała, czy któryś z tych mężczyzn przypomina mu człowieka telefonującego pod numer 911. Marzik wpatrywała się w Lestera z takim napięciem, aż spytał zaniepokojony, czy wszystko w porządku.

- Oczywiście, chłopcze. Po prostu przyjrzyj się zdjęciom.

- Żaden z nich nie ma czapki.

- Przyjrzyj się ich twarzom, Lester. Przypomnij sobie człowieka, którego widziałeś przy telefonie. Czy jeden z tych mężczyzn ci go przypomina?

- Chyba ten.

Wskazał na zdjęcie Bucka Daggetta.

Marzik odwróciła się i szybko odeszła.

- Czy ona dobrze się czuje?

- Ależ oczywiście. Dziękuję ci, Lester.

- Czy dobrze wybrałem?

- Na to pytanie nie ma odpowiedzi. To zależy od punktu widzenia.

Marzik wpatrywała się w chodnik, gdy Starkey do niej podeszła.

- Powiesz mi wreszcie?

Carol opowiedziała jej wszystko, po czym obie zadzwoniły do Kelsa i poinformowały, że do niego jadą. Starkey zapytała, czy i Hooker mógłby wziąć udział w spotkaniu. Kelso chciał się dowiedzieć, dlaczego Starkey chce koniecznie widzieć ich wszystkich razem.

- Zdobyłam pewien dodatkowy dowód w sprawie, Barry, i potrzebuję twojej rady, co dalej.

Podstęp poskutkował. Mile połączony, Kelso oświadczył, że będą na nie czekali obydwaj z Santosem.

Marzik stała oparta o swój samochód, gdy Starkey skończyła rozmowę.

- To zabrmi głupio, Carol - powiedziała - ale czy możemy pojechać jednym wozem? Nie chciałabym wracać sama.

- To wcale nie brzmi głupio.

Na Spring Street Starkey nie zawracała sobie głowy wciskaniem wozu na zatłoczony parking. Zostawiły go przy czerwonej linii zakazu parkowania i wjechały na górę windą.

Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, komputer Kelsa był wyłączony. Porucznik siedział za biurkiem, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Można by sądzić, że znieruchomiał w tej pozycji od czasu ich rozmowy telefonicznej. Santos przycupnął na kanapie niczym uczeń, którego wezwano do dyrektora szkoły. Carol uznała, że wygląda na zmęczonego. Prawdopodobnie wszyscy wyglądali na zmęczonych.

- O co chodzi, Carol? - zapytał z miejsca Kelso.

- Tej bomby nie podłożył Mister Red, Barry. W ogóle nie o niego tu chodzi.

Kelso wyrzucił do góry ręce i zaczął kręcić głową, nim jeszcze skończyła.

- Zdaje się, że już to ustaliliśmy, prawda? Cechy charakterystyczne są takie same...

Marzik przerwała mu:

- Po prostu wysłuchaj jej, Barry, dobra?

Santos uniósł ze zdumienia brwi. Kelso spojrział na Marzik i rozłożył ręce w geście rezygnacji.

- Słucham.

Starkey podjęła:

- Cechy wcale nie są identyczne, Barry. Prawie, ale niezupełnie. Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do Rockville i spytaj ATF.

- I co mu powiedzą? - wtrącił Santos.

- Że bomba z Silver Lake jest inna. Zasugerują, że ten, kto skonstruował to urządzenie, pracował na podstawie analiz pirotechnicznych ATF, ponieważ jedynym odstępstwem od pozostałych urządzeń przypisywanych Redowi jest element w tych raportach nieuwzględniony.

Starkey relacjonowała swoje odkrycia krok po kroku; dopiero na końcu miała zamiar powiedzieć o Bucku. Opisała różnicę w konstrukcji bomb, potem wymieniła podobieństwa, wspomniała też, że twórca urządzenia z Silver Lake musiał znaleźć dostęp do źródła RDX, składnika modeksu, ulubionego materiału wybuchowego Mister Reda.

- RDX to najtrudniejszy do zdobycia składnik tej mieszanki, Barry. Jediną osobą w okolicy, która w ostatnim czasie dysponowała pewną ilością tej substancji, był Dallas Tennant. Każdy, kto szukał tego komponentu, musiał do niego trafić. Beth i ja znalazłyśmy warsztat Tennanta i okazało się, że mniej więcej przed miesiącem widziano tam mężczyznę podobnego z opisu do osobnika, który dzwonił pod numer 911. Przypuszczam, że przybył tam po RDX Tennanta. Nie wiem, skąd wiedział o jego warsztacie. Nie wiem, czy dotarł do niego tą samą drogą co Beth i ja, poprzez ustalenie praw spadkowych, czy może zawarł z Tennantem jakiś układ. Tennanta o to zapytać nie możemy, bo jest już na tamtym świecie.

- O kim mówisz?

Starkey brnęła dalej, nie udzielając wprost odpowiedzi na to pytanie. Obawiała się, że gdyby rzuciła oskarżenie na Bucka

Daggetta przed wyłożeniem wszystkich dowodów, spotkanie skończyłoby się dziką awanturą.

Wyjęła zestaw sześciu zdjęć, ale na razie nie pokazywała ich porucznikowi.

- Pokazałyśmy tę szóstkę Lesterowi Ybarrze i chłopak rozpoznał w jednym z mężczyzn tego, którego widział wtedy przy telefonie. Będziemy musieli pokazać ten zestaw świadkom z Bakersfield, żeby sprawdzić, czy potwierdzą jego wybór.

Podala Kelsowi arkusz i wskazała zdjęcie Daggetta.

- Lester zidentyfikował tego człowieka.

Kelso pokręcił energicznie głową i podniósł na nią wzrok.

- Chłopak się pomylił, to oczywiste.

Starkey położyła na biurku rachunki telefoniczne Riggia.

- To są rachunki za komórkę Charliego. Spójrz na numery, które zakreśliłam. To numer domowy Bucka Daggetta. Riggio i Natalie Daggett byli kochankami. Sama mi się do tego przyznała niecałą godzinę temu. Przypuszczam, że Buck odkrył ich romans i z zemsty zabił Charliego.

Hooker aż jęknął.

- O Chryste Jezu!

Kelso podszedł do okna, wyjrzał na dwór, po czym odwrócił się, oparł o biurko i skrzyżował ręce na piersi.

- Kto jeszcze o tym wie, Carol?

- Tylko my w tym pokoju.

- Powiedziałaś Natalie, że podejrzewasz Bucka o popełnienie morderstwa?

- Nie.

Kelso westchnął ciężko i usiadł za biurkiem.

- Dobra, to może poczekać. Jeśli Buck potrafi to wszystko jakoś wytłumaczyć, niech to zrobi i oczyści się.

Marzik stęknęła, a Kelso spiorunował ją wzrokiem.

- Myśli pani, że to dla mnie łatwe, pani detektyw? Znam tego człowieka od dziesięciu lat. Tu nie chodzi o jakieś zwykłe pieprzone aresztowanie!

Starkey jeszcze nigdy nie słyszała, żeby Kelso zaklął.

- Racja, szefie. To nie będzie zwykłe aresztowanie - przyznał Jorge.

Kelso łypnął na niego, zaczerpnął tchu i opadł na oparcie fotela.

- Będę musiał zawiadomić zastępcę komendanta. Starkey, ty zostaniesz ze mną. Może zechce, żebyśmy do niego przyjechali, a już na pewno będzie miał jakieś pytania. Niech to szlag! Oficer policji Los Angeles zamieszany w podobną sprawę! Trzeba będzie wtajemniczyć Dicka Leytona. Nie możemy wpaść i aresztować jednego z jego ludzi bez uprzedzenia, co i jak. Jak tylko porozmawiam z Morganem i Leytonem, możemy się za to brać.

Starkey stwierdziła, że zaczyna lubić Barry'ego Kelso. Chciała mu dać to jakoś odczuć.

- Przykro mi, poruczniku.

Potał nerwowo policzek.

- Nie widzę powodu, żeby ci miało być przykro, Carol. Powiedziałbym, że odwaliłaś kawał dobrej roboty, ale jakoś nie wypada.

- Jasne, szefie. Rozumiem.

Pokuta

Buck nie wrócił do Glendale. Zadzwoił do Dicka Leytona, by mu powiedzieć, że wyszedł z pracy wcześniej i dziś go już nie będzie. Prawdziwym jednak powodem, dla którego wykonał ten telefon, była chęć wybadania, co Leyton już wie. Gdyby uważał Bucka za podejrzanego, ten miał zamiar wynająć najlepszego adwokata, jakiego zdoła znaleźć, i chwycić byka za rogi. Ale Leyton był rozluźniony i nastawiony przyjaźnie, więc Buck dałby głowę, że Starkey zachowała swe podejrzania dla siebie.

Poniekąd zresztą już to robił: chwycił byka za rogi.

Zostało mu jeszcze blisko siedem funtów modeksu plus składniki, jakich nie zużył do sporządzenia kopii bomby Mister

Reda. Pocieszał się, że Starkey nie zdążyła dotąd zebrać dostatecznych dowodów, aby wykonać następny ruch, więc nie wszystko było jeszcze stracone. Jeśli będzie działał dostatecznie szybko i zdoła ją ubiec, może ocalić skórę.

Po telefonie do Leytona spisał długą listę sprawunków, które zamierzał zlecić Natalie, żeby się jej pozbyć, wsiadł w samochód i pojechał do domu. Żona sprawiała wrażenie zdenerwowanej, prawdopodobnie wizytą i pytaniami Starkey, ale udał, że tego nie dostrzega. Dał jej listę zakupów, wypchnął z domu i spróbował się opanować. Musi sobie wszystko w spokoju przemyśleć. Był zdesperowany i przerażony, a wiedział, że człowiek zdesperowany i przerażony łatwo popełnia błędy.

Kiedy uznał, że jest już dostatecznie opanowany, i był absolutnie pewien, że nie ma innego wyjścia, jak tylko usunąć Starkey z drogi, mruknął głośno:

- A więc do roboty!

Modex hybrid i inne składniki bomby trzymał w dużej lodówce turystycznej w garażu. Wyprowadził z niego terenówkę, żeby zrobić miejsce, po czym opuścił zasuwana od góry bramę, by nikt nie mógł go dojrzeć z ulicy. Otworzył boczne drzwi do ogródka, żeby mieć dostęp świeżego powietrza, i włączył wentylator, bo modex wydzieliał opary toksyczne.

Zdjął lodówkę z górnej półki, gdzie stała poza zasięgiem ramion Natalie, i przeniósł ją na stół warsztatowy. Modex spoczywał w dużym szklanym słoju. Był ciemnoszary i przypominał kit do uszczelniania okien. Buck włożył rękawiczki winylowe, żeby nie zostawiać odcisków palców, ale i dlatego, by uniknąć kontaktu związku chemicznego ze skórą. To cholerstwo mogło człowieka zabić przez sam dotyk.

Nagle z ogródka za domem dobiegł go czyjś głos, z tak bliska, że ze strachu omal nie narobił w portki.

- Hej, jest tu kto? Jest ktoś w domu?

Buck narzucił na warsztat ręcznik i podszedł do drzwi. Głos brzmiał z murzyńska, ale intruz okazał się biały.

- Czego chcesz?

- Rozglądam się za jakimś zarobkiem, panie szefie. Zoba-

czyłem, że pański ogródek jest nieco zaniedbany, i pomyślałem, by zgłosić się na ogrodnika.

- Nie trzeba, ale dziękuję. A teraz wybaczone, muszę wracać do swoich zajęć.

- Widzę, że nie ma pan w najbliższych planach robót ogrodniczych, ale może pomógłby pan bliźniemu, który chciałby uczciwą pracą zarobić na życie, bo brzydzi się drogą przestępstwa.

Bucka rozbolała głowa. Przyjrzawszy się lepiej natrętowi, stwierdził, że to wcale nie taki gnojek. Wyglądał na faceta pod trzydziestkę.

- Spadaj, kolego. Powiedziałem, że jestem zajęty.

Tamten zrobił krok do tyłu, ale wcale nie wyglądał na przestraszonego.

- Zdaje się, kolego, że chcesz mnie splawić, kurwa twoja mać.

- Coś ty powiedział, gnoju?

- Spoko, panie Daggett, po prostu lubię sobie pożartować. Przepraszam, że zawracałem panu głowę.

Buck zdębiał, usłyszawszy swoje nazwisko w ustach tego łazęgi.

- Skąd wiesz, jak się nazywam?

- Powiedział mi taki żółtek z naprzeciwnika. Próbowałem najpierw jemu przystrzyść trawkę, ale powiedział, żebym zajrzał tutaj. Powiedział, że pana ogródek jest do chuja niepodobny.

- Niech się odpierdoli. A teraz spadaj, mam robotę.

Buck odprowadził odchodzącego wzrokiem, po czym poszedł do garażu, dysząc nienawiścią do Chińczyka z naprzeciwnika. Nie zauważył, kiedy nieznajomy wrócił, nie zauważył twardego przedmiotu, którym go powalił. Zresztą gdyby nawet zauważył, niewiele by to pomogło. Było już za późno. Na wszystko za późno.

Całkowicie przytomności nie stracił ani na moment. Miał świadomość, że otrzymał cios, a potem jeszcze dwa, kiedy już

upadł na ziemię. Zobaczył nad sobą napastnika, ale nie był w stanie podnieść rąk, żeby się bronić. Tamten przykuł go kajdankami do stołu warsztatowego, a potem zniknął mu z oczu.

Buck spróbował się odezwać, ale jego usta funkcjonowały nie lepiej od kończyn. Przeraził się, że jest sparalizowany, i załkał ze zgrozy.

Po chwili nieznamy podszedł i potrząsnął nim.

- Obudziłeś się, koleś?

Popatrzył Buckowi w oczy i spoliczkował go. Twarz miał chudą, pociągłą; przypominał fretkę. Buck zauważył, że jego ogolona głowa jest prawie biała. Całkiem niedawno musiał się ostrzyć na pałę.

- Obudziłeś się? No, rusz się, kurwa, przecież nie rąbnąłem cię tak mocno, żeby zabić.

- Ja nie mam pieniędzy...

- Sram na twoją forszę. Miałbyś cholerny fart, gdyby zależało mi tylko na twojej forsie.

Buck słyszał uporczywy, przesywający gwizd. Kiedyś, podczas meczu baseballowego w ogólniaku, zderzył się z innym graczem i doznał wstrząśnienia mózgu. Przypomniawsobnie, że czuł się wtedy podobnie.

- Więc czego chcesz? Zabrać terenówkę? Bierz, kluczyki mam w kieszeni.

- Zabrać zamierzam tę resztę modeksu, jaka ci została. A czego chcesz? Chcę ci dać nauczkę.

Buck miał w głowie kompletny zamęt. Zdziwiło go, że ten gnojek, ubrany jak czarny raper, zna się na modeksie, że w ogóle o nim słyszał.

- Nie rozumiem...

Chłopak ujął twarz Daggetta w obie dłonie i nisko się nad nim pochylił.

- Skradłeś mi robotę, ty chuju złamany. Podszyleś się pod mnie. Potrafisz to przeliterować? Błąd w ocenie sytuacji.

- Nie mam pojęcia, o czym, kurwa, mówisz!

- Może to poprawi ci pamięć.

Chłopak podszedł do drugiego końca stołu warsztatowego. Kiedy w/ócił, trzymał w rękę rurę, z której otwartego końca wychodziły przewody elektryczne; drugi koniec był zamknięty zaślepką. Pomachał tą rurką przed nosem półprzytomnego mężczyzny. Ostry zapach modeksu sprawił, że Bucka obleciał lodowaty strach.

- Teraz wiesz, kim jestem?

Dagget już to wiedział. Poczul w spodniach ciepłą plamę moczu.

- Błagam, nie zabijaj mnie! Zabieraj modex i odejdz. Błagam! Przepraszam, że się pod ciebie podszylem, ale, widzisz, musiałem sprzątnąć drania, który rznął mi żonę, i...

Red zamknął mu dłonią usta.

- Chwila. Spoko. Wyluzuj się.

Buck pokiwał skwapliwie głową.

- Już dobrze?

Buck potaknął.

- W porządku. A teraz słuchaj.

Chłopak usiadł przed Buckiem po turecku na betonowej podłodze. Bombę trzymał na kolanach jak małego kotka.

- Słuchasz?

- Tak.

- Nie będę cię oszukiwał, jestem naprawdę cholernie wkurwiony, że chciałeś zwalić na mnie śmierć tamtego gościa, ale dobra, dam ci ostatnią szansę. Oto ona.

Buck zamienił się w słuch, tymczasem Red milczał. Czekał, aż ofiara sama go zapyta.

- Jaką? Jaką szansę?

- Powiedz mi, ile wie Carol Starkey.

Podszedł do kradzionego samochodu, który zostawił na ulicy. Chińczyk z naprzeciwka już gdzieś zniknął. John zostawił Bucka przykutego do warsztatu, żywego, lecz nieprzytomnego. Prysnał mu w twarz wodą i trzepnął w policzek, by się ocknął, a kiedy zobaczył, że Daggett wraca do przytomności, wyszedł z garażu.

Usiadł za kierownicą, włączył silnik i pokręcił głową. Co za cholerny upał! Zastrany upał w zastranym mieście w zastranych Stanach Zjednoczonych. Jak ludzie mogą tu żyć? Nacisnął lekko gaz, by wóz potoczył się wolno ulicą. Liczył do stu. Kiedy doliczy, Buck powinien już w pełni odzyskać przytomność.

Doliczywszy, nacisnął srebrny guzik.

Spring Street

Marzik i Santos zadzwonili do domów. Santos oznajmił żonie, a Marzik matce, że wrócą dziś później. Carol poznała po reakcji Beth, że jej matka nie była tą wiadomością zachwycona. Po tych telefonach usiedli każde przy swoim biurku, sam na sam ze swoimi myślami. Jorge zapytał w pewnej chwili, czy ktoś nie ma ochoty na kawę, ale nie doczekał się odpowiedzi ani od Marzik, ani od Starkey. Więc i sobie kawy nie zrobił. Marzik pierwszej dojadło czekanie.

- Co to tak długo trwa, do cholery?! - wybuchnęła. - Przecież nie musimy czekać na zgodę centrali. Pojedźmy tam po prostu i przyskrzyńmy chuja.

Santos zmarszczył czoło.

- Szef chce, żeby Morgan to przyklepał. Sprawa polityki.
- Kelso to gówniarz.
- Może nie zastał Morgana. Może nie złapał Leytona...
- A, pieprzyć to!

Starkey chciała wyjść na schody na papierosa, kiedy zadzwonił Reege Phillips. W jego głosie usłyszała wahanie i momentalnie ścierpła. Nie chciała, żeby Hooker i Marzik przysłuchiwali się tej rozmowie.

- Nie bardzo mogę teraz rozmawiać, Reege. Czy to może poczekać?

- Nie sądzę, Carol. Masz kłopoty.
- Mogę do ciebie oddzwonić?
- Chcesz zmienić aparat?
- Tak. Mam twój numer.

- Dobra. Czekam.
- Starkey odłożyła słuchawkę, powiedziała Santosowi i Marzik, że idzie zapalić, wzięła torebkę i wyszła. Na schodach zadzwoniła do Phillipsa z komórki. Z wysiłkiem naciskała przyciski klawiatury.
 - Powiedziałaś, że mam kłopoty. Jakiego rodzaju?
 - Jack Pell nie jest agentem ATF. Był, ale już nie jest.
 - To niemożliwe. Miał wyniki z laboratorium materiałów wybuchowych w Rockville. Zna agenta na polibudzie, który pracuje dla ATF.
 - Posłuchaj. Pell był agentem w wydziale specjalnym do spraw przestępczości zorganizowanej. Niecałe dwa lata temu znalazł się w pewnym magazynie w Newark, New Jersey, gdzie spodziewał się dopaść przemytników kubańskich kałasznikówów. Czytałaś raporty, które ci pokazał?
 - Tak.
 - Z czym ci się kojarzy Newark?
 - Z pierwszą bombą Mister Reda.
 - Pell był w tym magazynie, kiedy wybuchła. W następstwie doznał czegoś, co w gwarze lekarskiej nazywa się *comotio retinae*. Wychwycone w porę, daje się leczyć laserem. U Pella wykryli to za późno.
 - Co znaczy: za późno?
 - Gość ślepnie. Lekarz, który mi to objaśniał, powiedział, że siatkówka odkleja się od nerwu wzrokowego i nic na to nie można poradzić. Toteż ATF posłało go na emeryturę. A teraz dowiaduję się od ciebie, że on dalej działa. Masz do czynienia z dzikim agentem, Carol. Facet poluje na drania, który uczynił zeń ślepcą. Zadzwoni do ich biura terenowego i niech się nim zajmą, zanim zrobi komuś jakąś krzywdę.
- Oparła się o ścianę.
 - Carol? Jesteś tam?
 - Zajmę się tym, Reege. Dziękci.
 - Chcesz, żebym ja się tym zajął?
 - Nie, sama to zrobię. Słuchaj, muszę już kończyć. Mam tu cholerny pasztet.

- Uważaj na tego gościa, Carol. On chce dopaść skurwysyna. Cholera wie, co mu strzeli do łba. Uważaj na siebie.

Starkey dopaliła papierosa i wróciła do sali ogólnej. Musiała wyglądać nieszczególnie, bo Marzik się zaniepokoiła.

- Co ci się stało?

- Nic.

Po jakimś czasie drzwi się otworzyły i stanął w nich Kelso. Starkey coś w jego wyglądzie uderzyło, a Marzik z gniewnym pomrukiem wybiegła na schody.

- Nareszcie, cholera!

- Zaczekaj, Beth.

Kelso dziwnie przyglądał się podwładnym i przeciągle milczał.

- Co się stało, panie poruczniku? - nie wytrzymał Santos.

Kelso odchrząknął i zaczął poruszać szczęką, jakby chciał zebrać plwocinę.

- Posterunek z San Gabriel otrzymał wiadomość, że w domu Daggettów miał miejsce wybuch. Buck zginął na miejscu.

Nim dotarli do domu Daggettów, straż pożarna z San Gabriel już ugasiła pożar. Nad garażem i tylną ścianą domu wciąż wisiała para, ale teren penetrowali już pirotechnicy z biura szeryfa. Starkey chciała do nich dołączyć, ale dowódca jednostki nie pozwolił jej wejść w rejon powybuchowy, dopóki nie usuną ciała. Do ogródka za domem wpuszczono tylko Kelsa. Dick Leyton przyjechał na miejsce kilka minut przed nimi.

Starkey, Marzik i Santos stali w małym kręgu na podwórku od strony ulicy. Hookerowi ze zdenerwowania nie zamykały się usta.

- Myślicie, że sam się zabił? Tak bywa, kiedy sprawcy zaczyna się palić grunt pod nogami, wiecie?

- Nic nie wiemy.

- To się często zdarza wśród policjantów. Uświadamiają sobie, że pętla się zaciska, trach!... i decydują się targnąć na własne życie.

Starkey i bez paplaniny Hookera czuła się okropnie, więc odeszła na bok.

- Ciekaw jestem, czy zabił też żonę.

Marzik dotknęła ramienia Santosa.

- Jorge, przymknij japę, dobra?

W pierwszej chwili Starkey również pomyślała, że to samobójstwo. Mogli się tego zresztą nigdy nie dowiedzieć, jeśli Daggett nie zostawił listu. Tak czy owak, rumowisko zostanie

skrupulatnie przeszukane, odłamki zebrane, a bomba zrekonstruowana, jak to zawsze robiono. Spróbują określić czas wybuchu i ustalić, czy też był przypadkowy, czy został spowodowany celowo. Starkey wiedziała, że niejednokrotnie przyjdzie im się opierać na domysłach.

Pomyślała o Pellu. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić na jego pager, nie miała jednak pojęcia, co by mu powiedziała, gdyby oddzwonił. Odegnęła od siebie te myśli. W odganianiu od siebie różnych myśli stawała się z wolna ekspertem.

Po jakimś czasie na podjeździe pojawił się Kelso; przeszedł obok terenówki Bucka i kiwnął na podwładnych.

- Ile znaleźli ciał?

- Tylko Bucka. Wygląda na to, że Natalie nie było w domu. Nie wiemy jeszcze, czy wyjechała przed wybuchem, czy po wybuchu, ale jej samochodu nie ma.

Carol poczuła, że pozbyła się przynajmniej odrobiny napięcia. Bała się, że Buck i Natalie mogli zginąć razem.

Kelso popatrzył na nią.

- Przyjmujemy na razie, że to samobójstwo. Chciałbym, żebyś wzięła to pod uwagę, Carol. Nie mamy pewności, lecz na to wygląda.

- Dlaczego? - spytała Marzik.

- Napisał coś na ścianie nad warsztatem. Farba sprejowa jest jeszcze lepka. Nie wiemy, czy to list samobójcy, ale to niewykluczone.

Starkey zaczerpnęła głęboko tchu.

- Wspomina o mnie?

- Nie. Napisał tylko „prawda boli”, nic więcej.

Funkcjonariusze koronera okręgu San Gabriel toczyli w stronę ambulansu nosze na kółkach, z niebieskim plastikowym workiem na zwłoki, zniekształconym i wilgotnym.

Kelso odwrócił się i ruszył z powrotem podjazdem.

- Chodźcie. Możemy już wejść. Uprzedzam, to była jatka. Jego ciało zostało w okropny sposób rozerwane. Chcę wam też przypomnieć, że nie jesteśmy na swoim terenie. Detektywi

szeryfa rozmawiają teraz z Dickiem Leytonem i będą zapewne chcieli porozmawiać również z nami, więc bądźcie w pobliżu.

Santos zrobił posmutniałą minę.

- Czyli że Carol miała rację...

Marzik zmierzyła go wzrokiem.

- Oczywiście, że miała rację, ty idioto.

- Miałem nadzieję... nawet mimo to, co już wiemy... że jednak się myli.

Beth zatrzymała się nagle i machnęła ręką, żeby na nią nie czekali.

- Pierdzielę. Nie chcę oglądać tej rzeźni. Zostaję tutaj.

Przeszli podjazdem obok strażaków i pirotechników z San Gabriel. W innych okolicznościach, na innym miejscu, Starkey zaczęłaby rozmowę z tymi ludźmi, lecz teraz ich zignorowała. Dick Leyton stał w ogródku z dwoma cywilami z San Gabriel, w których domyśliła się oficerów śledczych szeryfa. Kelso i Santos do nich podeszli, zostawiając ją samą. Nie miała nic przeciwko temu. Nie chciała patrzeć na to wszystko, nie chciała zmagać się z myślami, jakie ją prześladowały, nie chciała z nikim rozmawiać. Wolałaby nie słuchać całej tej gadaniny o samobójstwie, bo czuła się odpowiedzialna za to, co się stało.

Wszystko dookoła lśniło od wilgoci. Strażacy zwijali węże, wlokąc je obok terenówki Bucka. Starkey zeszła z podjazdu, by im nie przeszkadzać, i poczuła, jak pod nogami chlupie woda. Aluminiowe drzwi garażu zostały wyrwane z futryny. Zorientowała się, że w chwili wybuchu musiały być opuszczone. Poznała to po zewnętrznym wybrzuszeniu aluminiowych płyt. Strażacy chcieli je pewnie podnieść, by skierować na płomień strugi wody, a że nie byli w stanie - więc prawdopodobnie wyrwali je z obsady za pomocą dźwigu. W garażu pirotechnicy z urzędu szeryfa przesiewali i fotografowali szczątki, dokładnie tak jak w Silver Lake robili to ludzie Starkey. W garażu wisiał wilgotny swąd spalonego drewna.

Na ścianie nad stołem warsztatowym widniały wypisane czerwonym sprayem słowa:

PRAWDA BOLI

- Jest pani z policji?

Pokazała odznakę.

- Tak. Wydział terroru kryminalnego. Pozwolicie, że trochę się rozejrzę?

- Tylko proszę niczego nie dotykać bez uprzedzenia, dobrze?

Kiwnęła głową.

W warsztacie Bucka powstała wyrwa w kształcie półksiężyca najeżonego koroną z drzazg, które tkwiły też w ścianach garażu niczym kolce jeżozwierza. Spora część stołu warsztatowego była zwęglona, jednak nie obszar uszkodzony wybuchem. Coś uderzyło w przeciwległą ścianę, pozostawiając na niej czerwoną smugę.

Starkey skoncentrowała się na wymalowanych sprayem słowach. PRAWDA BOLI. To mogło znaczyć wszystko i nic. Jaka prawda? Prawda, która miała dopiero wyjść na jaw? Że żona Bucka kochała innego? Że Pell okłamywał i wykorzystywał Starkey?

- I co pan o tym powie? - spytała.

- Za wcześniej na oceny.

- Wiem, ale ja nie widziałam zwłok, wy tak, więc chyba wyrobiliście sobie jakiś pogląd?

Pirotechnik rozmawiał z Carol, nie przerywając swych czynności. Jak każdy technik bombowy chciał jak najszybciej skończyć robotę i wynieść się z tej rzeźni.

- Sądząc po stanie zwłok, powiedziałbym, że w chwili wybuchu znajdował się dokładnie nad bombą, o tam, przy warsztacie. Nogi miał nieuszkodzone, nie licząc drewnianych odłamków, które w nich utkwiły. Najgorsze rany były w klatce piersiowej i brzuchu. Został prawie wypatroszony, co sugeruje, że w momencie wybuchu trzymał ładunek gdzieś w tej okolicy. Jeśli to samobójstwo, doszedł pewnie do wniosku, że tak umieszczony ładunek okaże się najskuteczniejszy. Jeśli zaś wybuch nastąpił samoistnie, denat przypuszczalnie

niechcący zamknął obwód zapalnika. Ale to tylko moje hipotezy.

Starkey spróbowała sobie wyobrazić Bucka Daggetta, który zgłupiał do tego stopnia, że pracował przy ładunku, nie odłączając baterii, i żadną miarą nie mogła. Oczywiście nie mogła też wyobrazić sobie Bucka, który konstruuje bomby w morderczych zamiarach.

Wyszła na podjazd, by przyjrzeć się otoczeniu. Spróbowała ocenić siłę wybuchu. Drzwi garażowe zostały wygięte, a boczne całkiem wyrwane; Buck doznał śmiertelnych obrażeń, ale szkody w konstrukcji budynku okazały się nie tak znaczne. Oceniała, że uwolniona energia była mniej więcej równa sile wybuchu dwóch granatów ręcznych, a więc dość duża, choć mniejsza od siły wybuchu, który zabił Charliego Riggio, czy tych ładunków, których Tennant używał do wysadzania samochodów.

Zawołał ją Kelso.

- Chodź no tu, Starkey!
- Za chwilę.

Boczne drzwi zostały wyrwane z zawiasów i popękały pod ciśnieniem fali uderzeniowej, co znaczyło, że były zamknięte. Nie dziwiło jej, że Buck opuścił drzwi garażowe, żeby sąsiedzi nie mogli zobaczyć, czym się zajmuje, ale zamknięcie bocznych drzwi nie miało żadnego sensu. Wiedziała, że pracował bądź z modeksem, bądź z RDX, a każda z tych substancji wydzielala opary o dość specyficznego woni.

Starkey wróciła do garażu i podeszła do pirotechnika.

- Czy znaleźliście jakieś niezdetonowane materiały wybuchowe?
- Nic. Wszystko, co było, wybuchło. Zanim wpuścili tu ludzi koronera, przeszukali teren z psem. Niech pani żałuje, że go pani nie widziała w akcji. Te zwierzaki są niesamowite.
- A co z rękami ofiary?
- Chodzi pani o ich obrażenia?
- Mhm.
- Nietknięte. Zauważyliśmy trochę pokaleczeń i ubytków

tkanki, ale rąk mu nie urwało. Domyślałam się, o czym pani myśli. Powinno mu urwać dłonie. Tak, lecz jeśli tylko pochyłał się nad ładunkiem i w chwili wybuchu robił co innego...

Starkey nie mogła sobie tego wyobrazić. Jeśli Buck popełnił samobójstwo, powinien trzymać bombę w rękach i przyciskać ją mocno do ciała, aby mieć pewność, że zginie od razu. W takim razie straciłby obie dłonie. Straciłby je również, gdyby ładunek wybuchł przypadkiem, kiedy podłączał zapalnik.

- Starkey.

Zamyślona podeszła do Kelsa i towarzyszących mu mężczyzn. Myślała o czerwonej farbie i o tym, że Mister Red twierdził, iż zna nazwisko swojego naśladowcy. Skąd mógł to wiedzieć? Od Tennanta?

Dwaj ubrani po cywilnemu detektywi z wydziału zabójstw urzędu szeryfa nazywali się Connelly i Gerald. Connelly był mocno zbudowanym, milczącym mężczyzną, a Gerald miał zimne oczy człowieka, który za długo pracował w tej branży. Starkey od razu źle się poczuła w jego towarzystwie.

Po wstępnej prezentacji Kelso oświadczył, że obaj panowie chcieliby ją przesłuchać. Wymienili wizytówki i Connelly powiedział, że skontaktują się z nią w ciągu kilku najbliższych dni.

- A może jest coś, w czym od razu mogłaby nam pani pomóc? - zapytał Gerald.

- Jeśli zdołam.

- Czy widziała pani dziś sierżanta Daggetta?

- Dziś nie. Widziałam się z nim wczoraj.

- Nie zauważyła pani jakichś stłuczeń lub siniaków na jego twarzy albo głowie?

Spojrzała na Kelsa. Wpatrywał się w nią z napięciem.

- Nie. Za dziś nie ręczę, ale wczoraj niczego takiego nie zauważyłam.

Gerald dotknął lewej strony własnego czoła.

- Daggett miał tu guza. Jesteśmy ciekawi, kiedy go sobie nabił.

- Nie mam pojęcia.

Wcale się jej to nie podobało. Najpierw Tennant wysadza się w powietrze, teraz wysadza się Daggett. Red twierdzi, że wie, kto go naśladuje, a skąd mógłby to wiedzieć, jeśli nie od Tennanta?

Obejrzała się na garaż.

- To nie był zbyt silny ładunek.

Gerald skrzywił twarz w uśmiešku wrednego rekina.

- Nie widziała pani ciała. Rozerwało biedaka dosłownie na strzępy.

Zwróciła się bezpośrednio do Kelsa, ignorując Geralda.

- Pirotechnik z garażu opisał mi obrażenia, Barry. Daggett doznał ich, bo znajdował się bardzo blisko bomby, ale nie sądzę, by wybuch był aż tak potężny. Nie mam pewności, jaką ilością heksogenu dysponował Tennant, ale zapewne większą, niż tu go użyto.

Kelso przyjrzał się jej spod oka.

- Chcesz powiedzieć, że trochę mu zostało?

- Może.

Wyszła na ulicę, żeby zapalić. Znaleźli się w ślepych zaułku. Carol myślała o sińcach na głowie Bucka i o jego dłoniach. Wybuch powinien mu je urwać. Zaczęła się zastanawiać, jakim materiałem wybuchowym zabawiał się przed śmiercią Tennant i jak zdobył potrzebne składniki. Żeby urwać człowiekowi ręce, trzeba niemałej energii. Nie lubiła pytań, na które nie można znaleźć odpowiedzi. Przypominały rekonstrukcję, w trakcie której odkrywało się jedynie luźne końcówki przewodów. Nie można było udawać, że nie istniały. Przewody zawsze dokądś prowadziły. W przypadku bomb prowadziły na ogół do nieszczęścia. Pomyślała o Pellu.

Podeszła do niej Marzik.

- No i jak to wygląda?

- Nie aż tak strasznie. Widzieliśmy już obie gorsze rzeczy.

- Więc dlaczego płaczesz?

Starkey odwróciła głowę.

Marzik odchrząknęła, zmieszana.

- Nie chciałam oglądać tej jatki. Napatrzyłam się już tego tyle, że starczy mi na następne wcielenie. Kopsnij szluga.

Starkey spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Przecież nie palisz.

- Już od sześciu lat. Poczęstujesz mnie czy mam kupić od ciebie fajkę?

Starkey podała jej paczkę.

Wtedy usłyszały krzyk. Dochodził od strony policyjnego kordonu u wylotu ulicy. Natalie usiłowała przebić się przez kordon, chcąc się dostać do własnego domu. Jakaś starsza kobieta, pewnie sąsiadka, zamknęła ją w objęciach, a Dick Leyton już biegł w ich stronę. Starkey wiedziała, że detektywi z San Gabriel będą przesłuchiwali Natalie, wypytywali o materiały wybuchowe, o to, czy Buck nie zdradzał samobójczych zamiarów. Ulżyło jej na myśl, że to nie ona będzie musiała zadawać te pytania, a zaraz potem poczuła wyrzuty sumienia, że jest tak małoduszna.

Marzik pokręciła głową.

- Chyba nic gorszego nie może już człowieka spotkać.

Starkey nie podzielała jej optymizmu. Zgniotła butem niedopałek papierosa.

- Beth, wrócisz z Kelsem, dobrze? Muszę jeszcze gdzieś wpaść.

- Gdzie? - zaciekała się Marzik, lecz nie doczekała się odpowiedzi. Carol odeszła przyspieszonym krokiem.

Wszystkie drobne dziwactwa w zachowaniu Pella znajdowały teraz wyjaśnienie. Ten nędzny motel, fakt, że chciał, by to ona podjęła poszukiwania przez centralną bazę danych i na własną rękę dokonała transferu materiałów dowodowych, wreszcie ten wybuch nieopanowanej furii podczas przesłuchania Tennanta. Jadąc do jego motelu, próbowała wywołać w sobie ten sam stan ducha i umysłu, z jakim przystępowała do neutralizacji ładunku wybuchowego. Odczuwała to jako rodzaj odcięcia, zwiększonego dystansu. Jakby się przenosiła w inny

wymiar, do bezpiecznego azylu, i stamtąd sterowała na odległość swoim ciałem niczym pozbawionym uczuć robotem z krwi i kości. Usiłowała i teraz uzyskać ów dystans, ale bezskutecznie. Oddzielenie się od własnych uczuć przychodziło jej obecnie z większym trudem.

Zaparkowała przed motelem i zadzwoniła do Pella z komórki. Po dziesiątym sygnale znudzony męski głos, zapewne recepcjonisty, zapytał, czy chce zostawić jakąś wiadomość. Rozłączyła się, a po chwili weszła do motelu i pewnym krokiem przecięła hol, jakby doskonale wiedziała, dokąd idzie. Znała numer pokoju Pella, bo parę razy do niego dzwoniła. Odnalazła właściwe drzwi, po czym ruszyła dalej korytarzem, aż natrafiła na starszą pokojówkę. Postarała się o przyjemny wyraz twarzy, choć nie miała zbyt dużego zaufania do swoich zdolności w tej dziedzinie.

- Dzień dobry, nazywam się Pell, mieszkamy z mężem w pokoju sto dwanaście. Mam kłopot. Mąż zabrał oba klucze i gdzieś wyszedł. Czy zechciałaby mnie pani wpuścić?

- Pani nazwisko?

- Pell. P-e-1-1. Pokój sto dwanaście.

Pokojówka, młoda Latynoska, sprawdziła numer pokoju w wykazie na podkładce z klipsem.

- Dobrze. Wpuściami paniom.

Otworzyła kluczem drzwi i usunęła się, by przepuścić Starkey. W pamięci Carol zadźwięczały jak echo słowa Mister Reda.

On się tobą posługuje, Starkey. Napuszcza nas na siebie.

Komputer stał na podłużnym stoliku pod ścianą. Identyczny laptop. Włączyła go. Takie same ikony na ekranie. Kliknęła na ikonkę Klaudiusza.

Spojrzała na łóżko. Było wygniezione i śmierdziało potem. Przez głowę przebiegła jej myśl: Mogłam spać w tym łóżku. Myśl ulotna jak szept na wietrze.

Starkey przeszukała pokój. Nie miała pojęcia, czego szuka, a jednak przetrząsnęła też łazienkę, szafkę i biurko, w końcu walizkę Pella. Niczego podejrzanego nie znalazła. Stała na

środku pokoju i zastanawiała się, czy zaczekać na niego, czy wyjść. Postanowiła wyjść. W drodze do drzwi zajrzała jeszcze do szafy i przeszukała kieszenie wiszących tam ubrań. W wewnętrznej kieszeni skórzanej marynarki natknęła się na plastikową torebkę na zatrzask strunowy. Mieściła jakiś odłamek. Carol otworzyła torebkę, wytrząsnęła odłamek na dłoń i zobaczyła litery.

TARKEY

Poczuła, jak drętwieją jej ręce, jakby nagle przestała dopływać do nich krew. Nie miało znaczenia, że to Buck Daggett wyrył jej nazwisko, by ich zmylić - Pell był święcie przekonany, że tę bombę skonstruował Mister Red. Kiedy siedzieli w barze Barrigana, już to wiedział. Tamtej nocy, gdy trzymał ją w objęciach u niej w domu, był pewien, że to ona będzie kolejnym celem ataku. I ukrył to przed nią. Posłużył się nią.

- Co ty tu robisz?

W drzwiach stał Jack. Był blady, twarz miał porytą zmarszczkami. Wyglądał jak człowiek stuletni przed drugim udarem. Odkąd wiedziała, że jest ofiarą, podobnie jak ona, odczuwała silną potrzebę dodawania mu otuchy. Co za kretynizm!

- Ty skurwysynu!

Nie uderzyła go dłonią w policzek, po kobiecemu. Wyrznęła go pięścią. Z całej siły, aż z rozciętej wargi popłynęła krew. Wyciągnęła rękę z kawałkiem poczerniałego metalu.

- Skąd to masz? Od patologa? Zdobyłeś to pierwszego dnia, prawda?

Nie poruszył się nawet. Jakby w ogóle nie poczuł uderzenia.

- Przepraszam, Carol...

- Jaką rolę mi przeznaczyłeś, co? Rolę przynęty? Przez cały czas wiedziałeś, że ten drań na mnie poluje, i nie ostrzegłeś mnie? - Wskazała na komputer. - Używałeś tego gówna, żeby go na mnie naprowadzić, i nie ostrzegłeś mnie!

Pokręcił przecząco głową; milczenie jeszcze spotęgowało jej gniew.

- TO NIE BYŁ MISTER RED! Riggia zabił Buck Daggett, a teraz Buck nie żyje!

- To był Mister Red.

Znów go uderzyła.

- PRZESTAŃ WRESZCIE PIEPRZYĆ!

W korytarzu pojawiła się pokojówka i przyglądała się im okrągłymi jak spodki oczami. Starkey spróbowała się opanować.

- Charlie miał romans z żoną Bucka, dlatego Buck go zabił. Świadek z Bakersfield widział Bucka w warsztacie Tennanta. To tam znalazł składniki do skonstruowania bomby. Jechaliśmy, by go aresztować, kiedy zginął we własnym garażu od wybuchu tych właśnie materiałów. TEGO NIE ZROBIŁ MISTER RED!

Przeszedł obok niej i usiadł na brzegu łóżka.

- Po to przysłaś? Żeby mi to powiedzieć?

- Nie. Wiem, że nie jesteś już w służbie czynnej, i wiem dlaczego. Przykro mi z powodu twoich oczu. Naprawdę, Jack. Tylko że ty już jesteś ślepy. Nie widzisz nawet, że przez nas giną ludzie.

- O czym ty mówisz?

- Dallas Tennant, a teraz Buck Daggett. Jeśli nie zginęli z własnej ręki, ktoś im pomógł. A jeśli to my ściągnęliśmy tu Reda i obaj zginęli przez nas?

- Jeśli tu jest, dopadniemy go.

Ogarnęło ją współczucie.

- Już nie ty, Jack. Zabawa skończona. Zamierzam powiedzieć Barry'emu, a Barry zadzwoni do biura terenowego ATF. Co z tym zrobisz, to już twoja sprawa. Chcę, żebyś wiedział, co cię czeka.

Ruszył w jej stronę. Pokręciła wolno głową.

- Nie zbliżaj się do mnie.

- Nie zamierzam cię błagać, byś tego nie robiła.

- Nieważne, co zamierzasz. Liczy się to, co już zrobiłeś.

Od trzech lat żyję jak martwa, przed tobą się otworzyłam, a ty mnie wykorzystasteś.

- Nieprawda.
- Nie kłam. Jeśli nawet coś do mnie czujesz, nie mów mi tego, bo to tylko utrudni sprawę.

Zdobyl się na potaknięcie, trzeba mu to oddać.

- Wiem.

Powiedzieć to wszystko było trudniej, niż przypuszczała. Oczekiwała, że będzie się tłumaczył, że będzie się bronił, lecz on tego nie robił. Sprawiał wrażenie zakłopotanego, wręcz urażonego.

- Wierzę, że każdy z nas kryje pod maską swoją prawdziwą istotę, która widzi rzeczy, jakich nie widzą oczy. Ta moja wewnętrzna istota musiała wyczuć, że zostałeś zraniony podobnie jak ja. Ze jesteśmy pokrewnymi duchami. Pewnie dlatego po latach dopuściłam do siebie uczucia. Żałuję, że moja wewnętrzna istota tak łatwo dała się zwieść.

Podniosła wzrok i zobaczyła w jego oczach łzy. Odwróciła się szybko. To wszystko było za trudne, trudniejsze, niż być powinno.

- Przyszłam tu po to, by ci to powiedzieć. A teraz żegnaj, Jack.

Położyła szerniały odłamek na biurku i wyszła.

Po przyjsciu do domu wróciła na stronę „Klaudiusz”. Licznik rozmówców w grupie dyskusyjnej pokazywał cztery osoby, wśród których nie było jednak Reda. Starkey nie zadała sobie nawet trudu, by przejrzeć wypowiedzi pozostałych. Wystukała tylko cztery słowa.

NABUZOWANY: Odezwił się do mnie.

Inni szybko odpowiedzieli, ale wiadomość od Reda się nie pojawiła.

NABUZOWANY: Wiem, że tu jesteś. ODEZWIJ SIĘ DO MNIE!

Ukazało się okno. Więc jednak na nią czekał.

CZY PRZYJMIESZ WIADOMOŚĆ OD MR REDA?

Kliknęła myszą, żeby otworzyć okno wiadomości. Rozmowa miała się toczyć tylko między nimi dwojgiem. Prywatnie.

MRRED: Cześć, Carol Starkey. Czekałem na ciebie.

Zamknęła na chwilę oczy, by się uspokoić.

NABUZOWANY: Ty go zabiłeś?

MRRED: W swoim czasie paliłem sporo trawy. Wyrażaj się jaśniej .

NABUZOWANY: Wiesz, o kim mówię, tyzasrańcu. Daggetta.

MRRED: Uuuu . Lubię, jak przeklinasz .

NABUZOWANY: ZABIŁEŚ GO?

MRRED: A teraz znów krzyczysz. Jeśli odpowiem ci krzykiem, nie przypadnie ci to do smaku, skarbie. Mam WYBUCHOWY głos .

Wyszła do kuchni i zrobiła sobie drinka. Połknęła dwie tabletki tagametu. Napomniała samą siebie, że musi zachować spokój i kontrolować rozmowę.

Wróciła do komputera.

NABUZOWANY: Zabiłeś go?

MRRED: Chcesz prawdy, Carol Starkey, czy oczekujesz, że powiem to, co chciałybyś usłyszeć?

NABUZOWANY: Prawdy.

MRRED: Prawda ma swoją cenę. Jeśli odpowiem na twoje pytanie, ty bę-

dziesz musiała odpowiedzieć na moje. Zgadzasz się?

NABUZOWANY: Tak.

MR RED: Prawda boli .

Wiedziała, że w ten sposób udzielił jej odpowiedzi. To właśnie napisał na ścianie w garażu Daggetta. *Prawda boli.*

Wystukała spokojnie słowa:

NABUZOWANY: Pieprz się.

MR RED: W snach pieprzę ciebie.

NABUZOWANY: Dlaczego to zrobiłeś?

MR RED: Podszył się pode mnie, CS. Jesteś dość bystra, by wiedzieć, że to on zamordował Riggia, prawda?

NABUZOWANY: Wiem, co zrobił.

MR RED: A czy wiesz i to? Kiedy go dopadłem, pitrasił właśnie drugą bombę. Miał zamiar potraktować cię tak samo, jak potraktował Riggia.

NABUZOWANY: Skąd możesz wiedzieć?

MR RED: Wyspowiadał się przede mną. Na chwilę przedtem, nim pozbawiłem go przytomności, położyłem na bombce, którą zmajstrował, i odpaliłem ją.

W oczach Carol stanęły łzy i zamazały ekran. Pociągnęła łyk ze szklanki i wytarła je grzbietem dłoni.

NABUZOWANY: Czy to przeze mnie?

MR RED: Czyżbym wyczuwał smrodek. . . wyrzutów sumienia?

NABUZOWANY: Przeze mnie i Pella? To my cię tu ściągnęliśmy?

MR RED: Zadałaś już swoje pytanie. Teraz kolej na moje.

Spróbowała się opanować.

NABUZOWANY: Dobrze, pytaj.

MR RED: Musiałaś się już kapnąć, że Pell nie jest tym, za kogo się podaje. Wiesz, że jest jedną z moich pierwszych ofiar. Wiesz, że działa poza prawem.

NABUZOWANY: Wiem.

MRRED: I że cię wykorzystywał.

Chwilę trwało, nim wzięła się w garść.

NABUZOWANY: Zadawaj swoje pytanie.

Kazał jej czekać. Wiedziała, że chce, by zapytała ponownie, lecz nie zrobiła mu tej frajdy. Postanowiła, że będzie tak siedziała do końca życia, lecz o nic go nie zapyta. Miała już dość jego manipulacji.

W końcu to on nie wytrzymał.

MRRED: Jakie to uczucie, gdy wykorzystuje cię facet, którego kochasz?

Przeczytała to pytanie i nic nie poczuła. Wiedziała, że czeka na jej pełną oburzenia reakcję, ale postanowiła nie dać mu tej satysfakcji.

NABUZOWANY: Niedługo cię dopadnę.

MRRED: Bo pękne ze śmiechu. Ha, ha, ha.

NABUZOWANY: Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

MR RED: Moje zadanie w tym mieście skoń-
czone, Carol Starkey. Miło cię
było poznać. Dowidzenia.

Wiedziała, że tej nocy nie dostanie już wiadomości. Wyłączyła komputer. Siedziała w ciszy, paląc papierosa za papierosem. Podeszła do automatycznej sekretarki i odsłuchiwała wiadomości, jakie nagrał Pell. Odtwarzała je w kółko, wsłuchiwała się chciwie w jego głos. To bolało.

Wypiła masę drinków i wypaliła przez noc górę papierosów, zasnuwając dom kłębamii siwego dymu. Dwa razy zapadała w drzemkę. Za każdym razem śnił jej się Sugar i tamten dzień w osiedlu przyczep kempingowych. Spała niespokojnie, najwyżej po kilka minut. Obudziła się z widokiem czerwonego napisu na boku przyczepy: PRAWDA BOLI. Taki był koniec snu.

Postanowiła, że zaraz z rana powie o wszystkim Kelsowi. Nie miała innego wyjścia. Śledztwo musiało na powrót skoncentrować się na Redzie - i to szybko, jeśli chcieli skurwiela dopaść. Chyba wiedziała, jak tego dokonać.

Dziesięć minut po piątej rano zadzwoniła na pager Warrena Muellera. Była zbyt pijana, żeby się przejmować nieestosowną porą. Jej telefon zadzwonił dwanaście minut później i usłyszała w słuchawce rozespany głos.

- Cholera, Mueller, nie sądziłam, że pan tak szybko odzwoi. Sypia pan chyba z pagerem pod poduszką.
- Wiesz, która jest godzina, Starkey?
- Posłuchaj, Warren, wiem, w jaki sposób Tennant zdobył te materiały wybuchowe, którymi się wysadził. Dostał je od Reda. Red był u niego w pierdlu.

Usłyszała w słuchawce, jak Mueller przełyka ślinę.

- Skąd o tym wiesz?
- Sam mi powiedział.

- Tennant?
- Nie, Mister Red. Musisz teraz zrobić dwie rzeczy, kolego. Najpierw przejrzyj zapis z kamer wideo i zanotuj, kto odwiedzał Tennanta w ciągu ostatnich kilku dni. Drugie zadanie jest jeszcze ważniejsze. Widziałeś kiedyś album tego świra?
- O czym ty gadasz, do pioruna?
- Nigdy nie odwiedzałeś Tennanta w więzieniu?
- Po cholere miałbym go odwiedzać?!
- Gnoj miał album, jego oczko w głowie. Zbiór gazetowych wycinków i różnego chlamu na temat zamachów bombowych. Każdy, kto go odwiedzał, musiał obowiązkowo obejrzeć to cudo. Zdobądź ten album. Zdejmij z niego odciski palców i sprawdź wszystkie, jakie zdołasz znaleźć. Nie ma szans, by Red go odwiedził i nie dotknął tego albumu.

Opisała szczegółowo album i podała Muellerowi resztę niezbędnych faktów. Potem wzięła prysznic, ubrała się i spakowała komputer. Będzie jej potrzebny, bo chciała pokazać Kelsowi Klaudiusza. Przed wyjściem z domu napełniła jeszcze dzinem piersiówkę i wrzuciła do torebki nowe opakowanie tagamet.

Tak wyliczyła czas przyjazdu na Spring Street, by mieć pewność, że Kelso będzie już u siebie. Wołała nie zjawiać się w biurze pierwsza, bo wtedy musiałaby porozmawiać z Marzik i Hookerem. Wcisnęła wóz na parking obok samochodu Beth i wzięła torbę z komputerem.

Santos siedział już przy swoim biurku.

- Cześć, Hook. Jest Kelso?
- Mhm.
- A gdzie Beth?
- W damskiej toalecie.

Uwielbiała Jorge. Był ostatnim mężczyzną w Stanach, który używał określenia „damska toaleta”.

Poszła do łazienki, gdzie Marzik chciwie ssała papierosa. Z miną winowajczyni zaczęła gorączkowo rozpraszać dłonią dym, zanim się zorientowała, że to tylko Starkey.

- Przez ciebie znów jaram.

- Dlaczego nie wyjdiesz po prostu na klatkę schodową?
- Nie chcę, żeby mnie ktoś przyuważył. Przez sześć lat trzymałam się z daleka od tej trucizny.

- Wyrzuć tego peta i chodź ze mną. Muszę się widzieć z Kelso i chcę, żebyście ty i Hooker przy tym byli.

- Kurwa, dopiero zapaliłam...

- Na litość boską, Beth!

Starkey nienawidziła Marzik nawet wtedy, kiedy ją kochała.

Nie czekała, aż Hooker i Marzik się zbiorą. Nie chciała, żeby całą trójką wparadowali do gabinetu szefa niczym stadko kaczek. Zapukała do drzwi i weszła, nie czekając na zaproszenie. Kelso zrobił okrągłe oczy na widok komputera, bo komputeryzacja i Carol Starkey nie mieli ze sobą dotychczas nic wspólnego.

- Mam pilną sprawę, Barry.

- A oboje mamy niedługo spotkanie z zastępcą komendanta. Chce, żebyśmy go wprowadzili w temat przed konferencją prasową. Chce ci też pogratulować. Sam mi to powiedział. Wszyscy prócz ciebie gonili za tym Redem, a ty rozwiązałaś sprawę. Myślę, że dadzą ci awans.

Postawiła komputer na biurku. Do gabinetu wsunęli się Marzik i Hooker.

- Cieszę się, Barry, ale najpierw muszę cię o czymś poinformować i chcę, żeby Beth i Jorge przy tym byli. Buck nie popełnił samobójstwa. To nie był wypadek. Został zamordowany przez Reda.

Kelso popatrzył na Marzik i Santosa, a potem przyjrzał się mówiącej, marszcząc czoło.

- Ja tu chyba czegoś nie rozumiem. Czy to nie ty twierdziłaś, że w tej sprawie nie maczał palców Mister Red?

- Red nie zabił Charliego Riggio. Zrobił to Buck. Podszyl się pod styl Mister Reda, żeby skierować śledztwo na fałszywy trop.

- O czym ty gadasz, do jasnej cholery?!

- Redowi cholernie się nie spodobało, że ktoś się pod niego podszywa. Przyjechał tu, żeby znaleźć śmiałka. I znalazł.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Santos.

Wskazała na komputer.

- Sam mi się przyznał. Jesteśmy od blisko tygodnia w bezpośrednim kontakcie. Przez to urządził.

Kelso słuchał z nieprzeniknioną maską na twarzy, gdy zapoznawała ich z torem śledztwa, który dotąd trzymała w sekrecie. Opowiedziała im, jak - dzięki stronie „Klaudiusz” - weszła w kontakt z Mister Redem. Porucznik przerwał jej tylko raz, kiedy wspomniała o Pellu.

- Od jak dawna wiesz, że nie jest pracownikiem ATF?

- Od wczoraj. Przycisnęłam go na tę okoliczność wczoraj wieczorem.

- Jesteś tego pewna? Absolutnie pewna, że ten człowiek działa bez upoważnienia?

- Tak.

Kelso otworzył usta i rozdął nozdrza. Ze świstem wciągnął powietrze. Kiedy Starkey spojrzała na Hookera i Marzik, oboje pilnie wpatrywali się w podłogę.

- Przepraszam, Barry - powiedziała. - Źle zrobiłam, rozgrywając to w ten sposób. Bardzo was przepraszam. Pamiętajcie tylko, że nie dopadliśmy jeszcze Reda. Jestem pewna, że Buck miał większą ilość modeksu i że Red go zabrał.

- Sam ci to powiedział?

- Nie prowadzimy takich rozmów. Nie wyjawiamy sobie tajemnic. On głównie ze mnie drwi, drażni się ze mną. Nawiązała się między nami... nie wiem, jak to nazwać... nic porozumienia. Właśnie dlatego weszliśmy z Pellem do sieci, żeby wywabić skurczy syna z nory. Jestem pewna, że zdołam się z nim znowu skontaktować. Możemy go rozpracować, Barry. Możemy dopaść drania.

Kelso kiwnął głową. Był wściekły i prawdopodobnie przytaknął którejś ze swych myśli.

- Wyszliśmy na idiotów.

Zaczerpnęła głęboko tchu.

- Nie wy, Barry. Jeżeli ktoś, to ja.

- I tu się pani myli, pani detektyw. Mam zamiar zadzwonić niezwłocznie do zastępcy komendanta, Morgana. Chcę, żebyście

wszyscy poczekali na zewnątrz. Nigdzie się nie oddalajcie. Niczego nie róbcie. Marzik, Santos, was to też dotyczy. Skinęli głowami.

- Czy ktoś z was wiedziało o tej chryi?
- Nie wiedzieli - ubiegła kolegów Starkey.
- Nie ciebie pytam, kurde.
- Nie, szefie - mruknęła Marzik.
- Nie, szefie.
- Zaczekajcie na zewnątrz.

Gdy Starkey była już w drzwiach, zatrzymał ją warknięciem.

- Jeszcze jedno. Czy w czasie tych waszych... jak mam je nazwać?... pogwarek? Czy w czasie rozmów z tym mordercą przekazałaś mu jakąkolwiek, choćby najmniejszą, informację ze śledztwa?

- Nie, Barry, uchowaj Boże.
- Starkey, nigdy więcej nie zwracaj się do mnie po imieniu, dobrze?

Wyszła z gabinetu porucznika i jeszcze raz przeprosiła Santosa i Marzik. Santos kiwnął ponuro głową, usiadł za biurkiem i zagłębił się w posepnym milczeniu. Marzik była wściekła jak sto diabłów i nie usiłowała tego ukryć.

- Jeśli zapłacę za twój wyskok awansem, skopię ci ten zapijaczony tyłek! Byłam pewna, że się rzniesz z tym łobuzem!

Starkey nie zamierzała się kłócić. Usiadła przy swoim biurku i czekała.

Drzwi gabinetu Kelsa pozostawały zamknięte przez niemal trzy kwadransy. Gdy się otworzyły, wszyscy troje poderwali się na nogi. Kelso przygwoździł wzrokiem Marzik i Santosa.

- Wy tu zostajecie. Starkey do mnie.

Zamknął za nią drzwi. Jeszcze nigdy nie widziała go równie wściekłego jak w tej chwili.

- Jesteś skończona - warknął. - Zostajesz zawieszona ze skutkiem natychmiastowym. Rozmawiałem już z pionem wewnętrznym. Zamierzają wszcząć postępowanie służbowe. Skontaktują się z tobą. Od tej pory im podlegasz. Jeśli efektem przeprowadzonego śledztwa okażą się oskarżenia kryminalne,

zostaniesz ukarana z całą surowością prawa. Radzę ci jeszcze dziś skontaktować się z adwokatem.

Zmartwiła.

- Barry, wiem, że spieprzyłam sprawę, ale Red wciąż tu jest. Jest w LA i dysponuje modeksem. Nie możemy teraz przystopować. Nie możemy tego tak zakończyć!

- Jedyne, co się kończy, to twoja kariera. Jesteś skończona. Reszta będzie dalej wypełniała swoje obowiązki.

- Cholera, to jest moje śledztwo! Mam go na widelcu, Barry. Jeśli chcecie mnie wylać, trudno, wylewajcie, ale dopiero, kiedy dopadniemy gada!

Skrzyżował ręce na piersiach i przyjrzał się jej z szyderstwem w oczach.

- Twoje śledztwo? To najbardziej arogancka, samolubna wypowiedź, jaką kiedykolwiek słyszałem z ust detektywa!

- Źle się wyraziłam. Dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli.

- Wiem tylko, że prowadziłaś śledztwo na własną rękę. Wiem, bo sama mi powiedziałaś, że w sekrecie przed resztą wydziału zastawiałaś pułapki na mordercę, którego mieliśmy tropić wspólnie. Może gdybyś przyszła z tym do mnie, postąpilibyśmy tak jak ty, ale tego się już nie dowiemy. A teraz przychodzisz i oświadczasz, że Buck Daggett zginął z ręki tego człowieka. Jak się czujesz ze świadomością, że możesz być winna śmierci swojego kolegi?

Zamrugła powiekami, usiłując pohamować łzy. Prawda boli. I oto ją dopadła.

- Chujowo, jeśli to chciałeś usłyszeć. Proszę cię, nie rób mi tego, Barry. Proszę, pozwól mi zostać i dorwać sukinsyna. Cholernie mi na tym zależy.

Westchnął głęboko, wstał, obszedł biurko i usiadł w fotelu.

- Jesteś zwolniona.

Wyciągnęła rękę po laptopa. Potrzebowała go, żeby się skontaktować z Mister Redem.

- To tutaj zostanie.

Zostawiła komputer i wyszła.

Marzik siedziała przy swoim biurku. Santosa w sali ogólnej nie było. Starkey już miała powiedzieć koleżance, co się stało, ale się rozmyśliła. Doszła do wniosku, że zadzwoni później, kiedy wszyscy trochę ochłoną.

- Do widzenia, Beth.

Marzik nie odpowiedziała. Nie podniosła nawet oczu.

Carol wymanewrowała samochód z zatłoczonego parkingu i pojechała do miasta, nie wiedząc, ani dokąd jedzie, ani co zamierza. Spodziewała się, że Kelso może ją ukarać, liczyła się z zawieszeniem i utratą pensji, ale nie przypuszczała, że odbiorą jej śledztwo. Zanim się z nim zrosła, za wiele w nie z samej siebie zainwestowała. Oddała mu się całą duszą. Na myśl o tym łzy napłynęły jej do oczu. Z gniewem je powstrzymała. Pell musiał się czuć podobnie.

Wygrzebała piersiówkę spod siedzenia i ścisnęła ją udami. Zapaliła papierosa, wydmuchując za okno kłęb dymu. Piersiówka była realna, a ona miała cholerną ochotę się napić. Mocniej ścisnęła butelkę nogami. „Pieprzyć to” - zaklęła w duchu i wetknęła piersiówkę z powrotem pod fotel.

Pojechała do Griffith Park. Wzgórze roilo się od zwiedzających. Było upalnie. Gęsty smog zasnuwał sylwetę miasta. Przyglądała się turystom, usiłującym przebić wzrokiem siwą mgłę. Prawdopodobnie nie byli w stanie sięgnąć spojrzeniem dalej niż na dwie, trzy mile. Widok przypominał zdjęcie ren-

tgenowskie stoczonych przez raka płuc. „Tego mi tylko brakowało do kompletu” - pomyślała z irytacją i zapaliła kolejnego papierosa.

„Uspokój się” - nakazała sobie. Zachowywała się jak idiotka. Wiedziała, że chodzi o Bucka. Choć okazał się zbrodniarzem, gryzło ją sumienie, że mogła przyczynić się do jego śmierci. Chodziło też o Pella. Nędzny kutas coś jednak dla niej znaczył, chyba nawet więcej, niż skłonna była przyznać.

Kupiła sobie puszkę dietetycznej coli i ruszyła pod górę do obserwatorium, gdy zabrzączał jej pager. Po numerze kierunkowym zorientowała się, że dzwoni Muelier. Wdrapawszy się na wierzchołek, oddzwoniła do niego.

- Tu Starkey.
- Zostaniesz dziewczyną z okładki magazynu FBI.
- Chodzi o ten album?
- Ależ miałaś nosa, kotku! Mamy pełny garnitur, osiem z dziesięciu palców, w tym oba kciuki. Wiesz, że drań wszedł tam, udając adwokata Tennanta? Ma skurwysyn tupet.
- Macie taśmę z kamery przemysłowej?
- Aha, to również. Biuro terenowe dowódców wydziałów już nad tym pracuje. Starkey, federalni robią w portki z podniecenia. Mamy dane tego Mister Reda. Posłuchaj: John Michael Fowles, dwadzieścia osiem lat, dotychczas niekarany. Federalni mieli odciski jego palców w bazie, bo koleżka w wieku osiemnastu lat zaciągnął się do marynarki, skąd go wylali jako niezdolnego do służby. Zaczął podkładać ogień w koszarach.

Oddychała chrapliwie jak koń w maszynie startowej.

- Słuchaj, Warren, chcę, żebyś zadzwonił do naszego wydziału i przekazał im tę informację. Zdjęli mnie ze śledztwa.
- Co ty, kurwa, gadasz?
- Narozrabiałam. Moja wina. Opowiem ci, ale nie teraz. Zadzwonisz? Bardzo cię proszę. To ważne.
- Posłuchaj, dziewczynko, cokolwiek zmalowałaś, ci goście muszą być jebnięci. Chcę, żebyś to wiedziała. Jesteś supergliną.
- Zadzwonisz?

Czuła się tak, jakby ziemia usuwała się jej spod nóg prosto do oceanu, a ona zawisała w powietrzu.

- Masz to jak w banku.
- Później pogadamy.
- Starkey?
- Tak?
- Uwważaj na siebie, dziewczynko.
- Do widzenia, sierżancie.

Schowała telefon i zaczęła przyglądać się turystom, którzy z uporem maniaka wrzucali dziesięciocentówki do teleskopów, żeby lepiej przyjrzeć się smogowi. John Michael Fowles. Ujrzała go zgarbionego nad komputerem, czekającego na załogowanie się Nabuzowanego. Zobaczyła, jak buduje bombę z resztek modeksu Daggetta. Jak bierze na cel innego pirotechnika i czeka, by nacisnąć guzik i rozerwać ofiarę na strzępy. Chciała się z nim spotkać choćby na ekranie komputera. Dokończyć pracę, od której odsunął ją Kelso.

Chwileczkę...

Istniał pewien sposób.

Otworzyła komórkę i zadzwoniła do Pella.

Pell

Pell wyprowadził się z motelu. Nie wątpił, że kiedy biuro terenowe ATF dowie się, że jakiś agent bezprawnie prowadzi śledztwo, natychmiast wezmą go na cel, a przypuszczał, że Starkey powiedziała im, gdzie się zatrzymał. Nie wiedział, co robić ani dokąd jechać, wiedział tylko, że jego pościg za Mister Redem dobiegł końca. O zdemaskowaniu byłego agenta zostaną zawiadomione wszystkie biura terenowe w kraju, podobnie jak sekcje pirotechniczne wszystkich jednostek policji w Ameryce. Był załatwiony.

Nie zamierzał uciekać. Jego siatkówki odkleją się wkrótce do reszty i nieodwracalnie... i będzie po wszystkim. Pomyślał, że może zaczekać jeszcze parę dni z nadzieją, że Starkey

i tutejsza policja zdołają aresztować Reda, a wtedy sam się zgłosi. Szlag by to trafił! Za drugie miejsce nie dają nagród.

Fakt, że nie dopadł Reda, nie tyle go zasmucał, ile zaskakiwał. Od blisko dwóch lat żył obsesyjnie tylko tym pościgiem. I oto teraz najzwyczajniej w świecie stracił nim zainteresowanie. Zasmucało go co innego: rozstanie ze Starkey. Ubolewał nad tym, że ją zranił.

Zameldował się w innym hotelu, a potem jeździł bez celu po mieście, aż wylądował w małej restauracji w Santa Monica. Pojechał tam, żeby popatrzeć na ocean. Przyszło mu do głowy, że powinien, póki jeszcze czas, napaść oczy różnymi widokami, ale gdy się tam znalazł, nie zatroszczył się nawet o to, by wziąć stolik z widokiem na morze. Usiadł przy barze i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien na jakiś czas zamieszkać w Los Angeles, przynajmniej dopóki nie pogodzą się ze Starkey. Może dałaby się przeprosić. Jeśli nawet nie zdoła naprawić wszystkiego, może osiągnie choć tyle, by przestała go nienawidzić.

Kiedy zawibrował pager, rozpoznał jej numer i pomyślał, że chce go pewnie nakłonić, by zgłosił się dobrowolnie. Uznał, że może to i niegłupi pomysł.

Oddzwonił.

- Chcesz mnie aresztować?

Jej odpowiedź wprawiła go w osłupienie.

- Nie. Dzwonię, bo chcę ci dać ostatnią szansę dorwania tego drania.

Czekał na nią w łoży małej podrzędnej restauracji. Na jego widok litość ścisnęła ją za serce, ale odpędziła od siebie to uczucie.

- Właściwie możesz poznać prawdę. Nie jesteś już sam po niewłaściwej stronie prawa.

- Co to znaczy?

Opowiedziała mu wszystko. Starła się streszczać. W jego towarzystwie czuła się nieswojo.

- Proponuję ci układ, a ty się masz zgodzić. Jeśli dorwiemy tego skurwysyna, nie ukatrupimy go, lecz aresztujemy. Odtąd to już nie jest twoja prywatna wendeta. Stoi?

- Stoi.

- Jeśli nam się uda, przekazujemy sprawę Kelsowi. Nie jestem cholernym kowbojem jak ty. Chcę to zrobić jak należy i chcę mieć pewność, że nam się uda.

- Żeby ratować posadę.

- Żebyś wiedział. Mogą mnie wylać i tak, ale przynajmniej odejdę jako oficer policji, a nie jakaś zapijaczona kretyńka, która przyczyniła się do śmierci Bucka Daggetta.

Wyrżał przez okno. Przyszło jej na myśl, że stara się zapamiętać wszystko, na co jeszcze patrzy.

- Jeśli w to wejdę, mogą mnie udupić.

- Nie musisz. Chcesz - wejdź, nie chcesz - nie wchodź. Mówię ci tylko, jak to zamierzam rozegrać.

Ponownie kiwnęła głową. Domyślała się, jakie to dla niego trudne.

- Właściwie do czego ci jestem potrzebny?

- Red na mnie czeka. Takiej dostał... manii. Mogę to wykorzystać. Potrzebuję twojego komputera, by wejść do Klaudivusza. Na moim położył łapę Kelso.

Ponownie odwrócił wzrok.

- Powinienem był powiedzieć ci prawdę. Przepraszam.

- Daj spokój. Nie chcę tego słuchać.

- Od dawna mam w życiu tylko jeden cel. Człowiek przyzwyczajają się do pewnych metod.

- Więc tylko tym się od dwóch lat zajmujesz? Gonisz z miasta do miasta za tym gnojem?

Wzruszył ramionami, jakby go to zawstydziło.

- Mam odznakę i numer identyfikacyjny. Znam procedurę i mam tu i ówdzie przyjaciół. Większość ludzi nie kwestionuje odznaki. Gliny nigdy jej nie kwestionują.

- Słuchaj, mało mnie to obchodzi i nie chcę o tym gadać. Wchodzisz czy nie?

Popatrzył na nią.

- Wchodzę.
- Więc ruszajmy.
- Zaczęła się wysuwać z ciasnej łoży, gdy złapał ją za rękę.
- Carol?
- Nie dotykaj mnie, Pell. Nie lubię tego.
- Kocham cię.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, uderzyła go w twarz. Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach zaczęli się im przyglądać.

- Nigdy tego nie mów!
- Pomacał policzek.
- Zlituj się, to już trzeci.
- Nigdy tego nie mów!
- Wygramolił się z łoży.
- Komputer mam w wozie.

Pojechali do niej.

Musiała się zmuszać, by patrzeć na Pella. Czowała się okropnie, przebywając z nim w jednym pokoju. Musi się przemóc. Razem weszli na tę drogę i muszą ze sobą współdziałać. Nie było innego sposobu doprowadzenia tej gry do końca, nie mogła jednak zapomnieć, z jakim stresem wiązała się dla niej poprzednia wspólna sesja przed komputerem.

Postawili laptopa na stole w jadalni i Starkey się zalogowała. Próbowwała się skontaktować z Mister Redem o wcześniejszej niż zwykle porze, lecz niecierpliwość nie pozwalała jej zwlekać. Kiedy spojrzała na nią z ekranu płomienista głowa, Starkey weszła do czatowni, która okazała się jednak pusta.

- Co chcesz napisać? - zapytał Pell.
- To.

NABUZOWANY: John Michael Fowles.

- Kim jest John Michael Fowles?
- Tak się nazywa Red. Warren Mueller zdjął jego odciski

palców z albumu Tennanta. Byłam pewna, że jeśli Red się tam zjawił, Tennant zmusił go, żeby choć zajrzał do jego drogowego albumu.

Pell wpatrywał się z napięciem w ekran i poruszał wargami, jakby odczytując bezgłośnie to nazwisko, chciał wryć je sobie w pamięć.

Nie spodziewała się, że złapie Fowlesa o tak wczesnej porze. Mógł się pojawić w każdej chwili albo wcale. Mogli też mieć przed sobą długie godziny czekania. Zapaliła papierosa i powiedziała Pellowi, że kuchnia jest do jego dyspozycji, jeśli ma na coś ochotę. Żadne z nich nie odeszło jednak od komputera. Fowles zgłosił się niemal od razu.

CZY PRZYJMIESZ WIADOMOŚĆ OD MR REDA?

Carol uśmiechnęła się triumfalnie. Pell przysunął się tak blisko ekranu, aż się złąkla, że w nim zanurkuje.

- Uwinął się.
 - Czekał na mnie.
- Otworzyła okno.

MRRED: Bingo, pani detektyw. Jestem pod
 wrażeniem.

NABUZOWANY: Rumienię się z dumy.

MR RED: Skąd znasz moje nazwisko?

NABUZOWANY: A - to już jest pytanie. Chcesz
 znać prawdę, czy chcesz, żebym
 powiedziała to, co pragniesz
 usłyszeć?

MRRED: Ryję ze śmiechu, Carol. Dobrze
 się odgryzasz.

Nie odpowiedziała.

- Dlaczego mu nie odpowiadasz? - zaniepokoił się Pell.
- Niech trochę poczeka. Gnój lubi się droczyć.

W końcu na ekranie pojawił się nowy tekst.

MRRED: Prawda ma swoją cenę. Czego chcesz w zamian?

NABUZOWANY: Odpowiesz mi na jedno pytanie. Zgoda?

MR RED: W granicach rozsądku. Nie podam ci mojego miejsca pobytu, na to nie licz. Poza tym oferta jest uczciwa.

NABUZOWANY: Więc zgoda.

MRRED: Zgoda.

NABUZOWANY: Album Tennanta. Kiedy zrozumiałam, że go odwiedziłeś, byłam pewna, że cię zmusił do obejrzenia swojego skarbu.

Tym razem zamilkł Fowles. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

MRRED: Pieprzę cię.

NABUZOWANY: Ale tylko w snach.

- Chryste, Starkey, więc jesteście ze sobą tak blisko?

- Zamknij japę.

MRRED: Czy wiesz, dlaczego zajrzałem do jego albumu, Carol Starkey?

NABUZOWANY: Żeby przeczytać artykuły na swój temat?

MR RED: Żeby przeczytać artykuły na twój temat.

Pell poruszył się niespokojnie. Starkey namyślała się chwilę, zapatrzona w ekran, po czym wystukała słowa:

NABUZOWANY: Kolej na moje pytanie.

MR RED: Owszem.

Zawahała się. Ręce jej się trzęsły. Pomyślała o piersiówce.

Zapaliła następnego papierosa.

Pell dostrzegł, co się z nią dzieje.

- Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedziała.

NABUZOWANY: Pytam po raz drugi: Czy przyjechałbyś do Los Angeles, gdybyśmy cię tu nie zwabili?

MRRED: Prawda czy to, co pragniesz usłyszeć?

NABUZOWANY: Odpowiedz.

Fowles zrobił kolejną pauzę.

- Na co on czeka?

- Myśli. Czegoś chce. Kombinuje, jak to osiągnąć.

- Czego chce?

- Nadstaw uszu, Pell. Mnie.

MR RED: Odpowiem ci na twoje pytanie osobiście. Daj mi swój numer telefonu.

NABUZOWANY: Chyba jesteś stuknięty.

MR RED : JESTEM MR RED! JASNE, ŻE JESTEM STUKNIĘTY!

NABUZOWANY: Nie wściekaj się, John.

MRRED: Nie nazywaj mnie tak. Jestem Mr Red.

NABUZOWANY: Mimo to nie dam ci moj ego numeru. Tak daleko nie zamierzam się posunąć .

MR RED: Ja cię często posuwam w marzeniach, Carol.

NABUZOWANY: Pamiętaj o regulaminie, John. Jeśli zaczniesz świętować, wychodzę z programu i biorę zimny prysznic.

MR RED: Brakuje ci tylko... prawdy.

NABUZOWANY: Prawda boli.

MR RED : Prawda może cię również wyzwolić.

Opadła na oparcie krzesła, nie spiesząc się z odpowiedzią. Musiała pomyśleć. Wiedziała, że będą mieli tylko jedną przynętę, żeby go zwabić. Jeśli łotr zmiarkuje, do czego ona zmierzła, okazja zniknie, a wraz z nią ulotni się sam Red.

- Udaj słabą kobietkę - doradził Pell.

Obejrzała się i stwierdziła, że bacznie się jej przygląda.

- Jest mężczyzną. Jeśli chcesz go zdobyć, musisz go potrzebować. Niech się tobą zaopiekuje.

- To nie w moim stylu.

- Udawaj.

Odwróciła się do komputera.

NABUZOWANY: Boję się.

MR RED: Prawdy?

NABUZOWANY: Pragniesz się dostać na listę dziesięciu. Boję się, że mam ci jedynie posłużyć do osiągnięcia tego celu.

MR RED: Są rzeczy, których pragnę bardziej .

NABUZOWANY: Na przykład?

MR RED: Usłyszeć twój głos, Carol Starkey. Odbyć z tobą normalną rozmowę. Nie po łączach. Widzieć twoją twarz, słyszeć twój głos.

NABUZOWANY: Nie widzisz, że to dziwaczne? Jestem funkcjonariuszem policji, a ty jesteś Red. MR RED.

MR RED: Oboje figurujemy w albumie Tennanta.

Nie odpowiedziała.

MR RED: Jesteśmy do siebie podobni

Znów się zawahała. Miała ściśle określony cel, ale nie mogła nawet lekko popychać go w tym kierunku. To musiało wyjść od niego, inaczej nici z planu.

NABUZOWANY: Nie dam ci mojego numeru telefonu.

MR RED: W takim razie ja ci podam pewien numer.

NABUZOWANY: Bo pęknę ze śmiechu! Jeśli mi podasz numer, będę wiedziała, gdzie jesteś.

MR RED: I może o to chodzi. Może chciałbym, żebyś dogodziła mi własnoręcznie.

NABUZOWANY: Nie bądź chamski.

MR RED: Chamski, ale nie głupi. Zrobimy tak. . . Wejdz do Klaudiusza dzisiaj dokładnie o piętnastej. Będę czekał. Podam ci numer telefonu. Jeśli nie zadzwonisz w ciągu piętnastu sekund, odjadę i nigdy więcej się do ciebie nie odezwę. Jeśli zadzwonisz, porozmawiamy dokładnie przez pięć minut i odpowiem na twoje pytanie. Tylko pięć minut. Miałbym ochotę na dłuższą pogawędkę, ale oboje wiemy, na co ten czas wykorzystasz .

NABUZOWANY: Zgadza się. Będę próbowała zlokalizować twój numer.

MRRED: Właśnie. Choć może zdołam cię przekonać, że jesteśmy stworzeni do czegoś lepszego.

NABUZOWANY: Nie licz na to.

MRRED: Uczciwe postawienie sprawy. Pokonam cię, Carol, dobrze o tym wiesz. Nie zdołasz mnie złapać.

NABUZOWANY: Zobaczymy.

- Masz go w ręku, Starkey.

- Możliwe.

Miała wreszcie z czym pokazać się Kelsowi, choć teraz wszystko zależało od Reda. Bała się, że się wyloguje i nigdy już nie pojawi. Nie będzie o piętnastej czekał na nią w sieci. Nie zamierzała wystukiwać tego na klawiaturze, ale chciała się jakoś upewnić. Pocieszała się, że jeśli zdołała go aż tu doprowadzić, już jej się nie wymknie. Nie zniknie, nie rozwieje się w powietrzu. Wróci do niej, a ona go złapie.

To, co zamierzała napisać, było tak intymne, aż oblała się rumieńcem wstydu, wystukując te słowa w obecności Pella.

NABUZOWANY: Kiedy snujesz fantazje na mój temat, o czym myślisz?

Długo nie odpowiadał, aż się przestraszyła, że już się wylogował. Gdy zaś w końcu pojawiła się odpowiedź, pożałowała swojego pytania.

MRRED: O śmierci, Carol.

Nie odpowiedziała. Wyszła z witryny i wyłączyła komputer.

Pell wpatrywał się w nią uważnie.

- Nie gap się tak na mnie - prychnęła. - Musimy się brać do roboty.

Mr Red

John Michael Fowles parkował niecałe dwie przecznice od domu Carol Starkey. Zamknął iBooka i uśmiechnął się triumfalnie.

- Kurwa, jestem dobry! Jestem tak dobry, że ktoś powinien mi wytatuować na obu półdupkach: „Nie do wyjebania”.

Odsunął iBooka i poklepał słoik z modeksem. Lubił mieć przy sobie tę szarawą substancję przypominającą wielki glut pasty do zębów. Wolał ją od złotej rybki. Nie musiał jej karmić.

Zaczekał, aż Starkey i Pell wyjdą, po czym pojechał do hotelu, żeby się wziąć do konstruowania nowej bomby. Tym razem zamierzał zbudować urządzonek całkiem innego rodzaju, przeznaczone specjalnie dla Carol Starkey. Nie miał zbyt wiele czasu.

Starkey chciała wyciągnąć z Johna Michaela Fowlesa miejsce jego pobytu, żeby go aresztować. By tego dokonać, musiała mieć pod ręką ekspertów od telefonii stacjonarnej - na wypadek, gdyby skorzystał z takiej linii, oraz fachowców od telefonii komórkowej - na wypadek, bardziej zresztą prawdopodobny, gdyby zadzwonił z komórki. Kiedy ci specjaliści go namierzą, funkcjonariusze policji będą musieli zamknąć krąg. Ponieważ celem akcji miał być John Michael Fowles alias Mister Red, nie mogło się też obyć bez udziału sekcji pirotechników. To wszystko zaś oznaczało, że będzie potrzebowała pomocy Kelsa.

Zadzwoniła do Dicka Leytona.

Kiedy podniósł słuchawkę, wyczuła w jego głosie rezerwę i zatroskanie. Zrozumiała, że zna już nowiny.

- Potrzebuję twojej pomocy, Dick.
- Nie wiem, czy będę ci mógł jej udzielić. Rozmawiałem z Barrym. Co ci, u diabła, strzeliło do głowy?
- Czy Barry ci powiedział, że kontaktowałam się z Redem?
- Oczywiście. Masz z tego powodu poważne kłopoty. Naprawdę poważne. Wątpię, czy uda ci się wymigać tylko zawieszeniem.
- Wiem, że mam poważne kłopoty, Dick, ale wysłuchaj mnie, proszę. Nadal pozostaję w kontakcie z Mister Redem. Właśnie rozmawiałam z nim w sieci.

- Cholera, Carol, tylko pogarszasz swoją sprawę. Powinnaś...

Przerwała mu.

- Wiem, że Barry mnie wykopał, wiem, że zostałam odsunięta od śledztwa, ale tylko ja mogę dopaść tego gnoja, Dick. Nawiązałam z nim kontakt, czy to się Barry'emu podoba, czy nie, i możemy to wykorzystać, żeby drania dorwać. Wystawię go wam, Dick.

Milczał. Wiedziała, że się zastanawia, więc postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Dokładnie o piętnastej ma znowu czekać w sieci. Poda mi numer, pod który mam zadzwonić. Dick, chyba zdołam zorganizować spotkanie twarzą w twarz. Nawet jeśli nie, może uda nam się namierzyć rozmowę. Chodzi o Reda, do ciężkiej cholery, przecież nie możemy pozwolić, żeby wymknęła się nam taka okazja! Wstaw się za mną u Barry'ego, Dick.

Rozmawiali przez następne dziesięć minut; Leyton zadawał pytania, Carol mu odpowiadała. Oboje zdawali sobie sprawę, że będzie musiał zadzwonić do Morgana i najpierw przekonać zastępcę komendanta, zanim przedstawi rzecz Kelsowi. Potrzebowali zresztą siły przebiccia Morgana, żeby wszystko zostało dopięte na czas. Starkey pożałowała, niestety ponieważ, że umówiła się z Fowlesem na dzisiaj, zamiast odłożyć spotkanie do jutra. Leyton przyrzekł w końcu, że zrobi, o co go prosi, i umówił się z nią na Spring Street o drugiej po południu.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Pella.

- Słyszałeś...
- Pozostajemy w grze.
- Jeśli Morgan się zgodzi, postawi pewnie na nogi ATF i FBI. Chłopcy mogą się tam zjawić.
- I pewnie się zjawią. Nie lubią podpieierać ścian.
- Może byłoby lepiej, żebyś się tam nie pokazywał?
- Nie po to zaszedłem tak daleko, Carol, by teraz pasować.
- Zatem ruszajmy. Chciałbyś coś wcześniej zjeść?
- Nie byłbym chyba w stanie.

- Może tabletkę tagamet?

Roześmiał się.

Odwozła go do restauracji, przed którą zostawił wóz, po czym rozjechali się w przeciwne strony.

Za pięć drugą zaparkowała przy czerwonej linii na Spring Street i poszła na górę z laptopem Jacka pod pachą. Leyton już tam był, podobnie jak Morgan i jacyś dwaj faceci w czerni. Pell jeszcze się nie zjawił. Starkey miała nadzieję, że zmienił zdanie i w ogóle się nie pokaże. Kelso stał przed swoim gabinetem z dwoma cywilami, w których Starkey domyśliła się agentów federalnych. Marzik rozmawiała z jednym z facetów w czerni; nie przywitała się z wchodzącą koleżanką. Wszystkie spojrzenia skupiły się na Starkey.

- Wejźmy do gabinetu - zaproponował Dick.

Weszła za innymi do gabinetu Barry'ego. Siedzący tam Morgan skinął jej uprzejmie głową.

- Wygląda na to, że wpadła pani w kłopoty, pani detektyw.

- Niestety, panie komendancie.

- No cóż, poczekajmy na rozwój wydarzeń.

Kelso nie wydawał się uszczęśliwiony takim obrotem wypadków, lecz nie był też głupi. Chciał dopaść Mister Reda, skoro więc nie nadarzała się lepsza okazja, godził się z nieuniknionym. Trzej przedstawiciele firm telefonicznych ustawili własny komputer, który podłączyli do gniazdka telefonicznego.

- Powtórzyłem w ogólnych zarysach naszą rozmowę komendantowi Morganowi i porucznikowi Kelso - zagaił Leyton. - Obaj wyrazili zgodę na twój plan. Dyspozytor czeka w gotowości z bezpiecznym połączeniem do radiowozów. Postawiliśmy w stan gotowości antyterrorystów, gotów jest też do akcji, jak zawsze, oddział pirotechników.

Starkey skinęła głową i lekkim uśmiechem skwitowała owo chępliwie „jak zawsze”.

- W porządku.

Bezpieczne połączenie oznaczało, że wszystkie połączenia

z radiowozami miały być przekazywane przez komputery. Nie zamierzali używać połączeń radiowych, które mogły być przechwycone przez media albo osoby prywatne na falach CB.

- Gdzie chcecie to zrobić?

- Tu, w moim biurze - odparł Kelso. - Potrzebujesz czegoś specjalnego do komputera?

- Tylko linii telefonicznej. Do normalnej rozmowy użyję komórki.

Jeden z facetów w czerni powiedział:

- Czy nie lepsza do zastawienia pułapki byłaby linia stała?

Odpowiedział mu facet od telekomunikacji:

- Nie. Gdy gość się odezwie, uda się nam ustalić, skąd dzwoni, chyba że użyje komórki. Jeśli będzie w ruchu, bez znaczenia okaże się fakt, przez jaką linię pani będzie rozmawiała.

Kelso uprzątnął biurko, żeby Starkey miała gdzie postawić komputer. Kątem oka dostrzegła w pomieszczeniu ogólnym Pella; rozmawiał właśnie z federalnymi po cywilnemu.

Za dziesięć trzecia, otoczona gromadką podeksycytowanych sekundantów, była gotowa wejść do sieci. Leyton stanął za nią i dotknął jej ramienia.

- Mamy jeszcze kilka minut. Napij się kawy.

Wyszła do sali ogólnej, zadowolona z tej przerwy. Pell wciąż stał z dwoma tajniakami, lecz nie był zakuty w kajdanki. Nie podeszła do automatu z kawą. Podeszła do Jacka.

- Panowie są z ATF?

Niższy z mężczyzn przedstawił się jako młodszy agent specjalny Wally Coombs, a wyższy jako agent specjalny Burton Armus, obaj z biura terenowego ATF w Los Angeles.

- Aresztujecie go?

- Na razie nie. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań w związku z tą sprawą.

- Będziecie musieli trochę poczekać.

- Jasne.

- Będę potrzebowała teraz pomocy tego pana.

Agenci wymienili spojrzenia, po czym Coombs wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

Pell ruszył za Starkey do gabinetu Kelsa, niemal przyklejony do jej pleców.

- Dzięki.

O drugiej pięćdziesiąt dziewięć Starkey na powrót zasiadła przed komputerem.

- Jesteśmy gotowi? - spytała.

Morgan porozumiał się wzrokiem z dowódcami wydziałów i specjalistami od telefonów. Jeden z nich powiedział coś szeptem do swojej komórki, po czym podniósł kciuk. Morgan skinął Starkey głową.

- Zaczynamy.

Otworzyła wrota Klaudiusza. Niemał natychmiast na ekranie zaświeciły słowa.

CZY PRZYJMIESZ WIADOMOŚĆ OD MR REDA?

- O Chryste! - mruknął Kelso.

Morgan zmarszczył brwi.

- Proszę o ciszę.

Pojawiło się okno. Wiadomość, jaka się w nim ukazała, zaskoczyła wszystkich.

MRRED: Przepraszam, kotku, ale zmieni-
łem zdanie.

- Psiakrew! - zaklął Kelso.

Morgan uciszył go syknięciem. Spróbował dodać Starkey otuchy.

- Proszę to rozgrywać po swojemu, Starkey. Cóż zrobić, jak pech, to pech.

Spojrzała na niego, a jeden z facetów w czerni uśmiechnął się życzliwie. Wystukała:

NABUZOWANY: Jesteś zwykły kutas .

MR RED: Właśnie się nim bawiłem.

NABUZOWANY: Nie zrób sobie krzywdy.
MRRED: Rozmowa mi nie wystarczy. Jestem człowiekiem o kolosalnym apetycie, jeśli wiesz, co mam na myśli.
NABUZOWANY: Zawarliśmy umowę.
MRRED: Co proponujesz?
NABUZOWANY: Obiecałeś, że odpowiesz na moje pytanie.
MRRED: Owszem: osobiście. Z tego się nie wycofuję.
NABUZOWANY: Jaja sobie robisz. Wiesz, żenię zamierzam się z tobą spotkać. Wybij to sobie z głowy.

- Cholera, Carol... - zaprotestował Kelso.
- Ona wie, co robi - wtrącił Pell.

MRRED: Więc nigdy się nie dowiesz, dlaczego zginął Buck Daggett.

Starkey opadła na oparcie fotela i czekała. Czują, jak Kelso, Leyton i pozostali kręcą się nerwowo za jej plecami, i wcale nie była tym zachwycona.

MRRED: Spotkaj się ze mną, Carol Starkey. Nie zrobię ci krzywdy.

NABUZOWANY: Gdzie?

MRRED: Nie pyta j , jeśli nie myślisz się zgodzić.

NABUZOWANY: Gdzie?

MRRED: W Echo Parku. W pobliżu fontanny. Wiesz, gdzie to jest?

Morgan rozkazywał już szeptem swoim podwładnym, żeby obstawiono teren wokół Echo Parku policjantami w cywilu.

Usłyszała, jak Dick Leyton szepce coś gorączkowo do swojej komórki, ogłaszając zapewne alarm w wydziale bombowym.

NABUZOWANY: Wiem.

MRRED: Zaparkuj po południowej stronie stawu i idź w kierunku kiosku. Podejdz do kiosku, ale od tej strony. Będę cię obserwował. Jeśli przyjdiesz sama, spotkamy się. Jeśli nie, sporo stracisz w moich oczach.

NABUZOWANY: Jesteś głupi.

MRRED: Czyżby, Carol Starkey? Jestem Mr Red. Tam dowiesz się prawdy.

Napędce przygotowali akcję. Antyterrorysty ze SWAT i oddział pirotechników mieli się spotkać na parkingu sześć przecznic od Echo Parku. Detektywi po cywilnemu, wyłącznie latynoskiego pochodzenia, każdy wyposażony w radiotelefon, zostali rozmieszczeni na ulicach okalających park. Wszystkich mundurowych i radiowozy wycofano.

Specjaliści od telefonów zaraz na miejscu, w gabinecie Kelsa, założyli Starkey podsłuch. Miała pojechać do parku własnym samochodem i wypełnić dokładnie polecenia Fowlesa. Kiedy znajdzie się w parku, a on do niej podejdzie i się zidentyfikuje, teren zostanie zamknięty. Na wszelki wypadek rozmieści się w okolicy snajperów.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Pell.

Wszystko się działo tak szybko, że prawie ją zemdlilo.

- Oczywiście.

Odprowadzili ją do samochodu w niecałe osiem minut po wyłączeniu komputera.

Pojechała do Echo Park, udając sama przed sobą, że jedzie na zwykłą wycieczkę. Wiedziała, że tak jest najlepiej. Należy zapomnieć o tej całej obstawie, podobnie jak w chwili zbliżania się do bomby. Przy takim nastawieniu nie będzie mimo woli

wypatrywała snajperów czy policjantów po cywilnemu, toteż się nie zdradzi.

Droga ze Spring Street do Echo Park zajęła jej równo dwaście minut. Zaparkowała na południowym krańcu, jak polecił Red. Wciąż czuła mdłości. Nie będzie na nią czekał z uśmiechem na twarzy i hot dogiem w ręku. Szła na spotkanie z Mr Redem. Należało się spodziewać niespodzianek.

- Kontrola radia.
- Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy.
- Słyszę cię dobrze.
- Wyjmuję słuchawkę.
- Dobra.

Wyjęła z ucha słuchaweczkę. Gdyby Red ją dostrzegł, zorientowałby się bez trudu, że Carol ma na sobie podsłuch. Mikrofon przyklejony taśmą między piersiami przekaże jej głos. Kiedy go przywita: „Witam, Mister Red”, oni to usłyszą.

Plan był prosty: wystawić drania, paść plackiem na ziemię i pozwolić specjalistom działać.

Zamknęła samochód i ruszyła w stronę kiosku. Letnie popołudnie powszedniego dnia. W parku roiło się od rodzin z dziećmi, biegającymi z balonikami i lodami, jeżdżącymi na łyżworolkach i deskach. Było tak gorąco, że pod stopami miękko uginał się asfalt. Carol miała nadzieję, że już goręcej nie będzie.

Przed kioskiem stała długa kolejka. Starkey miała do przejścia około sześćdziesięciu jardów. Przebyła je wolnym krokiem, aby dokładnie przyjrzeć się wszystkim twarzom, jakie miała w zasięgu wzroku. Nie dbała o to, czy Fowles pomyśli, że jest nadmiernie ostrożna, nie chciała tylko, aby pomyślał, że skrada się tak, by dać kolegom z obstawy czas na zajęcie pozycji.

Doszła do kiosku i zatrzymała się. Nikt do niej nie podchodził, zresztą nikt z obecnych nie wyglądał na Mister Reda. Tłum składał się w większości z Latynosów, z niewielkim dodatkiem czarnych i Azjatów. Była tu jedną z nielicznych białych osób.

Wystukała z paczki papierosa i zapaliła. Minuty wlokły się w nieskończoność. Red mógł się czaić wszędzie i nigdzie. Zastanawiała się, czy znowu nie zmienił zdania.

W kolejce ustawiła się jakaś przysadzista kobiecina z dziećmi. Przypomniała Starkey te baby, które obserwowała z okna Dany, gdy usiłowały dogonić autobus. Kobiecie towarzyszyło czterech małych chłopców. Wszyscy byli niscy, pulchni i smagli jak matka. Najstarszy stał tuż przy jej boku, pozostali natomiast hasali z krzykiem dokoła. Starkey wołałaby, żeby się tak nie darli. Te wrzaski działały jej na nerwy. W pewnej chwili dwaj najmniejsi chłopcy wskoczyli za kiosk, wybiegli z drugiej strony i nagle stanęli jak wryci. Coś znaleźli. Torbę. W pierwszej chwili nie zorientowała się, co ich zatrzymało, ale potem serce podeszło jej do gardła. Już wiedziała.

Malcy zajrzeli do torby. Dołączył do nich starszy z braci. Była to zwykła papierowa torba na zakupy, którą ktoś zostawił za węglem kiosku.

Starkey pożałowała, że nie połknęła więcej tagametów.

- Zmykajcie stąd.

Nie podniosła głosu, nie ruszyła nawet w stronę chłopców. Oto spotkała Mister Reda. Bomba była na pewno odpalana radiem. Skurwysyn ich obserwował i w każdej chwili mógł zdetonować ładunek.

Starkey rzuciła na ziemię niedopałek i rozdeptała go nogą. Musiała przegonić stąd te dzieci.

Ruszyła w stronę torby.

- To jest prawdopodobnie urządzenie wybuchowe - powiedziała głośno. - Powtarzam: urządzenie wybuchowe. Trzeba stąd usunąć dzieci.

Podszedłszy bliżej, podniosła głos, nadała mu ostry, rozkazujący ton.

- Hej, wy!

Spojrzeli na nią. Chyba nie mówili po angielsku.

- Zmiatajcie stąd, ale już!

Chłopcy wiedzieli, że zwraca się do nich, lecz tylko wy-

trzeszczali na nią oczy, jakby nic nie rozumiejąc. Ich matka powiedziała coś po hiszpańsku.

- Niech im pani powie, żeby uciekali! - zawołała do niej Starkey.

Kobieta trajkotała coś po hiszpańsku, tymczasem Starkey podeszła do torby i dostrzegła końcówki rur.

- BOMBA!

Chwyciła obu malców - mogła złapać jedynie dwóch - i odciągnęła byle dalej od tego miejsca.

- TU JEST BOMBA! BOMBA!! - krzyczała co sił w płucach. - POLICJA, PROSZĘ NATYCHMIAST UCIEKAĆ!

Chłopcy rozplakali się, ich matka skoczyła na Starkey jak kocica, ludzie w kolejce zaczęli się kręcić niespokojnie. Starkey napierała na nich z furią, usiłując zmusić do ucieczki, jednocześnie wozy policyjne wjechały do parku i z rykiem pędziły w ich stronę...

I nic się nie stało...

Russ Daigle, z twarzą błyszczącą od potu i tak napiętą, jak to się zdarza jedynie saperom rozbijającym bombę, mruknął:

- Tu nie ma żadnego ładunku.

Starkey była tego pewna co najmniej od półgodziny. Gdyby Red chciał zdetonować tę bombę, zrobiliby to, kiedy ona nad nią stała. Teraz siedziała za suburbanem Daigle'a jak wtedy, gdy pracowała w wydziale i dochodziła do siebie po akcji. Daigle posłał robota z wyrzutnikiem pirotechnicznym, żeby zdetonował podejrzone rury.

- Liścik do ciebie.

Wręczył Carol czerwoną fiszkę. Razem z nim podeszli

Dick Leyton i zastępca komendanta Morgan.

Na fiszce widniały słowa: *Sprawdź listę.*

Spojrzała na starszych kolegów.

- Co to ma znaczyć, u diabła?

Leyton dotknął jej ramienia.

- Red trafił na listę. FBI dopisało go, jak tylko dostało jego dane.

Roześmiała się cierpko.

- Przykro mi, Carol. Wykonałaś dobrą robotę. Naprawdę pierwszorzędną.

Było więc po wszystkim. Mogła zapomnieć o porozumieniu, jakie udało jej się nawiązać z Redem. Z pewnością ich obserwował. Gdziekolwiek teraz był, musiał pokładać się ze śmiechu. Nawet gdyby znowu weszła do Klaudiusza i on tam czekał, wszelka nadzieja na zwabienie go w pułapkę i tak minęła bezpowrotnie. Osiągnął swój cel.

Podszedł Kelso i powiedział jej z grubsza to samo co Leyton. Udało mu się nawet zrobić zatroskaną minę.

- Słuchaj, Carol, musimy jakoś uporać się z tym, co narozrabiałaś, tu nic się nie zmienia, ale, hmm, może uda się spowodować, byś u nas została. Raczej nie w wydziale, ale i to się jeszcze zobaczy.

- Dzięki, Barry.

- Możesz mi dalej mówić po imieniu.

Uśmiechnęła się.

Agenci ATF krążyli wokół Pella niczym jego ochrona osobista. Oczy jego i Starkey spotkały się przelotnie. Pell rzucił jakieś słówko swoim stróżom i podszedł do Carol.

- No i jak się czujesz?

- Bywało lepiej, ale bywało też gorzej. Słyszałaś, że wciągnęli go na listę?

- Mhm. Może drań się teraz wycofa.

Skinęła głową. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy Red zostanie w Los Angeles? Czy dalej będzie zabijał, czy po prostu zniknie? Pomyślała o mordercy z San Francisco znanym jako Zodiak, który zabił masę ludzi, a potem po prostu zaprzestał działalności.

Popatrzyła na obu federalnych.

- Co z twoimi przyjaciółmi?

- Wyprowadzą mnie stąd w kajdanach. Chcą, żebym pojechał do ich biura terenowego na przesłuchanie. Pouczyli

mnie o moich prawach i poradzili, bym wziął adwokata. Co ci to mówi?

- Że masz przejebane?

- Bogaty słownik.

Uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

- I miły uśmiech.

- Nie zaczynaj znowu.

- Muszę z tobą porozmawiać, Carol. Musimy porozmawiać.

Odepcnęła się od samochodu.

- Nie chcę o niczym rozmawiać. Chcę tylko jechać do domu i lizać rany.

- Nie chcę rozmawiać o tym, co mnie czeka. Chcę porozmawiać o nas.

- Tak też cię zrozumiałam. Do widzenia, Jack. Jeśli będę ci mogła jakoś pomóc moimi zeznaniami, możesz na mnie liczyć.

Spojrzała w jego gasnące oczy i szybko odeszła, żeby nie dostrzegł, jak bardzo chciałaby z nim zostać.

Nie wróciła na Spring Street. Letnie słońce wciąż stało wysoko nad horyzontem, ale powietrze było czyste, a upał znacznie zelżał. Jechała z opuszczonymi szybami.

Zatrzymała się przy całodobowym minimarkecie, kupiła mrożoną herbatę w dużym kartonie i pojechała przez teren okręgu Rampart. Przyglądała się ludziom i cieszyła gwarem ulicznego ruchu. Gdy mijały ją policyjne radiowozy, pozdrowiała ich załogi przyjaznym skinieniem głowy. Lecz gdy zawibrował na jej biodrze pager, wyłączyła go, nie sprawdzając, kto dzwoni. Domyśliła się, że to Pell. Pell albo Kelso. Tak czy siak, nieważne. Skończyła z bombami. Mogła żyć bez ich rozbijania, nie musiała być pirotechnikiem, da sobie radę bez tego zajęcia. To, co powiedział Kelso, podniosło ją na duchu. Przyszło jej do głowy, że mogłaby chyba polubić pracę w wydziale zabójstw, ostatecznie większość detektywów marzyła, by w nim pracować. Co prawda niełatwo się tam było dostać, a ona raczej nie otrzyma najlepszych referencji. Kiedy rozejdzie się nowina, że prowadziła śledztwo na własną rękę, w tajemnicy przed kolegami, będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli dadzą jej posadę w wydziale przestępstw gospodarczych.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że myśli o tym jedynie po to, żeby nie myśleć o Pellu, gdy zaś sobie to uświadomiła, już nie była w stanie wyrzucić go z pamięci. Herbata nabrała nagle posmaku goryczy, a wspomnienie o podstępie Mister

Reda zaczęło tym bardziej uwierać. Odrzuciła karton z herbatą, połknęła dwie tabletki tagametu i zawróciła w stronę domu. Czowała się pusta, choć nie aż do tego stopnia, by musiała natychmiast zalać tę pustkę dżinem.

I to już należało uznać za jakieś osiągnięcie. Pewnie powinna za nie podziękować Pellowi, nie za bardzo jednak rwała się do podziękowań.

Gdy dojeżdżała do domu, rozkwitła w niej nadzieja, że zastanie samochód Pella na podjeździe. Nie było go oczywiście.

No i dobrze, zjeżyła się w duchu, w tym samym jednak momencie doznała uczucia bolesnej straty, jakiego nie doświadczyła od śmierci Sugara. Uświadomienie sobie tego faktu nie poprawiło jej nastroju, spróbowała się tym jednak na razie nie zamartwiać. Okrzepła. Wydoroślała. Odtąd będzie się starała przede wszystkim nie stracić pracy albo też porzucić ją - wraz z pamięcią o Jacku Pellu - w sposób dla siebie najkorzystniejszy.

Wyłączyła silnik samochodu i weszła do domu. Lampka sekretarki telefonu w przedpokoju migotała, lecz Carol tego nie zauważyła. Zresztą gdyby nawet zauważyła, i tak niczego by to nie zmieniło.

Pierwszą i jedyną rzeczą, jaką zobaczyła, rzeczą, która przyciągnęła jej wzrok, jakby chwyciła go w szpony, było stojące na stoliku do kawy urządzenie wybuchowe. Niespodziewany widok tych dwóch bliźniaczych rur galwanizowanych, przymocowanych taśmą hydrauliczną do czarnego pudełka, wzdłuż którego biegły równo ułożone czerwone, niebieskie i żółte przewody, zmroził jej krew w żyłach. Obce i mechaniczne, surowe i oczywiste stało na podkładce z magazynów „Glamour” i „American Crime Scenę” i wręcz krzyczało: BOMBA! Carol zmartwiała ze zgrozy i w tej samej chwili w jej głowie eksplodowało oślepiające światło.

- Słyszysz mnie?

Miał głos zaskakująco ciepły. Ledwo go mogła zrozumieć przez ostre dzwonienie w uszach.

- Widzę, że poruszają się gałki twoich oczu, Carol Starkey.

Usłyszała odgłos kroków, miękkie podeszwy na twardej podłodze, i zaleciał ją jakiś cierpki zapach, chyba benzyny. Kroki oddaliły się.

- Czujesz? To płyn do rozpalania grilla. Znalazłem go w twojej spizarni. Jeśli się zaraz nie ockniesz, przypiekę ci kopyta.

Poczuła na nodze wilgoć, przenikającą przez wspaniałe spodnie od Donny Karan i buty od Bruna Magliego.

Za prawym uchem czuła ostry ból, który świdrującą igłą przewierał głowę, powodując łzawienie oczu. Miała wrażenie, jakby jej serce biło, dudniąc i strasznie, właśnie tam, za uchem. Kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że widzi podwójnie.

- Co z tobą, Carol Starkey? Widzisz mnie?

Spojrzała w kierunku, z którego dobiegał głos.

Uśmiechnął się, kiedy ich oczy się spotkały. Z jego prawej ręki wystawał czarny metalowy pręt. Znalazł w jej szafie twardą pałkę policyjną. Rozłożył ramiona w geście powitania i przedstawił się:

- Jestem Mister Red.

Siedziała przy kominku, przykuta kajdankami za ręce do jego żeliwnej ramy. Nogi miała wyciągnięte prosto przed siebie niczym małe dziecko. W zdrętwiałych dłoniach straciła niemal czucie.

- Gratulacje, John. Dostałeś się w końcu na listę.

Roześmiał się, ukazując piękne, równe zęby. Zupełnie nie tak go sobie wyobrażała. Nie był też podobny do niewyraźnych, ziarnistych fotografii, jakie jej pokazywano. Nie wyglądał na swoje dwadzieścia osiem lat i zupełnie nie przypominał zaniedbanych nieudaczników, jakimi była większość seryjnych zamachowców. Okazał się przystojnym mężczyzną z kompletem palców u rąk.

- Wiesz, co ci powiem? Teraz, kiedy tam trafiłem, już mi to właściwie wisi. Teraz poluję na grubszego zwierza.

Uznała, że powinna podtrzymywać rozmowę. Dopóki był nią zajęty, miała jakąś szansę ocalenia. Urządzenie wybuchowe nie stało już na stoliku do kawy. Umieścił je na podłodze parę cali poza zasięgiem jej stóp.

Usiłowała nie patrzeć w tamtą stronę.

- Przyjrzyj mu się, Carol.

Jak gdyby czytał w jej myślach.

Podszedł, usiadł po turecku na podłodze i czule poklepał bombę.

- Resztką modeksu Daggetta. Nie taka mieszanka, jaką preferuję, ale ujdzie. - Poglaskał z dumą urządzenie. - Cacko specjalnie dla ciebie. Z twoim nazwiskiem i podobnymi bajerami.

Spojrzała na ładunek wybuchowy tylko po to, by obejrzeć dłonie Reda. Palce miał długie, szczupłe i zwinne. Mogłyby należeć do chirurga albo zegarmistrza. Przyjrzała się bombie. Rury były podobne do tych z Silver Lake, ale czarne pudełko nie przypominało tamtej bomby. Na wierzchu miało przełącznik, od którego biegły do baterii dwa cienkie przewody. To urządzenie było inne. Nie odpalało się go radiem.

- Zegar - stwierdziła sucho.

- Zgadza się. Wolę być daleko, kiedy to pierdolnie. Będę świętował awans do pierwszej dziesiątki. Powiedz, czy to nie ironia losu? Nie wciągali mnie na listę, bo nie znali mojego nazwiska. Poznali je dzięki tobie. Pozwoliłaś mi urzeczywistnić moje marzenie.

- Taki już mam fart.

Bez słowa sięgnął do czarnego pudełka, nacisnął jakiś punkt na jego boku i na pudełku pojawiła się świecąca zielono dioda zapalnika czasowego, odliczająca czas od piętnastu minut w dół. Red wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Wiem, że to trochę pretensjonalne, ale nie potrafiłem sobie odmówić tej przyjemności. Chciałem, żebyś to widziała.

- Jesteś stuknięty, Fowles.

- Jasne, nie mogłabyś być trochę bardziej oryginalna?
Poklepał ją po podudziu, podszedł do kanapy i wrócił z szeroką rolką taśmy izolacyjnej.

- Słuchaj, nie ma sensu chować głowy w piasek. Tracić taką chwilę? To mój prezent dla ciebie, Carol Starkey. Będziesz czujnym świadkiem momentu własnej zagłady. Po prostu obserwuj wyciekanie sekund aż do tej ostatniej, która przeniesie cię w niebyt. Nie lękaj się, nie grozi ci kalectwo. Osiągniesz śmierć piękną i natychmiastową. W ułamku sekundy przejdiesz w stan niepamięci.

- Pierdol się.

Udarł kawał taśmy i uśmiechnął się, nie wstając jednak z kolan.

- Poniekąd właśnie pierdołę, ale ciebie.

- Chcę znać prawdę.

- Prawda ma swoją cenę.

- Odpowiedz mi, skurwysynu! Czy to wszystko, co się stało... Czy Buck zginął dlatego, że ja cię tu ściągnęłam?

Przysiadł na piętach, by lepiej jej się przyjrzeć, i znów się uśmiechnął.

- Chcesz znać prawdę?

- Tak.

- Więc będziesz musiała odpowiedzieć na jedno moje pytanie.

- Pytaj, o co chcesz.

- Dobra. Oto więc prawda. Proszę skierować dręczące panią poczucie winy w inną stronę, pani detektyw Starkey. Dowiedziałem się o bombie z Silver Lake z wewnętrznego obiegu informacji policyjnej, zanim jeszcze ty i Pell zaczęliście swe śmieszne podchody. Ściągnął mnie tu Buck Daggett, nie ty.

Poczuła, jak kamień spada jej z serca.

- Teraz ty odpowiedz na moje pytanie.

- Słucham.

- Jak człowiek się wtedy czuje?

- Kiedy? Kiedy go wykorzystują?

Przysunął się bliżej, zupełnie jak dziecko zaglądnące do akwarium.

- Nie. Wtedy, na tym parkingu przyczep. Stałaś tuż nad bombą. Choć to był tylko proch dymny i dynamit, fala uderzeniowa musiała w ciebie pierdolnąć z siłą blisko sześćdziesięciu tysięcy funtów.

Oczy mu błyszczały. Zrozumiała nagle, że tego właśnie pragnął: stać się ofiarą wybuchu, poczuć jego siłę. Nie tylko go kontrolować, ale przyjąć w siebie, być jego częścią.

- Właściwie nic się wtedy nie czuje. Od razu straciłam przytomność. Nie czułam nic, dopiero znacznie później.

Wpatrywał się w nią, jakby nadal czekał na odpowiedź. Zaczęło się w niej gotować. Tak było z każdym, z przyjaciółmi, z nieznanymi, z gliniarzami, a teraz jeszcze ten świrus! Miała już tego dość.

- Rozczarowany? Myślisz, że otwiera się wtedy jakieś okno, przez które widać Boga? Do kurwy nędzy, to tylko eksplozja. Dzieje się tak szybko, że nie masz nawet czasu zorientować się, co jest grane. W tym jest tyle mistycznego uniesienia co w ciosie, jakim poczęstowałaś mnie na przywitaniu.

Wpatrywał się w nią, nawet nie mrugając powiekami. Zaczęła się zastanawiać, czy nie wpadł w jakiś stupor.

- Fowles?

Zmarszczył gniewnie czoło.

- To dlatego, że pierdolnęło cię takie tanie gówno. Domowej roboty kiszka, zmieszana po partacku przez jakiegoś durnia. Obecnie masz do czynienia z Mister Redem i dwoma kilogramami modeksu. Fala uderzeniowa jebnie cię w nogi w jednej dziesięciotysięcznej sekundy i wtłoczy całą krew do tułowia, jakby walec drogowy wycisnął cię jak tubkę aż po biodra. Ciśnienie rozsadzi wszystkie kapilarki w twoim mózgu w tysięcznej części sekundy. Natychmiastowa śmierć mózgu nastąpi niemal w tej samej chwili, w której oberwie ci giry. Niestety, będziesz już martwa, więc nic nie poczujesz.

- Powinieneś zostać, żeby nacieszyć oczy tym widokiem. Mogę cię wziąć na kolana.

Skrzywił w uśmiechu twarz.

- Lubię cię, Carol Starkey. Szkoda, że cię nie znałem, kiedy robiłaś przy bombach. Dogodziłbym ci za pierwszym razem.

Lewą ręką złapał ją za włosy, odgiął w tył głowę. Próbowala się wyszarpnąć, ale z całej siły przycisnął jej taśmę do ust, a potem zakleił dodatkowo drugim kawałkiem. Najszerzej jak się dało otworzyła usta, napinając skórę. Poczula, jak taśma się rozluźnia, ale nie puszcza.

Na wyświetlaczu widniała trzynaście czterdzieści dwa. Fowles zerknął na zegarek.

- Gites.

Chciała mu powiedzieć, żeby się pierdolił, ale z jej ust wyszedł jedynie stłumiony gniewny pomruk.

John Michael Fowles kucnął obok i delikatnie pogłaskał ją po głowie.

- Zaklep dla mnie miejsce w piekle, Carol Starkey.

Wstał i ruszył ku drzwiom. Nie patrzyła za nim. Wpatrywała się w świecące zielone cyferki, które odmierzały jej drogę ku wieczności.

Pell

Coombs i Armus okazali się dżentelmenami. Mogli go aresztować jak pierwszego lepszego łachudrę, zachowali się jednak po ludzku. Poprosili o spluwę i odznakę, które zostawił w motelu, i oświadczyli, że chcą z nim pogadać. Zapytał, czy mogliby się spotkać w biurze terenowym ATF, na co wyrazili zgodę. Pomógł mu chyba Dick Leyton, od którego usłyszeli, że Pell okazał się pomocny, doprowadzając ich tak blisko do Mister Reda.

Pojechał do motelu, zabrał z pokoju legitymację i wielkiego smitha kalibru 10, po czym wymeldował się w recepcji. Długo siedział w samochodzie, wsłuchując się w bicie własnego serca. Czuł, jak pot spływa mu po piersi. Nie myślał o Mister

Redzie ani o agentach Armusie i Coombsie. Myślał o Carol Starkey.

W końcu włączył silnik i pojechał jej szukać, choć nie miał pojęcia, co powie ani jak się zachowa. Wiedział tylko, że nie może jej pozwolić tak łatwo odejść. Coombs i Armus mogli poczekać.

Zaparkował na ulicy przed domem Carol i odetchnął z ulgą, ujrawszy jej wóz na podjeździe. Stwierdził z rozbawieniem, że serce bije mu równie gwałtownie jak w chwilach największego, śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Gdy nie odpowiadała na pukanie, pomyślał w pierwszej chwili, że zobaczyła go przez okno i postanowiła nie wpuszczać.

Mimo to pukał dalej i wołał przez drzwi:

- Proszę cię, wpuść mnie! Musimy porozmawiać!

Usiłował zajrzeć przez małe szybki, które biegły pionowym rządkiem wzdłuż futryny, były jednak zbyt zakurzone. Przetarł je i spojrzał uważniej. Zdawało mu się, że ją widzi. Siedziała przed kominkiem. A potem dojrzał zaklejone taśmą usta i kajdanki wokół nadgarstków. I czarne pudełko u stóp.

Wybił kopnięciem drzwi i wpadł do środka. W tej samej chwili coś z tyłu trzasnęło go w głowę. Potknął się, mając w oczach pękające rozbłyśki światła. Zdażył jeszcze zauważyć, że Carol patrzy na niego przerażona, gdy otrzymał drugie potworne uderzenie. Ktoś stał za nim, walił go w głowę i krzychał:

- Masz, skurwielu! Masz!

Pell sięgnął po pistolet i w tej samej chwili zainkasował kolejny cios. Czuł, że traci przytomność. Resztką sił wyszarpał smitha, bezpiecznik odskoczył i gnat wypalił w pochyłający się cień, który jednocześnie, wraz z ostatkiem światła, wtopił się w ciemność.

Kiedy Jack zaczął się dobijać do drzwi, Starkey próbowała krzycheć, rozerwać ustami zaklejającą je taśmę. Miotła wście-

kle głową i z całej siły bębniła w podłogę piętami, by spowodować ostrzegawczy hałas. Tarła policzkami o barki, usiłując zedrzyć taśmę, i szarpała kajdanki, aż wżerały się jej boleśnie w nadgarstki.

Fowles z pałką w ręku skoczył za drzwi w chwili, gdy Pell je wyważał. Jack dojrzał tylko ją. Usiłowała zaalarmować go spojrzeniem, ale twarda pałka w rękach Fowlesa już spadała lawiną ciężkich ciosów.

Pell runął na ziemię, ogłuszony, prawie nieprzytomny. Carol dostrzegła, jak po omacku sięga po broń, ten monstrualny, koszmarny półautomat, a potem padły strzały i Fowles poleciał plecami do tyłu, upadł i zaczął się czołgać w kierunku kanapy.

Starkey z furią tarła policzkami o ramiona. Czują, że taśma zaczyna się odklejać. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z cyferek wyświetlacza. Zmieniały się tak szybko, że ich kształty rozmazywały się w zieloną smugę.

Fowles usiłował się podnieść, daremnie.

Pell jęknął.

Starkey zawzięcie walczyła z taśmą zaklejającą jej usta, wykrzywiła szczękę i tarła policzkami o ramiona, aż w końcu jeden koniec taśmy się odkleił i odzyskała głos.

- Pell! - krzyknęła. - Wstawaj! Pell!

6:48... 47... 46...

- Pell! Wstań i poszukaj kluczyków! Do jasnej cholery, zbudź się!

Przekręcił się na plecy. Patrzył prosto w sufit i mrugał powiekami, jakby miał przed oczami jakiś cudowny, zachwycający obraz.

- Jack, zostało tylko sześć minut, potem to świństwo wybuchnie! Rusz się!

Przewrócił się na bok i ponownie zamrugał powiekami, a potem potarł oczy.

- Nie widzę cię. Nic już nie widzę. Tylko plamy światła i cienia.

Zmartwiała. Domyśliła się, co się stało. Ciosy w głowę

dopełniły dzieła zniszczenia, zerwało się ostatnie wątłe połączenie między siatkówkami a nerwami wzrokowymi.

Poczuli, że łapie powietrze jak ryba, i zmusiła się do zatrzymania oddechu. Zrobiła to na czas dostatecznie długi, by się opanować.

- Nic nie widzisz? A z bliska? Widzisz swoją rękę?

Wyciągnął rękę i umieścił dłoń na wprost twarzy.

- Widzę tylko zarys. Nic więcej. Kto mnie tak rąbnął? Ten skurwiel?

- Postrzeliłeś go. Leży na kanapie.

- Żyje?

- Nie wiem, ale to teraz nieważne. Ta bomba jest połączona z zapalnikiem czasowym, Jack. Czas leci, rozumiesz?

- Ile nam zostało?

- Sześć minut i dziesięć sekund.

Zbyt mało, by liczyć na pomoc policji. Wiedziała, że i on o tym pomyślał.

- Nic nie widzę, Carol. Przykro mi.

- Cholera, Jack, jestem przykuta do tego podzielonego kominka. Uwolnij mnie, potrafię to gówno rozbroić!

- ALE JA NIC NIE WIDZĘ!

Dostrzegła krople potu ściekające mu na czoło spod krótko ostrzyżonych włosów. Przeturlał się na bok i stanął na czworakach. Tyłem od niej. Po drugiej stronie pokoju Fowles usiłował się podnieść, lecz nie zdołał. Wyglądało na to, że już dogorywa.

- Jack.

Odwrócił się w jej stronę.

Wysiłkiem woli wyrównała oddech. Kiedy rozbrajasz bombę, musisz się uspokoić. Panika zabija.

- Jack, ruszaj się teraz zwawiej, dobra? Zwróć się w kierunku mojego głosu.

- To na nic.

Posłuchał jednak.

6:07... 06... 05...

- Godzina dwunasta jest na wprost przed tobą. Fowlesa

masz na ósmej, rozumiesz? Po przeciwnej stronie pokoju. Jakieś czternaście stóp od ciebie. Leży na kanapie za stolikiem do kawy. Chyba nie żyje. Kluczyki ma pewnie w kieszeni. Zauważyła, że twarz Pella zajaśniała nadzieją.

- RUSZ SIĘ, do kurwy nędzy!

Poczłgał się na czworakach, podpierając kolanami i jedną ręką. Drugą wyciągał przed siebie, by wymacać stolik.

- Dobrze. Jesteś już prawie przy stoliku. Fowles leży tuż za nim.

Pell dotknął ręką stolika i odrzucił go na bok. Najpierw wymacał kanapę, potem nogę Fowlesa i jadąc po niej dłońmi, odnalazł kieszenie. Koszula Fowlesa była mokra, spodnie na udach nasiąkły krwią. Dłonie Pella stały się czerwone.

4:59... 58... 57...

- Obszukaj go, Jack! ZNAJDŹ TE CHOLERNE KLUCZYKI!

- Nie ma ich! Nie ma ich w kieszeniach!

- Poszukaj lepiej!

- NIE MA!

Patrzyła, jak grzebie gorączkowo w bocznych, a potem w tylnych kieszeniach spodni, obmacuje talię Fowlesa, jakby obszukiwał zatrzymanego.

- Skarpetki! Sprawdź buty i skarpetki!

Przesunęła wzrokiem po pokoju. Może drań wyrzucił gdzieś klucze. Nie są przecież potrzebne do zamknięcia kajdanków, jedynie do otwarcia, a on w ogóle nie zamierzał ich otwierać. Nigdzie nie było widać kluczy, okazałoby się zaś daremną stratą czasu, gdyby Pell, macając wokół siebie, obchodził na czworakach pokój w poszukiwaniu przedmiotu tak małych rozmiarów.

- NIE MA!

Fowles jęknął i poruszył się.

- Ten skurwiel jeszcze żyje!

3:53... 52... 51...

Jej spojrzenie wróciło do migających cyferek zapalnika i obserwowało wyciekające sekundy.

- Jest uzbrojony?
- Nie, chyba nie.
- Więc zapomnij o nim! Godzina piąta. Zwróć się w stronę piątej!

Pell nadal grzebał w zakamarkach ubrania Fowlesa.

- DO JASNEJ CHOLERY, PRĘDZEJ, JACK! GODZINA PIĄTA!

Zwrócił głowę w kierunku jej głosu.

3:30... 29... 28...

- Na godzinie piątej masz drzwi. Wypierdzielaj stąd!
- Ani mi się śni.
- Nie bądź sentymentalny, Jack. Wypierdzielaj!
- NIE ZOSTAWIĘ CIĘ!

Poczołgał się w jej stronę, zbaczając znacznie w prawo i wpadając na stojące na drodze przeszkody.

- Tutaj.

Zmienił kurs i w końcu wymacał jej stopę, o cal mijając urządzenie wybuchowe. Przebiegł palcami w górę po jej nodze.

- Prowadź mnie, Carol. Do czego cię przykuł?
- Do żeliwnej ramy kominka. Jest osadzona w murze.

Jego dłonie przesunęły się po tułowiu Starkey, przeskoczyły na ramiona i odszukały prawą rękę. Wymacał kajdanki i po nadgarstku trafił na żelazną ramę. Chwycił ją oburącz i zaczął ciągnąć, aż twarz mu spurpurowiała. Przekręcił się, zaparł stopami o ścianę i pociągnął jeszcze mocniej, aż na jego czole nabrzmiały żyły.

- To solidna konstrukcja, Jack. Bolce są głęboko osadzone.

Przelazł nad nią i spróbował z drugiej strony. Poczula dziwny spokój. Zaciekawilo ją, co by Dana o tym powiedziała. Akceptacja? Raczej rezygnacja.

Głos drżał z emocji.

- Potrzebna mi jakaś dźwignia. Może uda się to podważyć.
- Spróbuj pałką.

Leżała pod przeciwległą ścianą. Stracili prawie minutę, nim ją odnalazł i wrócił pod kominek. Wsunął sztywną, zbrojoną stalą pałkę pod kratownicę ramy i mocno pociągnął.

Pałka skrzywiła się i pękła.

- Złamała się.

Odrzucił bezużyteczne narzędzie.

- Muszę mieć coś mocniejszego! Może masz pogrzebać;

- W TYM ZASRANYM DOMU NICZEGO TAKIEG
NIE MA!! NIE JESTEM PRZYKŁADNĄ GOSPOCHĄ!! W
NOŚ SIĘ WRESZCIE!

Wtedy znieruchomiał i spojrzał jej w twarz oczami t;
szeroko otwartymi i tak łagodnymi, iż była pewna, że
widzi.

- Gdzie są te cholerne drzwi?

Była mu wdzięczna za to, że zgodził się odejść, że oszczęd
jej w tych ostatnich trzech minutach katuszy wyrzutów sumi
nia, iż to przez nią ginie.

- Za tobą, na godzinie siódmej.

Dotknął jej policzka i przez chwilę tulił do niego dłoń.

- Skrzywdziłem cię, Carol. Przepraszam.

- Daj spokój. Odpuszczam ci. Do diabła, Kocham cię, chh
pie! A teraz błagam, wypierdzielaj stąd!

Posuwając się wzdłuż jej nogi, odnalazł bombę, wziął
pod pachę i ruszył po omacku w stronę drzwi.

Starkey zrozumiała jego intencje i zalała ją wściekłość.

- KURWA MAĆ!!! NIE!!! NIE POŚWIĘCAJ SIĘ DL
MNIE!!

Czołgał się w stronę drzwi, niosąc bombę pod lewą pach
Zbaczał zanadto w prawo. Stracił poczucie kierunku.

- Wyświadczasz mi przysługę, Starkey. Wyjdę na bohater
Oddam życie za kobietę, którą Kocham. Na cóż więcej mo;
liczyć facet w mojej sytuacji?

Wpadł na zestaw wsuwanych jeden pod drugi stolikó\
stracił równowagę i upuścił bombę. Starkey znowu zobaczy
migające cyferki zapalnika.

Kiedy zaczął po omacku szukać wokół siebie, już wiedział
że nie zrezygnuje. Miał zamiar wynieść to cholerstwo i
dwór, bohatersko wylecieć w powietrze i zostawić ją z ty
pieprzonym ciężarem, który będzie musiała dźwigać aż c

śmierci. Oczy jej zwilgotniały. Pomyślała o jedynej możliwej dla nich obojga drodze ocalenia.

- Posłuchaj mnie, Pell!

Znalazł bombę i popęzł w stronę drzwi.

- POSŁUCHAJ mnie, kurwa! Spróbujemy to gównu rozbroić. Wiem, jak to zrobić!

Zatrzymał się i obrócił ku niej twarz.

- Ile mamy czasu?

- Nie widzę. Obrócić ją trochę w prawo i postaw na boku.

2:14... 13... 12...

- Wracaj, Jack. Obejrzę ją sobie z bliska i powiem ci, co masz robić.

- Zalewasz, Starkey. Po prostu chcesz zginąć.

- Chcę żyć, kretynie! Niech cię cholera, idioto, chcę żyć, chcę, żebyś ty żył, a ty tracisz tylko głupio czas! Zobaczysz, uda się nam!

- JA NIC NIE WIDZĘ!

- BĘDĘ CIĘ PROWADZIŁA! Mówię serio, Jack. Zostało nam jeszcze trochę czasu, a my go tracimy na sprzeczki. Chodź tu do mnie.

- Cholera!

Kierując się jej wskazówkami, wrócił pod kominek. Odychał ciężko i spocił się tak, aż mu przesiąkła koszula.

- Połóż bombę na podłodze. Bliżej. Trochę dalej.

Wypełnił jej polecenia.

- Teraz trochę przekręć. Jeszcze. Chcę zobaczyć zegar.

1:56...55...54...

- Ile nam zostało?

- Prawie cała wieczność.

Wysiłkiem woli ponownie wstrzymała oddech. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz podchodziła do bomby. Tamtego dnia był z nią Buck Daggett i to właśnie on, gdy zapinali na niej kombinezon antywybuchowy, nauczył jej sztuczki zatrzymywania oddechu.

- Dobra. A teraz ją odwróć. Chcę zobaczyć spód.

- Nie mam cążków. Nie mam kombinerek. Chyba mam nóż.

- Zamknij się i daj mi pomyśleć.
- „Dokonujesz wyborów. Twoje wybory mogą prześladować cię do końca życia albo uczynić cię wolną”.
- Powiedz mi, co widzisz, Carol. Opisz mi ją.
- Czarny zapalnik czasowy przyczepiony na wierzchu przezroczystego plastikowego pojemnika na żywność. Wygląda, jakby Red wytopił w wieczku otworki, żeby wprowadzić przewody. Typowe dla jego robótek... Mechanizm jest ukryty.
- Bateria?
- Musi być w środku. Wieczko nie jest przyklejone taśmą. Zostało po prostu wciśnięte.
- Patrzyła, jak jego palce dotykają delikatnie zapalnika, a potem suną wokół krawędzi wieczka. Wiedziała, że myślała dokładnie to samo co ona: że Mister Red mógł wmontować w wieczko włącznik kontaktowy, który automatycznie wywołuje eksplozję w momencie zdjęcia pokrywy.
- „Dokonujesz wyborów. Twoje wybory mogą prześladować cię do końca życia albo uczynić cię wolną”.
- Otwórz to, Jack. Na rogach. Po prostu podważ rogi. Powoli.
- Czuła spływający na czoło pot.
- Pell zamrugał powiekami, jakby chciał dzięki temu przejrzeć na oczy, oblizał wargi i kiwnął głową. Pomyślał pewnie to samo co ona. Że jeśli tam będzie włącznik kontaktowy, żadne z nich się o tym nie dowie. Tysięczna część sekundy to o wiele za mało, by się w czymkolwiek rozeznąć.
- 1:51... 50... 49...
- Obluźnij wszystkie rogi, ale nie zdejmuj wieczka. Chcę, byś uniósł je jedynie na tyle, by ocenić stopień napięcia przewodów.
- Zrobił, co kazała. Przyglądała się temu i pot zalewał jej oczy, tak że musiała ocierać głową o ramię, żeby je obetrzeć. Mrugała powiekami niemal tak często jak Pell.
- Czuję, jak przewody ciągną to coś, co siedzi w środku.
- Ładunek wybuchowy i zapalnik. Wyczuwasz jakiś luz? Uniósł wieczko kilka centymetrów nad pojemnik.

- Mhm.
- Podnoś pokrywkę, aż poczujesz, że przewód się napina. Zrobił tak.

1:26... 25... 24...

- Dobra. A teraz przechył pojemnik w moją stronę. Chcę zajrzeć do środka.

Kiedy Pell przechylił plastikowe naczynie, zobaczyła, że jego zawartość się przesuwą, co było pomyślnym znakiem. Znaczyło to, że ładunek nie został przytwierdzony do pojemnika i mógł zostać usunięty.

W środku znajdował się pękaty metalowy cylinder pojemności mniej więcej kwarty, wyglądający jak puszka po farbie. Z jego wieczka wystawała zatyczka zapalnika elektrycznego, z niej zaś wychodziły dwa przewody, czerwony i biały, biegnące do bocznika. Stamtąd wychodziła druga wiązka przewodów i łączyła się przez pokrywkę z zapalnikiem czasowym, a dwa inne wybiegały w lewo i łączyły się z parą baterii typu AA, przytwierdzonych taśmą do boku pojemnika. Jeden purpurowy przewód prowadził bezpośrednio od baterii do zapalnika, omijając bocznik, i łączył się z zapalnikiem przez małe czerwone pudełko. Starkey się ono nie spodobało. Reszta była dość jasna i przejrzysta, widywała już setki razy podobne rozwiązania... ale to czerwone pudełko i ten przewód łączący je z zapalnikiem... Wpatrywała się w urządzenie jak zaczarowana. Poczwała, że ogarnia ją strach.

- Powiedz, co mam robić.

- Chwileczkę, Jack. Myślę. Wyjmij całą zawartość pudełka, dobrze? Wygląda na to, że wszystko zostało solidnie połączone taśmą, więc się nie rozleci. Po prostu włóż pod spód ręce, wyjmij to wszystko i połóż na podłodze.

Zrobił, jak kazała, obchodząc się z urządzeniem ostrożnie jak z jajkiem.

- Dobrze to teraz widzisz?
- Doskonale.

1:01... 00...

0:59...

- Jak stoimy z czasem?
- Mamy go mnóstwo, Jack.
- Uda nam się?
- Spoko.
- Nie umiesz kłamać, Carol.

Teraz, kiedy bomba spoczywała na podłodze, Starkey mogła przyjrzeć się dokładniej połączeniom przewodów, jednak nadal nie domyślała się przeznaczenia czerwonego pudełka. Przyszło jej do głowy, że może to być samolikwidator, i przestraszyła się. Samolikwidator wyczułby, gdyby baterie zostały odłączone lub przewody przecięte i poprowadzone z ominięciem bocznika i zapalnika. Byłby to więc wbudowany zapalnik rezerwowý, mający przeszkodzić rozbrojeniu bomby. Gdyby przecięli przewody lub usunęli zegar, bocznik automatycznie odpaliłby urządzenie.

Serce zabiło jej szybciej. Musiała znowu przekręcić głowę, żeby otrzeć o ramię zlaną potem twarz.

- Jakiś problem, Carol?

Usłyszała napięcie w jego głosie.

- Skądże. Zachwycam się po prostu pięknem tej konstrukcji.

Roześmiał się.

- O Chryste!

- Byłoby kławo, gdyby i On się tu zjawił.

Ponownie się zaśmiał, lecz szybko spoważniał.

- Co mam robić? Nie każ mi podejmować decyzji, dziecko.

Domyśliła się, że wyczuł jej napięcie.

- Dobra, powiem ci, co widzę. Wydaje mi się, że w obwód włączono samolikwidator. Wiesz, co to takiego?

- Mhm. Taka pułapka konstrukcyjna.

- Jeśli spróbujemy cokolwiek rozłączyć, wyczuje zmianę w impedancji i zdetonuje bombę z pominięciem zapalnika czasowego.

- Więc co robimy?

- Zagramy w trzy karty. Połóż palce na zapalniku i odszukaj przewody, które przechodzą przez pokrywkę. Chcę, żebyś ją ujął od wewnętrznej strony, jak najbliżej ładunku.

Posłuchał.

- Zrobione.

- Przez to wieczko przechodzi pięć przewodów. Ujmij którykolwiek.

Wziął w palce czerwony.

- Dobrze, nie o ten nam chodzi, więc oddziel go od reszty i uchwyc drugi.

Przez czysty przypadek ujął następnie przewód purpurowy.

- Bingo, skarbie. Otóż to. Posuwaj się teraz wzdłuż tego drucika, a natrafisz na małe pudełko.

Przyglądała się, jak delikatnie wędrują jego palce, i pomyślała, że równie czule mogłyby się przesuwać po sznurach jej blizn.

- Mam. Z drugiej strony wychodzą dwa przewody.

- Zgadza się, ale nie zwracaj sobie nimi głowy. Zanim rozbiorimy zapalnik, musimy unieszkodliwić to świństwo, choć nie mam pojęcia jak. Mówię szczerze, Jack. Nie mam pojęcia, co to za cholerstwo. Mogę się tylko domyślać.

Kiwnął w milczeniu głową.

- Teraz obchodź się z tym naprawdę jak z jajkiem, żebyś przez przypadek nie poluzował któregoś z przewodów. Chcę, żebyś oddzielił samolikwidator od reszty urządzenia. Odgarnij przewody na bok i połóż samo pudełko na podłodze.

- Co mam z nim zrobić?

- Zmiażdżyć obcasem.

Nie mrugnął nawet okiem, nie powiedział, że zwariowała.

- Rozkaz.

- To może pierdolnąć, Jack - uprzedziła. - Przykro mi.

- Tak czy siak pierdolnie.

- Otóż to.

- My oboje mamy to już za sobą, Carol.

- Właśnie, Jack. Dla nas to nie pierwszyczna.

Położył czerwoną kostkę na podłodze niedaleko od wiązek przewodów, przykrył ręką i siedząc w kucki, przemieścił ciało tak, by zawiesić stopę w powietrzu.

- Czy jestem równo w linii?

- Wal, Jack.

Jedna dziesięciotysieczna sekundy.

Trzasnął w podłogę obcasem.

Oddech z piersi Carol wydobył się ze świstem, jakby ściśnięto jej tułów żelaznymi kleszczami.

Nic nie nastąpiło.

Kiedy Pell podniósł nogę, plastikowy sześcian leżał zgnieciony na miazgę. A oni wciąż żyli.

- Zmiażdżyłem to, tak? Udało mi się?

Popatrzyła na szczątki. Błyszcząco wśród nich kółko ze srebrnymi kluczykami. Kluczyki od kajdanek! Podstępny skurwiel schował je we wnętrzu bomby!

- Starkey?

Spojrzała na zegar.

0:36... 35... 34...

Coś w jej duszy zawyło do Pella, żeby złapał kluczyki, odpiął ją i razem rzucili się do ucieczki. Wiedziała jednak, że nie zdołały tego zrobić. Nie było cienia szansy, by w porę znalazł kluczyki, zlokalizował po omacku jej nadgarstki i rozpiął kajdanki. Niepodobiestwo.

- Co mam zrobić? Odezwij się, Carol. Powiedz mi, co mam zrobić!

Nie chciała, żeby w ogóle pomyślał o kluczykach. Nie chciała, żeby się rozpraszał.

- Znajdź baterie.

Jego palce obmacały urządzenie, aż natrafiły na małą dziewięciowoltową baterię przymocowaną taśmą do puszek po farbie.

- Mam.

- Czujesz przewody wychodzące z wieczka? Są przytwierdzone do baterii małymi karabinkami.

- Mam. Co teraz?

Gdyby miała zneutralizować tę bombę w czasie normalnego wezwania, byłyby w stroju antywybuchowym, ustawiłaby wyrzutnik pirotechniczny i zdetonowała urządzenie, kryjąc się bezpiecznie za stojącym sześćdziesiąt jardów dalej chevroletem

suburban. W ogóle nie poruszałyby bomby, bo nigdy nie wiadomo, co może spowodować eksplozję, jak stabilne jest dane urządzenie ani jakie pułapki zastawił konstruktor. Bezpieczeństwo zapewnia przede wszystkim odpowiednia odległość. Jest się bezpiecznym, gdy się nie podejmuje ryzyka i obmyśla z góry każdy krok

- Odłącz je.

Ani drgnął.

- Mam je po prostu odłączyć?

0:18... 17... 16...

- Tak, po prostu je odłącz. To wszystko, co możemy zrobić. Musimy przerwać obwód. Nie ma innego sposobu, żeby to uczynić, więc musimy odłączyć baterię i modlić się, by nie pojawiło się napięcie. Może drań nie wbudował drugiego ukrytego samolikwidatora. Może to świństwo nie jebnie.

Pell milczał chwilę.

0:10... 09... 08...

- Więc nie mamy innego wyboru?

- Odłącz te przewody jednym szybkim pociągnięciem. Nie pozwól, żeby końcówki się zetknęły.

- Dobra.

- Żadnych półśrodków. Jeden szybki ruch. Przerwij połączenie, jakby od tego zależało twoje życie.

- Ile mamy czasu?

- Sześć sekund.

Zwrócił głowę w jej stronę, kierując niewidzące oczy nieco zanadto w prawo.

Uśmiechnął się.

- Dziękuję, Carol.

- To ja ci dziękuję, Jack. Teraz!

Pociągnął.

0:05... 04... 03...

Wyświetlacz zapalnika czasowego nadal odliczał czas.

- Jesteśmy bezpieczni, Carol?

Zielone cyferki z błyskawiczną szybkością odmieniały kształt

ły. Starkey poczuła, jak wilgotnieją jej oczy. „O kurwa” - jęknęła w duchu.

- Przykro mi, Jack.

0:02... 01...

Zamknęła powieki i napięła mięśnie w oczekiwaniu na coś, czego nie miała poczuć.

- Starkey? Jesteśmy bezpieczni?

Otworzyła oczy. Na zegarze świeciły cztery nieruchome zera. Wybuch nie nastąpił.

- Chyba wciąż żyjemy - rzekł ostrożnie Pell.

John Michael Fowles nie chciał umierać. Głowę miał lekką, czuł natomiast straszny ucisk w klatce piersiowej. Jak przez mgłę docierały do niego głosy Starkey i Pella. Domyślił się, że próbują rozbroić bombę i zachciało mu się śmiać. Parsknąłby śmiechem, gdyby nie wykrwawiał się na śmierć. Miał wrażenie, że krew zalewa mu płuca. Na chwilę stracił przytomność, a potem znowu usłyszał głosy tamtych dwojga. Uniósł głowę na tyle, by ich zobaczyć. Dostrzegł rozmontowaną bombę. Więc jednak im się udało. Rozbroili ją. Wtedy się roześmiał. Wokół jego ust i nosa zaczęły pękać czerwone pęcherzyki. Myśleli, że są ocaleni. Nie wiedzieli, jak bardzo się mylą. Zebrał wszystkie siły, by się podnieść.

- Bolać mnie ręce, Jack.

Trzymał ją w objęciach. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, podpełzł do niej, objął i mocno przytulił. Teraz dźwignął się na kolana.

- Pokieruj mnie do telefonu. Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście.

- Najpierw weź kluczyki i odepnij mnie. W tym czerwonym pudełku były jakieś klucze. Podejrzewam, że od kajdanek.

Przysiadł na piętach.

- I nic mi nie powiedziałaś?
- Nie było na to czasu, Jack.

Westchnął głęboko, jakby dopiero teraz uszło z niego całe napięcie. Kierując się wskazówkami Starkey, odnalazł kluczyki. Kiedy uwolnił jej ręce, roztarła z ulgą nadgarstki. Poczwała w dłoniach ogień, gdy zaczęła w nich na powrót krążyć krew.

Zza pleców Jacka, od strony kanapy, dobiegł naraz dźwięk przypominającym wilgotne gulgotanie, a potem rozległ się stłumiony stuk.

Pell obejrzał się niespokojnie.

- Co to było?

Starkey nie czuła zagrożenia. Fowles stoczył się z kanapy na podłogę i leżał na niej bezwładny niczym mokra szmata.

- To Fowles. Spadł z kanapy. Fowles?! - zawołała. - Słyszysz mnie?!

Ranny wyciągnął rękę w stronę jadalni i zaczął wolno poruszać nogami, jakby próbował się odczołgać, nie był jednak w stanie podciągnąć pod siebie kolana.

- Co on robi, Carol?
- Zadzwońię po karetkę. Łajdus jeszcze żyje.

Wstała i pomogła Pellowi się podnieść. Po drugiej stronie pokoju Fowles czołgał się wolno wokół stolika do kawy, rozmazując za sobą czerwoną smugę.

- Leż spokojnie, Fowles! - zawołała Starkey. - Zaraz wezwę pomoc.

Zostawiła Pella przy drzwiach wyjściowych i podeszła do Fowlesa właśnie w chwili, gdy udało mu się doczołgać do dalszego końca kanapy. Zwrócony do Starkey plecami, sięgnął za róg mebla, a potem powoli przekręcił się na plecy i spojrzał jej w oczy.

Na widok tego, co zobaczyła, rozkrzyczały się w pamięci Carol wszystkie przestrogi i napomnienia, jakie do znudzenia wbijano im do głowy w centrum szkoleniowym techników bombowych: *Drugie urządzenie wybuchowe! Zawsze sprawdzajcie, czy nie ma drugiego urządzenia wybuchowego!*

Powinna była natychmiast się upewnić, że w domu nie ma drugiej bomby, o czym zawsze przypominał jej Buck Daggett.

Fowles przyciskał bombę do piersi. Podniósł na Starkey wzrok i uśmiechnął się do niej krwawiącymi ustami.

- Prawda boli, kotku.

Rzuciła się do tyłu. Jak w koszmarze sennym miała wrażenie, że nie może oderwać nóg od podłogi, która przykuwała ją do miejsca i więziła. Serce waliło jej jak oszalałe, rozsadzając w uszach bębenki, gdy w śmiertelnej panice, półżywa ze zgrozy, wpadła z impetem na Pella i razem z nim w drzwi...

John Michael Fowles przyglądał się szkarłatnemu światu przez czerwone soczewki własnej krwi, a potem przycisnął srebrny guziczek, który mu przyniósł wyzwolenie.

EPILOG

Starkey stała w otwartych drzwiach wejściowych domu, który wynajęli, paliła papierosa i przyglądała się willi po przeciwnej stronie ulicy. Jej mieszkańcy, nieznani jej z nazwiska, mieli czarnego pieska rasy chihuahua. Piesek był tłusty i - jej zdaniem - brzydki. Całe dnie siedział przed domem i ujadał na wszystko, co się ruszało, albo stawał na środku ulicy i oszczekiwał samochody. Kierowcy trąbili na niego ze złością, ale piekielny małpiszonek nie uciekał, zmuszając ich, by go omijali łukiem. Starkey obserwowała te scenki z rozbawieniem, dopóki przed dwoma dniami drań nie narobił na podjazd przed ich domem. Usiłowała przegonić maskaronka na drugą stronę ulicy, ale ten postawił się jej groźnie i wściekle rozjazgotał. Odtąd znienawidziła szczekliwego stworka.

- Gdzie jesteś, Carol?
- Na papierosku.
- Dostaniesz raka płuc.

Uśmiechnęła się.

- Wygłaszasz wyjątkowo romantyczne kwestie.

Nie mogła się doczekać, kiedy przeprowadzą się z powrotem do jej domu. Niestety, remont miał potrwać jeszcze co najmniej miesiąc. Trzeba było ponaprawiać fundamenty, położyć nowe podłogi, postawić dwie nowe ściany, wymienić okna i drzwi. Po wybuchu żadne z okien i żadna para drzwi nie ostała się w normalnym prostokątnym kształcie. Mogło

być zresztą gorzej. W momencie eksplozji Starkey wpadła właśnie na stojącego w drzwiach Pella. Fala uderzeniowa porwała oboje z siłą ponaddzwiękowej fali oceanicznej i wymiotła na dwór. To ocaliło im życie. Zostali wyrzuceni przez ganek do ogródka przed domem. Oboje mieli rany cięte od odłamków szkła i drzazg drewna i oboje na tydzień ogłuchli. Ale i tak dopisało im szczęście.

Starkey dopaliła papierosa i pstryknęła niedopałek do ogródka. Starła się nie palić w domu, bo dym drażnił Jacka w oczy. Od dwudziestu trzech dni nie wypłała drinka. Jeśli sobie poradzi z tym nałogiem, może potem spróbuje też rzucić palenie. Zmiana była nie tylko możliwa, była wręcz konieczna.

Władze nie miały zamiaru karać zbyt surowo człowieka ślepego. Początkowo ATF narobiło wokół sprawy sporo szumu, ale ostatecznie to Starkey i Pell dopadli w końcu Mister Reda, co miało swoją wagę. Nie odebrali Pellowi renty, nikt też nie zamierzał pozbawiać przywilejów opieki zdrowotnej funkcjonariusza, który stracił wzrok w trakcie wykonywania obowiązków służbowych.

Starkey czekała jeszcze na decyzję we własnej sprawie. Miała pełne poparcie prawnika związku zawodowego policjantów oraz samego Morgana, więc nie spodziewała się większych kłopotów. Dostała miesiąc wolnego, a potem miała się stawić na przesłuchanie. Morgan zapewnił, że się wszystkim zajmie, a ona mu ufała. Barry Kelso dzwonił od czasu do czasu, żeby zapytać o zdrowie. Polubiła jego telefony. Beth Marzik nie zadzwoniła ani razu.

- Chodź tu, chcę ci coś pokazać! - zawołał Pell.

Zawsze tak mówił, jakby dzięki temu, że ona na coś patrzy, i on mógł cieszyć oczy określonym widokiem. Stwierdziła, że także to lubi. Nawet bardzo.

Rozstawił w sypialni świece. Umieścił je w małych pękatyach lichtarzykach, na podstawkach i talerzach. Migotały płomykami na komodzie, na skrzyni i dwóch stolikach nocnych. Przyglądała się, jak ustawia ostatnią, obejmuje palcami knot, pstryka zapalniczką, następnie wymacawszy palcami talerzyk, na-

kapuje kopczyk stopionego wosku i osadza w nim świecę. Nigdy nie prosił Carol o pomoc. Proponowała ją od czasu do czasu, ale w żadnym wypadku się nie narzucała. Sam nawet gotował. Umierała wtedy ze strachu.

- I co powiesz?
- Są piękne, Jack.
- To na twoją cześć.
- Dzięki.
- Nie ruszaj się.
- Tu jestem.

Kierując się głosem Carol, obszedł łóżko i ruszył w jej stronę. Minałby ją o jakieś dwie stopy, więc wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

Mieszkał z nią od wyjścia ze szpitala. Wzrok stracił bezpowrotnie. Nie można go było uratować. Żadne z nich nie wiedziało, czy zamieszkali ze sobą na stałe, ale takich rzeczy na ogół się nie wie.

Przytuliła go i pocałowała.

- Kładź się.

Z uśmiechem opadł na łóżko. Podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Spowiła ich miedziana poświata, choć na dworze było jeszcze jasno. Czasami po akcji miłosnym Carol puszczała na ścianę zajęczki i opisywała kochankowi wywołane blaskiem świecy kształty.

Zrzuciła ubranie na podłogę i wtuliła się w objęcia Jacka. Jego dłonie wędrowały po jej ciele. Opuszki palców muskały stare blizny i nie omijały nowych. Dotykał jej tam, gdzie najbardziej lubiła. Gdy pierwszy raz leżeli ze sobą w łóżku, czuła się nieswojo mimo ciemności, bo on widział dłońmi.

- Jesteś piękna, Carol.
- Skoro tak mówisz.
- Sama zobaczysz.

Westchnęła, gdy zaczął ją pieścić. Przebyła długą drogę. Długą też miała przed sobą. Z Jackiem u boku łatwiej ją będzie pokonać.